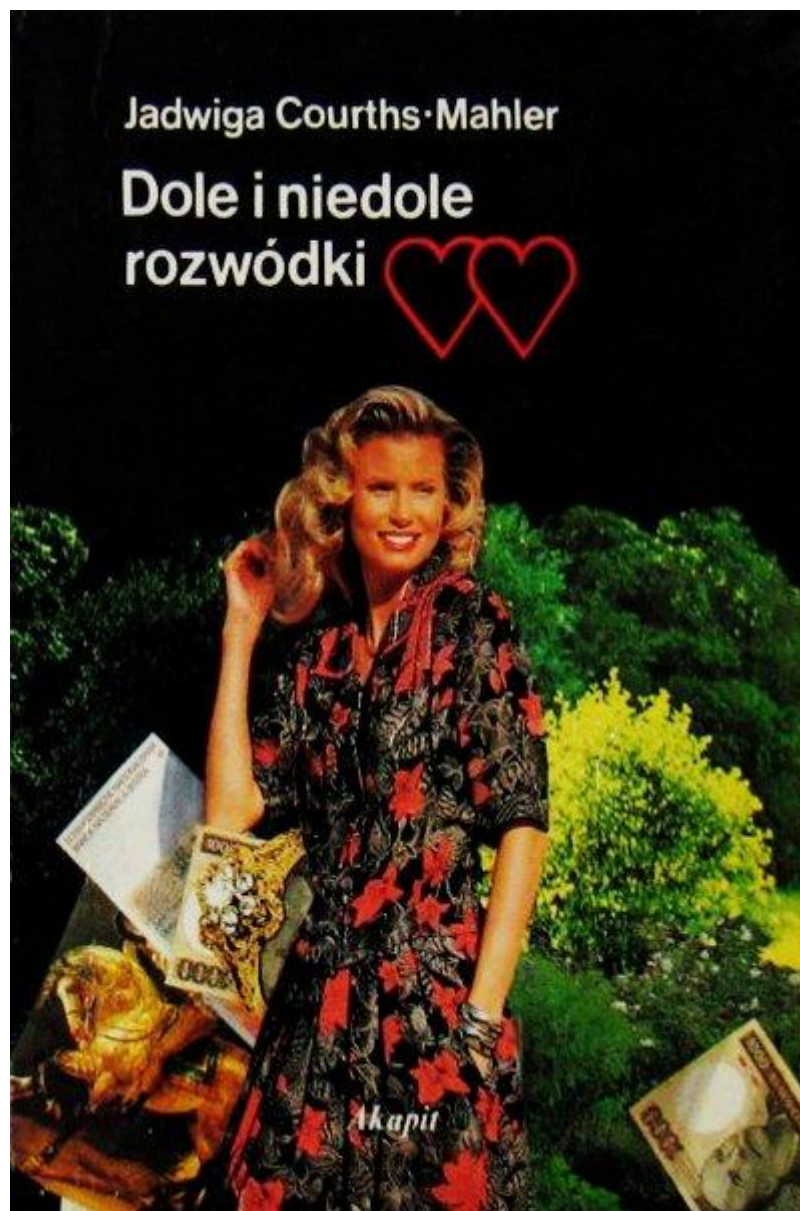




# JADWIGA COURTHS-MAHLER DOLE I NEDOLE ROZWÓDKI

Tłumaczył  
Jan Koźbiał



# I

Maria Lassberg zabrała się do robienia porządków w szafie, gdzie przechowywała pamiątki po dniach minionego szczęścia. Wpadł jej przy tym w ręce welon i stroik na głowę. Otworzywszy jedno z pudeł, zadrżała. W pudle mieniła się muślinowa materia welonu, ale listki ze stroiku opadły i rozsypały się.

Przez twarz Marii przebiegł bolesny skurcz, rysy stężały, oczy pociemniały. Ujęła rąbek i zacisnęła dłonie na delikatnej tkaninie, szarpnęła. Z gorzkim uśmiechem przyglądała się rozdartemu muślinowi.

—Nic dziwnego, że welon się drze — moje sny o szczęściu były tak samo nietrwałe — powiedziała nieswoim głosem.

Dlaczego wciąż przechowuje te starocie? Chyba tylko po to, by jej przypominały o tej okropnej pomyłce, której wynikiem było nieudane małżeństwo.

Postanowiła z tym skończyć. Ręce jej drżały, gdy zebrawszy szybko welon i stroik, wrzuciła je do kominka. Pośpiesznie zapaliła zapałkę, przytknęła ją do delikatnej materii; wystrzelił języczek ognia i tkanina zapłonęła. Po krótkiej chwili z welonu i stroika pozostała już tylko kupka popiołu.

Maria wzdrygnęła się.

—O, gdyby równie łatwo dało się wymazać z życia fakty! — westchnęła, wpatrując się w popiół.

Pogrążona w bolesnych rozmyślaniach, nie usłyszała zbliżających się kroków. Z zadumy wyrwał ją dopiero odgłos otwieranych drzwi. Odwróciła się wystra-

szona, w progu stał jej mąż. Oczy Marii zmatowiały, gdy patrzyła na jego piękną twarz, wykrzywioną nerwowym skurczem, noszącą ślady nie przespanej nocy.

—Co ty robisz? — spytał, spoglądając to na nią, to na kominek.

Maria mierzyła go spokojnym, zimnym spojrzeniem.

—Spaliłam welon i stroik.

Uśmiechnął się drwiąco.

—Ach, jakież to barbarzyństwo wobec pamiątek, które dla każdej kobiety są świętością!

—Sam zbeszcześciłeś te świętości. Ale zostawmy ten temat. Czego szukasz w moim pokoju?

W jego oczach znów zapaliły się iskierki drwiny.

—Wybacz, że przestąpiłem próg sanktuarium bez twego pozwolenia, ale spieszę się. Muszę natychmiast z tobą porozmawiać.

—O czym? — spytała Maria oschłym, urzędowym tonem.

Mąż roześmiał się ubawiony.

—Czy to nie śmieszne, że poddajesz mnie, swojego ślubnego małżonka przesłuchaniu tylko dlatego, że odważyłem się wejść do twego pokoju?

Maria odsunęła się od niego ze wstrętem.

—Dla mnie to nie jest śmieszne. Ale proszę, skończmy to przykre sam na sam. Czego chcesz?

Mężczyzna zawahał się, przygryzł wargi, po czym, odrzuciwszy w tył głowę, wyrzekł hardo:

—Pieniądzy!

Maria wzruszyła pogardliwie ramionami. Po chwili wyksztusiła ochryłym głosem:

—Tak myślałam.

—Potrzebuję pieniędzy, słyszysz — wybuchnął mężczyzna — i tym razem nie zadowolę się byle czym. Potrzebuję dużo pieniędzy, mam dług honorowy.

Maria zmierzyła go dumnym, chłodnym spojrzeniem.

—Dług honorowy? Znowu? Dziwne określenie na tego typu długi!

—Zostaw sobie te rozważania na później. Muszę mieć zaraz pieniądze.

—Wiesz, że ojciec daje mi tylko tyle, ile potrzeba na życie.

Machnął ręką pogardliwie.

—Nie miałem na myśli tych groszy!

—Ale ja nie mam pieniędzy. Ojciec nie może mi dać więcej w tych strasznych czasach, wiesz o tym dobrze.

Mężczyzna zawahał się. Może obudziła się w nim resztką wstydu, lecz po chwili uniósł hardo głową i rzekł śmiało:

—Masz jeszcze klejnoty. Muszę mieć twoje klejnoty. Wszystkie! Inaczej nie będę mógł zwrócić długu. Miałem przekłętą pecha. Odegram się następnym razem. Ale teraz potrzebne mi są twoje klejnoty. Daj mi je!

Maria pobladła, usta jej zbielewały, drżała z obrzydzenia.

—A jeśli ci ich nie dam? — spytała cicho.

Mężczyzna podszedł do ściany, w której znajdowała się skrytka Marii, i potrząsnął pękiem kluczy.

—Jak widzisz, przyniosłem nawet twoje kluczyki, abyś nie musiała się fatorygować. Jako mąż mam zresztą prawo rozporządzać twoją własnością.

Maria spojrzała na niego z tak bezgraniczną pogardą, że musiał odwrócić wzrok. Gdy chciał otworzyć skarbiec, podbiegła i z determinacją wyrwała mu kluczyki z ręki. Stało się to tak nagle, że mężczyzna nie zdążył ich przytrzymać.

—Oddaj klucze!—zawołał.

Maria zmierzyła go pogardliwym spojrzeniem, po czym rzekła twardo:

—Nie pomnażaj tego wstydu, że zostałam twoją żoną; nie będziesz mnie okradał.

Szybko otworzyła schowek, wyszarpnęła kasetkę z klejnotami i postawiła ją na stoliku.

—Proszę, bierz. Daję ci je, byś nie musiał kraść.

Ale on nie zwracał uwagi na jej słowa. Grymas chciwości wykrzywił jego przystojną twarz. Gwałtownie otworzył kasetkę i począł wkładać do kieszeni jedno po drugim pudełeczka z klejnotami. Większe pudełeczka, nie mieszczące się w kieszeni, wsadził pod pachę. Wreszcie, opróżniwszy kasetkę, zamknął jej wieczko.

—Nie martw się, wystarczy, żeby mi się raz poszczęściło i oddam ci wszystko z nawiązką. Teraz muszę już iść. Adieu, Mario — rzucił i kiwnąwszy jej głową z łaskawym uśmiechem, opuścił śpiesznie pokój.

Maria odprowadziła go zdrętwiałym wzrokiem. Jej piersią wstrząsnęło spazmatyczne westchnienie. Wiedziała, że nigdy już nie odzyska klejnotów. Ale nie to bolało ją najbardziej. Trudniejsza do zniesienia była pogarda, jaką odczuwała dla mężczyzny, którego niegdyś tak bardzo kochała.

Włożyła do schowka pustą kasetkę i zamknęła drzwiczki. Nikt nie może się dowiedzieć, że klejnoty zniknęły. Zwłaszcza jej ojciec — jej biedny ojciec. Opadła na fotel zdruzgotana. Ogarnęła ją całkowita niemoc. Jak żyć dalej z tą hańbą? A jednak przysięgała przed ołtarzem, że będzie mu wierna i „że go nie opuści aż do śmierci”. Nie należała do kobiet lekkomyślnie łamiących tę przysięgę, była na to za uczciwa. Któryż to już raz powtarzała sobie z rozpaczą, że jest związana na wieki z mężczyzną bez czci i honoru.

Minęło kilka tygodni.

Maria cierpliwie znosiła swój los, szukając zapomnienia w pracy. Była utalentowaną malarką.

Dziś malowała z natury, zapomniała na chwilę o zmartwieniach.

—No, Małgosiu, zaraz będziesz wolna, jeszcze tylko parę ruchów pędzla i gotowe.

—I pokaże mi pani wreszcie obraz, proszę pani?

—Tak, Małgosiu, powiedziałam ci przecież, że go zobaczysz, jak tylko skończę.

—O, jak się cieszę! Nigdy jeszcze nikt mnie nie malował. I nikt mi nigdy nie mówił, że jestem na tyle ładna, że można mnie malować.

—Jeszcze nieraz usłyszysz, że jesteś urodziwa, Małgosiu. Takiemu podlotkowi jak ty nie powinno się mówić takich rzeczy.

—A dlaczego, proszę pani?

—Bo będziesz prózna. Tak, tak, Małgosiu, już się pysznisz tym, że cię malowałam.

Małgosia poczerwieniała ze wstydu.

—Ach, nie, nie jestem wcale prózna, tylko cieszę się, że pani mnie malowała, a do tego w tej pięknej sukni, jakby ślubnej. Chciałabym ją zawsze nosić.

Maria Lassberg roześmiała się ubawiona.

—Wyglądałabyś w niej śmiesznie w Berlinie. Tutaj rusalki nie biegają po ulicach — w każdym razie takie rusalki, co mieszkają w lesie przy źródleku. Ale podaruję ci ten materiał; uszyjesz sobie z niego sukienkę na swój pierwszy bal. Oby przyniosła ci szczęście. Ale obiecaj mi, że nie będziesz prózna. Bo widzisz, nie należy pysznić się tym, że Pan Bóg dał nam urodę, przecież nie ma w tym naszej zasługi.

—To prawda, proszę pani. Obiecuję, że nie będę prózna. Czy naprawdę po-



daruje mi pani ten piękny materiał?

—Tak, Małgosiu. Ale teraz przebierz się. Skończyłam obraz, możesz go obejrzeć.

Małgosia, córka dozorca podbiegła do płótna. Miał to być obraz olejny; dziewczyna w muślinowej szacie siedziała na taborecie, tak jak nimfa siedzi na kamieniu przy źródelku leśnym.

—Ależ jestem podobna, proszę pani! Ale gdzie jest źródelko?

Maria Lassberg westchnęła.

—Sama chciałabym wiedzieć, Małgosiu! Gdzieś musi być takie źródelko pośrodku zalanej słońcem polany. Zanim na podstawie tego szkicu namaluję obraz, muszę znaleźć takie źródelko. Do tego obrazu będzie mi też potrzebny drugi model — dzielny rycerz na koniu, który zaskoczy rusałkę przy źródelku.

Małgosia zachichotała.

—Pani zawsze opowiada bajki, proszę pani! Takie śliczne bajki pani opowiadała, kiedy pani pozowałam!

—Żebyś mi nie uciekła, wiercipięto! A teraz idź już do matki, na pewno ma dla ciebie jakieś zajęcie. A nie zapomnij zabrać sukni.

—Ha — na pewno nie zapomnę! Mam już szesnaście lat, mama wnet musi mnie wysłać na bal. Dziękuję pani pięknie, proszę pani! Jak pani będzie chciała mnie znów malować, chętnie przyjdę i nie będę się wierciła!

—Będę o tym pamiętać, Małgosiu. Do widzenia!

—Do widzenia, proszę pani — krzyknęła Małgosia i wybiegła z suknią pod pachą.

Maria Lassberg odłożyła przybory malarskie, powiesiła szkic młodej dziewczyny, by wysechł, zdjęła kitel roboczy i poszła do ubieralni. Przebrała się, uporządkowała włosy. Przez chwilę przyglądała się sobie w lustrze — była szczupłą, elegancką młodą damą. Wreszcie odwróciła się i poszła do saloniku. Usiadłszy w

fotelu, zapatrzona w przestrzeń, pograżyła się w smutnych rozmyślaniach. Łzy napłynęły jej do oczu. Nie po raz pierwszy płakała nad ruiną swego małżeństwa. Taka młoda — a już była ciężko doświadczona przez życie.

Gdy po jakimś czasie służba zameldowała jej odwiedziny ojca, otarła szybko oczy i zmusiła się do spokojnego uśmiechu. Ale ojciec poznał, że płakała. Przyjrzał się córce zaniepokojony.

—Znów jesteś sama, Mario?

—Tak, ojcze, Herbert wyszedł.

Uniósł jej głowę do góry.

—Znów płakałaś — powiedział zmartwiony.

Maria spróbowała się uśmiechnąć.

—Daj spokój, ojcze. Jestem taka głupia — o byle co zaraz beczę.

Jerzy Tomau czułym gestem ujął w dłonie twarz córki, zagładając w jej piękne, orzechowe oczy.

—Ty — głupia? Drogie dziecko, nie znam kobiety, który by mniej zasługiwała na takie miano. Czy to raz sprostowałaś mężnie i bez lęku sytuacjom, w jakich każda inna kobieta wylałaby morze łez? Jeśli płaczesz, to musiało się stać coś bardzo złego. Zresztą domyślam się powodu twoich cierpień. Ale nie będę teraz mówił o tym, gdyż nie chcę ranić twojej dumy. Może powinienem w ogóle milczeć na ten temat, by cię oszczędzić. Ale czasem porywa mnie okropny gniew na tego człowieka, który mi przysięgał na wszystkie świętości, że będzie cię nosił na rękach.

—Proszę cię, ojcze, nie martw się przynajmniej z mojego powodu, i tak masz dosyć zgryzot. Wierz mi, przyjdę do ciebie jak do najlepszego przyjaciela, gdy... gdy nie będę już mogła udźwignąć brzemienia, jakie włożono na moje barki. Nie mówmy już o tym więcej. Raczej opowiedz mi o własnych kłopotach.

Czoło starszego pana zmarszczyło się ponuro.



—Moje kłopoty nie zmniejszą się od tego, że będziemy o nich rozmawiać, Marysiu. Po co zatruwać ci życie jeszcze i moimi troskami?

Maria swymi pięknymi, błyszczącymi oczyma spojrzała czule na ojca.

—Nie, ojcze, wiem, że ci ulży, gdy mi o wszystkim opowiesz. Żądam tego na dowód twojej miłości i zaufania. Tak jak dawniej dzieliłam z tobą szczęście i dobrobyt, tak chcę być teraz przy tobie w nieszczęściu.

—Dobrze, może to i lepiej, gdy będziesz wiedziała o wszystkim, Mario. Wygląda na to, że inflacja, ten krwiożerczy potwór, może mnie pozbawić resztek majątku. Owoc mojego pracowitego życia rozsypuje się jak pył na wietrze. Próbuję różnych środków, by utrzymać się na powierzchni, ale to wszystko na nic, jeśli człowiek chce mieć czyste ręce. Kiedy się przez całe życie było człowiekiem prawym, trudno nauczyć się na starość obchodzenia przepisów, choćby były nie wiem jak bezsensowne.

Córka uścisnęła gorąco dłonie ojca.

—Dziękuję Bogu, że nie jesteś do tego zdolny! Byłabym bardziej nieszczęśliwa, gdyby mój ojciec przestał być uczciwym człowiekiem, niż gdybym straciła cały majątek.

—To myślisz inaczej niż twój mąż! On od dawna robi mi wymówki

—najpierw zakamuflowanie, a teraz zupełnie otwarcie — że nie umiałem, tak jak inni, zabezpieczyć swojego majątku. On uważa, że nie należy przebierać w środkach, i daje mi odczuć swoje niezadowolenie, ponieważ nie mogę już sypać pieniędzmi i zaspokajać wszystkich jego zachcianek.

Maria pobladła, trzęsąc się z oburzenia.

—Czy... powiedział ci tak — miał czelność ci tak powiedzieć?

—Niejednokrotnie, i to w o wiele ostrzejszych słowach, niż ci to mówię. Im bardziej topnieje mój majątek, im bardziej muszę ograniczyć moje wydatki na was, tym wyraźniej daje mi do zrozumienia, że jestem idiotą!

Gdy z goryczą wyrzucił z siebie ostatnie słowa, Maria chwyciła jego dłoń i patrzyła na niego z twarzą pobladłą i zbielełymi wargami.

—Ach, że też nie mogłam oszczędzić ci tych cierpień! — powiedziała z hamowaną pasją — i że on się na to poważył!

—Uważa, że jestem złym ojcem. Bóg mi świadkiem, że kocham cię nade wszystko, Mario, i chciałbym ci oszczędzić zmartwień i trosk. Ale potrafię chodzić tylko uczciwą drogą, nie mogę omijać prawa, by utrzymać resztki rozpływającego się majątku.

Być może, jako dobry ojciec rodziny, powinienem odrzucić skrupuły, skoro dziś runęły w gruzy wszystkie zasady dobra i moralności, wszystko, na czym człowiek mógł budować uczciwe życie, bo niestety resztki ogromnego majątku przeciekają mi przez palce. Sprzedając willę i posiadłość, miałem nadzieję zapewnić tobie i twemu mężowi wygodne i bezpieczne życie. I oto minęło zaledwie kilka miesięcy, a już prawie nic nie zostało z sumy uzyskanej ze sprzedaży — inflacja zniszczyła wszystko. Czasem ogarnia mnie rozpacz. Co będzie, gdy nic już nie będę wam mógł dać? Na sobie oszczędzam, jak mogę. Ale od wczoraj wartość marki spadła dwukrotnie. Kto wie, jak długo uda mi się utrzymać wasze mieszkanie. Jestem zupełnie bezradny, Marysiu —jeszcze nigdy w życiu nie byłem tak bezradny, jak teraz. Gorzko sobie wyrzucam, że po zakończeniu wojny sprzedałem fabrykę. Wprawdzie przynosiła same straty, ale kto wie, może udałoby się postawić ją na nogi. A potem trzeba było sprzedawać wszystko po kolei, by uchronić się przed nędzą. Co teraz będzie, Mario? A przede wszystkim — co będzie z tobą?

Maria słuchała gorzkich skarg ojca targana niepokojem. Objęła go czule ramieniem, nadrabiała miną, choć miała serce ściśnięte.

—Nie martw się o mnie, ojcze, jestem młoda i zdrowa, mogę pracować i chcę pracować. Przede wszystkim musisz pozbyć się swojego mieszkania; od dawna już zadręczam się tym, że żyjesz w tak skromnych w porównaniu z nami warunkach. Przeprowadzisz się do nas, będę cię pielęgnowała. Zaoszczędzimy pieniądze, które wydajesz na czynsz; będziesz się u nas stołował — to niewiele podniesie dotychczasowe koszty wyżywienia. Odprawię służbę, zatrzymam tylko pokojówkę.

Trudno, obejdziemy się bez służby. Kiedyś wreszcie inflacja musi się skończyć.

Ojciec pogłaskał ją po głowie.

—Moja dzielna Mario, jakże się cieszę, że nie popadasz w rozpacz i nie czynisz mi wyrzutów!

Córka spojrzała na niego bliska oburzenia.

—Wyrzutów, ojczy? Za tyle dobra, ile nam wyświadczyłeś? Chyba nie myślisz tak źle o mnie, by sądzić, że jestem do tego zdolna?

—Ale co na to powie twój mąż? Oczywiście, tak byłoby oszczędniej, ale on się na to nie zgodzi.

W oczach Marii zapaliły się płomienie. Przez chwilę wpatrywała się w przestrzeń niewidzącymi oczyma, wreszcie powiedziała twardo i dobitnie:

—Ty jesteś prawdziwym panem w tym mieszkaniu. Ty płacisz za wszystko, troszczysz się o wszystko. Jeśli się Herbertowi nie podoba to, że musimy oszczędzać, to niech się wreszcie weźmie do pracy i zacznie zarabiać, zamiast być wciąż na twoim utrzymaniu.

Starszy pan był poruszony. Jego córka nigdy jeszcze nie mówiła o mężu tym tonem.

—Mario! — zawołał przerażony.

Maria zacisnęła wargi, odrzuciła w tył głowę, oczy jej błyszczały gniewem.

—Pierwszy raz słyszę o tym, ojczy, że Herbert odwdzięcza ci się wyrzutami za twoją dobroć, tylko dlatego, że nie możesz już sypać pieniędzmi. Nie powinien tego robić. O, wielu rzeczy nie powinien robić! Milczałam do tej pory, ale wierz mi ojczy, że od dawna już widzę Herberta w zupełnie innym świetle niż wówczas, gdy ślubowałam mu wierność i miłość małżeńską. Byłam wtedy jeszcze prawie dzieckiem i roilo mi się, że on jest ucieleśnieniem moich ideałów. Widziałam w nim bohatera, który przelewał krew za ojczyznę. Brałam uczucie podziwu za miłość. Zdobył mnie łatwo. Gdy fhi opowiadał o swych bohaterskich czynach wo-

jennych, wierzyłam we wszystko, nie umiejac jeszcze patrzeć krytycznie. I zostałam jego żoną mając osiemnaście lat, ponieważ uwierzyłam, że tylko ja jedna mogę nadać jego życiu sens. Przez krótki czas byłam szczęśliwa wierząc, że mi się to udało. Skąd mogłam wiedzieć, że to moje pieniądze miały przywrócić sens jego życiu? Ale z czasem zaczęłam zadawać sobie pytanie, czy to jest godne mężczyzny, by próżnować i pozwalać sobie utrzymywać. Myśleliśmy najpierw, że wojna wyrwała go z normalnych kolein życia i że musi się najpierw pozbierać. Ale w końcu zrozumiałam, że on nie zamierza normalnie żyć. Daliśmy mu dość czasu, by wypoczął po trudach wojennych, a ty płaciłeś ochoczo, nie chcąc rujnować mego szczęścia. Aż pewnego dnia odwiedził go przyjaciel, którego niezbyt lubiłam. Ukryłam się w sąsiednim pokoju, by się z nim nie spotkać, i siedziałam tam cichutko jak mysz pod miotłą. I wtedy dopiero przejrzałam na oczy. Herbert nie wiedział, że jestem w pokoju obok. Niechcący słyszałam ich rozmowę. Przechwalali się, jak to zawsze się dekowali i nigdy nie byli na froncie. Żelazne Krzyże otrzymali drogą oszustwa. Wszystkie te bohaterskie czyny, o których mi Herbert tyle opowiadał, to były twory jego fantazji. Wymyślił to wszystko, by usidlić głupią, łatwowierną dziewczynę.

Starszy pan przysłuchiwał się z przerażeniem gwałtownym oskarżeniom córki.

—Biedne dziecko, jakże to musiało zboleć, że cię tak niecnie oszukał!

—Tak, zabolalo mnie, bardzo zabolalo. Gdyby mi od razu powiedział prawdę, może wszystko potoczyłoby się inaczej. Ale nie przyznał się. Tamtego dnia słyszałam, jak zwierzał się cynicznie przyjacielowi, że „kobietki chcą koniecznie widzieć w mężczyźnie bohatera” i dlatego musiał grać przede mną komedię, gdyż inaczej uciekłyby mu „światna partia”. Śmiali się obaj z przyjacielem, a mnie było wstyd. Tak, bardzo wstyd za niego i za siebie, wstyd, że jestem żoną takiego człowieka. Od tamtego dnia nie żyjemy ze sobą. Powiedziałam mu otwarcie, że wszystko słyszałam i że nie mam już dla niego nic, oprócz pogardy. Roześmiał mi się w twarz, mówił, że to głupstwo, i nie mógł zrozumieć, że od tej chwili stał się dla mnie obcym człowiekiem, z którym nigdy więcej nie chcę mieć nic wspólnego. To była okropna scena. A gdy wreszcie zrozumiał, że stał mi się obcy, że się od niego odsunęłam, i gdy prosił mnie o przebaczenie z nonszalancją i ironią, i z takim

poczuciem wyższości nazywał mnie głuptaskiem mówiąc, że sama jestem wszystkiemu winna, bo chciałam w nim widzieć bohatera — wtedy pojęłam, że to jakiś obcy zupełnie mężczyzna. To nie jego kochałam, ale ideał, który nie miał z nim nic wspólnego. Od chwili gdy przejrzałam na oczy i przestałam mu ufać, coraz jaśniej widzę jego nikczemność. Ukrywałam przed wszystkimi swoje rozczarowanie, także przed tobą, ojcze, przede wszystkim przed tobą, wiedząc, że cierpiałbyś wraz ze mną. Udawałam więc przed tobą szczęśliwą żonę.

Ojciec przyglądał się swemu dziecku głęboko wstrząśnięty tym wyznaniem.

—Powiem ci, Mario, że już od kilku miesięcy nie wierzyłem w twoje małżeńskie szczęście. Często widziałem ślady łez na twojej twarzy, ale myślałem, że się martwisz, bo Herbert cię zaniedbuje, bo mamy kłopoty finansowe. Kiedyś rozmawiałem o tobie z Herbertem, pytałem go o powód twojego przygnębienia. A on mi wyjaśnił, że cierpisz, gdyż musisz sobie wszystkiego odmawiać. Gdy to usłyszałem, zrobiło mi się ciężko na duszy.

Maria szlochając rzuciła mu się w ramiona.

—Ach, drogi ojcze, jak on mógł tak zranić to dobre, kochające serce! Milczałam dotąd, nie chcąc cię zasmucać tym, jak okrutnie zostałam oszukana. Ale skoro mówisz, że on cię dręczy wyrzutami, chcę, byś wiedział wszystko. Musiałam ci to powiedzieć, byś przestał go oszczędzać i dał mu jasno do zrozumienia, że nie masz obowiązku go utrzymywać. Nie pozwól się więcej dręczyć, ojcze, to niedopuszczalne!

Starszy pan z głębokim współczuciem gładził dłonie córki, powtarzając:

—Biedne dziecko, biedne, kochane dziecko!

—Daj spokój, ojcze, to już wcale nie boli. Teraz już tylko cierpi moja duma, bo zostałam żoną niecnego człowieka. Jestem zadowolona, że go teraz tak rzadko widuję. Pół dnia przesypia, noce spędza poza domem. Wcale mnie to już nie wzrusza, że w jego życiu jest inna kobieta.

—Czy to pewne?

—Tak, dziś znalazłam bilet, który przez nieuwagę pozostawił na widoku. Zaraz ci pokażę. Ta kobieta jest chyba cudzoziemką — Angielką lub Amerykanką.

Wzięła z biurka kartkę i podała ojcu. Pan Tomau czytał na głos:

*Ukochany Przyjaciel!*

*Chcieć z Tobą do opera dziś wieczór iść. Proszę zabrać mnie w Adlonu. Tam my jeść sami kolacja po operze. Zadowolony Pan, jak dobrze ja mówić niemiecki? Niemiecki ja lubić, gdyż to Pana język ojczysty! Good bye!*

*Pana Gladys*

Kartka lekko drżała w ręku starszego pana.

—Co za łobuz! — wykrztusił wreszcie.

Maria chwyciła jego dłoń.

—Nie denerwuj się, ojcze, to już nie ma dla mnie znaczenia.

—Nie znasz tej Gladys?

—Nie, wiem tylko, że jego przyjaciel poznał go jakiś czas temu z grupką Amerykanów. Herbert powiedział mi, że dzięki tym Amerykanom zdobędzie środki utrzymania. Twierdzi, że to dlatego musi tak dużo przebywać poza domem. Ta kartka świadczy o tym, że znów mnie oszukał. Nie wygląda mi to na interesy. Ale nie musisz się denerwować, ojcze, bo to mnie nic a nic nie obchodzi.

Stary Tomau zerwał się z miejsca.

—Ale ja tego nie ścierpię! Porozmawiam z nim i przywołam go do porządku!

Maria skurczyła się w sobie. Na jej bladej twarzy malował się wyraz wzruszającej bezradności. Jej oczy straciły połysk.

—Proszę cię, kochany ojcze, unikaj gwałtownych scen. To nie ma sensu. I tak masz już dość kłopotów. Powiedziałam ci to tylko po to, byś nie pozwalał Herbertowi sobą pomiatać.

—Masz rację, to naprawdę nie ma sensu. Skoro od początku cię okłamywał,



jedno kłamstwo więcej nie robi różnicy — przyznał ojciec, postanawiając w duchu, że przemówi zięciowi do rozumu.

Przez chwilę ojciec i córka byli pogrążeni w milczeniu, wreszcie starszy pan otrząsnął się z apatii.

—Po tym wszystkim, co mi powiedziałaś, Mario, zastanawiam się, czy nie byłoby lepiej, gdybyś się z nim rozwiodła.

—Wierz mi, że nieraz korciło mnie, by uwolnić się od niego poprzez rozwód. Ale jestem twoją nieodrodną córką, nauczyłam się od ciebie, że należy dotrzymywać słowa, zwłaszcza gdy przysięgało się przed ołtarzem. Nigdy nie mogłam zrozumieć, jak ludzie mogą tak lekkomyślnie brać ślub i rozwodzić się. Ja nie wzięłam ślubu lekkomyślnie, lecz w dobrej wierze i ze szczerym zamiarem uszczęśliwienia Herberta. Odsunęłam się od niego, gdy się przekonałam, że wcale mnie nie kocha i ożenił się ze mną dla pieniędzy. Ale złamać słowo, przysięgę — nie, nie mogę! Jeśli on zechce się ze mną rozwieść, nie będę się sprzeciwiała, przyjmę to nawet z ulgą. Ale samej przerwać te więzy, które nas oboje pętają, to jest niezgodne z moimi przekonaniem. Za bardzo szanuję sakrament małżeństwa. Zniosę cierpliwie i bez skargi wszystkie nieszczęścia wynikające z tego związku. Jedyne, czego żądam, to prawo dysponowania własną osobą.

Ojciec patrzył na nią z troską w oczach.

—Jesteś taka młoda, nie skończyłaś jeszcze dwudziestu trzech lat, czyż taki los jest ci pisany?

—Tak, ojczu, i muszę to znosić cierpliwie. Wypowiadałam się przed tobą i jest mi lżej na duszy.

Ojciec westchnął ciężko.

—Ach, gdybym nie był taki biedny, gdybym mógł ci chociaż umilić życie w inny sposób!

—Proszę, nie dręcz się tym. Będziemy odtąd znosić wspólnie przeciwności losu. Cieszę się, że się do nas przeprowadzisz, że będziesz zawsze obok mnie.

Pan Tomau odetchnął z ulgą.

—To duża pociecha. Ale jeszcze większą pociechą dla mnie jest to, że poda-  
rowałem ci tyle klejnotów, które masz na czarną godzinę.

Maria zbladła.

—Klejnoty? Ach, drogi ojcze...

Ojciec chodził nerwowo po pokoju, lecz na te słowa zatrzymał się nagle przed  
córką i spojrzał na nią z niepokojem.

—Mario! Co się stało z klejnotami? Zauważyłem, że od pewnego czasu nie  
nosisz żadnych ozdób, prócz pierścionka od matki.

Maria bezradnie opuściła ręce.

—Nie ma już klejnotów.

Ojciec poderwał się jak smagnięty biczem.

—Jak to, nie ma?

—Tak, już dawno dałam je Herbertowi na jego usilne żądanie; miał je zastawić  
i wykupić, gdy tylko zdobędzie pieniądze. Ale stało się inaczej. Miał dług kar-  
ciany, dług honorowy, jak mówił. Ach, ojcze, on był w tak żalnym stanie, że nie  
mogłam mu odmówić, gdyż wstydziałam się za niego. Więc dałam mu klejnoty.  
Długo mi ich nie zwracał, wreszcie przyznał się, że ich nie zastawił, tylko sprzedał.  
Pieniądze szybko stracił. Chciał jeszcze ten pierścionek, ale nie miałam siły się z  
nim rozstać, choć Herbert męczył mnie o niego przez kilka dni. Ach, kochany oj-  
cze, tak mi było ciężko na duszy z tego powodu, wciąż się bałam, że wreszcie  
odkryjesz prawdę.

Starszy pan był blady jak ściana. Twarz o szlachetnych rysach zapadła mu się i  
zwiotczała. Ale nie zganił córki ani jednym słowem. Powiedział tylko głosem  
ochrypłym ze wzruszenia:

—To była moja ostatnia nadzieja, że się uchronisz przed nędzą. Teraz nie mam  
już żadnej.

Maria rozplakała się.

—Przebacz mi, ojcze, nie mogłam postąpić inaczej.

—Tobie przebaczyć? Moje biedne dziecko, nie mam ci nic do przebaczenia. Ale twój mąż, muszę powiedzieć, że idzie w zawody z inflacją, chcąc z nas zrobić żebraków.

Maria z lękiem spojrzała ojcu w oczy. Po czym podeszła do niego i zarzuciła mu ręce na szyję.

—Cieszę się bardzo, że wreszcie wyznałam ci wszystko. Ta spowiedź bardzo mi ulżyła. A teraz wprowadź się do nas jak najszybciej. Miejsca jest dosyć. Oszczędzimy sporo pieniędzy; oddalę służbę, zostawię tylko pokojówkę i sama będę gotować — wiesz, że to lubię. A Herbertowi powiem, że nie dostanie już od ciebie ani grosza. Ile będziesz miał, to dasz mi na prowadzenie domu. Herbert będzie mieszkał i stołował się za darmo — to mu powinno wystarczyć. Na swoje przyjemności musi sam zarobić. Nie będziesz go więcej utrzymywał. A o mnie się nie martw, ojcze. Mam fach w ręku, jestem młoda i zdrowa. A jeśli nie zarobię na życie malowaniem — co dzisiaj jest bardzo trudne — to znajdę inną pracę.

Znużony uśmiech przemknął po twarzy ojca.

—O, wiem dobrze, jak ciężko jest dzisiaj zarobić na życie. Dzień ^ w dzień chodzę i pytam wszędzie o posadę. Jestem dobrym, doświadczonego kupcem, znam angielski i francuski, tak jak i ty. Ale wszędzie ! odsyłają mnie z kwitkiem. Może jestem już za stary. Dzisiaj starzy idą

w odstawkę.

—Za to ja jestem młoda, ojcze, i odważna. Poradzimy sobie razem.

Słowa te przekonały go, że córka nie bierze już całkiem pod uwagę swojego męża i zrobiło mu się jej żal.

—Wszystko Herbertowi puszczałem płazem—powiedział — nieróbstwo,

lekkomyślność, nieliczenie się z nikim. Ale tego, że cię obrabował

z klejnotów, które miałaś mieć na czarną godzinę, i tego, że cię okłamał — j nie mogę mu wybaczyć. Co za egoista!

—Nie powinieneś się denerwować, ojcze. Pomyśl sobie, że odsunęłam się od niego i tylko na zewnątrz zachowuję pozory, gdyż przysięgałam *E* przed ołtarzem. Proszę, bardzo proszę, byś się o mnie nie martwił. Tylko 1 przeprowadź się do nas szybko, bym mogła dzielić twoje troski.

—Ale Herbert będzie protestował. Na pewno będzie niezadowolony, że się do was przeprowadzam.

Oczy jej błysnęły złowrogo, uniosła dumnie głowę.

—Płacisz za nasze utrzymanie; wszystko, co mamy, mamy dzięki tobie. Nie będziemy pytać Herberta, czy się łaskawie zgadza, byś z nami zamieszkał. Przygotuję ci jego gabinet, on i tak nigdy w nim nie pracuje.

A w dużym pokoju gościnnym będzie twoja sypialnia. Gdy zechcesz, będziesz całkiem u siebie. Im szybciej się przeprowadzisz, tym lepiej dla mnie. Nie będę musiała siadać z nim sam na sam do stołu. Od dawna już widujemy się tylko przy posiłkach.

—To rozstrzyga sprawę, Mario. Jeśli mnie potrzebujesz, to wprowadzę się z przyjemnością, nie zważając na Herberta.

Maria pocałowała ojca. Odetchnęła z ulgą, oczy jej poweselały.

—A teraz zjemy razem kolację, drogi ojcze, sprawi mi to przyjemność. Będziemy sami; Herbert jedzie z tą Gladys do opery, a potem mają przyjęcie w hotelu. Nie mam pojęcia, skąd bierze na to pieniądze.

Powiedziała to tonem tak gorzkim i pogardliwym, że ojciec poczuł ukłucie w sercu.

Gdy Maria zniknęła w kuchni, by wydać polecenia w sprawie kolacji, pan Tomau mruknął pod nosem:

—A więc w hotelu Adlon? W każdym razie chcę się przekonać na własne oczy, czy to prawda, i obejrzeć sobie tę całą Gladys. A potem porozmawiam poważnie z moim szanownym zięciem.

## II

Herbert Lassberg siedział w holu hotelu Adlon, czekając na Gladys Boverley, która zajmowała tu elegancki apartament. Zawiadomił ją o swym przybyciu, ale kazała mu czekać — ubierała się. Trwało to dość długo, ale Herbert Lassberg nigdzie się nie spieszył; miał zawsze dużo wolnego czasu. Rozejrzał się znudzony po westybulu, przerzucił kilka gazet, wreszcie zaczął oglądać swoje wypielegnowane paznokcie.

Był to przystojny, wysoki mężczyzna, jedynie jego oczy psuły ten obraz — były zimne i bezmyślne. Oczy te czasem rozjaśniały się fascynującym blaskiem, gdy ich właściciel pragnął się podobać. W tej chwili nie miał się komu podobać — obok znajdowało się tylko kilku mężczyzn.

Wreszcie uśmiechnął się: z windy wysiadła pani Boverley w tak oszałamiającej toalecie, że oczy wszystkich zwróciły się ku niej. Przy pierwszym spojrzeniu wydawała się wciąż jeszcze młoda i piękna, lecz trzeba było zobaczyć ją z bliska, by zauważyć pierwsze symptomy przekwitania. Herbert Lassberg poznał ją przez amerykańskich znajomych swego przyjaciela. Towarzystwo tymczasem odjechało, pozostawiając na miejscu śmiertelnie zakochaną panią Boverley. Herbert Lassberg — piękny próżniak — kompletnie zawrócił jej w głowie. Znawca kobiet, wiedział dobrze, jak je ująć i oczarowywać. Zachowując chłód i powściągliwość, osiągał najlepsze rezultaty.

Gdy tylko się dowiedział, że Gladys Boverley jest wdową i jedyną spadkobierczynią po zmarłym amerykańskim milionerze, zaczął trzeźwo kalkulować, chociaż początkowo chciał tylko wykorzystać wesołą wdówkę. Nigdy specjalnie nie przebierał w środkach, gdy chodziło o zdobywanie pieniędzy, wykorzystywał

w tym celu zwłaszcza swój wpływ na kobiety.

Kilka lat temu z zimnym wyrachowaniem rozkochał w sobie Marię Tomau — córkę bogacza. Maria była jedyną kobietą, która na krótko wzbudziła w nim cieplejsze uczucia. Ale od czasu jak, w wyniku inflacji i błędów popełnionych przez teścia, majątek żony zaczął się gwałtownie kurczyć, straciła powab w jego oczach. Od tej chwili małżeństwo stało mu się kulą u nogi; przeszkadzało mu w roman-sach, które zawsze traktował dochodowo. Czynił sobie gorzkie wyrzuty, że dobrowolnie nałożył sobie te pęta.

Jego niezadowolenie przybrało na sile, gdy zauważył, że pani Boverley jest w nim zakochana. Zwierzył się jej, że w młodszej naiwności związał się z ko-bietą, której nigdy nie kochał, zimną i tuzinkową, nie umiejącą go zrozumieć. Z dobroci serca poślubił tę kobietę, która go opętała, a więzy małżeńskie stały mu się nieznośnymi pętami, od kiedy poznał Gladys Boverley.

Prawie codziennie spotykał się z Amerykanką. Umiejętnie podsycił uczucie fascynacji w gorąckrwistej milionerce, udawał, że cierpi z tego powodu, iż nie jest wolny, i z zimnym wyrachowaniem obserwował skutki swej strategii.'

Ujrawszy wysiadającą z windy panią Boverley, Herbert Lassberg podbiegł do niej i wycisnął na jej dłoni namiętny pocałunek. Gladys uśmiechnęła się do niego kokieteryjnie.

—Długo kazać pan czekać na mnie, moja droga przyjaciel? — spytała, dumna ze swej znajomości mowy ojczystej Herberta.

—Bynajmniej, skracałem sobie czas oczekiwania, myśląc o pani, Gladys.

Znów uśmiechnęła się do niego, mile polechtana pochlebstwem.

—Najpierw my napić się herbaty, zanim jedziemy do opera, mamy dużo czas.

Herbert zaprowadził ją do barku. Bez przerwy szeptał jej do ucha wyszukane komplementy i czułości. Udawał nieprzytomnie zakochanego. Po mistrzowsku markując gorącą namiętność, podsycił miłość Gladys Boverley, rozpalał jej zmysły. Lecz gdy posuwał się coraz śmieiej w swych miłosnych zakłęciach, Gladys



nagle uderzyła go lekko po ramieniu.

—Pan niebezpieczna mężczyzna, drogi przyjaciel! Nie wolno pan mówić takie słowa. Tylko słowa — nic więcej.

Chwycił jej dłoń, przycisnął ją do warg, zatopił w jej oczach uwodzicielskie spojrzenie.

—I pani to mówi, Gladys, słodka, urocza Gladys? O, gdyby pani mogła zajrzeć do mego serca! Przeraziłaby się pani ognia, jaki w nim płonie.

— Och, ja nie tak lękliwy.

—Jest pani okrutna — nic pani sobie nie robi z mojego cierpienia!

—No, moje serce też niespokojna —ja też cierpieć jak pan; ja tęsknić do pana też. Ale pan ma żona. Co zrobić?

Jego wzrok utonął w jej oczach z wyrazem namiętnej prośby.

—Jedno pani słowo, słodka Gladys, i będę wolny — szepnął ze szczerym wzruszeniem, owładnięty nadzieją zdobycia tej dolarowej milionerki, a raczej jej pieniędzy.

Oczy pani Boverley błyszczały pożądaniem. Ale jeszcze się opierała, jeszcze raz zdrowy rozsądek zapanował nad zmysłami.

—Och, ja nie może mówić to słowo — oho, no — ale ja bardzo, bardzo żał, że pan nie wolny człowiek.

—A gdybym był wolny, Gladys?

Amerykanka bawiła się rękawiczką, nie patrząc na niego.

—Wtedy — wtedy pan jedzie ze mną do New York — być ze mną, for ever — zawsze.

—Mówi to pani poważnie, Gladys?

—Ja zawsze mówi poważnie, nie żart.

Herbert Lassberg znów obsypał jej dłoń gorącymi pocałunkami.

—Kocham panią, kocham do szaleństwa, Gladys, nie mam siły rozstać się z panią! — zawołał.

Gladys wypila łyk herbaty, rzucając mu zakochane spojrzenie.

—I love you. I love you — mówiła śpiewnym głosem.

—Pani się mną bawi, Gladys, jakaż pani okrutna! — skarżył się, udając rozpacz.

Amerykanka uniosła ku niemu głowę.

—A co ja może zrobić? Pan ma żonę. Co ja może robić, tylko bawić się. Ja — och, ja też wolę poważnie, a nie żart. Ale żona? Ja nie darować serce żonata mężczyzna.

Herbert Lassberg znów ujął jej dłoń.

—Od dziś mam tylko jedno pragnienie — być wolnym dla pani, Gladys. Czy mogę mieć nadzieję? Czy pozwoli mi pani być swym towarzyszem życia? Ale, cóż ja mówię, ja nieszczęśliwy, gdzież ja mogę iść z panią, kiedy zupełnie zbiedniałem przez tę okropną inflację.

Herbert Lassberg opowiadał tak często tę bajeczkę, aż w końcu sam w nią uwierzył. Uraczył nią również Gladys Boverley. Ale to, że od chwili ślubu żyje na rachunek teścia, zataił przed nią, jak tyle innych rzeczy przeszkadzających mu w realizacji planu.

Amerykanka strzeliła palcami.

—Proszę zostawić głupi pieniądze! Kiedy pan wolny i jedzie ze mną do Ameryka, nie potrzebuje pieniędzy, to moja sprawa.

Herbert Lassberg tylko na to czekał. Znów szeptał jej najczulsze słowa miłości, zaglądał jej namiętnie w oczy, konstatując z satysfakcją, że opór tej kobiety słabnie. Był niesłychanie próżny i święcie przekonany, że żadna z niewiast mu się nie oprze.

Próżność kazała mu z góry widzieć się zwycięzcą w tej grze i przesłoniła mu prawdziwą naturę Amerykanki. Gladys Boverley była w nim naprawdę zakochana, ale nie do tego stopnia, jak mu się wydawało. Tymczasem on był pewien, że całkiem zawojuje Gladys, gdy tylko odzyska wolność. Toteż rozmyślał tylko o tym, w jaki sposób uwolnić się od żony.

Wreszcie trzeba było jechać do opery. Przed hotelem czekał samochód Gladys. Herbert założył Amerykance na ramiona drogie futro, obsypując ją przy tym drobnymi czułościami, na jakie mógł sobie pozwolić publicznie. Prowadził ją do samochodu ze specjalną troskliwością, tak miłą kobietom. Gdy tylko znaleźli się w samochodzie sami, znów chwycił jej rękę, obsypał ją pocałunkami od koniuszków palców aż po łokieć. Całując szeptał:

—Jesteś najpiękniejszą, najwspanialszą kobietą, jaką w życiu spotkałem! Słodka Gladys, kocham cię, kocham cię do szaleństwa!

Amerykanka nie bronila się, lecz opadłszy na miękkie oparcie, zamknęła oczy. Herbert, ośmielony, chwycił ją w ramiona i całował zapamiętale. I tak siedzieli bez słowa obok siebie, spleceni w uścisku, z ustami przy ustach.

Gladys kręciło się w głowie. Nigdy jeszcze nikt nie całował jej tak namiętnie. Jej mąż był raczej chłodny w wyrażaniu swych uczuć, mimo iż kochał ją szczerze. Herbert Lassberg nie był pierwszym mężczyzną, któremu po śmierci męża okazała względy. Zresztą nawet za życia męża nie unikała przelotnych flirtów. -Ale zawsze po krótkim czasie gorącej namiętności, przychodziło otrzeźwienie. Należała do ludzi, którzy pragną i tęsknią tylko do tego, co nieosiągalne. Jeśli coś posiadała, przestawało to mieć dla niej wartość. Teraz podsycalo jej namiętność to, że Herbert był związany z inną kobietą. Było oczywiste, że nie spocznie, póki nie oderwie go od niej i nie posiadzie na wyłączną własność. W gruncie rzeczy szukała w tej nowej namiętności ucieczki przed nie odwzajemnioną miłością do innego mężczyzny. Dlatego przedsięwzięła tę podróż do Europy. Chciała zapomnieć o tamtym, którego nie udało jej się zdobyć mimo całego uwodzicielskiego kunsztu. A mężczyzny tego pożądała nade wszystko dlatego, że pozostał obojętny na jej wdzięki.

Ocknęła się i uwolniła z ramion Heiberta dopiero wtedy, gdy samochód zatrzymał się przed operą. Wyprostowała się i usiadła z błyszczącymi oczami i wypiekami na twarzy. Herbert nadal udawał gwałtowną namiętność.

Lecz trzeba było wysiąść. Nie zamienili już ani słowa, póki nie znaleźli się w łoży. Wtedy Amerykanka szepnęła:

—To nie była słuszna, co my zrobić tam.

—Nie, nie — nie mogłem się oprzeć. Kocham cię, wspaniała kobieto, kocham cię i nie mogę żyć bez ciebie! Proszę, powiedz, że mnie kochasz, słodka Gladys!

Amerykanka rozejrzała się niespokojnie.

—O yes, ja też tobie kocha — bardzo, ale ty milczysz teraz, nie można słyszeć, co ty mówić do mnie.

A on nachyliwszy się nad nią, powiedział:

—Więc pozwól mówić moim oczom, powiedzą ci wszystko, co mógłbym wyrazić słowami.

Żadne z nich nie interesowało się tym, co się dzieje na scenie. Dawano operę „Turandot”; primadonna Salvatini śpiewała tego wieczoru zachwycająco. Ale to nie miało dla nich znaczenia. Herbert Lassberg pogrążył się w rozmyślaniach nad swoim planem zawładnięcia bogactwem Amerykanki, Gladys Boverley zaś zastanawiała się nad tym, jak zdobyć tego mężczyznę, samej pozostając wolną. Herbert Lassberg miał być zabawką w jej ręku, jak tylu mężczyzn przed nim. Pożądała tego przystojnego, eleganckiego mężczyzny i musiała go zdobyć.

I tak pragnienia tej dwójki spotykały się w jednym punkcie: należy usunąć z drogi Marię Lassberg, która stoi na drodze ich szczęścia. Gladys nie snuła planów na przyszłość, za to Herbert Lassberg przemyślał nad zapewnieniem sobie spokojnej przyszłości u boku tej bogatej kobiety. Jej miliony zawróciły mu w głowie, toteż nietrudno mu było udawać zakochanego.

Opuścili operę i wrócili do hotelu przed końcem przedstawienia.

Mrs. Boverley zarezerwowała stolik na dwie osoby w restauracji hotelowej. Stolik w małej niszy był elegancko nakryty. Obsługa hotelu wiedziała, co jest winna bogatym gościom, a kelnerzy bili się o zaszczyt usługiwania pani Boverley, gdyż dawała zawsze sute napiwki.

Siedzieli teraz naprzeciw siebie, spożywając wykwintną kolację, którą zamówiła Amerykanka i na którą zaprosiła Herberta.

—Ja tutaj być gospodyni, a ty mój gość — powiedziała.

Herbert Lassberg nie dał sobie tego dwa razy powtarzać. Zresztą, jak dotąd za każdym razem był jej gościem, od kiedy została sama po wyjeździe swego towarzystwa. Gdyby nie ta okoliczność, Herbert byłby w nie lada kłopotcie, gdyż ostatnimi czasy teść zrobił się skąpy, a pieniądze, jakie od niego otrzymywał, starczały ledwie na napiwki, kwiaty i podobne drobiazgi.

Był przekonany, że gdyby teść „miał odrobinę inteligencji”, mógłby uratować majątek. Mówił mu to wprost. Sam natomiast nie tylko nie czuł wyrzutów sumienia, że prowadzi próżniacze życie na koszt teścia, ale wręcz czuł się oszukany, że oddał wolność za tak nędzną cenę. Nic go nie obchodziło, że zabrał żonie ostatnie klejnoty. Żałował tylko, że musiał je sprzedać tak tanio i że pieniądze tak szybko się rozeszły.

Fakt, że to Gladys Boverley go zapraszała, był w jego mniemaniu jak najzupełniej w porządku. Jednak musiał udawać jej amanta i ponosić w związku z tym pewne wydatki. Zresztą, czyż nie wiedziała, że zbiedniał „w wyniku inflacji”, że może tylko pod tym warunkiem dzielić z nią przyjemności, gdy ona za nie zapłaci? Toteż i dziś bez mrugnięcia oka przyjął zaproszenie, mówiąc sobie cynicznie, że i Amerykanka na tym korzysta.

Jeśli zaś przypominał sobie o żonie, to tylko po to, by się zastanawiać, jak się od niej uwolnić.

Spożywszy skromną kolację w towarzystwie córki, Jerzy Tomau pożegnał się około dziesiątej, lecz nie poszedł do swego mieszkania, tylko (pojechał tramwajem pod gmach opery, chcąc się upewnić, czy przedstawienie już się skończyło.

Właśnie ostatni goście opuszczali operę. Nie było pośród nich jego zięcia, przypuszczał więc, że znajduje się już w hotelu.

Sprężystym krokiem przemierzył Unter den Linden, gdzie na drugim końcu znajdował się hotel Adlon. Przez chwilę stał niezdecydowanie przed portalem, wreszcie energicznie pchnął drzwi. Znał ten hotel jeszcze z dawnych dobrych czasów, toteż bez trudu odnalazł restaurację. W jego zachowaniu było tyle pewności siebie, że obsługa nie zatrzymywała go, sądząc, że zamierza zjeść w hotelu kolację. Mimo ubóstwa miał wciąż doskonałą prezencję.

Szedł wolno przez salę jadalną, obserwując pilnie gości. Już chciał zawrócić sądząc, że przyszedł na darmo, gdy nagle drgnął i stanął jak wryty. Przy stoliku w niszy ujrzał zięcia; siedział naprzeciwko elegancko ubranej damy, okrywając jej dłoń gorącymi pocałunkami.

Jerzy Tomau zawahał się chwilę, po czym pewnym krokiem podszedł do stolika. Herbert Lassberg podnosił właśnie kieliszek szampana, by wypić z Gladys Boverley za pomyślność, gdy wtem usłyszał głos teścia:

—Dobry wieczór, Herbercie! Mam nadzieję, że nie przeszkadzam.

Herbert wzdrygnął się i spojrzał zaskoczony na starszego pana. Gladys

Boverley postawiła kieliszek i skierowała zaleknione spojrzenie na twarz przybysza. Ton jego głosu nie wróżył nic dobrego. Obojgu kochankom głos uwiązał w gardle.

—Może przedstawiś mnie damie, Herbercie? — ciągnął pan Tomau, nie podnosząc głosu.

Ukrywając zakłopotanie i siłąc się na spokój, Herbert rzekł:

—Ach, kochany tato, co za niespodzianka! Nie przypuszczałem, że cię tu spotkam.

—Wierzę. To prawda, że nie mam zwyczaju odwiedzać tego hotelu, w każdym razie w ostatnich latach. Ale proszę cię! — to mówiąc, ukłonił się Gladys.



Nie mając wyboni, Herbert przedstawił go:

—Proszę pozwolić, pani Boverley, mój teść, pan Tomau. Pani Boverley, moja amerykańska znajoma.

—Cieszę się, że panią poznałem, pani Boverley. Słyszałem od zięcia, że poznał przez swego przyjaciela grupę Amerykanów. Przypuszczam, że czeka pani na swych przyjaciół. Czy mogę się przysiąść? Chciałbym, by mój zięć odprowadził mnie potem do domu.

Gladys i Herbert wymienili ukradkowe spojrzenie. Herbert odparł szybko:

—Masz rację, pani Boverley oczekuje większego towarzystwa, które najwyraźniej się spóźnia.

Ale w Gladys obudziła się przekorna natura kotki. Mrużąc roześmiane oczy, ubawiona zakłopotaniem Herberta i srogą miną starszego pana, powiedziała:

—Ach, pan teść Mt. Lassberga, jak ja cieszę. Proszę usiąść.

Jerzy Tomau wywnioskował ze słów Amerykanki, że wiedziała, iż Herbert jest żonaty. Od razu straciła w jego oczach. Szanująca się kobieta nie powinna pisać miłosnych biletów do żonatego mężczyzny.

Tymczasem Gladys wskazała mu fotel, który Herbert przyniósł od innego stolika. Dopiero teraz zauważył, że przy stoliku były tylko dwa fotele. W takim razie jego teść od razu musiał się zorientować, że on i Gladys nie czekali na nikogo. Jego zakłopotanie ustąpiło miejsca wściekłości, że teść zjawił się tak nie w porę.

Tymczasem Jerzy Tomau, nie zważając na zięcia, usiadł i przez chwilę rozmawiał uprzejmie z Gladys Boverley doskonałą angielszczyzną. Herbert odezwał się kilkakrotnie półgębkiem, zastanawiając się, jak pozbyć się teścia.

Wreszcie ten powiedział jak gdyby nigdy nic:

—Cieszę się, że cię spotkałem. Byłem u Marii — nie czuje się najlepiej. Rozważ, czy nie powinienes więc pójść do domu. Ja chętnie dotrzymam towarzystwa pani Boverley, póki nie przyjdą jej przyjaciele.

Gladys zarumieniła się, Herbert zbaraniał. Ale nim zdążył cokolwiek odpowiedzieć, Gladys odezwała się:

—Och, no, nie chcę pana zatrzymać, ja zmęczony bardzo i iść teraz do pokoju. Moje przyjaciel spóźnić, ja nie czekać na nie. Pan towarzyszy zaraz zięciu, Mr. Tomau, ja nie chcę sprawiać kłopot.

Jerzy Tomau uklonił się elegancko.

—Jest pani bardzo łaskawa, pani Boverley, rzeczywiście, trochę niepokoimy się o córkę. Odprowadzimy panią do windy i pożegnamy się za pani łaskawym pozwoleniem.

To mówiąc wstał z fotela i poszedł przodem, torując im drogę między stolikami. Herbert odprowadził go złym spojrzeniem, a potem ucałował dłoń Gladys.

—Jestem niepokieszony, moja słodka, uwielbiana Gladys.

Amerykanka patrzyła na niego kpiącym wzrokiem.

—Och, mały boy musi do domu, nurse prowadzić do żony — powiedziała na wpół drwiąco, na wpół zirytowana.

—Wybacz, Gladys, nie mogę się wymówić. Ale jestem wściekły, że muszę cię opuścić w takiej chwili. Czy wolno mi będzie dowiedzieć się jutro przed południem o twoje zdrowie?

Gladys spojrzała na niego roziskrzonym wzrokiem.

—Biedny Herbert! Ty jesteś niewolnik od twoja żona. Weil, będziemy czekać tobie jutro o jedenastej, ale bez niani.

Herbert przycisnął jej dłoń do warg, udając podniecenie.

—To się już nigdy nie powtórzy! Masz rację, jestem niewolnikiem, ale skruszę te kajdany. Kochasz mnie, Gladys?

Ale ona wiedziała tylko jedno: że coraz bardziej pożąda Herberta Lassberga, gdyż ten starszy szpakowaty mężczyzna, taki wytworny i surowy, chce mu jej go

zabrać.

—Well, well! I love you, my darling.

—Moja słodka Gladys, gdybym mógł z tobą zostać! Dobranoc, śnij o mnie! Chodź, odprowadzę cię do windy.

Szeptali pospiesznie, podczas gdy Jerzy Tomau czekał na nich o kilka kroków dalej, w przejściu między stolikami. Ukłonił się w milczeniu, przepuszczając Gladys i Herberta, i ruszył za nimi. Czekał w holu, aż Gladys wsiądzie do windy, a gdy zięć podszedł do niego z ponurą miną, powiedział spokojnie:

—Zapomniałeś zapłacić rachunek.

Herbert zmieszał się. Ale trzymając fason, rzucił obojętnie:

—Pani Boverley ureguluje rachunek, byłem jej gościem.

Teraz z kolei Jerzy Tomau zarumienił się ze wstydu. Cieszył się, że Maria nie widzi, jak jej mąż pozwala płacić za siebie kobiecie. Dla zięcia to pewnie nie pierwszozna. Ale nic na to nie powiedział i obaj panowie w milczeniu wyszli na ulicę.

Wreszcie Herbert nie wytrzymał i wybuchnął:

—Czy powiesz mi wreszcie, dlaczego mnie szpiegujesz?

—To niewłaściwe określenie, zabraniam ci tak mówić. Odszukałem cię, by ci powiedzieć, że jako żonatemu mężczyźnie, nie wypada ci dostawać miłosnych biletów i jeść kolacji sam na sam z obcą kobietą.

—Nic ci do tego. Zresztą, to było spotkanie w interesach. Czy nie mam prawa omawiać interesów w czasie kolacji z niezamężną Amerykanką?

Jerzy Tomau roześmiał się.

—Chyba nie pamiętasz treści tego biletu — jego ton nie wskazywał na spotkanie w interesach. Sposób, w jaki jawnie flirtujesz z panią Boverley, jak całujesz jej ręce, też mają niewiele wspólnego z interesami.

—Pocałowałem ją serdecznie w rękę na znak wdzięczności, gdyż znalazła mi intratną posadę. Jak ci już mówiłem, czekaliśmy na grupkę Amerykanów; spodziewałem się ubić z nimi świetny interes. Zaszkoziłeś mi, zjawiając się w hotelu.

—Naprawdę? Czekaliście na grupkę Amerykanów? Czy stolik nie był przypadkiem za mały? Nakryte było tylko na dwie osoby. Zapominasz, że pani Boverley wyraźnie pisała, że zjecie kolację sami.

Herbert na chwilę stracił głowę. Wykrzyknął wściekły:

—Mówiłem, że nie życzę sobie szpiegowania!

—Zrobiłem to tylko dlatego, by dochodzić praw mojej córki. Nie wypada, byś flirtował z lekkomyślną osobą i zaniedbywał swoją żonę.

—Kto mówi, że pani Boverley jest lekkomyślną osobą?

—Ja! Świadczy o tym choćby to, że pisze do ciebie taki bilecik i zaprasza cię na kolację we dwoje wiedząc, że jesteś żonaty. Mam nadzieję, że ona przynajmniej jest wolna?

—Jest wdową. A poza tym powtarzam, że chodzi tylko o interesy.

—Chyba po raz pierwszy w życiu troszczysz się o interesy. Dziwi mnie tylko, że robisz je akurat z młodą, czarującą wdówką.

—A gdybym ci powiedział, że pani Boverley zaproponowała mi bardzo dobrą posadę?

—Jaką posadę?

—Wybacz, ale nie mogę na razie o tym mówić. Interes nie jest jeszcze zaklepany. Nie wiem, czy w ogóle coś z tego wyjdzie, skoro przeszkodziłeś mi, gdy próbowałem zyskać sympatię wpływowej damy. Przecież ty ją po prostu obraziłeś swoim zachowaniem.

—Naprawdę? — spytał starszy pan, zły i ubawiony zarazem. — Skoro spokaliście się w interesach, to nie ma powodu być obrażona. A w ogóle, proszę cię, oszczędź mi tych bajeczek. Maria wie, że w twoim życiu jest inna kobieta. Ma

teraz dowód w ręku w postaci tej kartki.

—Ach, więc to zazdrości Marii zawdzięczam twoją wizytę! To bardzo interesujące!

—Wątpię, czy Maria jest zazdrosna. W każdym razie nie pozwolę jej obrażać. Zakładam, że pójdziesz teraz prosto do domu. Tutaj nasze drogi się rozchodzą. Chciałem ci jeszcze powiedzieć, że w tych dniach przeprowadzam się do was. Z powodu inflacji muszę zrezygnować nawet z mojego skromnego mieszkania, jeśli mam nadal utrzymywać wasze. Musimy teraz bardzo oszczędzać. Maria zwolni kucharkę i służbę, zatrzyma tylko pokojówkę — dopóki będzie nas na to stać.

Herbert wybałuszył oczy.

—Ładna perspektywa, nie ma co! — powiedział, krztusząc się z wściekłości.

—Nic na to nie poradzę. Nie mogę wam dać ani grosza więcej niż na czynsz i jedzenie, a i to nie wiem, jak długo. Od dziś na osobiste wydatki będziesz musiał sam zarobić.

Herbert roześmiał się ochryłym głosem.

—Cóż za wspaniała perspektywa, drogi teściu! I dlatego pozbawiłem się wolności!

—Milcz! — wybuchnął starszy pan. — Znosiłem twoje humory, póki chodziło o szczęście mojej córki. Oszczędzałem cię ze względu na nią, ze względu na nią większość moich dochodów szła do twojej kieszeni. Ale teraz już koniec! Nie dałbym ci ani grosza, gdybym nawet mógł. Przyczyniłeś się walenie do mego bankructwa. Maria nawet nie wie, jakie sumy przepuszczałeś. A najgorsze jest to, że zabrałeś jej ostatnie klejnoty, które miała odłożone na czarną godzinę. Dopiero dzisiaj się o tym dowiedziałem. To była ostatnia kropla, która dopełniła czary goryczy.

—Przez ostatnie lata trzymałeś mnie cholernie krótko, musiałem jakoś zdobywać pieniądze.

—Tak, na spłacenie długów karcianych i pokrycie kosztów luksusowych roz-

rywek! Czy nie zastanawiałeś się nigdy nad tym, jak żalostną rolę odgrywasz przez te wszystkie lata? Nigdy nie przyszło ci do głowy, że obowiązkiem mężczyzny jest pracować na utrzymanie żony i rodziny?

Herbert nie mógł zrozumieć, jak to się stało, że jego zwykle tak łagodny i ustepliwy teść pokazał nagle rogi. Myśl o Gladys Boverley dodała mu sił.

—Właśnie mi dziś przeszkodziłeś w spełnieniu tego obowiązku — powiedział cynicznie.

—Nie ma sensu rozmawiać z tobą dłużej na ten temat. Wiedz zatem, że w tych dniach przeprowadzam się do was i że będę dawał pieniądze tylko Marii na utrzymanie domu. I będę miał oko na ciebie, byś nie obrażał i nie zasmucał więcej mojej córki. Dobranoc!

Z tymi słowy Jerzy Tomau odwrócił się na pięcie i odszedł energicznym krokiem. Herbert Lassberg odprowadził go złym wzrokiem z wymuszonym uśmiechem na ustach.

—Stary idiota! —powiedział do siebie.

Jak to dobrze, że znalazł sobie tę Gladys Boverley i że ona się w nim zakochała. Gdyby nie to, miałby się teraz z pyszna. Odetchnął z ulgą i zapaliwszy papierosa, zatrzymał przejeżdżającą taksówkę. W samochodzie wyciągnął portfel i przeliczył gotówkę. Wystarczy mu najwyżej na trzy dni. Od teścia nie dostanie już grosza, co do tego nie miał najmniejszych wątpliwości. Zaklął brzydtko i twarz mu stwardniała, gdy podjął nieodwołalną decyzję. Teraz nie miał już wyboru. Musiał zerwać więzy łączące go ze zbiedniałą kobietą, by się połączyć z bogatą. Nikt nie może żądać od niego, by dalej żył wraz z żoną i teściem w tak prymitywnych, biednych mieszczańskich warunkach, kiedy stać go było na lepszy los. Nie ma rady, musi opuścić Marię.

Trochę tego żałował. Bądź co bądź Maria była jedyną kobietą, jak<sup>^</sup> kiedykolwiek w życiu kochał. Nawet teraz jeszcze jej surowa uroda działała na niego bardziej niż bujne wdzięki przekwitającej Amerykanki. Ale to się już teraz nie liczyło. Był już najwyższy czas, by opuścić tonący statek. Gladys związała się z nim nie-



opatrznie, a on nie należał do mężczyzn, którzy nie skorzystaliby z takiej gratki. Nie miał też żadnych oporów przed opuszczeniem kobiety, która stała mu się ciężarem.

Samochód zatrzymał się przed domem. Wsiadł, zapłacił, wyrzucił niedopałek papierosa i spojrzał w górę. W salonie paliło się światło, a więc Maria nie położyła się jeszcze. To dobrze — rozmówi się z nią od razu.

### III

Po wyjściu ojca Maria z książką usiadła w salonie pod wielką stojącą lampą. Lektura wciągnęła ją i całkiem zapomniała o smutkach i kłopotach. Powrót męża zaskoczył ją. Zerwała się jak oparzona. Nie spodziewała się go tak wcześnie. Zwykle w porę wycofywała się do swych pokojów, nie mając ochoty witać go, gdy wracał do domu po swych wieczornych rozrywkach. Spojrzała więc lekko przestraszona.

—Dobry wieczór, Mario!

—Dobry wieczór. Wcześnie dziś wróciłeś — odparła, nie odkładając książki.

—Przeszkadza ci to? — spytał zaczepnie, nie wiedząc, jak zacząć rozmowę. — Wróciłem wcześniej, gdyż chcę z tobą porozmawiać o pewnej sprawie.

Podszedł do żony, siedzącej wciąż nieruchomo w fotelu, i patrząc na nią z góry, mimo woli porównywał ją z Gladys Boverley. To porównanie wypadło zdecydowanie na korzyść Marii. Ale co mu z jej wdzięków, gdy jest teraz biedna? A Gladys Boverley może ozłocić swą przywiedłą urodę. Opadłszy na fotel, założył nonszalancko nogę na nogę.

Teraz Maria odłożyła książkę i spojrzała na niego pytająco. Światło lampy rzucało czerwony, metaliczny blask na jej włosy w odcieniu ciemnego złota, padało na jej twarz o rysach wprawdzie nie klasycznie pięknych, ale pełnych nieporównywalnego wdzięku. Mąż po raz pierwszy w życiu zachwycił się jej

urodą. Jak cudownie sklezione było jej nieskazitelne czoło o delikatnych skroniach! Przepiękne łuki brwi ocieniały oczy, czarne rzęsy tworzyły dwa urocze półksiężyce na bladych policzkach. Mocny, owalny podbródek znamionował energię. Zdziwiło go to. Może to ostatnie lata, pełne trosk i zmartwień, tak odmieniły tę dziecinną twarzyczkę, jaką miała w dniu ślubu? Ta kobieta — jego żona — była doprawdy czarującą istotą! Jakże pospolita wydała mu się w tej chwili uroda Gladys Boverley. Szkoda, że Maria nie ma milionów tamtej! Myślał trzeźwo, w sercu czuł chłód.

—Co masz mi do powiedzenia? — spytała Maria, patrząc na niego szczerze i poważnie.

Nie mógł znieść tego spojrzenia. Odsunął się od lampy, tak iż nie mogła widzieć dobrze jego twarzy. Przez chwilę zastanawiał się nad odpowiedzią, wreszcie rzekł szorstko:

—Dlaczego posłałaś ojca, by mnie szpiegował?

Maria spojrzała na niego zdumiona i dotknięta do żywego. Widać było, że nie wie nic o bytności ojca w hotelu.

—Mojego ojca? Dokąd niby miałam go posyłać?

—Do Adlonu!

—Ojciec był w Adlonie?

—Tak, sama go do tego sprowokowałaś, dając mu bilet.

Maria wyprostowała się, przybierając dumny i pełen rezerwy wyraz twarzy.

—To prawda, pokazałam ojcu bilet. Ale mylisz się sądząc, że sprowokowałam go do pójścia do Adlonu, gdzie, jak wiem, miałeś spotkanie z kobietą. Ojciec zrobił to wbrew mojej woli.

—Nie powinien był tego robić.

—Ojciec miał na pewno czyste intencje. Może chciał nas pogodzić. Mógł sobie tego oszczędzić—powiedziała zimno.

Herbert spieszył się.

—To ciekawe. Sądzisz więc, że między nami definitywnie wszystko skończone?

—Tak! — wyrzekła, wznosząc tymi słowami niewidzialny mur między nimi.

Herbert roześmiał się z przymusem.

—Zabawne! A więc nie mam już żadnych szans u ciebie, nawet gdybym się bardzo starał?

—Nigdy więcej nie będziesz miał u mnie szans, jak to elegancko wyraziłeś. Przez wszystkie te lata nie interesowałeś się mną. Nie zauważyłeś nawet, że stałeś mi się zupełnie obcy.

Herbert Lassberg nie mógł znieść jej spokoju. Raniło to jego dumę.

—I kiedyż to nastąpiło, jeśli wolno spytać?

—Nie wiem dokładnie, kiedy. Ale wszystko zaczęło się od tego dnia, gdy niechcący podsłuchałam twoją rozmowę z przyjacielem.

—Ach tak! Od chwili gdy się dowiedziałas, że nie jestem owym krwawym bohaterem z twoich marzeń — zadrwił.

—Nie, od chwili gdy zrozumiałam, że mnie okłamywałeś każdym słowem, drwiąc z sentymentalnej gęsi, która ci bezgranicznie ufała. Wtedy zrozumiałam, że nigdy mnie nie kochałeś, że ożeniłeś się ze mną dla pieniędzy. Liczyłeś na to, że mój ojciec będzie cię utrzymywał, byś nie musiał pracować. W tym momencie uświadomiłam sobie, że jesteś dla mnie kimś obcym, że to nie ciebie kochałam, ale ułudę.

—Daj spokój tym sentymentalnym bzdurcom! — zawołał ze złością.

—To nie są sentymentalne bzdury. Oddałam się mężczyźnie, którego uważałam za uczciwego, dzielnego i wiernego. A ty jesteś zupełnym przeciwieństwem takiego mężczyzny. Przekonałam się, że nie masz też żadnych innych pozytywnych cech, jakie mogłyby mi osłodzić to rozczarowanie. Jesteś przystojny, ale pod

tą ujmującą powłoką kryje się zatrute ziarno. Gdy zdałam sobie sprawę z pomyłki, stałeś mi się zupełnie obcy. Ale łączyły mnie z tobą więzi, których, zgodnie z moimi zasadami, nie można targać, gdyż są to węzły przysięgi. Miałam nadzieję, że chociaż to zauważysz, bo od tamtego czasu nie zbliżyliśmy się do siebie.

Mąż spojrzał na nią cynicznie, co wywołało rumieniec na jej twarzy.

—Nie, nic takiego nie zauważyłem, miałem inne zmartwienia.

Maria patrzyła mu prosto w oczy szczerym, poważnym spojrzeniem.

—Więc dowiedz się, że nasze małżeństwo jest już tylko cczą formą, pozorem, zachowywanym wobec ludzi.

—To ułatwi proces — rzucił drwiąco.

—Jaki proces?

—Właśnie o tym chciałem z tobą mówić. No więc, twój ojciec, zjawiając się tak nieodpowiedzialnie w hotelu, przeszkodził mi dziś w ważnej konferencji z panią Gladys Boverley.

Maria podniosła na niego wzrok.

—To pewnie ta dama, od której dostałeś bilet?

—Właśnie, to ta dama, która do mnie napisała.

—I miałeś z nią spotkanie w interesach? — pytała Maria spokojnie i rzeczowo, jakby jej to wcale nie obchodziło.

Po jego twarzy przemknął okrutny, próżny uśmiech.

—Tak, ona się mną interesuje.

Marii drgnęły usta. Znów zalała ją fala wstydu z powodu tego mężczyzny, który wydawał jej się coraz nikczemniejszy, a do którego zgodnie z prawem należała. Cierpiała straszliwie, że oddała się mężczyźnie, który nie był jej godzien.

Herbert Lassberg dostrzegł jej zmieszanie, ale wytłumaczył je sobie opacznie. Triumfował. A więc jednak nie było jej wszystko jedno! Zapomniał przy tym, że w

jego własnym interesie leżało, by Maria już się nim nie interesowała. Jego próżność domagała się, by ta kobieta ciepiąca z tego powodu, że on ją porzuca.

—Proszę, oszczędź mi szczegółów — powiedziała Maria cierpko.

—Szczegóły są nieodzowne dla jasności sytuacji — powiedział z błyskiem satysfakcji w oczach. — A więc, jak mówiłem, Gladys Boverley, wdowa po amerykańskim milionerze, interesuje się mną i zamierza wyrobić mi doskonałą pozycję w Nowym Jorku.

Maria spojrzała na niego, bardziej zdziwiona niż oburzona.

—Pozycję?

—Tak, doskonałą pozycję, która mi wreszcie pozwoli wyrwać się z tej nędzy, w jaką wpędziło mnie bankructwo twego ojca. Niełatwo byłoby mi mówić o tym, gdyby nie to, że zgodnie z tym, co powiedziałaś, jestem ci najzupełniej obcy, i gdybyś nie ustaliła z twoim ojcem, że się do nas wprowadzi. To ostatnie jest dla mnie zupełnie nie do przyjęcia.

—Musimy się ograniczać. Nie widzę powodu, by mój ojciec wiódł samotne życie, podobne do mojego. Jesteśmy sobie potrzebni, a tobie to chyba nie przeszkadza.

Herbert zerwał się na równe nogi.

—Właśnie że mi przeszkadza! Nie uśmiecha mi się, żeby teść bez przerwy siedział mi na karku i trzął się o każdy grosz. Nie odpowiada mi to, rozumiesz? — Powiedział brutalnie, a gdy milczała, ciągnął gwałtownie — a w ogóle ożeniłem się z tobą tylko dlatego, że myślałem, że jesteś bogata. Po co by mi była biedna kobieta? Teraz jesteś biedna z winy swego ojca, a ja nie mam zamiaru żyć w nędzy. Jak mówiłem, pani Boverley wyrobi mi doskonałą pozycję, ale może zatrudnić tylko wolnego mężczyznę. Tym samym dochodzę do sedna sprawy: proszę cię o rozwód, bym mógł, jako człowiek wolny, naprawić swoje sfuszerowane życie. Muszę się wyrwać z tego drobnomieszczańskiego więzienia, duszę się tutaj.

Był bardzo wzburzony. Bał się, że Maria będzie usiłowała go zatrzymać, i tym gwałtownym żądaniem wolności pragnął przeciąć tę możliwość. Był przekonany, że po tym, co powiedział, Maria zapomni o dumie i chłodzie i będzie go błagać na kolanach, by jej nie opuszczał. Przygotował się na tę ewentualność, mobilizując cały swój przyrodzony chłód.

Ale zawiódł się. Maria wstała wolno ze swego miejsca, wyprostowała się, bardzo blada, ale oczy jej patrzyły chłodno i spokojnie. Zimnym, obojętnym głosem rzekła:

—Jesteś wolny, nie zatrzymuję cię.

Herbert gapił się na nią skonsternowany.

—Zgadzasz się... na rozwód? — spytał zdumiony.

—Tak! — odparła zimno.

Teraz obawy Herberta, że Maria zechce go zatrzymać, ustąpiły miejsca małosłownemu rozdrażnieniu, że tak łatwo się go pozbywa.

— Ach, wygląda na to, że cię to wcale nie obchodzi, że mamy się rozwieść?

Maria oddychała ciężko.

—Owszem, bardzo mnie obchodzi. Wciąż jeszcze nie śmiem w to uwierzyć, że nie kiwnąwszy nawet palcem w bucie, pozbędę się łańcucha, którym jestem przykuta do ciebie. Mimo wszystko dźwigałabym nadal te pęta, gdyż przysięgałam przed ołtarzem wierność aż do śmierci. Ja nie rzucam słów na wiatr. To, że ty chcesz się ode mnie uwolnić, zwalnia mnie z danego słowa — i dziękuję ci za to. Tak, dziękuję ci, że uczyniłeś mnie na powrót wolnym człowiekiem, że nie muszę łamać przysięgi.

Herbert był zupełnie zbity z tropu. W tej chwili nic nie mogłoby go bardziej zboleć niż jej westchnienie ulgi, że wreszcie się od niego uwolni. Powinna go błagać, by jej nie porzucił — tego właśnie oczekiwał. Stało się inaczej i to go zabolalo.



Patrzył na nią groźnie, oczy jego ciskały błyskawice.

—A więc to tak? Cieszysz się, że chcę się z tobą rozwieść? A ja, głupiec, miałem wyrzuty sumienia, że chcę cię o to prosić!

Maria wyprostowała się dumnie.

—Jak widzisz, jestem spokojna.

Herbert odrzucił głowę, śmiejąc się ochryple.

—Ach, te kobiety! Są bardziej bez serca niż najbardziej nieczuły mężczyzna. Tobie łatwiej jest się ze mną rozstać niż mnie.

—To o czymś świadczy — odparła Maria z wyższością. — Znam cię bardzo dobrze i wiem, że ranię twoją próżność, bo tak łatwo godzę się na rozwód. Powinam rozpaczać, błagać cię na kolanach, żebyś został. Ty byś i tak odszedł, ale miałbyś satysfakcję! To wielkie szczęście dla mnie, że mogę z takim spokojem zgodzić się na ten rozwód. Ale nie myśl, że byłam równie spokojna, gdym zrozumiała, że nic nas już nie łączy. To wtedy nastąpił prawdziwy rozwód. Kiedyś wierzyłam w ciebie, w młodzięcym uniesieniu widziałam w tobie mój ideał — jakąż goryczą napełniło mnie umieranie mojej miłości! Ale ta miłość umarła, gdyż nie jestem zdolna kochać mężczyzny takiego jak ty. A teraz nie mamy już sobie chyba nic więcej do powiedzenia.

Jego twarz wykrzywił mściwy uśmiech.

—Jeszcze tylko jedna drobnostka. Jestem gotów wziąć winę na siebie, ale chwilowo nie będę mógł ci płacić alimentów. Gdybyś się jednak przy tym upierała, będę zmuszony podać jako powód rozwodu to, że nie chciałaś ze mną współżyć.

Maria zbladła jak ściana wobec tego nowego dowodu jego nikczemności.

—Nigdy nie dostałam od ciebie złamanego szeląga! Przez wszystkie te lata ojciec cię utrzymywał. Myślisz, że przyjąłabym od ciebie pieniądze, nawet gdybyś mi je proponował? Wolałabym zebrać niż wziąć od ciebie pieniądze. Bądź spokojny o to! Mogłeś sobie oszczędzić tej żalostnej sceny. Ale teraz już dość. Całą resztę omów, proszę, z moim ojcem i adwokatem. Zostaw mnie już.

—Tak ci się spieszy, by się mnie pozbyć? — spytał ze źle udawaną ironią.

Oczy jej zabłyśły.

—Tak! Nie mogę już znieść twojego widoku! Idź, umieram ze wstydu, że za ciebie wyszłam. Idź!

W tych gwałtownych słowach drgał tłumiony ból zranionej kobiecej dumy. Nie zwlekając dłużej i nie oglądając się za siebie, Herbert w milczeniu opuścił salon.

Tej nocy Herbert Lassberg spał niewiele. Gdy przełknął gniew z powodu żalnego zejścia ze sceny, począł rozmyślać, jak by tu sprawnie przeprowadzić rozwód i przywiązać do siebie Gladys Boverley. Wiedział, że była bogata, horrendalnie bogata. Byłby to o wiele korzystniejszy związek niż z Marią. Ojciec Marii był wprawdzie niegdyś bogatym człowiekiem, ale jego majątek nie mógł się równać z milionami Gladys.

Nigdy w życiu nie był jeszcze tak biedny. Rozpieszczonemu jedynakowi rodzice pozostawili niewielki spadek, wystarczający na skromne życie, gdyby umiał pracowicie go pomnażać. Ale Herbert unikał pracy i lubił zachowywać się jak wielki pan, toteż przepuścił majątek w ciągu kilku lat. Potem przyszła wojna. Herbert dekował się na tyłach, wiodąc bezpieczne i przyjemne życie, choć nie opływał już we wszystko tak jak przed wojną. Kiedy wojna się skończyła, postanowił wykorzystać przyjemną powierzchowność, by zdobyć miłość jakiejś bogatej kobiety i żyć dalej beztrąsko na jej koszt. Nie przyszło mu do głowy, że mógłby zarabiać na życie. Zresztą niczego nie umiał, na czym mógłby oprzeć swoją egzystencję. Znał świetnie angielski i francuski, gdyż rodzice przykładali do tego dużą wagę i opłacali najlepszych nauczycieli; dobrze grał w tenisa, świetnie tańczył, był duszą każdego towarzystwa, mogąc rozmawiać powierzchownie na każdy temat; na tym jednak wyczerpywały się jego możliwości. Do perfekcji doprowadził umiejętność zdobywania kobiet. Młodziutką Marię Tomau bez trudu owinął sobie dokoła palca.

Ojcu Marii zięć nie przypadł do gustu, ale idąc za uczuciem córki, robił wszystko, by umilić mu życie. Jerzy Tomau, człowiek pracowity i czerpiący satysfakcję z pracy, nie mógł zrozumieć skłonności Herberta do lenistwa. Począt-

kowo kilkakrotnie załatwiał mu intratne posady, dające możliwość czynnego życia, ale Herbert na żadną się nie zdecydował — po prostu nie uśmiechała mu się perspektywa wyteżonej pracy. Toteż odrzucał wszystkie propozycje pod lada pretekstem. I tak już zostało.

Spożywszy nazajutrz śniadanie — jak zawsze samotnie, choć tego dnia wstał wyjątkowo wcześnie — Herbert z dziwnym uczuciem rozejrzał się po eleganckim, wygodnie urządzonej pokoju i nagle poczuł żal, że musi to wszystko opuścić. A co będzie, jeśli Gladys Boverley nie dotrzyma obietnicy? Jeśli go odtrąci i wyjedzie sama?

Pomyślał o swych skromnych zasobach finansowych i przeszył go dreszcz lęku. Co zrobi, jeśli Gladys się go wyrzeknie — teraz, gdy spalił za sobą wszystkie mosty?

Zerwał się z miejsca. Od razu stracił apetyt. Poszedł do sypialni, by ubrać się do wyjścia. Stanąwszy przed wysokim lustrem w ubieralni, przyglądał się krytycznie swemu odbiciu. Po jego twarzy przebiegł chełpliwy uśmiech. Do diabła! Takiemu facetowi jak on nie oprze się żadna kobieta! Szybko otrząsnął się z niepewności, którą posiało w nim dumne zachowanie Marii.

Ubrał się prędko, gdyż Gladys Boverley wyznaczyła mu spotkanie na jedenastą. Nie miał ochoty pertraktować z teściem, póki nie rozmówi się ostatecznie z Amerykanką. Pomyślny wynik tej rozmowy pomoże mu w rozgrywce z teściem. Przed wyjściem napisał kartkę do Marii, że wróci za kilka godzin i ma nadzieję zastać jej ojca, by omówić z nim sprawę rozwodową.

Za pięć jedenasta był już w hotelu. Odczekał pięć minut i punktualnie o jedenastej posłał na górę bilet wizytowy. Pani Boverley dała mu znać, że czeka na niego. Zwykle musiał czekać, dziś przyjmowała go od razu. Zastanawiał się, czy to zły czy dobry znak.

Zastał Gladys w salonie. Spoczywała na fotelu w pozycji półleżącej, w kosztownym peniuarze z różowego jedwabiu z prawdziwymi koronkami. Z zagadkowym uśmiechem podała mu małą pulchną dłoń, przystrojona mnóstwem pierścionków, którą on podniósł do ust z wyrazem uniesienia na twarzy.

—Droga, uwielbiana Gladys, dziś znów wygląda pani czarująco! W tym delikatnym różu jest pani nad wyraz do twarzy. Jest pani dla mnie uosobieniem wiosny — mówił, pozerając ją płonąącym wzrokiem.

A w duchu myślał: nie powinna nosić różowych kolorów, przynajmniej w dzień. Za dnia wygląda zresztą o dziesięć lat starzej; nie bardzo mi się chce wierzyć, by miała dwadzieścia osiem lat.

W istocie, Gladys Boverley miała lat trzydzieści osiem, ale robiła wszystko, by wyglądać o dziesięć lat młodziej. Niewybredne pochlebstwo<sup>^</sup> Herberta, jego gorące spojrzenie i namiętny pocałunek, złożony na jej dłoni, mile łechtały jej próżność. Mimo to spytała z drwiącym uśmiechem:

—Oho, mały boy dostała urlop od surowa małżonka. Nie przyjdzie nurse dzisiaj zabrać go do domu?

Herbert osunął się przed nią na kolana i objął ją gwałtownie, jakby nie mogąc oprzeć się przemożnym uczuciom.

—Jestem wolny, Gladys — wolny! Zrzuciłem niewolnicze kajdany — dla ciebie. Nie zniósłbym rozstania z tobą. I oto jestem — wolny. Ale wolny tylko tak długo, póki nie uczynisz mnie swoim szczęśliwym rabem.

Z chełpliwym uśmiechem Gladys patrzyła na jego twarz, drgającą podnieceniem, którego źródło było jednak inne niż przypuszczała. Ujęła jego twarz w obie dłonie.

—Być to prawda, moja ukochana przyjaciela? Ty być wolna? Jak ja mieć to rozumieć?

—Powiedziałem żonie, że się z nią rozwodzę, gdyż darzę namiętną miłością inną kobietę, i życie u jej boku stało się dla mnie nieznośne. Musiała się zgodzić na rozwód, gdyż zagroziłem jej, że inaczej się zastrzelę. I oto jestem wolny, słodka Gladys, i do twojej dyspozycji.

Amerykanka potrząsnęła gniewnie głową.

—Jak możesz ty mówić, że się zastrzelisz? To nie była poważna, takie złe *rzeczy*

ja nie chcieć słuchać.

—Inaczej nie zgodziłaby się na rozwód, Gladys, musiałem jej zagrozić. — I objął ją z dziką czułością, pokrywając pocałunkami jej wargi.

Przez chwilę Gladys poddawała się chętnie tym dobrze udawanym pieszczotom, wreszcie jednak rozsądek zapanował nad namiętnością. Wywinąwszy się z jego ramion i odgarniając włosy z rozognionej twarzy, powiedziała:

—Jak ty dziki człowiek, Herbert Lassberg, ja nie złapać oddech! Ty nie musi być tak burzliwa.

—Ach, Gladys, jakże mógłbym być spokojny w takiej chwili? Powiedz, że mnie kochasz!

—Yes, ja kochać tobie, bardzo dużo. Ty być szarmancka mężczyzna, elegacka i przystojna mężczyzna, jakie ja lubić bardzo.

Herbert ucałował jej dłoń.

—I zostaniesz moją żoną, Gladys, prawda?

Gdyby w tej chwili Gladys Boverley zajrzała Herbertowi w oczy, dostrzegłaby czający się na ich dnie wyraz chciwości i wyrachowania. Ale ona unikała jego wzroku, gładząc w zadumie jego czoło. Wreszcie odparła ze śmiechem:

—Och, jaka ty dzika! Jak ty może o tym teraz mówić? Jak ty może starać się o nowa kobieta, jeśli ty jeszcze nie rozwiodła ze stara? My musieć czekać, aż ty rozwiedziony, wtedy mówić o tym.

Jej słowa nie były mu w smak. Całując ją namiętnie, tak iż traciła dech, szeptał jej do ucha:

—Ja już teraz widzę w tobie moją żoną, Gladys. Myślę, że w tej godzinie zaręczyliśmy się na wieki.

Roześmiała się, ale nie broniła się przed jego pocałunkami.

—My później o tym rozmawiać, kiedy ty być całkiem wolna.

—Ale zabierzesz mnie do Ameryki, jak obiecałaś?

Amerykanka patrzyła przed siebie w zadumie. Herbert wpatrywał się w nią z napięciem. Po dłuższej chwili Gladys skinęła głową, jakby podjąwszy decyzję, i powiedziała zadowolona:

—Yes, tak to ująć. Ty ze mną jedzie do New York jako moja marszałek podróży i sekretarz — tak, jako moja sekretarz, od która ja uczyć niemiecki.

—Jako twój sekretarz? — zdumiał się Heibert.

Amerykanka roześmiała się swawolnie, targając go żartobliwie za nos.

—Yes, jako moja sekretarz. Och, jaka ty dziecko, taka zdumiona. Przecież ja nie może brać tobie do Ameryka jako moja kochanka. W New York ludzie bardzo purytanie, nic nie robić przeciw moralności — żadna człowiek nie musi zauważyć nic. Jak ja przedstawić cię jako moja sekretarz, wszystko okay. Nikt nie mówić, że to być —jak się to nazywać? — obraza moralności. I zostać ty u mnie jako sekretarz i marszałek podróży, aż ty być wolny i rozwód gotowy. Tak jest dobrze!

Herbert wcale nie uważał, by to było dobrze. Był trochę zdeprymowany, gdyż inaczej sobie to wszystko wyobrażał.

—Czy nie byłoby lepiej, Gladys, gdybyś mnie tam za oceanem od razu przedstawiła jako swego narzeczonego? Co powiedzą twoi znajomi, gdy poślubisz własnego sekretarza?

Twarz Gladys przybrała wyraz, jaki z pewnością dałby Herbertowi do myślenia, gdyby nie był tak zajęty przeżywaniem swego rozczarowania.

—Och, w Ameryka sekretarz człowiek jak wszystkie. Moje przyjaciele nic nie mówić na to. Zobaczmy, co będzie. Tylko nie być ty ciężka dla mnie, my boy, wszystko być tak, jak dobrze. Ty jeździ wszędzie ze mną, zawsze moja sekretarz. To dla tobie przyjemna też lepiej jak moja kochanka. Ty mieć prawdziwa pensja, żeby nie przyjmować pieniądze od kobieta. Zatrudniam cię, opłacać ci podróż, żywność, do tego dolary. No więc, ile? W Ameryka ja płacić mój sekretarz prócz wyżywienie, jeśli dobrze pracować, pięćset dolar.



Ty będzie bardzo doskonała sekretarz i ja ciebie płacę każdy miesiąc tysiąc dolar, oprócz podróz, wyżywienie i mieszkanie. Weil, my boy? —zakończyła ze śmiechem i chwyciwszy jego głowę, pocałowała go w usta.

Herbert czuł się nieswojo. Inaczej sobie to wszystko wyobrażał. Ale gdy Gladys wspomniała, że nie będzie musiał brać pieniędzy od kobiety, zreflektował się i milczał. Musi mieć się na baczności, by się nie zdradzić, że wcale go nie krępuje przyjmowanie pieniędzy od kobiety, zwłaszcza takiej, która ma zostać jego żoną. Pocieszał się, że tysiąc dolarów miesięcznie prócz wyżywienia, mieszkania i bezpłatnych przejazdów to dla niego suma nie do pogardzenia, choć wobec bogactwa Gladys to kropla w morzu. Doszedł do wniosku, że to bardzo taktowne ze strony Gladys, że nie zaproponowała mu więcej. Ale mylił się. Gladys była prawdziwą Amerykanką i nie lubiła przepłacać. Po prostu doszła do wniosku, że tysiąc dolarów to wystarczająca pensja dla jej „sekretarza”, zwłaszcza że życie będzie miał za darmo.

Propozycja Gladys nie odpowiadała co prawda życzeniom Herberta, ale przyznawał w duchu, że mogło być gorzej. Wychodził przy tym z założenia, że nie przepracuje się jako sekretarz Gladys. Tak czy owak przekonał się, że w sprawach finansowych Gladys kieruje się wyłącznie zdrowym rozsądkiem. Jego romantyczne wyobrażenia, że Gladys będzie się w stosunku do niego kierować zasadą: co moje, to twoje — okazały się mrzonką. Wyznaczyła mu sowite wynagrodzenie, ale tak czy owak była to ściśle ograniczona suma. Ale w żadnym wypadku nie wolno mu się było zdradzić z tymi zastrzeżeniami. Schyliwszy się, pocałował Gladys w rękę i rzekł z ciężkim westchnieniem:

—Gdybyś wiedziała, jakie to dla mnie okropne, że nie mogę zrezygnować z tej pensji! Nie jestem przyzwyczajony do przyjmowania pieniędzy od kobiety. To mnie upokarza.

Znów chwyciła go żartobliwie za nos.

—O yes, tobie ciężko być. Ale co zrobić? Nic! Ty dostać pieniądze, w porządku. Money drugorzędna sprawa dla nas, musi być, jak potrzebny. Jeśli nie starcza, ty mówisz. Teraz my nie mówić więcej o money, tylko o love. Yes, ty mnie

dużo musi mówić o miłości, gdy my sami. W obecności obce ludzkie albo służba ty być zawsze korektny i tylko mówić o business i takie rzecz. I wołać mnie zawsze Mrs. Boverley, a ja tobie wołać mister sekretarz. Weil, my boy, ty nigdy nie zapomina o tym — all right, my boy?

Cóż było robić? Musiał nadal udawać żarliwego kochanka, a Gladys była nienasycona; musiał ją bez końca całować, mówić pochlebstwa, prowokowała go do tego w sposób nader swawolny.

Wtem wyprostowała się i klasnęła w dłoń.

—Teraz ty piszesz list do moja przyjaciółka Maud Bardon. Tam na biurko ty znaleźć wszystko, co potrzebne do tego. Ja teraz dyktuję. Szybko, szybko! Tak od razu przedstawić cię moje przyjaciele w Ameryka, żeby nie dziwić, że ja wraca z nowy sekretarz.

Herbert wstał. Właściwie był zadowolony, że trochę odetchnie. Odrobinę nadąsany, że mu tak od razu rozkazuje i każe pracować, usiadł przy biurku, wyjął papier i spojrzał na nią. I wtedy Gladys podyktowała mu list po angielsku:

*Najdroższa Maud!*

*Długo nie dawałam znaku życia, ale wiesz, Moja Droga, jak nie lubię pisać listów. Głupio zrobiłam, że zwolniłam sekretarza przed wyjazdem do Europy, nie chcąc, by mi zawadzał w podróży. Zdecydowałam się zaangażować nowego sekretarza, który będzie też moim*

*marszałkiem podróży. Gdy się wojażuje, jest tyle spraw uciążliwych dla damy. Przedstawiam Ci więc mojego nowego sekretarza, pana Lassberga. Właśnie pisze ten list pod moje dyktando. Bardzo mi to jest na rękę. Teraz znów będziesz dostawać ode mnie listy. Mr. Lassberg pojedzie ze mną do Nowego Jorku. To dżentelmen w każdym calu...*

Herbert uniósł głowę, pytając:

—Czy muszę to pisać?

Gladys skinęła głową, śmiejąc się łobuzersko.

—Weil, musimy to pisać. Maud bardzo ciekawa mój nowy sekretarz. Proszę pisać dalej:

*To dżentelmen w każdym calu, do tego stopnia, że wzbraniał się o tym napisać. Ale to oczywiste, że nie zniosłabym obok siebie mężczyzny, który nie byłby dżentelmenem. Wkrótce opuszczam Berlin. Bardzo mi się tu podobało, ale byłam tu już dostatecznie długo i chcę zwiedzić resztę Europy. Mniej więcej za dwa miesiące wracam do Nowego Jorku. Teraz wybieram się do Szwajcarii i Włoch. Będziesz dostawała stamtąd listy, skoro nie muszę ich już pisać sama. Pozdrów ode mnie wszystkich znajomych, a przede wszystkim Twego męża. Listy przysyłaj mi do 25 lutego do Montreux, do 3 marca do Zurychu, do 15 marca do Genui, do 25 marca do Wenecji i do 25 kwietnia do Rzymu. A potem już do mnie nie pisz, bo wybieram się w drogę powrotną. Nie wiem jeszcze, z którego portu wyruszę, w każdym razie popłynę tylko niemieckim lub angielskim parowcem. Cieszę się, że się już niedługo zobaczymy, mam Ci tyle do opowiedzenia!*

*Serdeczne pozdrowienia*

*Twoja Gladys*

Herbert musiał jeszcze przygotować list do wysłania. Wreszcie, rzuciwszy okiem na zegarek, powiedział:

—Czy pozwolisz, że cię już pożegnają, Gladys? Muszę jeszcze raz wrócić do domu, by się rozmówić z teściem i spakować. Teraz nie mogę już mieszkać pod

jednym dachem z moją żoną.

TLR

Gladys patrzyła na niego roziskrzonym wzrokiem.

—No, no, nie może! Ty musisz wszystko załatwić. Ile czas ty potrzeba?

—Myślę, że jakieś trzy, cztery godziny. Muszę się jeszcze zobaczyć z adwokatem.

—Weil. Ja tymczasem ubierze się i zje lunch sama. Od jutra ty towarzyszy mi w każdy posiłek. Dziś wieczór my też razem, tak?

—Jestem na każde twoje skinienie, słodka Gladys!

Pochylił się, chcąc ucałować jej dłoń, ale ona przyciągnęła jego głowę i pocałowała go w usta.

—Być ty szczęśliwa, my boy?

—Wciąż mi się wydaje, że to sen, Gladys. Jestem taki szczęśliwy, że już będę zawsze z tobą.

—Weil, niech ty śnić, to piękny śnić. Ja też śnić razem z ciebie. Od dzisiaj ty mieszkasz w tym hotelu, w pobliżu mnie. Ja zaraz zamówić pokój dla tobie — mojego sekretarza.

Herbert czuł się nieswojo, że będzie odtąd funkcjonował oficjanie jako pracownik pani Boverley. Inaczej wyobrażał sobie ich stosunek; sam nie wiedział, kiedy energiczna Amerykanka wmanewrowała go w tę sytuację wbrew jego woli.

Nawet nie przypuszczał, że padł ofiarą zimnej kalkulacji. Gladys Boverley wiedziała, że Herbert pragnie za wszelką cenę zostać jej mężem, ale ona nie zamierzała wyrzec się wolności. Mimo iż była w nim bardzo zakochana, nawet nie myślała o tym, by związać się z nim na całe życie. Znała siebie dobrze i wiedziała, że jest niestała w uczuciach. Wszelkimi siłami dążyła do tego, by zabrać żonie tego przystojnego mężczyznę i przywiązać go do siebie; zawsze pożądała zakazanych owoców. Będąc zakochana, nie straciła bynajmniej głowy. Sekretarza może zwolnić, gdy jej się znudzi; i dlatego Herbert Lassberg musiał pozostać jej sekretarzem. Gladys zatrudniała w tej roli już kilku swoich amantów i nabyła pewnej rutyny w angażowaniu i zwalnianiu ich.

A poza tym była zbyt trzeźwa, by nie zdawać sobie sprawy z tego, o co naprawdę chodzi Herbertowi. Była wprawdzie zbyt próżna, by przyznać, że jej osoba jest mu obojętna, ale dostatecznie trzeźwa, by wiedzieć, że bardzo zależy mu na jej majątku. Pod tym względem niczym się nie różnił od wszystkich, którzy umiżywali się do niej po śmierci męża. Wcale z tego powodu nie pogardzała Herbertem, była wszak trzeźwą i praktyczną Amerykanką. Ale też nie miała najmniejszego zamiaru wyjść za niego za mąż.

## IV

Był tylko jeden mężczyzna, dla którego z ochotą wyrzekłaby się wolności, ale właśnie on zachowywał wobec niej niezmienną rezerwę, mimo wyraźnych awansów, jakie mu czyniła. Człowiek ten mieszkał w Nowym Jorku. Był Niemcem z pochodzenia i nazywał się Norman West. Przyjechał do Ameryki jako dwudziestojednoletni młodzieniec — mając w zanadrzu fenomenalny wynalazek. Chciał studiować chemię, ale uniemożliwiła mu to śmierć rodziców. Pieniądze, jakie mu zostawili, wystarczyły zaledwie na skromne życie. Był bardzo zdolny, zdał świetnie maturę. Przygotowując się do studiów, zrobił odkrycie, które wydało mu się rewelacyjne.

W Niemczech nie udało mu się jednak nikogo zainteresować wynalazkiem. Nikt nie brał poważnie młodzika. Wzruszano ramionami, gdy szukał kapitału na sfinansowanie przedsięwzięcia. Nigdzie nie znajdował wsparcia, wszędzie żądano, by zdradził wpierw swoją tajemnicę. A on chciał mieć pewność, że mu jej nie skradną. Był samotny jak palec, ale nie stracił animuszu. Zaciśnął zęby i zdecydował się wyemigrować. Może w Ameryce, myślał, młodość nie będzie mu zawadą. Pieniądzy starczyło mu na opłacenie podróży i wizy. Przyjechał do Nowego Jorku będąc posiadaczem wspaniałego wynalazku, pełen śmiałych planów i rozpierającej go energii, co go znacznie postarzało. Po kilku niepowodzeniach przypadek zetknął go z panem Boverleyem, mężem Gladys. Rzutki przedsiębiorca, węszący wszędzie za zyskiem, zainteresował się pomysłem młodego człowieka.



Dostrzegłszy dobry interes, kazał sobie opowiedzieć wszystko, co Norman mógł zdradzić nie narażając się na niebezpieczeństwo, że zostanie mu wydarta cała tajemnica. Doświadczony przemysłowiec spodziewał się po tym przedsięwzięciu olbrzymich zysków i odtąd nie spuszczał młodzieńca z oka.

Norman miał poczucie, że wreszcie trafił na właściwego człowieka. Doceniał doświadczenie i rzutkość pana Boverleya. Lecz początkowo obaj zachowywali wobec siebie rezerwę. Czas jakiś zmagali się ze sobą, nim wreszcie doszli do porozumienia. Pan Boverley sądził najpierw, że owinie sobie „greenhoma” wokół palca i wyłudzi od niego wynalazek za psie pieniądze. Ale rozczarował się. Pewnego razu West powiedział do niego z niezwykłą jak na swój wiek pewnością siebie:

—Gdybym chciał dać się oszukać, nie musiałbym się fatygować aż do Ameryki. Mogłem to zrobić w kraju. Nie może mnie pan w ten sposób traktować. Albo gra pan ze mną w otwarte karty, albo koniec zabawy!

I obstawał tak twardo przy swoim, że pan Boverley nie mógł wyjść z podziwu. Wzbudziwszy w sobie prawdziwą cześć dla domniemanego greenhoma, pan Boverley założył spółkę, mającą wykorzystać przemysłowo wynalazek Normana, jego samego zaś uczynił swym współnikiem. Wkładem Normana w kapitał zakładowy był po prostu jego wynalazek. Boverley dostarczył środków finansowych. Okazało się, że był to strzał w dziesiątkę. Towarzystwo akcyjne Boverleya i Westa zrobiło taką furorę na rynku, że nawet dzielnym Amerykanom nie mieściło się to w głowach.

Gdy wkrótce potem wybuchła wojna, Norman West chciał wrócić do Niemiec, by zaciągnąć się do armii. Ale spółka wciąż potrzebowała go do tego stopnia, że postarano się — uczciwymi i nieuczciwymi sposobami — udaremnić jego wyjazd do ojczyzny. W jakiś czas potem Norman, za poradą Boverleya, wystarał się o obywatelstwo amerykańskie i poświęcił wszystkie siły rozbudowie firmy.

Gdy skończyły się działania wojenne, Norman West był już zamożnym człowiekiem i wciąż się bogacił. Dawszy się poznać jako człowiek utalentowany, pracowity i energiczny, cieszył się poważaniem w kręgach przemysłowych.

Nigdy nie zapomniał o tym, że zawdzięcza Boverleyowi tyleż, co tamten jemu. Mimo iż Niemiec był o dwadzieścia lat młodszy od Amerykanina, połączyła ich mocna męska przyjaźń, wzmocniona dodatkowo wspólnymi interesami.

Norman West bywał częstym gościem w domu Boverleyów. Gladys widywała młodego człowieka z przyjemnością, i to nie tylko dlatego, że dopomógł mężowi się wzbogacić, lecz także dlatego, że jej się podobał i imponował jak żaden inny mężczyzna. Gdy kilka lat temu zmarł jej mąż, natychmiast zapragnęła mieć u swego boku Normana Westa. Norman był dwa lata młodszy od niej, ale Gladys to nie przeszkadzało — co rok ujmowała sobie lat, zamiast dodawać, i w końcu sama uwierzyła w swą wieczną młodość. Wydawało jej się, że nic nie stoi na przeszkodzie do nowego szczęścia małżeńskiego z Normanem Western. Ale ten, ku jej rozpaczy, zachowywał rezerwę. Nigdy nie darzył jej cieplejszym uczuciem, toteż i teraz widział w niej jedynie żonę zmarłego przyjaciela. Przy tym znał ją lepiej od męża. Wiedział, że Gladys nie traktowała zbyt rygorystycznie wymogu wierności małżeńskiej i nawet za życia męża miewała przygody. Nie dość na tym — Norman po prostu nie lubił Amerykanek, zwłaszcza typu Gladys; owych powierzchownych, bezdusznych istot, oddanych bez reszty flirtom i przyjemnościom, w mężczyźnie widzących jedynie woła roboczego, zapewniającego kobiecie luksus i nie mogącego sobie rościć pretensji do nadzwyczajnej wdzięczności z jej strony.

Nie, ideałem Normana Westa była kobieta zupełnie innego typu; miał zamiar ożenić się kiedyś z Niemką — kobietą uczuciową, czystego serca, obdarzoną szlachetną dumą, która nie byłaby w stanie flirtować z każdym napotkanym mężczyzną.

Miewał i on przelotne przygody miłosne — był wszak młody, silny i nie unikał przyjemności życiowych. Ale o małżeństwie na razie nie, myślał. Za żoną rozejrzy się w Niemczech, gdyż miał mocne postanowienie powrotu do ojczyzny. Nie chciał zostawać na stałe w Ameryce. Stał się tu wprawdzie praktycznym i zamożnym przemysłowcem, ale zachował gorące serce. I właśnie to gorące serce marzyło często o ucieczce z amerykańskiego wygnania. Im był starszy, tym większa była jego tęsknota do Niemiec. Był teraz tak bogaty, że mógł spełnić każdą swoją zachciankę. Jako jeden z głównych akcjonariuszy spółki, której był

współtwórcą, mógł liczyć na dalsze zyski w przyszłości, nawet gdyby wycofał się z aktywnej współpracy. Zresztą, był już teraz tylko jednym z wielu kółek olbrzymiej maszyny przedsiębiorstwa i z powodzeniem mógł go zastąpić ktoś inny. Toteż czekał tylko na sposobną okazję, by ułożyć swoje sprawy zgodnie z żywionymi od dawna życzeniami. Chciał jak najszybciej wrócić do Niemiec, gdzie miał nadzieję znaleźć dla siebie żonę o odpowiednich zaletach serca. Żywił przy tym jeszcze jedno gorące, a niespełnione marzenie. Miał głębokie skłonności do pracy na roli, a wybrał inny zawód tylko dlatego, że w młodości nie posiadał własnego gospodarstwa. Teraz za to miał dość pieniędzy, by kupić posiadłość w Niemczech.

Nie wyobrażał sobie życia bez pracy, choć był tak bogaty, że mógłby spocząć na laurach. Ale miała to być praca sprawiająca mu przyjemność. Dlatego zapragnął zostać na starość rolnikiem.

Jego amerykańscy współnicy nic nie wiedzieli o jego planach. Nie wtajemniczał ich, obawiając się, że zechcą go zatrzymać; wołał postawić ich przed faktem dokonanym. Nawet Gladys Boverley niczego nie podejrzewała. Gdy się z nim żegnała w Nowym Jorku przed kilkoma miesiącami, miała jeszcze cichą nadzieję, że dłuższa rozłąka obudzi w Normanie żywsze uczucia wobec niej. Może dlatego szukała innych wrażeń, by zagłuszyć w sobie pragnienie posiadania tego mężczyzny. Na pożegnanie powiedziała mu:

—Cieszę się, że znów pana zobaczę po powrocie z Europy, Mr. West. Jadę zobaczyć pańską ojczyznę.

Skłoniwszy się uprzejmie, Norman odparł:

—Wszystkiego dobrego, Mrs. Boverley, szczęśliwej podróży.

Był tak obojętny, że Gladys serce pękało z żalu. Z wrodzoną żywością charakteru przeszła jednak nad tym szybko do porządku dziennego, jakkolwiek jej próżność została zraniona. Już na statku, który zawiózł ją najpierw do Londynu, nawiązała gorący romans z Anglikiem, młodszym od niej o dziesięć lat bez mała i zafascynowanym jej milionami. Przeżyła z nim kilka rozkosznych miesięcy w Londynie, wreszcie, ochłodłszy, zostawiła go na lodzie i wyjechała do Paryża. Tu jakoś nie trafiała jej się nowa przygoda, więc niewiele myśląc, pojechała do Ber-

lina, gdzie zakochała się śmiertelnie w przystojnym, eleganckim Herbercie Lassbergu.

Od początku wiedziała, że i ta namiętność przeminie, choć może potrwa nieco dłużej niż poprzednie. Na stałe mogłaby się związać tylko z jednym mężczyzną — Normanem Western. Wmawiała sobie, że tylko jemu jednemu mogłaby dochować wierności i obarczała go winą za to, że sama zmienia mężczyzn jak rękawiczki.

Nie przeszkadzało jej, że Herbert Lassberg był o kilka lat od niej młodszy. Nie miała też żadnych wyrzutów sumienia, że rozbija jego małżeństwo, zwłaszcza iż w lot rozumiała, że to małżeństwo nie było szczęśliwe.

Po wyjściu Herberta zatelefonowała do kierownictwa hotelu i zamówiła pokój dla zaangażowanego przed chwilą sekretarza. Zażądała, by pokój znajdował się w pobliżu jej apartamentów. Tym samym sprawa Herberta Lassberga była dla niej zamknięta. Ziewnęła, stwierdziwszy, że najbardziej ekscytujące chwile w nowym związku ma już za sobą, i zrobiła do siebie minę w lustrze. Teraz, gdy Lassberg był wolny, mógł padać jej do nóg, kiedy tylko chciała, a ona mogła mu do woli rozkazywać — sytuacja stawała się nudna. Jediną podniętą, jaką czerpała jeszcze z tego związku, było to, że Herbert nie był jeszcze formalnie rozwiedziony. Ale wkrótce to nastąpi, a wtedy Herbert będzie ją molestował, by za niego wyszła. Och, wiedziała z góry, jaki to będzie cyrk.

Leniwie wstała z fotela, zadzwoniła na pokojówkę i kazała się ubierać. Opowiedziała jakby od niechcena, że zdecydowała się zaangażować nowego sekretarza i opiekuna w podróży, bo to bardzo uciążliwa rzecz, załatwiać osobiście korespondencję, a samotna kobieta w podróży bywa napastowana przez mężczyzn.

Mądra pokojówka, znając panią lepiej niż ta mogła sądzić, przy klasnęła temu planowi. Wiedziała z doświadczenia, że Mrs. Boverley będzie teraz przez dłuższy czas wesoła i zadowolona. Tym razem zresztą pani utrafiła w gust pokojówki. Dziewczyna porównywała w lustrze twarz swej pani ze swoją młodą twarzą i doszła do wniosku, że może z nią rywalizować, choć pani Boverley skutecznie podwajała swe wdzięki złotem.

Pani i służąca rozmawiały żywo o tej nowej sytuacji, naradzając się, co Gladys

powinna włożyć. Była to niezwykle ważna i długotrwała narada.

Tego ranka, po wyjściu męża z domu Maria Lassberg zadzwoniła do ojca, prosząc go, by przyszedł do niej jak najszybciej. W niecałą godzinę później zjawił się pan Lassberg, niespokojny i zatroskany. Odetchnął z ulgą, przekonawszy się, że Maria jest spokojna.

—Czy coś się stało, Mario? — spytał, patrząc na nią badawczo.

—Nic, co mogłoby cię zmartwić, drogi ojcze. Opowiem ci o wszystkim. Otóż wczoraj wieczorem Herbert poprosił mnie o rozwód i ja się zgodziłam.

—Biedna córeczko!

Maria pokręciła głową.

— Nie, ojcze, nie musisz mnie żałować. Wierz mi, że wcale nie cierpiałam. Nie zapominaj, że Herbert już od dawna był dla mnie obcym człowiekiem i łączyło mnie z nim wyłącznie moje poczucie obowiązku. Nie powinien być chodzić do Adlona wczoraj wieczorem. Wiem, że chciałeś przywołać Herberta do porządku i oszczędzić mi cierpień. Ale zapewniam cię, że z jego strony nie może mnie już osiągnąć żaden cios. Tę sprawę już dawno przebolełam. I właściwie czuję ulgę, że Herbert chce się ze mną rozwieść. Będę wolna bez żadnych zabiegów z mojej strony; jestem wdzięczna losowi, że nie muszę przez całe życie cierpieć z powodu swojej pomyłki.

Ojciec wciąż przyglądał się jej niespokojnie.

—Mario, ty to wszystko mówisz tylko po to, by mnie uspokoić? — spytał ochrypłym głosem.

Maria potrząsnęła głową, uśmiechając się do niego czule.

—Nie, ojcze, teraz już niczego nie muszę przed tobą ukrywać. Czuję się tak, jakby ktoś zdjął ze mnie wielki ciężar. Herbert wyglądał na bardzo zadowolonego, że go nie zatrzymuję. Poczuł się wprawdzie dotknięty, wymawiał mi, że tak łatwo się go wyrzekam. Nic na to nie poradzę, ale rze-



czywiście łatwiej mi się z nim rozstać niż dalej trwać w tym małżeństwie. Herbert obiecał przyjść później, żeby omówić z tobą szczegóły. Proszę cię, kochany ojciec, oszczędź sobie nerwów, omów z nim wszystko spokojnie i rzeczowo i postaraj się załatwić sprawę tak, by mnie to nie obciążało. Oboje zgadzamy się na rozwód, więc nie powinno być z tym kłopotów.

Starszy pan odetchnął z ulgą.

—Podziwiam cię, dziecko, że znosisz to z takim spokojem. Bo przecież kiedyś bardzo go kochałaś.

Zarumieniała się lekko.

—Wstydzę się tej miłości. Nie kochałam człowieka o nazwisku Herbert Lassberg, ale ideał, który wymyśliłam. Co taka gęś mogła wiedzieć o miłości?! Prawdziwa miłość zniesie wszystko, wszystko przecierpi, wszystko przebaczy. A ja nie miałam dość siły, by ujrzawszy Herberta w jego prawdziwej postaci, nie przestać go kochać. Nie potrafiłam znieść cierpliwie jego kłamstw i zdrad. I nigdy mu nie przebaczę, że kłamstwem przywiązał mnie do siebie i wyłudził małżeńską przysięgę. Wstydzę się małżeństwa z nim, moja duma cierpi. Sam widzisz, ojciec, gdybym go naprawdę kochała, nie mógłby mi tak zobojętnieć. Jego próba uwolnienia się ode mnie winna sprawić mi ból i upokorzenie. A ja czuję tylko ulgę. Jestem wdzięczna losowi, że nie spędzę u jego boku całego życia. Naprawdę możesz być o mnie spokojny. Pomożesz mi, załatwiając wszystko spokojnie. Herbert zaraz tu będzie. Pójdę do swoich pokoi. Nie chcę go widzieć, jeśli nie będzie to absolutnie konieczne. Proszę cię, postaraj się, by jak najszybciej opuścił dom.

Starszy pan podniósł się z krzesła i objął córkę.

—Jakie to szczęście dla mnie i dla ciebie, że przyjmujesz to wszystko tak chłodno! Nie martw się, załatwię wszystko sam, tak by cię nie niepokoić.

Wkrótce potem przyszedł Herbert Lassberg. Maria natychmiast poszła do siebie, a Jerzy Tomau przyjął zięcia w jego dotychczasowym gabinecie, z którego zresztą ten nigdy nie korzystał.



—Córka powiedziała mi, że się rozwodzicie — zaczął bez ogródek.

—To prawda — odparł Herbert. — Przyjąłem stanowisko sekretarza i organizatora podróży pani Boverley i na początku przyszłego tygodnia opuszczę wraz z nią Berlin. Byłbym zadowolony, gdyby do tego czasu sprawy udało się posunąć tak daleko, by moja obecność tutaj nie była konieczna.

—To nie będzie trudne, o ile spełnisz warunki, jakie ci postawię jako ojciec Marii.

Herbert Lassberg stropił się, ale zaraz zaczął nadrabiać miną.

—Co to za warunki?

—Zwykle w takich okolicznościach. Przyjmiesz winę na siebie — zgodnie z prawdą zresztą.

Herbert Lassberg wyprostował się dumnie.

—To obowiązek dżentelmena, a więc nie ma o czym mówić.

Teść spojrział na niego takim wzrokiem, że Herbert musiał spuścić z tonu. Toteż ciągnął już mniej butnie:

—Jeśli chcesz, możemy wspólnie pójść do adwokata i omówić sprawę.

—W takich razach jest chyba w zwyczaju, że każda strona ma własnego obrońcę. Znajdź więc sobie adwokata, a ja pójdę do doktora Veidta. A potem nasi adwokaci mogą sami działać. Ponieważ obie strony zgadzają się na rozwód, nie powinno być z tym problemów. Ale byłoby dobrze, gdybyś już wcześniej się spakował i opuścił ten dom.

—Uczynię to niezwłocznie. Na razie zatrzymam się w Adlonie.

I znów poczuł na sobie spojrzenie teścia, które przejęło go dreszczem.

—To mnie nie interesuje. Chodzi mi tylko o to, byś jak najszybciej uwolnił moją córkę od swej osoby.

Herbert spojrział niepewnie na starszego pana.

—Pozwolisz mi pożegnać się z Marią?

Jerzy Tomau wyprostował się dumnie i odparł z zimną pogardą:

—Nie!

Dla Herberta był to prawdziwy policzek.

—Czy to Maria życzy sobie, bym odszedł bez pożegnania? — spytał niedowierzająco.

—Tak, moja córka rezygnuje z pożegnania z tobą.

Herbert zawahał się, po czym wzruszył ramionami, a jego piękną twarz wykrzywił grymas złości.

—Nie, to nie! Więc kłaniaj się jej ode mnie!

Jerzy Tomau nie odezwał się ani słowem, patrząc na Herberta poważnie i bez drgnienia powiek. Wreszcie tamten się uklonił i odwróciwszy się na pięcie, wyszedł z salonu.

Kazał służącemu spakować swoje rzeczy i odesłać do hotelu Adlon. Parę drobiazgów, do których był szczególnie przywiązany; zapakował osobiście. A potem opuścił dom i udał się do adwokata.

Służący odprowadził go kpiącym spojrzeniem, po czym pobiegł do kuchni, by podzielić się nowiną z kucharką i pokojówką. Wszyscy troje byli przekonani, że coś się święci.

Niedługo mieli trwać w niepewności. Gdy tylko Herbert Lassberg opuścił dom, pan Jerzy Tomau pożegnał się z córką i udał się do mecenasa Veidta, Maria zaś poszła do kuchni, gdzie zastała trójkę podekscytowanych służących.

Jak zawsze uprzejmie i spokojnie zakomunikowała kucharce i służącemu, że musi ich zwolnić ze względu na swoją zmienioną sytuację, po czym zwróciła się do pokojówki:

—Jeśli pani zechce zostać, chętnie panią zatrzymam, Marto. Będziemy musieli

bardzo się ograniczać. Sama będę gotowała i w miarę możliwości pomagała pani w prowadzeniu domu. Jeśli to pani nie odpowiada, muszę panią zwolnić i poszukać sobie innej pokojówki.

Marta zawahała się. Zrozumiała, że czasy świetności w tym domu minęły. Nie miała ochoty ograniczać się i najprawdopodobniej pracować ciężiej niż do tej pory. Zdecydowała się odejść wraz z resztą służby. Marii było to właściwie na rękę. Zatrudni nową pokojówkę, której nie będzie musiała tłumaczyć, że jej małżeństwo się rozpadło.

To spotkanie ze służbą wiele ją kosztowało. Ci ludzie oczywiście domyślili się wszystkiego, widząc, że pan przenosi się do hotelu. Maria zauważyła współczujące spojrzenie kucharki. Krew uderzyła jej do głowy i czym prędzej poszła do siebie. Czekala niespokojnie na ojca.

Pan Tomau wrócił niebawem z wiadomością, że rozmawiał z adwokatem i że z rozwodem nie będzie trudności. Powiedział też Marii, że Herbert zatrudnił się u pani Boverley jako sekretarz i organizator podróży. Ale zatrzymał dla siebie uwagę, co sądzi o tej posiadłości. Nie chciał, by córka musiała jeszcze bardziej pogardzać Herbertem.

Przekazawszy jej wszystkie nowiny, na koniec westchnął:

—Marka znów spadła, Mario, i to jeszcze bardziej niż w ostatnich dniach. Nie wiem, co to będzie.

Córka objęła go czule.

—Biedny tatuś! Masz tyle zmartwień, a ja ci ich jeszcze przysparzam. Ale bądź dobrej myśli, Pan Bóg nas nie opuści w nieszczęściu. Teraz musisz się jak najszybciej przeprowadzić do mnie. Służbie już wymówiłam. Wynajmę też kilka pokoi. Słyszałam, że córka tajnej radczyni Selton, która mieszka nad nami, chętnie wzięłaby mieszkanie matki, gdyby ta znalazła kilka pokoi gdzieś w pobliżu. Matka i córka chcą mieszkać blisko siebie, gdyż pani radczyni jest cierpiąca. Myślę, że będą zadowolone, gdy odstąpię starszej pani część mieszkania.

Ojciec patrzył na córkę wzrokiem pełnym troski. Martwił się o jej przyszłość, gdyż majątek topniał mu w rękę. Czuł, że przyszłość może chować w zanadrzu jeszcze smutniejsze doświadczenia. Może dojść do tego, że nie pomogą oszczędności i wynajmowanie pokoi.

Maria tymczasem była dobrej myśli. Kamień spadł jej z serca, gdy Herbert zwrócił jej wolność. Zastanawiała się nad sposobami poprawy ich sytuacji. Rozważała różne możliwości zarobkowania, ale musiała przyznać ze wstydem, że niewiele umie. Mogła liczyć tylko na swoją znajomość języków i talent malarski. Ale wiedziała dobrze, że w takich czasach trudno jest sprzedać obraz, zwłaszcza iż nie miała znanego nazwiska. A znajomość języków? Iluż to ludzi próbuje w ten sposób zarabiać na życie! W tej dziedzinie konkurencja jest na pewno bardzo duża. Mimo to nie traciła nadziei i pocieszała ojca, jak umiała.

Wieczorem, gdy siedzieli w salonie, ojciec odezwał się ni stąd ni zowąd:

—Gdybyś ty wiedziała, Mario, jak ja żałuję, że sprzedałem fabrykę! Nie wytrzymałem nerwowo. Nie trzeba się było poddawać.

Maria spojrzała na niego czule.

—Chciałeś dobrze, ojcze. Próbowaleś zabezpieczyć nas przed jeszcze większymi stratami; skąd mogłeś wiedzieć, że to się na nic nie zda? Ostatnio słyszałam w banku taką wypowiedź pewnego pana: „Cokolwiek człowiek zrobi, będzie źle, tylko tego można być pewnym.” Kto wie, czy gdybyś nie sprzedał fabryki, nie zostałbyś jeszcze szybciej zrujnowany.

—Trzeba było chociaż kupić ten majątek, który mi wtedy proponowano. Przynajmniej byłby to jakiś kapitał. Mój kuzyn, Albert, ma się lepiej — siedzi sobie w swofch dobrach jak u Pana Boga za piecem, zwłaszcza że nie ma żony i dzieci.

—Stryj Albert musi być nieszczęśliwym człowiekiem. Mówiłeś mi, że zdziwaczał i stał się odludkiem.

—Masz rację, kochanie, szczęśliwy to on nie jest. Ale nie słyszałem o nim od wielu lat. Odzegnał się zdecydowanie od wszelkich kontaktów, nawet ze mną.

—Dziwne, nigdy go nie widziałam na oczy, a to przecież nasz jedyny krewny, prawda?

—Tak, poza mną jest ostatnim z rodu Tomauów. Był to niegdyś serdeczny, dobry człowiek, o wielkich zaletach ducha. Ale zawsze był brzydki: toporny olbrzym, o rysach twarzy tak grubych, jakby rzeźbiarz zaprzestał pracy, nim wydobyl z bryły subtelniejsze kształty. Okropnie nieśmiały, niezgrabiasz, ale serce szczerozłote. Pewnego razu zakochał się w filigranowej, ślicznej dziewczeczce i wkrótce był z nią po słowie. Był jednym z najbogatszych ziemian w okolicy. Odziedziczył po ojcu dobra Weidenhof, a było to wzorowe godpodarstwo. Jego ojciec też był nieszczęśliwy. Kochał do szaleństwa swoją żonę, ale uciekła z innym. Był tak samo wysoki i toporny jak jego syn. Albert był do niego kubek w kubek podobny, odziedziczył też po ojcu dobre serce, kłóćące się z jego szkaradną powierzchownością. Chłopiec bardzo przeżył nieszczęście ojca, cierpiącego z powodu niewiernej żony. On sam kochał matkę miłością gorącą, ale nie odwzajemnioną — ta kobieta nie dbała o dziecko niekochanego mężczyzny, inaczej by go przecież nie opuściła. Albert od małego był bardzo samotny, mieszkając w Weidenhofie z ojcem, niepokieszonym po ucieczce żony. Po śmierci ojca tragedią zakończyła się też pierwsza i ostatnia próba Alberta wyjścia do ludzi. Ubóstwiał swoją narzeczoną, tak jak jego ojciec matkę. Był wtedy zupełnie innym człowiekiem, wesołym, otwartym. To był wzruszający widok, jak ten olbrzym troszczył się o tę kruchą istotkę, jak starał się uprzedzić jej każde życzenie, jak się radował, gdy udało mu się ją czymś ucieszyć. Z początku wszystko szło jak z płatka. Twoja matka, która bardzo lubiła Alberta, martwiła się o niego. Pewnego razu powiedziała do mnie: „Oby się to tylko dobrze skończyło, Jerzy! Albert zupełnie nie zna Trudy, robi z niej bóstwo, a ona jest prózną egoistką. Nie zasługuje na takiego dobrego człowieka, życie mu zatruje.” I rzeczywiście nie skończyło się dobrze. Pewnego dnia Albert zastał narzeczoną w ramionach innego; słyszał, jak mówiła do tamtego, że zaręczyła się z Albertem dlatego, że rodzice jej kazali, bo jest bogaty. Gdy Albert, blady jak ściana, spytał ją, czy to prawda, ta bezduszna osoba rzuciła mu prosto w twarz, że cieszy się, iż on już wie, że ona kocha innego, i że nie będzie musiała za niego wychodzić, gdyż napawa ją wstrętem. Biedny chłopak jakby zmysły postradał. Czym prędzej wrócił do Weidenhofu i odtąd nikogo nie

chciał widzieć: Próbowałem go pocieszyć, było go nam z matką bardzo żal. Robiłem, co mogłem, by wyrwać go z jego samotni, ale on po prostu nikogo nie chciał widzieć na oczy. Napisałem do niego tłumacząc, że nie powinien tak rozpaczać, że ta dziewczyna nie była go warta, że powinien wyjść do ludzi, rozerwać się, że mu w tym pomogę. Odpisał mi na to prosząc, bym go pozostawił jego losowi i nie próbował go odwiedzać, gdyż nie przyjmie mnie, tak jak nie przyjmuje nikogo obcego. Pisał dalej, że musi pozostać w samotności, gdyż ludzie go wyśmiewają, brzydzą się nim, a w oczy mówią mu piękne słówka. Że stracił zupełnie zaufanie do ludzi i że żałuje, iż kiedykolwiek opuścił Weidenhof. Nigdy więcej nie chce być narażony na takie rozczarowania, jakie już raz przeżył. Najlepiej by było — pisał — gdybym uznał go za zmarłego, gdyż on już umarł dla świata. Jedyne, co jeszcze jest w nim żywe, to szkaradne ciało — poczwara, napawająca ludzi wstrętem. Dlatego wybrał samotność i za żadną cenę nie dopuści nikogo przed swoje oblicze, nawet mnie, choć wie, że byłem mu przyjacielem. A przede wszystkim nie chce już nigdy zetknąć się z żadną kobietą, by jej oszczędzić widoku swej brzydoty.

Maria pobladła, słuchając tej smutnej opowieści.

—O Boże, jakież on biedny, ileż on musiał przecierpieć!

Ojciec skinął głową.

—Myślę, że potrafisz go zrozumieć, Mario, gdyż sama przeżyłaś rozczarowanie. Ale mnie się wtedy nie mieściło w głowie, że taka trzpiotka może załatwić na całe życie takiego chłopca! Po jakimś czasie napisałem do niego ponownie, próbując podnieść go na duchu, ale odesłał mi list nie otwierany. Pisałem do niego jeszcze wielokrotnie w dłuższych odstępach czasu, ale za każdym razem zwracał mi list nie czytany. W końcu dałem spokój. Głupio mi było, że tak mu się narzucam, ale naprawdę żal mi było chłopaka.

—I od tamtej pory nie miałeś żadnych wieści od niego?

—Nie, tylko pośrednio. Wiem tylko tyle, że wciąż jeszcze mieszka w swoim majątku, a przynajmniej mieszkał tam jeszcze kilka lat temu, kiedy to miałem o nim ostatnie wiadomości od mego współnika. Tymczasem mój współnik umarł i od tej pory nie wiem, co się dzieje ze stryjem Albertem.



Prawdopodobnie dalej gospodaruje w Weidenhofie i jest znanym w okolicy odludkiem i antyfeministą. Podobno dokupił ziemi i jest najlepszym gospodarzem w okolicy, podobnie jak jego ojciec. Ale nigdy nie pojawia się poza granicami swego majątku. Co prawda to duży majątek i Albertowi na pewno nie jest ciasno. Ludzie w okolicy opowiadają sobie o nim niestworzone historie. Szkoda go, to był bardzo wartościowy człowiek.

Maria patrzyła wprost przed siebie szeroko otwartymi oczyma.

—Czy zawsze najbardziej wartościowi ludzie muszą najwięcej cierpieć, ojcze?  
— spytała cicho.

Nie mogła oderwać myśli od postaci stryja Alberta. Zdjęła ją głęboka litość nad jego losem. Ponieważ sama wiele wycierpiała — więcej, niż się do tego przyznawała przed ojcem — rozumiała dobrze tego samotnego, nieznanego jej osobicie mężczyznę, który przeżył taki zawód. Zrozumiawszy, jak niegodziwym człowiekiem był jej mąż, ona też miała ochotę zagrzebać się w samotności, jak śmiertelnie zranione zwierzę.

Wróciwszy do siebie i położywszy się, Jerzy Tomau wciąż rozmyślał o swym nieszczęśliwym kuzynie. I nagle przyszła mu do głowy zbawienna myśl. Przecież Albert Tomau był jego kuzynem, a on — jego jedynym krewnym! Kuzyn był bogaty, miał dobra ziemskie — i nie miał rodziny. Może u niego znajdzie azyl wraz z córką, gdy, jak się obawiał, inflacja pożre resztkę gotówki i powali go na ziemię? Po raz pierwszy od wielu lat myślał tak intensywnie o kuzynie, obracając *na* wszystkie strony myśl, która nigdy przedtem nie powstała mu w głowie. Nie chodziło mu o siebie. Nigdy nie liczył na to — w ogóle o tym nie myślał — że mógłby kiedyś zostać spadkobiercą kuzyna. To z powodu Marii ta myśl uderzyła go teraz nagle i drażyła jego serce. To dla Marii myślał o tym majątku, który do tej pory był mu najzupełniej obojętny. Nie, nie, nie chciał myśleć o spadku, nawet dla Marii — ale azyl?

Rzuczał się niespokojnie na posłaniu i długo nie mógł zasnąć. We śnie przesładowała go ta sama myśl. Widział Marię na tarasie dworku w Weidenhofie. Siedziała w cieniu kwitnących drzew roześmiana i szczęśliwa, taka, jaka była

dawniej, nim poznała Herberta Lassberga.

Od tej chwili myśl o kuzynie nie opuszczała Jerzego Tomaua. Ale nie rozmawiał już nigdy potem z Marią. Najmniejszym słówkiem nie przypominał tego drażliwego tematu; czuł, że musi chronić Marię przed pokusą. W miarę jednak, jak inflacja postępowała, a on coraz bardziej ubożał i zmuszony był żądać od Marii coraz większych wyrzeczeń, coraz głębiej zapadała w jego duszę myśl o tej ostatniej desce ratunku. Była ona dla tego udręczonego mężczyzny tym, czym dla wędrowca przez pustynię jest oaza.

## V

Wkrótce Gladys Boverley wraz ze służbą i sekretarzem opuściła Berlin. Trzymała się dokładnie trasy podanej w liście do przyjaciółki Maud.

Herbert Lassberg okazał się doskonałym przewodnikiem podróży. Dużo podróżował, znał prawie wszystkie kraje europejskie i mieszkał zawsze w najlepszych hotelach. Mając do dyspozycji kasę Gladys, potrafił zapewnić jej — a przy okazji i sobie — wszelkie wygody w podróży. Okazał się w tym mistrzem i Gladys wieszowała sobie trafnego wyboru — niezależnie od wieców, które ich łączyły. Teraz dopiero rozsmakowała się w podróżach.

Herbert Lassberg lubował się w luksusie, toteż w gruncie rzeczy czuł się na swym „stanowisku” jak ryba w wodzie. Nie musiał już się liczyć z groszem, jak przez ostatnie, chude miesiące, a potrafił wydawać pieniądze jak wielki pan. Jedyną uciążliwą stroną przedsięwzięcia było to, że wobec Gladys musiał bez przerwy udawać czułego kochanka. Był jednak zbyt przebiegły, by tego zaniechać, póki Gladys nie była formalnie jego żoną.

Prawdziwym wytchnieniem były dla niego godziny spędzane w towarzystwie, gdy ze względu na zachowanie pozorów, mógł wobec Gladys zachowywać się chłodno i z rezerwą — jako jej sekretarz.

A Gladys Boverley jak na razie była zadowolona ze swego sekretarza. Karmił ją pochlebstwami i wyszukaną uprzejmością i potrafił przykuć ją do siebie — może właśnie dlatego, że serce jego milczało. Znając dobrze kobiety i ich słabości, widział Gladys na wylot. Jednego tylko nie wiedział: że Amerykanka nie zamierza wcale wyjść za niego. Będąc próżnym, nie dopuszczał do siebie takiej myśli. Był pewien, że jeśli tylko sam nie popełni jakiegoś błędu, Gladys poślubi go, gdy tylko uzyska rozwód. Sądził, że ma ją całkowicie w ręku, bo od niego zależy jej reputacja.

Oddawał się więc namiętnie rozkoszom tej luksusowej podróży. Czasem czuł zawrót głowy widząc, jakie sumy wydaje lekką ręką Gladys, tak jakby pieniądze nie miały dla niej żadnego znaczenia. Milionerka powierzyła mu kasę podróżną, z której czerpał pełną garścią, pokrywając z niej bez skrępowań także własne wydatki, tak iż jego „gaża” pozostawała nienaruszona. Nie domyślał się, że Gladys wie o tym. A ona nie wypominała mu tych oszustw, śmiejąc się z tego w duchu jak z dobrego żartu. Och, Gladys Boverley była elegancką, bogatą Amerykanką i potrafiła doskonale oddzielać sprawy finansowe od spraw sercowych; była to jedna z tych rzeczy, których nauczyła się od męża. Tymczasem jednak udawała ślepa, bawiły ją kombinacje Herberta. Niech ją oszukuje, nic nie szkodzi, chętnie zapłaci za wszystkie przyjemności. Zresztą podwyższyłaby mu pensję, gdyby się nie obawiała, że będzie to wyglądało tak, jakby mu dawała pieniądze. Mimo iż dobrze знаła Herberta, nie domyślała się, jak mało był wrażliwy pod tym względem.

Dla zachowania pozorów kazała mu wykonywać funkcje sekretarza. Dyktowała mu listy, musiał jej czytać, załatwiać formalności związane z podróżą, sprawdzać i płacić rachunki hotelowe, wynajmować taksówki i temu podobne sprawy. Czasem wołała ze śmiechem:

—Och, jaki ja mieć dobra sekretarz, my boy, ja dużo zadowolony z tobą. Ty odbierać mi kłopoty i trudy i robi wszystko, co mnie męczyć. Ja naprawdę dużo zadowolony z tobą.

Wtedy on przyciągał ją do siebie jakby pod wpływem dzikiej namiętności, całował jej usta i dłonie i mówił głosem drżącym ze wzruszenia:

—Kochaj mnie, Gladys, tylko mnie kochaj!

—Och, ty chcesz kochany być jeszcze dużo bardzo przeze mnie? Ty nie-grzeczny boy!

—Wciąż nie dość mi twojej miłości, Gladys, ubóstwiam cię!

Słuchała tego chętnie, te słowa schlebiały jej próżności, a była jeszcze bardziej próżna od niego. Nie zauważała jego spojrzeń, zimnych, krytycznych, gdy Herbert konstatował w duchu, że Gladys przekwita, że mimo gimnastyki i kuracji odmładzającej staje się coraz bardziej korpulentna. Oceniał ją na czterdzieści lat — jakże by się złościła, gdyby odgadła jego myśli. Ale on przezornie udawał, że wierzy w te jej dwadzieścia siedem wiosen. Przychodziło mu to z łatwością, gdy myślał o jej milionach.

Czasem udawało mu się rzucić okiem na raporty finansowe z Nowego Jorku — choć Gladys zwykle załatwiała te sprawy osobiście — i wtedy w głowie mu się kręciło od sum, jakie tam znajdował. Liczby te podsycaly jeszcze bardziej jego namiętność; tęsknił do dnia, w którym stanie się wolny, by na zawsze przywiązać Gladys do siebie. Wysyłał ponaglące listy do adwokata, na co otrzymywał niezmienną odpowiedź, że sprawy nie<sup>^</sup>, da się już bardziej przyspieszyć.

Pojechali przez Szwajcarię do Włoch, a stamtąd wrócili do Hamburga, gdyż Gladys nie chciała wracać włoskim parowcem. Herbert musiał zarezerwować miejsca na statku armatora niemieckiego.

Dzięki mądrym postępowaniu Herberta, Gladys wciąż była w nim zakochana i podróż morska sprawiła im obojgu dużo przyjemności. Na pokładzie Gladys spotkała nowojorskich znajomych i przedstawiła im zaraz swego sekretarza i przewodnika podróży. Herbert został wprowadzony w towarzystwo, a ponieważ Gladys nadawała ton, traktowano jej sekretarza jak równego sobie. Umiał bawić innych — zwłaszcza panie były nim oczarowane.

Podsycalo to namiętność Gladys. Sprawiało jej przyjemność patrzeć, jak panie wodzą pożądlwym wzrokiem za elegancką sylwetką jej przystojnego sekretarza. Podnosiło to jego wartość w jej oczach i znów triumfowała, że ma go tylko dla

siebie i że on najwyraźniej dba tylko o nią.

Gdy dotarli do Nowego Jorku, zastali dom przygotowany na jej przybycie. Była to elegancka willa; prócz tego Gladys miała willę nad morzem, o kilka godzin drogi od Nowego Jorku, gdzie spędzała gorące, letnie miesiące.

Wielu znajomych przysłało jej kwiaty na powitanie; był pośród nich wspaniały bukiet od Normana Westa. Gladys ukryła w kwiatkach swą płonąca twarz, jakby samo nazwisko tego człowieka wystarczyło, by wzbudzić w niej na nowo gorące pragnienia. Od tej chwili była nerwowa i niespokojna, omijała wzrokiem Herberta i odepchnęła go brutalnie, gdy chciał ją wziąć w ramiona, kiedy zostali po raz pierwszy po powrocie sami.

—Ty musi być bardzo ostrożna tu w moja dom. Być nie może, żeby ludzie widzieć, że ty tak poufały ze mną — wykrztusiła.

Herbert cofnął się zdumiony. Nigdy dotąd nie obeszła się z nim tak gwałtownie.

—Przepraszam, Gladys, ale przecież jesteśmy sami.

A ona już znów śmiała się, widząc jego przerażoną twarz.

—Och, ty głupi kochany boy, ty nie smucić się trzeba. Ale ja teraz być w domu, rządzić w domu, ja nie móc sobie tak pozwolić jak w podróż, gdzie ja był wolna człowiek. Służba nie należy tracić respekt przy mnie.

—Obiecuję ci, że będę ostrożny. Dzięki Bogu, niedługo już będę wolny; mój adwokat pisze mi, że dwudziestego maja jest ostatni termin rozprawy. Jeszcze tylko kilka tygodni, Gladys, i wtedy nic już nie będzie stać na przeszkodzie naszemu szczęściu.

—Well, ale teraz ty iść do swój pokój. Wszystko będzie gotów dla tobie i ty możesz gościć się. Ale ty czekasz, póki ja tobie nie wezwać; zawsze czekać, aż ja zawołać, nigdy nie przychodzi nie wołany, z powodu służba, rozumiesz? Ja mam duży obowiązki, mnóstwo, musi uważać, że nikt nie zauważyć, że ty nie zwykła sekretarz. A teraz idź, ja musi telefonować z dużo znajome. Wszystkie czekać na

mnie z tęsknotą.

Podawała mu rękę do ucałowania i Herbert wycofał się trochę zdeprymowany.

Przydzielono mu dwa pokoje: gabinet i sypialnię. Pokoje te zajmowali wcześniej poprzedni sekretarze pani Boverley. Były bardzo eleganckie, urządzone z tym praktycznym komfortem, jaki w Ameryce spotyka się powszechnie nawet w skromniejszych domach.

Zameldował się u niego doskonale ułożony służący i Herbert dał mu kluczyki od walizek, by rozpakował jego rzeczy. Wydawszy polecenia, zostawił służącego w sypialni, sam zaś przeszedł do gabinetu, rzucił się na otomanę i zapaliwszy papierosa, zapatrzył się w przestrzeń.

Gdy przed chwilą Gladys tak gwałtownie go odtrąciła, przeszło go nagłe uczucie lęku. Po raz pierwszy zdał sobie sprawę, że jednak nie panuje nad nią tak, jak mu się wydawało. Dało mu to do myślenia. A co będzie, jeśli nie zechce zostać jego żoną? Na tę myśl Herbert podskoczył i na jego twarzy pojawił się wyraz brutalności.

O, lepiej niech uważa! Mam w rękę jej reputację i potrafię ją zmusić. Musi wyjść za mnie po tym wszystkim, co między nami zaszło — myślał podniecony, zaciskając mimo woli pięści.

Po chwili twarz mu się rozpogodziła. Wszystko to bzdury i przywidzenia; jest we mnie śmiertelnie zakochana. To przed chwilą to po prostu nerwy. Właśnie dlatego, że ma zamiar zostać moją żoną, musi uważać, by nasze stosunki były na zewnątrz jak najbardziej poprawne.

Uspokoiwszy się, opadł z powrotem na otomanę. Znów smakował mu doskonały papieros. Swoim zwyczajem leżał gnuśny i otepiały, paląc i patrząc w sufit.

Gdy tylko Gladys została sama, zwinęła się jak kotka na fotelu i chwyciła słuchawkę telefoniczną. Połączyła się z biurem spółki, gdzie, jak, wiedziała, w tej chwili musiał znajdować się Norman West, i kazała go wezwać.

Norman West zgłosił się niezwłocznie, więc Gladys powiedziała po angielsku:



—Co słyhać, Mr. West? Mówi Gladys Boverley.

—Ach, Mrs. Boverley! Witam serdecznie! Wróciła pani szczęśliwie z Europy?

—Tak, wróciłam przed godziną i pośród innych kwiatów znalazłam także bukiety od pana. Bardzo dziękuję! Ucieszyłam się, że pan o mnie pamiętał. Kiedy pana zobaczę, Mr. West?

—Proszę mną rozporządzać, przyjdę chętnie powitać panią osobiście, Mrs. Boverley.

—Wobec tego czekam na pana jutro po południu przy herbacie. Muszę panu opowiedzieć o pańskiej ojczyźnie.

—To bardzo miło z pani strony. Przyjdę z przyjemnością.

—To frazes!

—O, nie! Pani wie, że ja nie lubię frazesów. Naprawdę cieszę się, że zobaczę panią po tak długiej nieobecności.

—Podzielam pańską radość, Mr. West. A zatem do widzenia!

Gladys odetchnęła głęboko, odłożyła słuchawkę i patrzyła przed siebie

płonącym wzrokiem. Cóż dla niej znaczył teraz Herbert Lassberg! Znów zapłonął w niej dawny żar miłości do Normana Westa. Wybuchnęła w niej dzika tęsknota do tego jedyne go mężczyzny, który potrafił jej zaimponować.

Bardziej niż kiedykolwiek zapragnęła go mieć za męża. Zastanawiała się podniecona, czy przypadkiem sprawa nie była jeszcze do wygrania.

Westchnęła i oddała się słodkim rozmyśleniom, które nie miały nic wspólnego z Herbertem Lassbergiem. Ale po chwili myśli te przepłoszyła jej przyjaciółka, Maud Bardon, która przybiegła ją powitać.

Kobiety miały sobie wiele do opowiedzenia. Po jakimś czasie Maud spytała zaintrygowana:

—A gdzież to twój sekretarz, Gladys? Muszę przyznać, że bardzo jestem go

ciekawa. Panna Sterley, z którą spotkaliście się na statku, zadzwoniła do mnie i opowiadała mi niestworzone historie o twoim pięknym i eleganckim sekretarzu.

Gladys roześmiała się.

—Jak można być tak ciekawą obcego mężczyzny, gdy się jest szczęśliwą żoną tak jak ty, Maud?

—Właśnie dlatego mogę się interesować twoim sekretarzem. Musisz mi go koniecznie przedstawić. Chętnie oglądam przystojnych mężczyzn, mojej miłości do męża to nie szkodzi.

—Pokażę ci go, Maud. Ale najpierw musimy spokojnie porozmawiać. Co tu się dzieje? Zapowiadają się jeszcze jakieś imprezy? Chyba jeszcze nie wszyscy wyjechali na wieś?

—No, zbyt wiele nie możesz się spodziewać. W każdym razie ja wydaję wielkie przyjęcie na twoją cześć. Mam nadzieję, że i ty zaprosisz przyjaciół na powitalną ucztę.

—Rozumie się!

—A kiedy wyjeżdżasz nad morze?

—W przyszłym miesiącu jeszcze nie, Maud. Mam nadzieję, że nie będzie wielkich upałów. Ale na pewno z początkiem czerwca wyjadę.

—W takim razie wproszę się do ciebie na kilka tygodni. Mój mąż wyjeżdża w interesach do Kalifornii. Nie chcę mu towarzyszyć, bo to będzie zwariowana podróż.

—Świetnie, Maud, cieszę się, że będziesz blisko mnie po tak długiej rozłące.

—Twój sekretarz będzie ci oczywiście towarzyszył?

Gladys znów się roześmiała.

—Zdaje się, że bardziej interesujesz się moim sekretarzem, niż by to wypadało, zważywszy twoje szczęśliwe małżeństwo — droczyła się z przyjaciółką, po czym

zadzwoń na służącego. — A więc każę podać herbatę i zawołam mojego sekretarza. Jeśli pozwolisz, dotrzyma nam towarzystwa, to interesujący człowiek.

—Bardzo się cieszę. To jasne, że musi być nie tylko przystojny, ale i interesujący.

—Naprawdę? A dlaczego to?

—Bo inaczej byś go nie zaangażowała, Gladys. Wszyscy twoi dotychczasowi sekretarze byli przystojni i interesujący. Czekałam tylko, kiedy za któregoś z nich wyjdiesz. Może właśnie ten zostanie twoim drugim mężem?

—Nie mam zamiaru wyrzekać się wolności — chyba że nadarzyłby się ktoś wyjątkowy.

—Za bardzo przebierasz. Powinnaś wyjść za męża. Nie ma sensu męczyć się samej.

—Nie palę się do tego, by ponownie włożyć jarzmo małżeńskie. A żeby cię uspokoić, powiem ci, że mój nowy sekretarz, pan Lassberg, z pewnością nie zostanie moim drugim mężem, choć jest bardzo przystojnym i interesującym mężczyzną. Wszystkim paniom na statku zawrócił w głowie.

—A tobie nie?

—Nie na tyle, bym miała dla niego poświęcić wolność. Ale zaraz go sobie spokojnie obejrzysz.

Wszedł służący i Gladys rozkazała podać herbatę i wezwać sekretarza. W kilka minut później do pokoju wszedł Herbert Lassberg, kłaniając się damom z ujmującą gracją. Maud Bardon przyjrzała mu się z uznaniem i mrugnęła znacząco do przyjaciółki.

—Prawdę mówiąc, jesteśmy starymi przyjaciółmi, Mr. Lassberg. Prowadzi pan korespondencję Mrs. Boverley, jesteśmy więc od kilku miesięcy w kontakcie listownym.

Herbert uklonił się elegancko i rzucił pani Bardon jedno ze swych fascynują-

cych spojrzeń. Gladys zauważyła z satysfakcją, że ta ładna, żywa kobieta zarumieniła się z wrażenia. Mrs. Bardon uznała, że Herbert Lassberg jest rzeczywiście bardzo „interesting”, i wdała się z nim w ożywioną pogawędkę.

Gladys brała żywy udział w rozmowie. Na chwilę zapomniała o Normanie Weście i Herbert znów wydał jej się godny pożądania, gdyż podobał się jej przyjaciółce. Herbert zaś wiedział doskonale, że musi się spodobać pani Bardon, gdyż to podbije jego cenę w oczach Gladys, toteż ze wszystkich sił starał się oczarować Maud. I rzeczywiście udało mu się to w granicach wyznaczonych przez flegmatyczną naturę pani Bardon i jej wierność mężowi.'

Po godzinie Maud Bardon pożegnała się, całując czule Gladys i pozwalając ucałować swą małą pulchną dłoń uroczemu sekretarzowi.

Gladys i Herbert zostali sami. Gladys skinęła mu głową z łaskawym uśmiechem.

—Ty być bardzo grzeczna, my boy, tak dobrze. Nikt nie ma wiedzieć, że ty dla mnie więcej jak sekretarz. Ale powiedz, czy wygodnie się urządzić w twoja pokój? Czy mieć wszystko, co potrzebuje? Nic nie brakować ciebie?

Herbert pocałował ją w rękę — nie miał odwagi pozwolić sobie na śmielsze pieszczoty.

—Przecież jestem z tobą — szepnął, zaglądając jej głęboko w oczy.

—Wszystko inne jest mi obojętne. Twój dom jest bardzo piękny i komfortowo urządzony.

—A jak tobie podoba się Maud Bardon?

—To czarująca dama, ale do mojej Gladys się nie umywa.

Pozwoliła mu za te słowa na przelotny pocałunek. Była łasa na komplementy i choć Maud Bardon była jej przyjaciółką, nie zniosłaby myśli, że tamta ją pod jakimkolwiek względem przewyższa. Tak daleko jej przyjaźń nie sięgała. Mimochodem zauważyła, że jej uczucia dla Herberta zdążyły znacznie ochłódnąć. Zaraz go też odesłała, polecając mu napisać kilka listów.

Herbert nie bardzo się do tego palił, starał się unikać pracy. Ale musiał posłuchać; poszedł do swego pokoju, gdy Gladys obiecała mu, że zje z nim kolację.

Herbert Lassberg uspokoił się. Pozbył się lęku, że Gladys chce lub może mu się wymknąć, ale za to tym bardziej nie mógł się doczekać dnia, gdy wreszcie będzie naprawdę wolny, by móc się z nią ożenić.

Kroczył uroczyście przez bogato urządzone pokoje, jakby brał je w posiadanie. Już niedługo będzie tu panem!

Wieczorem tego samego dnia Gladys poszła do siebie zaraz po kolacji, wymawiając się zmęczeniem. Herbertowi kazała wyjść i obejrzeć sobie Nowy Jork. Nie miał nic przeciwko temu, nie omieszkał jednak nadmienić z udawanym strapieniem, że Gladys wysyła go na zesłanie. Ale w gruncie rzeczy był zadowolony, że znów może sam oddać się przyjemnościom.

Podobnie było po obiedzie następnego dnia. Herbert nie podejrzewał nawet, że Gladys wysyła go z domu, gdyż zaprosiła Normana Westa na herbatę. Na razie Herbert w ogóle nie wiedział o istnieniu pana Normana Westa ani o tym, że jest kandydatem na szczęśliwszego rywala. Ucieszył się więc, że będzie miał okazję zwiedzić Nowy Jork także za dnia i dziękując za urlop, opuścił wkrótce dom. Nie spiesząc się, poszedł szeroką aleją do centrum.

Wyjrzawszy przez okno i skonstatowawszy, że Herbert wyszedł, Gladys, uszczęśliwiona, włożyła elegancką suknię popołudniową i z biciem serca czekała na Normana Westa. Gdy jej go zameldowano, zaciągnęła różowe, jedwabne zasłony, by uzyskać światło korzystniejsze dla swej urody, poprawiła makijaż, kazać sobie podać lusterko. Podobała się sobie. Gdy Norman West wszedł do salonu, zastał ją w fotelu, przy stoliku do herbaty w pozie wdzięcznej i niedbałej. Na okrągłym stoliku, prócz zastawy do herbaty, stała waza z pąsowymi różami. Koronkowy obrus opadał prawie do podłogi.

Z urzekającym uśmiechem Gladys podała Normanowi rękę do ucałowania, on zaś patrzył na nią z lekkim, wesołym uśmiechem.

—Podróż dobrze pani zrobiła, Mrs. Boverley. Wróciła pani o kilka lat młodsza

— powiedział z poczciwą galanterią, wiedząc, że Amerykanka przepada za komplementami.

Oczy Gladys zabłyśły.

—Mówi pan poważnie?

Norman czuł się bezpieczny wiedząc, że wkrótce opuści Nowy Jork, toteż, mimo iż widział, że ona znów przypuszcza na niego atak, odparł z mniejszą niż zwykle ostrożnością:

—Oczywiście, Mrs. Boverley. Jest pani jeszcze piękniejsza niż zwykle.

Powiedział to wiedząc, że Gladys lubi przesadne komplementy. Ale też wciąż jeszcze poczuwał się do wdzięczności wobec tej kobiety, która tyle lat temu, gdy był zupełnie obcym człowiekiem w Ameryce, otworzyła dla niego gościnne podwoje swego domu. Rozumiał dobrze, że Gladys nie jest właściwie zła i nie chciał być sędzią jej słabostek. Toteż prawił jej komplementy ciepłym i dobrotliwym tonem, który czynił tego tak poważnego zwykle przemysłowca uroczym człowiekiem. Gladys nie trzeba było wiele, by znów zapłonął w jej sercu przytłumiony płomień miłości.

Norman West wciąż stał przed nią, a ona, nie zmieniając pozy, spoglądała ku niemu unosząc głowę roziskrzonym wzrokiem.

Norman Wes był wysokim, szczupłym mężczyzną o muskularnej, dobrze wytrenowanej sylwetce, szerokich ramionach, wąskich biodrach i miękkich ruchach. Jego szare oczy, wyzierające z wąskiej i opalonej twarzy, zwykle spoglądały chłodno i bystro, czasami (jednak pojawiał się w nich wyraz dobroci, odmieniający twarz Niemca jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Zdarzało się to na przykład, gdy przyglądał się dzieciom lub innym bezbronnyom stworzeniom. O tym, że przy całym jego poważnym trybie życia, nieobce mu było poczucie humoru, świadczyły drobniutkie znfarszki w kącikach oczu. Wąski nos i wyraziste usta w połączeniu z rysami świadczącymi o energii i stanowczości, szeroki, rasowy podbródek i piękne białe zęby, które ukazywał mówiąc lub śmiejąc się — wszystko to nadawało jego twarzy sympatyczny wyraz. Miał imponującą osobo-



wość i patrząc na niego, łatwo było zrozumieć, że zaszedł tak wysoko.

Gladys w duchu porównywała go z Herbertem Lassbergiem. Ten ostatni był przystojniejszy, ale Norman West miał osobowość! I znów poczuła gorące pragnienie przywiązania do siebie tego mężczyzny.

Jak zwykle zabrała się do tego niezręcznie. Człowieka takiego jak Norman West nie można było zdobyć kokieteryą. By osiągnąć cel, kobieta musiałaby mieć inne, głębsze i lepsze cechy niż Gladys Boverley.

Ale Norman West był na tyle poczciwy, że nie zauważył niewybrednej gry Gladys Boverley. W dobroci serca brał wszystko za dobrą monetę. Prawił jej komplementy, mówił to, co pragnęła usłyszeć. Ona zaś opowiadała mu o swej podróży, zwłaszcza o wrażeniach z Niemiec, zabawną, łamaną niemczyzną. Słuchał jej z przyjemnością, wreszcie rzekł:

—Poczyniła pani zdumiewające postępy w niemieckim, Mrs. Boverley. Cieszę się, że mogę teraz z panią rozmawiać w moim ojczystym języku. A w ogóle, dopiero teraz widzę, jak bardzo mi pani brakowało przez te wszystkie miesiące — powiedział nieostrożnie i przestraszył się widząc, jak jej oczy zabłyśły szczęściem.

—Czy to aby prawda, proszę pana?

—Zawsze mówię prawdę, o ile nie muszę akurat kłamać — odparł ze śmiechem, siląc się na swobodę. — Naprawdę cieszę się, że znów jestem u pani na herbatce. Pani dobrze wie, że jej dom przez długi czas był dla mnie cichą przystanią — zwłaszcza póki żył mój przyjaciel, a pani małżonek.

—Och, ten dom może być nadal dla pana cichą przystanią, jeśli pan tylko zechce — odparła podniecona.

Norman nie umiał powiedzieć, na ile Gladys mówiła to poważnie. Na wszelki wypadek odparł wymijająco:

—Wolę na to tak bardzo nie liczyć. Jest pani zbyt młoda, by pozostawać nadal w stanie wdowieństwa. A jeśli pani pewnego dnia wprowadzi do domu nowego małżonka, on będzie decydował, kto tu ma prawo wstępu, a kto nie.

Gladys spojrzała na niego dziwnym wzrokiem.

—Gdybym kiedykolwiek wyszła za mąż, to... to mój mąż z pewnością pana polubi. Tylko pod tym warunkiem zdecyduję się po raz drugi wyjść za mąż, że znajdę człowieka, który we wszystkim będzie do pana podobny, będzie tak samo jak pan męski i godny zaufania.

Jej ton powiedział mu więcej niż słowa i Norman West poczuł się nieswojo. Poderwał się nagle, spojrzał na zegarek i powiedział szybko:

—Niestety, muszę już panią pożegnać. Mam jeszcze kilka konferencji.

Gladys wpadła w gniew.

—Ach, te okropne interesy!

Norman roześmiał się wesoło.

—Takie są kobiety; złością się na interesy, które im zapewniają wygodne życie, jakiego potrzebują, by czuć się szczęśliwe.

Teraz i Gladys musiała się roześmiać. W końcu rzekła proszącym tonem:

—Ale odwiedzi mnie pan znów niebawem?

Chciał jej odpowiedzieć, że nie będzie mógł jej w przyszłości tak często odwiedzać, gdyż najpóźniej za dwa miesiące wybiera się do Niemiec; ale jakieś nieokreślone uczucie powstrzymywało go wciąż przed zawierzeniem jej tego planu. I tak dowie się w porę. Zamiast tego powiedział więc, całując ją w rękę:

—Spróbuję wpaść za kilka dni. Mam teraz bardzo dużo pracy.

Była to prawda. Planowany powrót do Niemiec przysparzał mu dużo zajęć i kłopotów. Ale był zadowolony, że ma wymówkę, zorientowawszy się, że Gladys Boverley wciąż jeszcze myślała o związku z nim. Pożegnał się spieszenie.

Gladys odprowadziła go wzrokiem.

—Ten albo żaden! —wyrzekła przez zaciśnięte zęby.

Wróciwszy w godzinę później do domu, Herbert Lassberg zastał panią w złym

humorze. Nie przyjmowała jego czułości i traktowała go tak, jakby był tylko jej pracownikiem i nikim więcej.

Sytuacja pogarszała się z dnia na dzień. Bywały chwile, gdy w Gladys budziły się dawne żądze, gdy chętnie przyjmowała czułości i komplementy Herberta, ale przeważnie myślała o Normanie Weście. Herbert Lassberg najpierw jej zobojętniał, a następnie zaczął jej ciążyć.

Pewnego dnia otrzymał wiadomość, że rozwód stał się faktem dokonany. Był wolny. Wpadł z tą wieścią jak burza do pokoju Gladys, ale ta przyjęła nowinę z taką obojętnością, że aż się zdumiał.

—Nie cieszysz się, Gladys, że wszystkie przeszkody zostały usunięte, że nic już nie stoi na drodze do naszego małżeństwa? — spytał niespokojnie.

Amerykanka spojrzała na niego zimno.

—Nie być dla mnie dużo ważny, czy moja sekretarz żonata czy rozwiedziona — powiedziała sucho i wyszła z pokoju.

Przez chwilę Herbert stał jak sparaliżowany, wpatrując się tępym wzrokiem w drzwi, które się za nią zamknęły. Był blady jak ściana. Co to miało znaczyć? Przeraził się, że za niego jednak nie wyjdzie, mimo że był teraz wolny. Co wtedy?

Poszedł wolno do swego gabinetu. W jego oczach zapaliły się niebezpieczne błyski, na twarzy znów pojawił się wyraz brutalności. Niech się nie waży z nim igrać! Miał broń w ręku i nie zawaha się jej użyć, jeśli będzie wzbraniała się go poślubić! Nie miał zamiaru dać się wodzić za nos. Był wolny, a ona mu obiecała, że wyjdzie za niego, kiedy będzie wolny. A może mu nie obiecała? Zastanowił się nad tym i zgrzytając zębami, doszedł do wniosku, że nigdy mu takiej obietnicy nie składała. Gdy tylko kierował rozmowę na temat ich przyszłego małżeństwa, wymigiwała się nic nie znaczącymi uwagami podkreślając, że na razie nie jest wolny. Czy robiła to świadomie, by nie musieć dawać obietnicy? On bez przerwy mówił jej o związku małżeńskim, a ona — nigdy. Ale swoim zachowaniem dała mu przecie do zrozumienia, że widzi w nim swego przyszłego męża!

Patrzył przed siebie złym wzrokiem. Niech się ma na bacności! Ale nie mógł

już opanować lęku, że może jednak nie uda mu się zmusić jej do ślubu.

Próbował sam siebie wyśmiać. Przed chwilą Gladys miała po prostu zły humor. Ten pan West znów był u niej. Już kilkakrotnie zauważył, że zawsze po wyjściu Westa była w złym humorze. I nigdy nie pozwalała mu się zbliżyć do siebie, gdy tamten mężczyzna ją odwiedzał. Gladys powiedziała mu, że spotyka się z nim w interesach; wiedział też od służby, że pan West był współnikiem zmarłego męża Gladys. Mimo to Herbert postanowił dzisiaj zaczekać na Mr. Westa. Gdy go zobaczył, stwierdził z niezadowoleniem, że Norman West jest człowiekiem interesującym. Był też nieżonaty —wiedział to od służby. A może pana Westa i Gladys łączy jeszcze co innego i stąd jej zły humor?

Nagle opanowała go ślepa zazdrość. Wyobraził sobie, że ten pan West nosi się z zamiarem poślubienia Gladys. Źródłem tej zazdrości nie była osoba Gladys, lecz jej pieniądze.

Odtąd Herbert Lassberg bez przerwy zastanawiał się nad tym, jak zmusić Gladys do małżeństwa. Musiał się spieszyć, gdyż czuł, że Amerykanka wymyka mu się spod kontroli. A on musi ją ujarzmić — za wszelką cenę.

## VI

Maria Lassberg odetchnęła, gdy rozwód stał się faktem dokonany. Zaraz też wystąpiła o przywrócenie panińskiego nazwiska. Chciała wyrzucić całkiem z pamięci to niefortunne małżeństwo. Tak więc znów nazywała się Maria Tomau.

W ostatnich miesiącach sytuacja jej i ojca znów się pogorszyła. Żadne ograniczenia i wyrzeczenia nie mogły im zapewnić choćby znośnych warunków życia.

Jerzy Tomau wprowadził się do swojej córki, Maria odstąpiła cztery pokoje radczyni Selton i oddała nawet pokojówkę. Czasem pomagała jej Małgosia, córka dozorca. Marii wcale nie przeszkadzało, że musi wszystko w domu robić sama. Praca fizyczna miała na nią zbawienny wpływ, pozwalała choć na chwilę oderwać

się od smutnych rozmyślań. Bolało ją natomiast, że nie potrafi umniejszyć trosk ojca. Zamartwiał się z powodu ich tragicznego położenia.

Wreszcie ze skromnych zasobów pieniężnych Tomaua nie pozostało nic i trzeba było jeden po drugim sprzedawać co cenniejsze meble. Ale nie na wiele się to zdało. Nominalnie ogromne sumy uzyskane dziś ze sprzedaży — nazajutrz były bezwartościowym plikiem papierów. Mieszkanie stopniowo opróżniało się. Maria sprzedawała meble dobrze sytuowanej radczyni Selton — Holenderce z pochodzenia, trzymającej majątek odziedziczony po ojcu w bankach holenderskich, gdzie był zabezpieczony przed inflacją. Ona też zajmowała kolejno coraz więcej pokoi mieszkania Tomauów. Ojciec i córka zatrzymali dla siebie tylko dwie sypialnie i wspólny salon.

Maria próbowała znaleźć jakieś źródło zarobków, ale wszystko na nic. Ojciec również codziennie poszukiwał posady, ale nigdzie nie chciano zatrudnić sześćdziesięciolatka. Ale i młodość Marii była jej raczej zawadą niż pomocą. Stukała do wielu drzwi, próbowała w różnych miejscach, lecz wszędzie odsyłano ją z kwitkiem; zwalniano z pracy nawet doświadczonych pracowników, odmawiano pracy osobom mającym świetne referencje — któż zawracałby sobie głowę nieoświadczoną młodką!

Maria codziennie wędrowała do galerii, gdzie wystawiła na sprzedaż kilka obrazów, mając nadzieję sprzedać któryś z nich. Na próżno!

W końcu ojciec i córka popadli w skrajną nędzę; sprzedali już wszystko poza kilkoma najniezbędniejszymi sprzętami. Błdzi i wycieńczeni, odżywiali się kartoflanką i suchym Chlebem.

Jerzemu Tomauowi serce ścisnęło się z bólu, gdy widział, jak Maria mężnie próbuje przywołać na twarz pełen ufności uśmiech. A inflacja szalała — owa przerażająca, szarpiąca nerwy zmora tamtych powojennych lat. I im bliżej lata, tym trudniej było przeżyć.

Widząc, że sam nie da rady uchronić swego dziecka przed śmiercią głodową, Jerzy Tomau schował dumę do kieszeni i pewnego dnia napisał list do swego kuzyna Alberta Tomaua.

*Drogi Kuzynie Albercie!*

*Od wielu lat nie pisałem do Ciebie, gdyż odsyłałaś mi listy nie otwarte. I dlatego na kopercie tego listu piszę wielkimi literami: SOS. Skoro to zobaczysz, na pewno przeczytasz mój list. Gdym pisał do Ciebie ostatni list, pragnąłem wyrwać Cię z nieszczęścia, podnieść na duchu, pomóc. A dziś do ręki wciska mi pióro nędza, potworna zmora naszych czasów — jedyną nadzieję pokładam w tym, że otworzysz ten list i przeczytasz go. Błagam Cię, ulituj się nad nami! Stoimy wraz z córką w obliczu zagłady. Inflacja zjadła mój cały majątek, musiałem sprzedać fabrykę, spieniężyć wszystko, co posiadałem, lecz to przepłynęło przez nasze ręce jak woda. Musiałem sprzedać meble, prócz najkonieczniejszych sprzętów, ubrania — prócz tych, które mamy na sobie. Mimo wysiłków, ani ja, ani Maria nie możemy znaleźć pracy.*

*Gdyby chodziło tylko o mnie, raczej zabiłbym się, niż prosił o pomoc. Ale oto moje jedyne ukochane dziecko na moich oczach marnieje — policzki ma coraz bledsze, oczy jej straciły blask. Nie mam już dumy! Czy możesz nam pomóc, Albercie? Czy możesz nam dać jakąś pracę w Twoim majątku i w zamian za to kąć i utrzymanie? Pieniądze tu na nic, bo tracą wartość i topnieją w oczach. Inflacja to żarłoczne zwierzę. Nie boimy się pracy, możemy wykonywać choćby najcięższą i najbrudniejszą.*

*Proszę Boga, byś otworzył ten list. Bo jeśli Ty nam nie pomożesz, to koniec z nami. Wiem, że jeśli tylko przeczytasz ten list — pomożesz nam, gdyż zawsze byłeś dobry, mimo zgorzknienia. Ale jeśli pragniesz nam pomóc, Albercie, to zrób to szybko, póki jeszcze nie jest za późno. Przyjmij chociaż moją córkę, pomóż jej, błagam!*

*Twój kuzyn Jerzy Tornau*

Mijał ósmy dzień, jak Jerzy Tornau wysłał ów list, a odpowiedzi nie było. Ale też list nie wrócił nie otwierany i Jerzy Tornau nie tracił nadziei.

Tymczasem ojciec i córka byli u kresu sił. Marii pozostał jeden jedyny klejnot, z którym nie mogła się rozstać — pierścionek ofiarowany jej przez matkę na łożu



śmierci. Miał to być jej talizman, chroniący ją we wszelkich niebezpieczeństwach — tak powiedziała matka. I oto nadeszła chwila, gdy będzie się go musiała pozbyć.

Od dwóch dni oboje nic nie jedli. Maria patrzyła z niepokojem na ojca pogrążonego w apatii, z rezygnacją wyglądającego przez okno.

—Ojczy, idę sprzedać pierścionek od mamy. Nie ma rady, musimy coś zjeść.

Ojciec spojrział na nią oczyma pozbawionymi blasku.

—Twój talizman, Mario — chcesz go poświęcić?

—Nie ma rady, ojczy. Zajrzę przedtem do galerii. Powiedziałam wczoraj właścicielowi, że może sprzedać moje obrazy za każdą cenę, jeśli znajdzie się kupiec. Może udało mu się któryś z nich sprzedać. A jeśli nie, to sprzedam pierścionek — nic na to nie poradzimy!

Włożyła wyświechtany zakieciak, na głowę niedbale wcisnęła stary kapelusik i już chciała się pochylić, by pocałować ojca na pożegnanie, gdy starszy pan zerwał się z krzesła. Na dole zobaczył listonosza. Od ośmiu dni, targany niepokojem, wyglądał listu. Przytrzymał się córki, jakby miał za chwilę stracić równowagę.

—Poczekaj jeszcze minutę, drogie dziecko, poczekaj! — powiedział ochrypłym głosem.

W chwilę później usłyszeli dzwonek. Maria poszła otworzyć i po chwili wrócił z listem w ręku. Spojrzała pytająco na ojca.

—List został nadany w majątku Weidenhof, ojczy — powiedziała zdziwiona, gdyż ojciec, nie chcąc jej narażać na rozczarowanie, nie powiedział jej, iż napisał do kuzyna.

Drżącą ręką wziął od niej list, otworzył i czytał:

*Drogi Kuzynie Jerzy!*

*Przez kilka dni nie mogłem się zdecydować, by otworzyć Twój list, mimo iż na kopercie umieściłeś sygnał SOS. Gdyby nie to, odesłałbym go, nie odpieczętowując nawet. Te trzy litery przyciągały jednak mój wzrok, były jak surowe napomnienie*

— w końcu list otworzyłem. I po raz pierwszy od bardzo długiego czasu doznałem wstrząsu. Usunąłem się od świata i nie dbam o bieżące wypadki. Ale to jedno i do mnie dotarło, że w naszym kraju szaleje potworna inflacja, choć nade mną, dzięki Bogu, nie ma ona władzy, a to dlatego, że trzymam się wiernie zwyczaju ojca. Ojciec deponował zawsze wszystkie pieniądze w bankach szwajcarskich i holenderskich, wychodząc z założenia, że kraje te mają największą szansę, by nie być wplątane w wojnę. A i mój majątek nie stracił na wartości w wyniku inflacji

A więc i Ty padłeś jej ofiarą, biedny Jerzy. Powinieneś był wcześniej zwrócić się do mnie. Choć bowiem odwróciłem się od wszystkich ludzi, których kiedyś cenilem, stając się starym dziwakiem, to przecież nie dopuszczę, by ktoś z rodu Tornauów miał cierpieć nędzę — zwłaszcza Ty, który zawsze byłeś mi szczerym przyjacielem. Jeśli Ty i Twoja córka wyrzekniecie się widywania mnie, przyjeżdżajcie do Weidenhofu. Dom jest obszerny, z łatwością możemy schodzić sobie z drogi. Będziecie mieszkać w bocznym skrzydle, którego wcale nie używam. Służba przyjmie Was i zadba o Wasze wygody. Jeśli przyjmiecie mój warunek, czeka Was tu spokojne życie. Załączam czek na pokrycie kosztów podróży i zakup niezbędnych rzeczy. Jako moi krewni, nie możecie przecież przyjechać w łachmanach. Proszę Was, kupcie sobie wszystko co potrzeba. Czek opiewa na franki szwajcarskie — to Was zabezpieczy przed inflacją. Wystarczy, jeśli zawiadomisz mnie telegraficznie, kiedy przyjeżdżacie. Konie będą czekały na Was na stacji Neurode. Tylko nie zapominaj, Jerzy, że nie chcę się z Wami spotykać, a przede wszystkim z Twoją córką. Gdyby nie należała do naszego rodu, nie miałyby w ogóle wstępu do majątku, gdyż kobiety muszą trzymać się z daleka od mego domu. Na szczęście to jeszcze dziewczynka i nie zdążyła unieszczęśliwić żadnego mężczyzny. W przeciwnym razie zastanawiałbym się, czy mogę Ją przyjąć w Weidenhofie. Godzę się na Jej pobyt tylko dlatego, że pochodzi z Tornauów i jest Twoją córką. Nienawidzę kobiet — przede wszystkim rozwódek, sprowadzających nieszczęście na mężczyzn. Jest to zadawiona nienawiść, proszę Cię więc, przypominaj Swojej córce, że ma mnie unikać.

Poza tym jednym warunkiem nie braknie Wam tu niczego, o wszystko zadbam. Resztę przekaże Wam służba.

Twój kuzyn Albert Tornau

Jerzy Tornau z głębokim westchnieniem ulgi opadł na krzesło.

—Bogu niech będą dzięki! Jesteśmy uratowani! —wyksztusił.

—Ojcze, drogi ojcze, co ci jest?

—Moje dobre dziecko, jesteśmy uratowani! Nie musisz już sprzedawać pierścionka matki. Masz, czytaj!

Przeczytawszy list, Maria spojrzała speszona na ojca.

—Napisalesz do stryja Alberta, ojcze?

—Tak, Mario, poprosilem go o pomoc. Dzieki Bogu zachowal dobre serce, mimo wszystkich dziwactw. Koniec nędzy, przenosimy się do Weidenhofu!

—Czyż nie czytalesz, ojcze, tego, co stryj pisze na końcu? Nienawidzi kobiet — przede wszystkim rozwódek, sprowadzających nieszczęście na mężczyzn.

—Ależ, dziecko, z tobą było przecież inaczej.

—Trudno go będzie o tym przekonać. Jedno jest pewne: chce mnie widzieć w Weidenhofie tylko dlatego, iż zakłada, że jestem niezamężna.

Jerzy Tomau osłupiał, po czym machnął ręką, opędzając się od jej argumentów jak od czegoś, co przeszkadza mu w pochwyceniu koła ratunkowego.

—Owszem, uważa cię za niezamężną. Więc cóż z tego? Po prostu na razie nie będziemy wyprowadzać go z błędu. Nie dowie się, że jesteś rozwiedziona. Oboje wiemy dobrze, że jesteś niewinna. Któregoś dnia na pewno uda nam się o tym przekonać Alberta. Jego nienawiść do kobiet, zwłaszcza rozwiedzionych, ma swoje źródło w smutnych doświadczeniach z matką i narzeczoną. Ale ty, moje dziecko, jesteś inna. Gdyby Albert znał twoją historię, z pewnością by ci współczuł. Nie możemy mu teraz tego wszystkiego wyjaśnić, więc najlepiej będzie, gdy mu na razie nie powiemy, że byłaś mężatką i że jesteś rozwiedziona. Na szczęście nosisz teraz nazwisko twego ojca i możesz zameldować się w Weidenhofie jako Maria Tomau. Nie mamy wyboru, dziecko, jeśli nie chcemy umrzeć z głodu. Jestem szczęśliwy, że Albert udziela nam azylu u siebie; musimy przyjąć jego ofertę. Nawet nie wiesz, jaki ciężar spadł mi z serca, moje drogie dziecko. Dziękuję Bogu za pomoc w tej tragicznej chwili i wierzę, że nie poczyta nam za grzech, jeśli za-

taimy przed kuzynem twoje małżeństwo i rozwód. To naprawdę żadna różnica, czy będziesz w Weidenhofie panną czy panią Tomau.

Maria czule pogłaskała czoło ojca. Patrząc z litością na jego zapadłą twarz, mówiła sobie, że gdyby się wzdragała jechać do majątku stryja, ojca pewno by to zabiło. Zaraz się ożywił i obudził z apatii, gdy tylko zaświtała nadzieja ratunku. Maria nie miała serca dręczyć go dłużej swymi wątpliwościami. W końcu, jakie to ma znaczenie, że będą ją uważać w majątku za pannę Tomau? Powinna myśleć o ojcu i być wdzięczna stryjowi, że zechciał zgotować mu spokojny schyłek życia. Wszystko się jakoś ułoży.

—A więc w imię Boże przyjmijmy tę wielkoduszną ofertę, drogi ojcze. Będę u twego boku tak długo panną Tomau, aż uda nam się przekonać stryja Alberta, że jestem wprawdzie rozwiedziona, ale całkiem niewinna.

Starszy pan uściskał córkę.

—W ostatniej chwili los zlitował się nad nami. Odczuwam wdzięczność i ulgę. Te okropne czasy wywróciły wszystkie wartości. Gdyby mi dawniej powiedziano, że będę szczęśliwy na łaskawym chlebie, nie uwierzyłbym.

—Nie będziemy na łaskawym chlebie, ojcze, zapracujemy na siebie. Stryj Albert wyświadczy nam tę łaskę i da nam pracę. W tak wielkim majątku zawsze znajdzie się jakaś robota — choćbym miała pracować w polu. Nie boję się żadnej pracy, jestem młoda i silna. A dla ciebie na pewno znajdzie się jakieś lżejsze zajęcie, odpowiednie do twoich sił.

Ojciec i córka długo jeszcze rozmawiali ze sobą, ciesząc się ze szczęśliwego zwrotu w ich życiu. Wreszcie Jerzy Tomau wyjął z koperty załączony przez kuzyna czek na tysiąc franków szwajcarskich. Biorąc pod uwagę aktualny przelicznik, była to bardzo wysoka suma.

—Za te pieniądze ubierzemy się, Mario, byśmy nie przyjechali do Weidenhofu jak nędzarze. Podróż kosztuje niewiele. No, a teraz, moje drogie dziecko, zafundujemy sobie porządne jedzenie, bo inaczej się pochorujemy. Zasłużyliśmy sobie na solidny posiłek.

—Zaraz zaniesiemy czek do banku, ojczy, ale podejmiemy dziś tylko niewielką sumę, gdyż pieniądze tracą na wartości. Najlepiej będzie, gdy od razu kupimy wszystko co potrzeba, a resztę pieniędzy podejmiemy w dniu wyjazdu.

Starszy pan skinął głową.

—Z tysiącem franków w kieszeni czuję się jak prawdziwy krezus.

—Ojczy, zajrzę jeszcze raz do galerii. Jeśli właściciel sprzedał moje obrazy, to na pewno za śmieszłą sumę. A jeśli nie, zabiorę je; może uda mi się je później sprzedać — albo podaruję je stryjowi Albertowi w dowód wdzięczności.

—Słusznie, kochanie. A teraz zjedzmy coś — czuję podwójny głód, od kiedy wiem, że będę mógł go zaspokoić.

Maria rzuciła się ojcu na szyję.

—Ach, drogi ojczy, jestem taka wdzięczna stryjowi Albertowi, że nas wyciągnął z tej nędzy!

Poszli zaraz do banku. W drodze powrotnej Maria zrobiła zakupy i zjedli w domu wspaniałą posiłek. Tylko ten, kto poznał głód, wie, jak im to jedzenie smakowało.

Po południu dziewczyna poszła do galerii i — o dziwo! — okazało się, że oba jej obrazy zostały sprzedane. Dostała za nie grosze — starczyłoby ledwie na parę dni skromnego życia. Właściciel galerii z pewnością zarobił na tych obrazach więcej niż ona. Teraz żałowała, że nie może ich odzyskać, ale nie było rady. Wyobraziła sobie, jaka byłaby szczęśliwa, mając te pieniądze, gdyby nie niespodziewana pomoc stryja Alberta. Namaluję dla niego inny obraz — postanowiła.

Wróciwszy do domu, z uśmiechem położyła na stole skromną sumę pochodzącą ze sprzedaży obrazów. Nie czuła już goryczy.

—Spójrz, drogi ojczy, oto zapłata za wiele miesięcy pracy. Starczyłoby nam to zaledwie na kilka dni. Ale bądź co bądź są to samodzielnie zarobione pieniądze.

Ojciec przyciągnął córkę do siebie.

—Ach, jak ja się cieszę, że twoja przyszłość jest zabezpieczona, córeczko!

## VII

Dwór Weidenhof — okazały budynek — położony był malowniczo pośród wielkiego ogrodu, ciągnącego się z jednej strony aż do rzeki, z drugiej — aż hen pod las. Był to rodzaj zamczyska, składającego się z obszernej części środkowej i dwu mniejszych bocznych skrzydeł. Część środkowa zwieńczona była okrągłą wieżą. Do wysoko położonego portalu wiodły szerokie schody z piaskowca. Każde ze skrzydeł miało własne wejście, prócz tego połączone było wewnątrz z częścią środkową. Budowla ta została wzniesiona w stylu barokowym, ale miała zaledwie sto lat. Dom zbudował w roku 1823 przodek Alberta Tomaua, kiedy stary dworek okazał się za mało reprezentacyjny. W starym dworze, położonym o jakiś kwadrans drogi stąd, mieściły się obecnie pomieszczenia gospodarcze. Piękna barokowa budowla przez służbę w majątku, jak również przez mieszkańców wsi i gminy Neurode nazywana była „nowym dworem”.

Majątek rodowy Weidenhof był największą posiadłością w bliższej i dalszej okolicy. Do gminy Neurode należał również majątek Neurode, który nie mógł się jednak mierzyć z Weidenhofem. Z biegiem czasu majątek ten podupadł, podczas gdy Weidenhof stał się kwitnącym, wzorowym gospodarstwem. Dobra Neurode ucierpiały z powodu niesprzyjających warunków, ale też z winy właściciela, trwoniącego lekkomyślnie pieniądze. Weidenhof przynosił dochody, Neurode miał obciążoną hipotekę. Obecny właściciel już dawno sprzedałby zadłużony majątek, gdyby znalazł się kupiec. A o to nie było łatwo, gdyż po to, by dźwignąć Neurode z upadku, trzeba było zainwestować ogromny kapitał.

I tak oto sąsiadowały ze sobą podupadły majątek Neurode i słynne w okolicy wzorowe gospodarstwo Weidenhof. Albert Tomau był świetnym gospodarzem; praca na roli była jego pasją. Nawet w tych ciężkich czasach potrafił utrzymać dochodowe gospodarstwo. Sam zresztą wiodł skromne, oszczędne życie i nie gonił za luksusami.



Albert Tomau z nikim nie utrzymywał stosunków; stykał się tylko ze swymi robotnikami i urzędnikami. Co jakiś czas w Weidenhofie zjawiali się ludzie, z którymi prowadził interesy. W polu widywał czasem pana na Neurode, ale nie spotykali się na stopie towarzyskiej, gdyż sąsiad był żonaty. To wystarczyło, by Albert trzymał się z daleka od jego domu.

Służba składała się wyłącznie z mężczyzn — prócz gospodyni, panny Döring, potwornie szpetnej niewiasty, mającej maniery mężczyzny. Była za to doskonałym pracownikiem — w domu wszystko szło jak po maśle.

Najdziwniejsze ze wszystkiego były jej stosunki z panem domu. Tak jak Albert Tomau był wrogiem kobiet, tak panna Döring była zdeklarowanym wrogiem mężczyzn. Gdy mieli coś ze sobą do załatwienia, odzywali się do siebie tonem tak zajadle nienawistnym, jakby byli śmiertelnymi wrogami. Ale w głębi duszy chowali dla siebie uczucia głębokiego szacunku i biada temu, kto by przy jednym z nich obmawiał drugie.

Albert Tomau miał pięćdziesiąt pięć lat, panna Döring też dobiegała pięćdziesiątki. Podjęła pracę w Weidenhofie na krótko przed pierwszą i jedyną, a tak nieszczęśliwie zakończoną, wycieczką Alberta Tomaua między ludźmi. Gdy wrócił do majątku z goryczą w sercu, zdruzgotany i upokorzony, w pierwszym odruchu zwolnił całą kobiecą załogę, zastępując ją mężczyznami. Jako ostatnią miał zamiar zwolnić pannę Döring, podówczas kucharkę we dworze. Słyszał od służących, że dama ta jest zagorzałym wrogiem mężczyzn i nie dopuszcza żadnego z nich do swego królestwa — kuchni. Gdy Panna Döring zjawiała się przed obliczem dziedzica, by odebrać zapłatę i świadectwo pracy, wprawiała go w zdumienie nienawistnym spojrzeniem, jakim go mierzyła.

—I czemuż to patrzy pani na mnie z taką złością? Nic na to nie poradzę, że nie mogę ścierpieć kobiet w moim domu. Wszystkie kobiety są fałszywe, nie znoszę kobiet — odezwał się Albert Tomau.

—A ja nie znoszę mężczyzn, bo to zakłamanie plemię. Są jeszcze bardziej fałszywi od kobiet, może pan być pewien. A pan nie jest wcale lepszy, panie Tomau. Cieszę się, że nie będę już pana oglądać na oczy. Chciałabym znaleźć takie miej-

sce, gdzie nie będzie w ogóle mężczyzn. To nie moja wina, że mnie Pan Bóg stworzył tak brzydką, że nikt na mnie patrzeć nie może. Dawaj pan pieniądze i świadectwo pracy, bym nie musiała dłużej oglądać pańskiej facjaty. Pan się mnie tak samo nie podoba, jak ja panu.

Albert Tomau przez chwilę przyglądał się w zamyśleniu twarzy panny Döring, w istocie nie grzeszącej pięknnością i przypominającej nieudane ciasto drożdżowe, z którego jak dwa rodzyńki wyzierały ciemne oczy, wreszcie rzucił szorstko:

—Jazda do kuchni. Może pani zostać. Pani nikt nie weźmie za kobietę, ja też o tym zapomnę.

Panna Döring spiorunowała go wzrokiem.

—Ja miałabym zostać w tym domu, gdzie są sami mężczyźni?! Żeby mi chodzili po głowie, aż się rozchoruję ze złości!

Albert Tomau stłumił w sobie nagły przyływ litości dla tej szpetnej istoty. Miał ochotę jej powiedzieć: jesteśmy towarzyszami niedoli, ciebie nie lubią mężczyźni, przede mną uciekają kobiety. Trzymajmy się razem, ale te słowa nie przeszły mu przez gardło. Zbyt był rozgoryczony i nie chciał się przyznać do tego, jak bardzo cierpiał, gdy pewna kobieta powiedziała mu, że się nim brzydzi. Był przekonany, że wszystkim kobietom wydaje się takim, i że nawet ta brzydka służąca nie może na niego patrzeć. Uznawszy ją jednak za towarzysza niedoli, nie miał serca wypędzać jej w obcy świat, między bezdusznych ludzi, gdzie stanie się przedmiotem drwin.

—Stulić gębę! — wrzasnął. — Nie da pani sobie chodzić po głowie. Od dziś będzie pani gospodynią we dworze. Będzie pani gotować tylko dla mnie, dla reszty personelu mam specjalnego kucharza. Podwoję pani pobory, a jeśli będzie się pani wzorowo wywiązywać ze swych obowiązków, może pani zostać w Weidenhofie do końca życia. A teraz niech się pani wynosi i jak najmniej pokazuje mi się na oczy.

Panna Döring stała jak rażona gromem, zastanawiając się nad sensem słów dziedzica, wreszcie rzekła:

—Dobrze, zostaję. Podwójne wynagrodzenie — będę mogła oszczędzić grosza, bym na starość nie musiała być komuś ciężarem. I dach nad głową do końca życia...

Przełknęła kilkakrotnie ślinę, gdyż słowa więzły jej w gardle. Po chwili ciągnęła ochryplym głosem:

—Z taką twarzą miałam zawsze trudności ze znalezieniem posady, chociaż potrafię więcej niż inne. Inne z ładną buzią nie mogły się równać ze mną, a miały pierwszeństwo. Mężczyźni czują do mnie odrazę, ale ja do nich też!

—A ja czuję odrazę do kobiet, gdyż one brzydzą się moją szpetotą. Kobiety patrzą na twarz, a nie w serce.

—Mężczyźni tak samo! — odparowała panna Döring, ukrywając wzruszenie.

—No, to koniec! Teraz wynocha do kuchni! Zostaje pani!

W taki oto sposób panna Döring została gospodynią na Weidenhofie, trzymającą krótko męską służbę. Albert Tomau był z niej bardzo zadowolony. To była naprawdę zdolna osoba. Co nie przeszkadzało, że traktował ją zawsze bardzo szorstko — mimo wszystko była przecież kobietą. W duchu mawiał przy tym, że panna Döring to jedyna rozsądna niewiasta na świecie.

A ona w ogień by poszła za swoim panem. Utrzymywała mu dom we wzorowym porządku i, wkładając w to całą duszę, serwowała dania tak wyszukane, że pan Tomau zawsze z ochotą siadał do stołu. Służących trzymała w szachu, zionąc ogniem jak smok, gdy ktoś jej nadepnał na odcisk.

Również rządca był człowiekiem nieprzystępnym, wspaniałym pracownikiem, ale tak dzikim, że się go obawiano. Nie był przy tym Adonisem.

Przy wszystkich tych dziwactwach majątek Weidenhof kwitł.

W polu potrzebne były też kobiece ręce. Ale robotnicom nie wolno się było zbliżać do dworu. Gdy Albert Tomau spotkał na polu grupę pracujących kobiet, omijał je wzrokiem, jakby były powietrzem. Polecenia wydawał im przez rządcę.

I było tak, jakby niebiosa postanowiły wynagrodzić Albertowi Tomauowi doznane krzywdy. Weidenhof nie znał, co to klęska urodzaju, gradobicie, zaraza\* zwierzęca, wszystko tu szło jak z płatka. Służący pilnowali obowiązków i chwalili sobie pracę, gdyż dziedzic pozwalał im się zabawiać we wsi z dziewczętami. I tylko właściciel majątku dziwaczał z roku na rok coraz bardziej — podobnie panna Döring. Oboje byli nieszczęśliwi. Przy tym gospodyni cierpiała mniej, pomna na wielkie szczęście, jakim było dla niej beztroskie i bezpieczne życie w tym dziwnym domu. Wynagradzało jej to brak wielu innych przyjemności, których musiała się wyrzec.

Był piękny lipcowy dzień 1923 roku. Albert Tomau wracał z pola w porze żniw. Wyjechał był na pole wczesnym rankiem na swym rozłożystym półkrwi arabie, zdolnym unieść tak wielkiego i ciężkiego mężczyznę. Dziedzic niezdarnie zsiadł z konia, rzucając cugle stajennemu, który natychmiast pojawił się na ostry gwizd dobyty ze srebrnego gwizdka. Albert Tomau miał go zawsze przy sobie.

—Wytrzeć do sucha, sprawdzić kopyta. Podkova na prawej tylnej nodze poluzowana. Niech zaraz poprawią. Odmaszerować!

Tym lakonicznym tonem Albert Tomau zwykł był zwracać się do swych pracowników.

Po czym wwindował się schodami na górę i wszedł przez portal do obszernego holu. Nie zmieniając odzienia — zaniedbywał się pod tym względem, starając się świadomie pogarszać swą i tak niezbyt pociągającą powierzchowność — zasiadł do śniadania.

Stół nakryty był bardzo starannie, co harmonizowało z resztą domu, gdzie we wszystkim czuło się zmysł piękna właścicieli. Jadalnia urządzona była w sposób elegancki i wytworny, wskazujący na wyrobiony smak estetyczny. Jedynym dysonansem był tu sam gospodarz — zaniedbany olbrzym, ze zmierzwioną brodą i surowymi rysami twarzy. Przy tym wszystkim wydawał się człowiekiem nietuzinkowym, a gdy się spojrzało w jego oczy, zapominało się o mało powabnej reszcie. Oczy te, spoglądające z przenikliwym smutkiem spod szerokiego czoła, były niezwykle piękne. W młodości mógł być brzydki, ale teraz jego głowa nabrała

ciekawego charakteru i mogła zachwycić malarza. Albert Tomau sprawiał wrażenie bajecznego olbrzyma z pradawnych czasów.

Stół zastawiony był drogocenną, starą porcelaną, ciężkimi srebrnymi sztuczkami, wspaniałymi kryształami i przykryty pięknym, żółtawym, adarftaszkowym obrusem. Potrawy ułożone były w wyszukany sposób, a pośrodku stołu, w kryształowej wazie, stał kunsztownie ułożony bukiet kwiatów.

Wszystko to było dziełem panny Döring. Gospodyni domyślała się, a raczej czuła, że jej pan jest miłośnikiem piękna, a mimo swej brzydoty dzielna kobieta zdradzała wiele dobrego smaku.

Wszystko było więc przygotowane na przybycie gospodarza i zaledwie Albert Tomau usiadł do stołu, podano mu ulubione ciepłe danie, które chętnie spożywał w porze drugiego śniadania. Służący z wielką atencją podał potrawy i zniknął na dany przez dziedzica znak.

Gdy Albert zaspokoił pierwszy głód — a po trzygodzinnej przejażdżce po polach miał wilczy apetyt — otworzył teczkę z nową pocztą, leżącą w pogotowiu na małym stoliku obok. Prócz gazet i listów służbowych był tam też jeden list prywatny — od Jerzego Tomaua. Z napiętą twarzą Albert Tomau otworzył list od kuzyna i czytał:

*Drogi Kuzynie Albercie*

*Nie znajduję słów podziękowań za to, że zechciałeś przyjąć mnie i moją córkę do Weidenhofu. Nie wyobrażasz sobie, jak wielkie uczyniłeś mi dobrodziejstwo. Twoja pomoc przyszła w ostatniej chwili. Oby Bóg pozwolił nam się odwdziżyć za Twoją dobroć. Szczytem dobroci będzie dla nas, jeśli poza przygarnięciem nas pozwolisz nam pracować w majątku. Nie chcemy mieć poczucia, że darmo jemy Twój chleb.*

*Przyjeżdżamy 25 lipca po południu na stację Neurode. Dzięki za czek; wyposażymy się odpowiednio za te pieniądze, byśmy Ci nie przynieśli wstydu jako Twoja rodzina. Jeszcze raz dziękujemy za Twoją dobroć.*

Albert Tomau przez chwilę przyglądał się w zamyśleniu listowi, wreszcie położył go na stole, odetchnąwszy głęboko. Decyzja przyjęcia krewnych do domu nie przyszła mu łatwo. Wolałby wysłać im pieniądze i trzymać ich od siebie z daleka, choć dawniej bardzo lubił Jerzego Tomaua. Ale teraz stał się takim odludkiem, że z najwyższym trudem zdecydował się zaprosić do siebie kuzynostwo.

Przejrząwszy resztę poczty, zadzwonił. Gdy zjawił się służący, Albert rozkazał krótko:

—Döring!

Po kilku minutach w drzwiach stanęła gospodyni. Wyglądała jak spod igły — wypucowana, schludna. Ten szyk wynagradzał wrażenie jej brzydoty, która zresztą z biegiem lat przestała być tak rażąca. Liczne zmarszczki nadały tej twarzy charakteru i szlachetności.

—Co jaśnie pan rozkaże? — spytała zwykłym tonem, nie patrząc na niego.

Albert Tomau nie podnosił oczu znad talerza.

—W prawym skrzydle trzeba przygotować pokoje. Mój kuzyn przyjeżdża dwudziestego piątego lipca o wpół do szóstej po południu i zostanie u nas na zawsze.

Panna Döring, zapomniawszy z wrażenia o swej awersji do rodu męskiego, spojrzała zdumiona na dziedzica.

—Na zawsze? Tu w majątku?

—Ma pani coś przeciwko temu, Döring? — ofuknął ją.

—I tak by pan się tym nie przejął, zresztą, to nie moja sprawa.

—Słusznie! Proszę więc przygotować pokoje ze wszystkimi wygodami. Sypialnia dla starszego pana, jak najwygodniej urządzona, i druga dla panienki,



bardziej elegancka i wyszukana.

Panna Döring zeszywniała, jakby piorun w nią uderzył.

—Panienska? Panienska w Weidenhofie?

Dziedzic rzucił się wściekle:

—Jeśli ja się z tym pogodziłem, to i pani się pogodzi!

—Ja? Tu nie chodzi o mnie. Ale pan? Prędzej bym się spodziewała, że niebo zawali mi się na głowę niż że we dworze będzie młoda kobieta.

—Będę się od niej trzymał z daleka — mruknął Albert. — Proszę tak wszystko urządzić, by nie było przejścia z prawego skrzydła do części środkowej. Mój kuzyn wie, że nie chcę oglądać ani jego, ani jego córki. A więc, jak powiedziałem, dla kuzyna sypialnia i gabinet, dla jego córki sypialnia i salonik. Poza tym duży salon i jadalnia. Zdaję się na panią. Proszę wszystko urządzić tak, by moja rodzina dobrze się tu czuła. Mebli jest dosyć. Ewentualnie proszę wziąć z innych nie używanych pokoi. W lewym skrzydle na pierwszym piętrze znajdują się chyba odpowiednie. Proszę pamiętać, że zimą na parterze jest zimno, gdyż pokoje są nad piwnicą. Meldować, gdy będzie gotowe! Przyjdę sprawdzić. Zrozumiano?

—Nie jestem głucha, zwłaszcza że pan tak głośno ryczy. Załatwione. Jeszcze coś?

Albert Tornau bynajmniej nie obraził się za ten ton. Między nim i panną Döring nie było miejsca na zbyteczne formalności. We wzajemnym traktowaniu byli szorstcy aż do przesady, ale nie przeszkadzało im to nawzajem się szanować.

—Państwo będą jedli to samo co ja — ciągnął spokojnie dziedzic. — I porządnie ma być podane. Niczego ma im nie brakować, zrozumiano? Meldować o specjalnych życzeniach. Będę się porozumiewał pisemnie z moim kuzynem. Nie chcę go widzieć, przynajmniej na razie.

—Ciekawam, jak pan tego dokaże? Może ci państwo będą więźniami we dworze?

—Bzdura! Mają wszędzie swobodny wstęp z wyjątkiem tych miejsc, gdzie ja się akurat znajduję. Każę zrobić płot oddzielający prawe skrzydło od części środkowej. Z tej strony ogród nie jest szeroki. Wszystko już przemyślałem. Oddam moim krewnym ten kawałek ogrodu, który przylega do ich skrzydła. Będą mogli poruszać się swobodnie na całym obszarze aż do rzeki. Pola i lasy stoją przed nimi otworem. Tylko mają mi schodzić z drogi, zrozumiano?

—Tak jest! A co ze służbą?

—Franciszek będzie usługiwał do stołu, Ernest sprzątał. Osobistej posługi nie potrzeba. Państwo poradzą sobie sami. Wszystko! Odmaszerować!

Panna Döring odwróciła się na pięcie i spokojnie wyszła z pokoju. Była przyzwyczajona do takiego traktowania.

Gdy gospodyni zniknęła, Albert Tomau wstał od stołu i udał się do starego dworku, gdzie mieszkał rządcą i gdzie mieściły się pomieszczenia gospodarcze. W stolami zastał przy pracy swego stolarza — chudego starszego mężczyznę lat około pięćdziesięciu.

—Mehnert, niech pan pójdzie ze mną. Zabrać notes i metrówkę.

Poszli do ogrodu naprzeciwko prawego skrzydła. Albert Tomau żerdzią narysował linię na trawniku i szerokiej zwirowanej alejce.

—Tu postawić gęsty płot, żeby nic nie było widać, dwa metry wysoki, od ściany domu iż do głównego ogrodzenia. Natychmiast zabrać się do pracy. Ma być gotowy do dwudziestego czwartego lipca. Pomalować na zielono. Zrozumiano?

—Tak jest, proszę jaśnie pana!

—Wymierzyć! Wszystko! — i Albert Tomau pożegnał pracownika, dotykając palcem czapki.

Stolarz również był przyzwyczajony do lakonicznego sposobu mówienia dziedzica. Wymierzył zaraz długość płotu, obliczył, ile będzie potrzebował tlewna i ile czasu zajmie mu praca. Musi zdążyć na czas. Jaśnie pan nie cierpi niepunkt-

tualności.

## VIII

Herbert Lassberg na próżno próbował rozmówić się z Gladys w cztery oczy. Amerykanka najwyraźniej go unikała. Jeśli jedli razem obiad, zawsze była przy tym obecna służba.

Nie mógł też dostać się do jej pokoju — nie miała dla niego czasu. Gdy pewnego dnia po raz kolejny kazał się zameldować, służący powiedział mu, że u pani Boverley jest pan West i pani nie życzy sobie, by jej przeszkadzano. Potem zaś wybiera się na przejażdżkę z panem Western.

Herbertem Lassbergiem targnęła dzika zazdrość. Co ten człowiek ma za konaszchy z Gladys? Dlaczego on musi się trzymać od niej z daleka, gdy odwiedza ją Mr. West?

Gdy później Gladys odjeżdżała samochodem z panem Western, Herbert śledził ich z okna złym wzrokiem. Nie wiedział, że tych dwoje wybiera się po prostu na oględziny nowego budynku spółki, której są udziałowcami. Gdyby się domyślał, jak usilnie Norman West trzymał się na dystans od Gladys Boverley, byłby pewnie spokojniejszy. Ale i tak miał dość powodów do zmartwień czując, że Gladys mu się wymyka.

I znów minęło kilka dni, gdy widywał Gladys tylko przy stole. Rozmawiała z nim wtedy oficjalnym tonem jako ze swym sekretarzem, posługując się wyłącznie językiem angielskim, a nie jak dawniej niemieckim. Czasem mówił jej, jak czarująco prowadzi konwersację po niemiecku. Ale teraz, jak widać, nie zależało jej już na tym, by go oczarować. Jej poprawna angielszczyzna brzmiała w jego uszach nieznośnie chłodno i oficjalnie. Nie pomagały jego gorące, błagalne spojrzenia; Gladys unikała jego wzroku.

Pewnego dnia, wróciwszy po obiedzie do swego pokoju, znalazł na biurku list

od niej. List ten, napisany poprawną angielszczyzną, do którego dołączony był czek, zawierał wymówienie.

*Z żalem muszę zrezygnować na przyszłość z Pańskich usług jako mego sekretarza. Będę Panu zobowiązana, jeśli zechce Pan opuścić mój dom już pierwszego czerwca. Na początku przyszłego miesiąca przenoszę się do mojej willi nad morzem i nie będę potrzebowała sekretarza. Wyplacę Panu oczywiście półroczną pensję i pokryję koszty podróży, gdyby chciał Pan wrócić do Niemiec. Mam nadzieję, że Pan zauważył, że nie potrzebuję już sekretarza, i sam pan rozumie, że nie jest Pan już na swoim miejscu w moim domu. Proszę oszczędzić mi osobistej rozmowy — nie chcę Pana widzieć i oczekuję, że zachowa się Pan jak dżentelmen. Tylko pod tym warunkiem będzie Pan mógł zrealizować załączony czek — w przeciwnym razie konto zostanie zablokowane.*

*Dziękując za usługi, załączam pozytywną opinię.*

*Z poważaniem Gladys Boverley*

Herbert Lassberg wpatrywał się w list, jakby go ktoś zdzielił obuchem po głowie. Gdy minęła chwila zaskoczenia, z wściekłości krew uderzyła mu do głowy. O, nie, Mrs. Boverley, nie tak się umawialiśmy!

Dziś był trzydziesty pierwszy maja, a ona wypowiada mu pracę od pierwszego czerwca i nie chce go więcej widzieć. Nic z tego, nie pozwoli tak ze sobą postępować, o nie!

Niewiele myśląc, popędził schodami w dół, do pokoi swej chlebodawczyni. Ale w przedpokoju trzymał straż olbrzymi Murzyn, prawdziwy Herkules, który zatrzymał go mówiąc, że pani nie chce go widzieć. Herbert rzucił mu rozgorączkowane spojrzenie.

—Muszę mówić z Mrs. Boverley w ważnej sprawie. Proszę mnie przepuścić!

—Przykro mi, ale mam wyraźny rozkaz, by właśnie pana nie wpuszczać. Wolno mi wpuścić tylko pana Westa, na którego Mrs. Boverley czeka —odparł

spokojnie służący, a Herbertowi zdawało się, że dostrzega w jego oczach złośliwą satysfakcję.

Chciał go wyminąć, ale olbrzymi Murzyn bez słowa uniósł rękę i odsunął go jak dokuczliwego owada. Herbert zrozumiał, że nie przedrze się siłą do pokoi Gladys. To tylko podsyciło jego złość. Oddalił się, jakby godząc się z nieuchronnym losem, ale nie miał zamiaru tak łatwo zrezygnować — policzy się z Gladys Boverley! W holu zatrzymał się na chwilę, zastanawiając się co robić. Nagle oczy mu zabłyśły. Wybiegł do ogrodu frontowego i podkraść się pod okna apartamentów Amerykanki. Jej pokoje znajdowały się na wysokim parterze, tylko sypialnia położona była na piętrze. Z salonu wychodziło się na maleńki balkonik. Chwyciwszy się żelaznych prętów, Lassberg wspiął się na górę. Wysokie oszklone drzwi były uchylone i Herbert bezszelestnie wśliznął się do środka.

Gladys, w olśniewającej toalecie siedziała w fotelu we wdzięcznej pozie, trzymając w ręku książkę. Czekala na Normana Westa. Miała zamiar przypuścić dziś ostateczny szturm do serca upragnionego mężczyzny, gdyż za kilka dni wyjeżdżała nad morze i przez dłuższy czas miała go nie spotykać. Nie domyślała się, że straci go na zawsze, gdyż Norman nie powiedział jej jeszcze o tym, że wraca do Niemiec.

Już nieraz zbierał się, by jej powiedzieć, że opuszcza na zawsze Nowy Jork, ale wciąż odkładał to na później wiedząc, że sprawi jej tym ból. Wrodzona dobroć powstrzymywała go wtedy od zwierzeń. Nie zapomniiał o przyjaźni, jaka łączyła go ze zmarłym mężem Gladys, ani o tym, że ona sama przyjęła go z otwartymi ramionami, gdy był w Ameryce całkiem obcy.<sup>1</sup> Wszystko to sprawiało, że nie umiał odrzucić szorstko i zdecydowanie jej prób zbliżenia się do niego, nie podejrzewając, że tym niezdecydowaniem podsyci w niej nadzieję. Ale tym razem miał mocne postanowienie powiedzieć jej o wszystkim, gdyż termin wyjazdu był bliski, a nie chciał jej opuszczać bez pożegnania.

Nie mógł wiedzieć, że i Gladys postanowiła dziś uczynić decydujący krok. Była zdecydowana pójść na całego i zastanawiała się właśnie nad jakąś skuteczną pułapką, którą mogłaby zastawić na Westa. Herbert Lassberg zupełnie wywietrzył jej z głowy; nie spodziewała się z jego strony nieprzyjemności, uważając się za

dobrze strzeżoną przez olbrzymiego służącego. Murzyn otrzymał polecenie, by nie wpuszczać Mr. Lassberga, a w razie potrzeby zatrzymać go siłą. Zwolniła swego przystojnego sekretarza i nie myślała o nim więcej. Była przekonana, że Herbert Lassberg najpóźniej jutro opuści jej dom, uszczęśliwiony tak sowitą odprawą. Służba była uprzedzona, że sekretarz jest zwolniony z posady.

Zadowolona z siebie, siedziała teraz w fotelu, czekając na Normana Westa. Wtem za plecami usłyszała podejrzany szelest. Obejrawszy się, ujrzała w otwartych drzwiach balkonowych Herberta Lassberga. Przeraziła się, widząc jego zmienioną, drgającą z wściekłości twarz. Nie mogła się zdecydować, czy porozmawiać z nim, czy raczej wezwać służbę i kazać go wyrzucić. Obawiała się jednak skandalu, zwłaszcza teraz, gdy czekała na Normana Westa. Opanowawszy się, spytała sucho po angielsku:

—Na co pan sobie pozwala? Jak pan się dostał do mojego pokoju?

—Przez balkon, bo twój służący nie pozwolił mi wejść drzwiami — odparł Herbert ochryłym głosem.

Gladys wyprostowała się sztywno.

—Tylko bez poufałości, panie sekretarzu! Czy nie wystarczy panu, że służący pokazał panu drzwi? Poza tym otrzymał pan wymówienie, z którego wynika, że nie potrzebuję już pańskich usług. Jeśli jest pan dżentelmenem, proszę natychmiast opuścić ten pokój tą samą drogą, którą pan tu wszedł.

—Mylisz się bardzo, jeśli sądzisz, że pozwolę się odprawić z kwitkiem!

Gladys wstała i cofnęła się przed nim. Przestraszyła się jego gorączkowo błyszczących oczu czując, że nie uda jej się pozbyć tego amanta tak łatwo jak poprzednich. W każdej chwili mógł wejść Norman West; Gladys nie miała najmniejszej ochoty, by stał się świadkiem tej sceny. Nie tracąc jednak zimnej krwi i podnosząc dumnie głowę, powiedziała spokojnie:

—Jeszcze raz wypraszam sobie wszelkie poufałości i przypominam panu, że suma dziesięciu tysięcy dolarów zostanie panu wypłacona tylko w tym wypadku, jeśli zaniecha pan wszelkich wrogich działań wobec mnie. Konto jest zablokowane



i nie dostanie pan pieniędzy, póki go nie odblokuję. Jeśli pan się będzie zachowywał agresywnie, otrzyma pan pensję zgodnie z prawem tylko do pierwszego lipca.

Herbert roześmiał jej się w twarz drwiąco i brutalnie.

—I myślisz, że w ten sposób się mnie pozbędziesz? Dając mi te nędzne dziesięć tysięcy dolarów? I to ma być zadośćuczynienie za to, że zrujnowałaś mi życie i nakłoniłaś do rozwodu z żoną? O, nie, Gladys Boverley, nie tak się umawialiśmy! Obiecałaś zostać moją żoną i zostaniesz nią!

—Nieprawda, nigdy panu nie dawałam takiej obietnicy!

—Dałaś mi ją całym swoim zachowaniem. Czy mam ci przypomnieć, że byłaś przez kilka miesięcy moją kochanką?

—A fe! Nie jest pan dżentelmenem. Dżentelmen nie używa takich wyrazów. "

Herbert podszedł do niej i chwycił ją mocno za przegub dłoni.

—Jestem takim samym dżentelmenem, jak ty dama. A jeśli jesteś dama, zostaniesz moją żoną. Domagam się tego!

—Proszę mnie puścić, pan jest bezwstydy! Bo zawołam służbę! — wyksztusiła przytłumionym, ochrypłym głosem.

Herbert puścił ją.

—Proszę, zawołaj! Może służbę to zainteresuje, że ich pani przez wiele miesięcy była kochanką swego sekretarza.

Gladys wlepiała w niego zły i przestraszony wzrok.

—Nie odważy się pan. Nikt panu w to nie uwierzy. Powiem służbie, że pan mnie napadł, czyniąc mi niestosowne propozycje, i każę pana wypędzić z domu. Mam do tego prawo, gdyż pan wdarł się siłą do mego pokoju. A teraz zwalniam pana bez wypowiedzenia i bez odprawy!

—Grozisz mi? To się na nic nie zda, jesteś moją własnością, piękna Gladys, ani

myślę się cię wyrzec. Tak jak teraz biorę cię w ramiona i będę trzymał, póki mi nie ulegniesz, tak też zatrzymam cię na zawsze przy sobie. Zostaniesz moją żoną, w przeciwnym razie zabiję cię, a potem siebie. Wyjdiesz cało z moich ramion tylko po warunkiem, że będziesz mi posłuszna.

Nie mówił tego serio, chciał ją tylko nastraszyć. Ale gdy chwycił ją mocno w ramiona i ujrzała tuż przy swojej twarzy jego gorączkowo błyszczące oczy, przestraszyła się.

—Proszę mnie puścić, bo będę krzyczeć!

Żadne z nich nie zauważyło, że w tej chwili do pokoju wszedł Norman West, zgodnie z jej życzeniem nie zaanonsowany przez służącego. Stał w progu jak wryty, widząc Gladys w ramionach obcego mężczyzny mówiącego właśnie:

—Krzycz, krzycz, dużo ci to pomoże! Umrzesz w moich ramionach nim ktokolwiek zdąży przyjść ci z pomocą.

Norman West odzyskał zimną krew. Podkrał się bezszelestnie — miękki dywan tłumił jego kroki — z tyłu do Herberta Lassberga i chwycił go gwałtownie za kołnierz, tak iż Gladys z łatwością wysunęła się z jego ramion.

—Co tu się dzieje, Mrs. Boverley? Proszę się uspokoić, obronię panią — powiedział Norman, nie puszczając Herberta Lassberga.

Herbert zachwiał się, próbując się uwolnić. Gladys w jednej chwili zrozumiała, że wszystko przepadło, jeśli natychmiast nie znajdzie jakiegoś wytłumaczenia dla obecności i zachowania się Lassberga. Jej umysł pracował gorączkowo. Po kilku sekundach wyrzuciła z siebie jednym tchem:

—Och, Mr. West, dzięki Bogu, że przyszedł mi pan z pomocą! Ten człowiek, mój były sekretarz, groził mi śmiercią, gdyż nie chciałam cofnąć mu wymówienia. Chyba zwariował, nie potrafi logicznie myśleć. Ten pan... naprzykrzał mi się z ofertami miłosnymi, dlatego go zwolniłam. A dziś napadł mnie, żądając tego samego.

Herbert Lassberg roześmiał się grubiańsko.

—Ona kłamie! To bezwstydnie kłamstwo! Była moją kochanką przez kilka miesięcy; przywiozła mnie tu z Niemiec jako swego kochanka, a nie sekretarza. A teraz jej się znudziłem i chce mnie odesłać z kwitkiem, chociaż przez cały czas robiła mi nadzieje, że zostanie moją żoną.

Norman West przyjrzał się uważnie Gladys i Herbertowi. Puścił go widząc, że ten nie ma broni. Patrząc mu prosto w oczy, powiedział poważnie:

—Dżentelmen nie porzuca kobiety, która ofiarowała mu swe serce, ani nie zmusza jej, by za niego wyszła. Nie wypada grozić kobiecie.

—Ale ona zrujnowała moją egzystencję, sprowokowała mnie, bym tu za nią przyjechał, czyniąc mi nadzieje na małżeństwo.

—To szantażysta! — wybuchnęła Gladys. — Sam zrujnował sobie egzystencję, opowiadał mi, że jest biedny jak mysz kościelna. Przyjęłam go z litości i dałam mu stanowisko sekretarza. Teraz zaczął mi się naprzykrzać, więc dałam mu wymówienie i odprawę w wysokości dziesięciu tysięcy dolarów, żeby nie umarł z głodu. Cóż mogę zrobić więcej dla człowieka, który chce mnie zmusić do małżeństwa?

Znając zmysł praktyczny Gladys Boverley, Norman West był przekonany, że gdyby tu chodziło o zwykłe wymówienie, nie dałaby ot, tak po prostu dziesięciu tysięcy dolarów zwykłemu sekretarzowi, zwłaszcza gdyby ją zameczał niestosownymi propozycjami. Domyślił się więc, że to co mówił Herbert Lassberg, nie było wzięte z powietrza. Będąc dżentelmenem, udawał jednak, że wierzy Gladys. Znów spojrział przenikliwie na Herberta i powiedział z naciskiem:

—Radzę panu być rozsądnym i przyjąć z wdzięcznością sumę, jaką tak wielkodusznie proponuje panu pani Boverley. Będąc Niemcem, nie znajdzie pan tu tak łatwo posłuchu, jeśli zechce pan oskarżyć amerykańską damę, zwłaszcza że stawia się pan w złym świetle, zachowując się wobec niej nie po dżentelmeńsku. Zamkną pana jako szantażystę. Dlatego radzę panu, by pan we własnym interesie przyjął od pani Boverley sumę dziesięciu tysięcy dolarów, bez których popadnie pan w poważne kłopoty. Mając dziesięć tysięcy dolarów, zdolny człowiek potrafi zapewnić sobie godziwą egzystencję, bez zmuszania kobiety do małżeństwa, by wejść w posiadanie jej majątku... Bo o to panu przede wszystkim chodzi, jak rozumiem.

Słowa te zrobiły spore wrażenie na Herbercie Lassbergu. Ale znów targnęła nim zazdrość na myśl o tym, że ten Mr. West cieszy się względami Gładys. Jeszcze raz rozgorzał w nim gniew.

—Chce pan się mnie po prostu pozbyć, by samemu poślubić panią Boverley. Pan sam pożąda jej bogactwa i chce mnie wyłączyć z gry, rzucając mi ochłap. Niedoczekanie! Prędziej zastrzelę was oboje i siebie!

Nie zrobił jednak nic, by spełnić swą groźbę, toteż Norman West utwierdził się w przekonaniu, że Herbert nie ma przy sobie broni. Gładys, speszona i blada jak ściana, osunęła się na fotel. Patrząc na obu mężczyzn, zdała sobie sprawę, że jeśli kiedykolwiek miała szansę zdobyć Normana Westa, to szansę tę bezpowrotnie straciła.

Norman West spojrział z wyższością na Lassberga i powiedział spokojnie:

—Niech pan nie opowiada bzdur i będzie rozsądny! Daję panu słowo, że nigdy nie miałem zamiaru żenić się z panią Boverley. Jej mąż był moim przyjacielem, łączy nas niewinna przyjaźń. Nie mówiłbym panu tego, gdyż jest pan człowiekiem bez czci i honoru, gdyby nie to, że chcę oszczędzić pani Boverley przykrości. To, co tu się stało, nie powinno wyjść poza ściany tego pokoju.

Na te słowa Gładys wzdrygnęła się boleśnie i skurczyła się na fotelu; była bardzo przybita. Widząc to, Herbert Lassberg zrozumiał, że Gładys pragnęła poślubić tego Westa, ale on o tym nie myślał, zwłaszcza gdy się dowiedział, że była kochanką Herberta. Odczuł złośliwą satysfakcję widząc, że tamten zgotował Gładys takie samo gorzkie rozczarowanie, jak ona jemu, Herbertowi. Patrząc badawczo na Normana Westa, spytał:

—Czy daje pan słowo honoru, że nigdy nie miał pan zamiaru poślubić pani Boverley?

Na wargach Normana Westa ukazał się pogardliwy uśmiech.

—Ludziom pańskiego pokroju nie daje się słowa honoru. Musi panu wystarczyć to, co powiedziałem. A teraz proszę zakończyć tę niesmaczną scenę. Przykro mi widzieć rodaka w roli szantażysty. Pani Boverley wzbrania się zdecydowanie

poślubić pana, niezależnie od tego, co między wami zaszło. Musi pan się z tym pogodzić, choćby nawet nie miał pan krzty honoru.

Herbert Lassberg namyślał się. Zdawał sobie sprawę, że odgrywa w tym wszystkim żalostną rolę. Jeden rzut oka na Gladys wystarczył, by przekonać go, że nie ma u niej czego szukać. Lepiej było ratować to, co jeszcze było do uratowania nie bacząc, że wszystkie jego rachuby wzięły w łeb. Siłąc się na uprzejmość, powiedział z wielkopańską miną:

—A więc dobrze, zobowiązuję się opuścić ten dom i zachować milczenie, jeśli pani Boverley podwoi oferowaną sumę.

Gladys wybuchnęła histerycznym śmiechem.

—Myli się pan sądząc, że pozwolę się wykorzystywać. W ogóle zablokuję ten czek na dziesięć tysięcy dolarów i wypłacę panu tylko tyle, ile się panu należy zgodnie z prawem! —wrzasnęła z wściekłością.

Herbert Lassberg przeraził się czując, że przeholował. Wyglądało na to, że straciwszy nadzieję poślubienia Westa, Gladys o nic już nie dbała. Zastanawiał się, jak naprawić sytuację, ale pan West go uprzedził mówiąc:

—Proszę się nie wycofywać, pani Boverley, źle pani postąpi, nie dając szansy panu Lassbergowi. Proszę mu pozwolić zrealizować ten czek. Musi się oczywiście zobowiązać, że nie będzie pani więcej niepokoił i że zaraz opuści pani dom, póki jeszcze pani jest pod moją opieką.

Herbert Lassberg zacisnął zęby, rzucając Gladys spojrzenie spode łba. Ta zaś machnęła gwałtownie ręką wołając:

—Niech pan idzie, niech pan mi zejdzie z oczu! Nawet pan nie wie, jaką krzywdę mi pan wyrządził! Jeśli pan opuści mój dom najpóźniej za dwie godziny i nie będzie mnie więcej niepokoił, może pan podjąć pieniądze. A teraz precz. Precz z moich oczu!

Herbert Lassberg opanował się, by godnie zejść ze sceny. Ukłonił się sztywno i w milczeniu wyszedł z salonu. W przedpokoju natknął się na Murzyna, który

wciąż jeszcze trzymał tam straż. Służący gapił się na niego skonfundowany. Nie podejrzewał oczywiście, jaka scena rozegrała się w środku, i nie mógł zrozumieć, w jaki sposób Herbert znalazł się w salonie. Herbert Lassberg uśmiechnął się cynicznie.

—Dziwisz się, czarnuchu, co? Tak, tak, są rzeczy na niebie i ziemi, o których nie śniło się służącym — powiedział złośliwie, wyładowując swój gniew na służbie, jak czynią to ludzie mali.

Udał się do swoich pokoi i zaczął się pakować. Stwierdził przy tym z satysfakcją, że przez ostatnie miesiące zaopatrzył się na koszt swej pani w całkiem pokaźną ilość wybornej odzieży. Miał poza tym trzy tysiące dolarów swej pensji, których wcale nie musiał naruszać, przez cały ten czas żyjąc dostatnio za pieniądze Gladys.

W dwie godziny później opuścił dom, którego czuł się panem jeszcze tak niedawno. Pojechał do hotelu, który mu zachwalano jako jeden z najlepszych w Nowym Jorku. Był tak zespsuty i przyzwyczajony do zbytku, że nawet w tej trudnej sytuacji nie potrafił zmusić się do oszczędności. Gniewał się przy tym na los, który rzekomo traktował go „po macoszemu”. Każdy inny człowiek na jego miejscu byłby szczęśliwy, mając tyle dolarów w kieszeni.

Zamknawszy za sobą drzwi pokoju hotelowego, rzucił się na łóżko, zastanawiając się, czy zostać w Ameryce, czy też wrócić do Niemiec. Ale w Niemczech szalała inflacja i miał tam mniejsze szanse zdobycia bogatej kobiety — innych sposobów zapewnienia sobie znośnej egzystencji nie brał pod uwagę — toteż zdecydował się zostać w Nowym Jorku.

Gdy Herbert Lassberg opuścił salon, Norman West zwrócił się do Gladys ojcowskim tonem:

—Proszę się uspokoić, pani Boverley, ten człowiek już nie będzie pani napałstował. Na szczęście przyszedłem w porę, by panią ochronić.

Gladys ocknęła się z ponurych rozmyślań.

—O nie, wcale nie na szczęście, raczej na nieszczęście. Wydaje mi się, że pan



uwierzył w to, co ten człowiek mówił, i dlatego powiedział pan, że nie chce się pan ze mną ożenić.

—Niechże pani będzie rozsądna, droga pani! I tak nigdy byśmy się nie pobrali. Pani by z pewnością podziękowała za ten zaszczyt, gdyby się pani dowiedziała, jak bardzo jestem wymagający. Od swojej żony będę oczekiwał o wiele więcej, niż mój przyjaciel Boverley wymagał od pani. Naprawdę nie nadaję się na pani męża. To, czy uwierzyłem temu człowiekowi czy nie, nie ma tu nic do rzeczy. A na moją dyskrecję może pani liczyć.

Mówił to wszystkim ciepłym i serdecznym tonem, tak jak się pociesza dziecko, nie zdając sobie sprawy, jak uwodzicielską siłę miało brzmienie jego głosu. Gladys patrzyła na niego żalnym wzrokiem.

—Nawet pan nie wie, że to wszystko pana wina — powiedziała cicho.

—Moja wina?

—Tak! Ze względu na pana podjęłam tę podróż, żeby o panu zapomnieć. I dlatego zadałam się z tym człowiekiem. A kiedy wróciłam, okazało się, że to wszystko na nic. Gdy pana ujrzałam, ten człowiek stał mi się wstrętny. I znów odżyła we mnie nadzieja, że zdobędę pańskie serce.

—Ależ, najdroższa pani Boverley, pani sobie to wszystko wmawia. Pani i ja — nie, to nie do pomyślenia. Aby panią przekonać, że ta okropna scena wcale nie przeważała szali, powiem pani, że przyszedłem tu z zamiarem powiadomienia pani, że za kilka dni opuszczam Nowy Jork. Dawno już chciałem pani o tym powiedzieć, ale jakoś się nie składało. Teraz wreszcie nadeszła stosowna pora. Otóż wracam do Niemiec, chcę tam kupić posiadłość.

Gladys aż podskoczyła z wrażenia.

—Chce pan wyjechać? Na zawsze?

—Tak.

—Dlaczego? Żeby się ode mnie uwolnić?

Norman uśmiechnął się.

—Nie dlatego. Nawet gdybym został, postarałbym się panią przekonać, że nie pasujemy do siebie. Nie, po prostu ciągnie mnie do kraju. Choć spotkało mnie tu w Ameryce szczęście — o ile posiadanie pieniędzy i majątku można nazwać szczęściem — to jednak nie mogłem tu jakoś zapuścić korzeni. Teraz chcę wrócić do ojczyzny, chcę zostać rolnikiem.

— I... ożeni się pan tam, prawda?

Norman West patrzył w dal rozmarzonym wzrokiem.

—Tak, jeśli znajdę kobietę, o jakiej marzę.

—A ja? — spytała naiwnie Gladys.

Norman uśmiechnął się dobrodusznie.

—Pani? Cóż, wyjdzie pani za jakiegoś przystojnego Amerykanina. Jest pani naprawdę zbyt młoda i zbyt pełna życia, by żyć w samotności. Adoratorów pani nie zabraknie.

—Oczywiście. Ale ja chciałam wyjść właśnie za pana!

—Pochlebia mi to. Ale jestem pewien, że to głupstwo szybko wywietrzeje pani z głowy, gdy tylko zniknę pani z oczu. Dlatego im szybciej wyjadę, tym lepiej dla pani. Wszystko już przygotowane. Mam zarezerwowane miejsce na statku.

—I... nigdy pan już nie wróci.

—Owszem, co jakiś czas będę przyjeżdżał na trochę, by się rozeznać w interesach — w końcu jestem jednym z głównych udziałowców spółki. Nie stracimy się całkiem z oczu. Mam nadzieję, że wkrótce otrzymam wiadomość, że znalazła pani nowe szczęście.

—O, dla mnie nie ma szczęście, gdy pan odejść — powiedziała cicho po niemiecku. Była to ostatnia próba zmiękczenia serca Normana, ale i ona spaliła na panewce.

—Byłaby pani jeszcze bardziej nieszczęśliwa, gdybym został i pojął panią za żonę — zażartował Norman. —Jako mąż będę okropnym tyranem i nie pozwolę mojej żonie robić pięknych oczu do innych mężczyzn. A tego by pani przecież nie wytrzymała.

Powiedziawszy to, zmienił temat i przez jakiś czas gawędzili ze sobą jak starzy przyjaciele. West pozostał przy Gladys, póki Herbert Lassberg nie opuścił jej domu, po czym pożegnał się.

Gdy Norman wyszedł, Gladys westchnęła ciężko, po czym podeszła do lustra, wyjęła pudemiczkę i szminkę i poprawiła makijaż.

Westchnąwszy ponownie, podniosła słuchawkę i zadzwoniła do swej przyjaciółki Maud Bardon.

—Halo, Gladys, co słyszę?

—Nudzę się śmiertelnie.

—Chcesz iść ze mną do opery? Mój mąż nie może iść, bo ma posiedzenie. Mam wolny bilet.

—Bardzo chętnie! Zawsze to lepiej niż siedzieć samej w domu. Co to ja chciałam powiedzieć, zwolniłam mojego sekretarza.

—Jaka szkoda! Taki szarmancki mężczyzna!

—Ale bezwstydy! Wyobraź sobie, Maud, że chciał się ze mną żenić!

Maud roześmiała się.

—To rzeczywiście ma tupet! Ale nie wiem, czy ja na twoim miejscu bym nie zmięła. Ale prawda, ty się przecież interesujesz panem Western.

—Ach, to był tylko przelotny kaprys. Wiesz, że nade wszystko cenię sobie wolność. Nawiasem mówiąc, pan West przenosi się do Niemiec na zawsze.

—A więc jednak myliłam się sądząc, że macie się ku sobie?

—Całkowicie, Maud. Nie ma o tym mowy.

—Biedny Mr. Lassberg dostał kosza! Jesteś okrutna, Gladys!

—Już się wyprowadził. Mówię ci, że zrobił się bezczelny. Nie chciałam go przyjąć, więc wdarł się przez okno do mojego salonu. Całe szczęście, że Norman West nadszedł i obronił mnie przed nim.

—Jakie to romantyczne, Gladys! Szkoda, że mnie przy tym nie było!

Całe szczęście — pomyślała Gladys, a do słuchawki powiedziała:

—To wcale nie było romantyczne, tylko okropnie nudne i przykre. Lassberga interesowały tylko moje pieniądze.

—Nie bądźże taka prozaiczna. On cię na pewno kocha. Zawsze patrzył na ciebie takim tęsknym wzrokiem.

—Przestań, niedobrze mi się robi! Cieszę się, że dziś wieczór będę miała jakąś rozrywkę.

—W porządku. Pójdziemy razem do opery, a potem spędzimy wieczór z moim mężem i jego przyjaciółmi. A za kilka dni pojedziemy do twojej willi nad morzem. Bardzo się cieszę na ten pobyt. Mam nadzieję, że zaprosiłaś ciekawych ludzi?

—Jeszcze nie, chciałam to omówić tobą. Jutro się tym zajmiemy.

—O, cudownie! A więc, do widzenia, Gladys!

Gladys odłożyła słuchawkę i ziewnęła. Po czym z wielką uwagą poczęła szykować się do opery.

Kobiety, takie jak Gladys Boverley, nie umierają z powodu złamanego serca.

## IX

Płot, który miał odgradzać część ogrodu przylegającą do prawego skrzydła pałacu od reszty, został ukończony na czas. Tylko zielona farba jeszcze nie wy-

schła. Wszystko było przygotowane na przyjęcie Jerzego Tonraua i jego córki.

Punktualnie o wpół do szóstej po południu konie czekały na stacji Neurode. Gdy ojciec z córką wysiedli z pociągu, podszedł do nich weidenhofski służący.

—Pan i panna Tomau? — spytał.

—Tak, nazywam się Tomau. Przysłali cię z Weidenhofu?

—Tak, proszę jaśnie pana. Czy mogę prosić o kwit bagażowy? Pan Tomau przeprasza, że nie przyjechał po państwa osobiście. Powiedział, że pan jest o wszystkim poinformowany.

—Tak, jestem poinformowany — odparł Jerzy Tomau.

Służący odprowadził ich do powozu. Był to staromodny ekwipaż w bardzo dobrym stanie; we dworze nie było samochodu. Służący dyskretnie obserwował gości. Ubrani byli przyzwoicie dzięki czekowi od Alberta Tomaua. Maria miała na sobie ładną szarą sukienkę podróżną, założoną na białą lnianą bluzkę. Wyglądała bardzo elegancko. Należała do tych kobiet, które w byle szmatce wyglądają szykownie. Jerzy Tomau prezentował się nie mniej dystyngowanie.

—Bardzo proszę zająć tymczasem miejsca w powozie, zanim przyniesiemy kufry — poprosił służący.

Ojciec z córką wsiedli do ekwipażu, którego buda była opuszczona. Z rozkoszą wdychali czyste, orzeźwiające powietrze, patrzyli błyszczącymi oczyma na majaczące w oddali grzbiety górskie. Tuż za stacją zaczynał się las, po drugiej stronie ciągnęły się pola uprawne i łąki. Piękny letni dzień w tym błogosławionym kraju miał się ku schyłkowi.

W ciągu tych kilku dni, odkąd ona i ojciec pozbyli się troski o codzienny byt, Maria odżyła, jej policzki zaróżowiły się. Wyglądała uroczo w ślicznym kapelusiku, spod którego wymykały się złote loki.

Z zadumy wyrwało ich zjawienie się wysokiego, elegancko ubranego mężczyzny. Przyjechał tym samym pociągiem i rozglądał się wokoło, jakby kogoś szukał. Uchyliwszy kapelusza, spytał grzecznie:

—Przepraszam państwa, czy to powóz z Neurode?

Jerzy Tomau odkłonił się uprzejmie, Maria lekko skinęła nieznanemu głową. W jego spojrzeniu było coś zniewalającego i Maria poczuła ze wstydem, że się rumieni. Nieznanemu oczy zabłysły, gdy napotkał wzrok Marii.

Człowiekiem tym był Norman West. Widział już Marię i jej ojca na dworcu w Berlinie; wdzięczna, elegancka postać dziewczyny przykuła jego spojrzenie. Ucieszył się widząc, że tych dwoje również wysiadło na stacyjce Neurode i był zadowolony, że może ich teraz zagadnąć, nie wydając się natrętem.

—Nie, proszę pana, to powóz z majątku Weidenhof. Nie umiem powiedzieć, czy Weidenhof i Neurode mają ze sobą coś wspólnego.

Stangret siedzący na koźle odwrócił głowę.

—Powóz z majątku Neurode stoi po drugiej stronie stacji, proszę pana.

Norman West uchylił kapelusza.

—Dziękuję bardzo i przepraszam za kłopot.

Spojrzał jeszcze raz na Marię i serce mu podskoczyło z radości pod wpływem szczerego, poważnego spojrzenia jej orzechowych oczu ukłonił się i odszedł.

Maria nie mogła wzroku oderwać od tej interesującej postaci. Wyglądał na Anglika lub Amerykanina, od których roiło się w Berlinie o tej porze roku, ale mówił doskonałą, literacką niemiecką. Była zła na siebie czując, że serce bije jej mocno z wrażenia, zwłaszcza gdy nieznanomy, nim zniknął za rogiem bundynku stacyjnego, obejrzał się za nimi jeszcze raz.

W tej chwili zjawił się służący z bagażami. Dwa olbrzymie kufry, które im zostały z dawnych czasów, były prawie puste. Na szczęście służący o tym nie wiedział.

Podczas gdy ładowano bagaże, minął ich powóz z Neurode, wiozący Normana Westa. Nieznanomy uchylił kapelusza, Maria i ojciec odkłonili się uprzejmie.

—To pewnie ten Amerykanin, co chce kupić Neurode —powiedział stangret do



służącego.

—Tak sobie myślałem, wygląda na zagranicznika — odparł służący.

Maria dałaby wiele za to, by się dowiedzieć, gdzie leży ten majątek.

Powóz z Neurode jechał cały czas przed nimi, nim wreszcie skręcił w prawo, podczas gdy oni pojechali prosto. Gdy dotarli do rozwidlenia dróg, Maria ujrzała drogowskaz z napisem: *Majątek Neurode 2 km, wieś Neurode 3 km*. Oto więc była odpowiedź na jej pytanie. Patrzyła w ślad za oddalającym się powozem, póki nie zniknął jej z oczu. Tajemniczy nieznajomy nie mógł jej wywietrzeć z głowy.

Ojciec i córka prawie nie rozmawiali ze sobą w drodze do swej nowej ojczyzny, gdzie mieli znaleźć schronienie przed nędzą i kłopotami. Serca ścisnęły im się trwożnie na myśl o tym, co ich tam czeka.

Droga skręciła nad rzekę, przejechali przez mostek, by po chwili wyjechawszy z lasu ujrzeć dwór Weidenhof, stojący pośrodku wielkiego ogrodu; dokoła były pola uprawne i łąki. Powóz wjechał na teren posiadłości przez małą furtkę w płocie, naprzeciwko bocznego skrzydła.

—Spójrz ojcze, co za wspaniała budowla! —zawołała Maria z błyszczącymi oczami.

—Tak, kochanie, ja też byłem zachwycony tą barokową rezydencją, gdy tu był po raz pierwszy wiele lat temu. W młodości bywałem tu częstym gościem.

Powóz zatrzymał się przed wejściem do bocznego skrzydła. Służący pomógł państwu wysiąść. Powitała ich panna Döring, jak zawsze czysta i schludna, w białym wykrochmalonym fartuchu narzuconym na szarą suknię i białym czepcu na rzadkich siwych włosach. U pasa miała ogromny pęk kluczy. Małe ciemne oczka, ginące prawie w fałdach tłuszczu, patrzyły na gości niezbyt przyjaźnie. Odezwała się jednak tonem odrobinę łagodniejszym niż zwykle:

—Jaśnie pan serdecznie wita państwa w swoim domu. Prosi, by państwo się rozgościli. Jeśli będą mieli państwo jakieś życzenia, proszę przekazać je przez służącego. Jaśnie pan życzy sobie, by państwu na niczym nie zbywało. W razie

czego proszę do niego pisać. A ja jestem tu gospodynią i nazywam się Döring.

Ojciec i córka byli przygotowani na to, że gospodarz nie przywita ich osobiście, toteż nie czuli się dotknięci. Panna Döring wprowadziła ich do domu. Znaleźli się w wąskiej sieni, która wychodziła na długi, szeroki korytarz, prowadzący do budynku środkowego. Ale teraz drzwi między skrzydłem a częścią główną pałacu były zamknięte. Po przeciwnej stronie sieni znajdowały się schody na górę. Na pierwszym piętrze panna Döring otworzyła drzwi do wspólnego salonu i jadalni gości. Zgodnie z poleceniem Alberta Tomaua pomieszczenie to było łącznikiem między pokojami ojca i córki. Piękny pokój, z dębowymi meblami w stylu flamandzkim miał trzy duże okna. Widać było przez nie las, a za lasem góry. Tuż pod oknami rozciągał się sad, pełen bujnej, letniej zieleni, dorodnych drzew uginających się pod ciężarem owoców.

Na podłodze leżał przepiękny dywan, pośrodku pokoju stał okrągły stół, a na nim w wazonie róże. Maria ogarnęła to wszystko zachwyconym spojrzeniem i wykrzyknęła wzruszona:

—Jak tu pięknie! Ten bukiet to zapewne pani dzieło, proszę pani. Jak to miło z pani strony. Czy mogę uścisnąć pani dłoń?

Panna Döring spojrzała na nią speszona. Była zachwycona tą młodą osobą. Nie przywykła słyszeć miłych rzeczy, zmieszana się i odezwała szorstko i niezręcznie:

—Jestem panna Döring, nie pani, broń Boże!

Ujęła ostrożnie wyciągniętą dłoń młodej kobiety, jakby to był jakiś kruchy przedmiot. Maria spojrzała swymi pięknymi oczami w oczy starej służącej.

—A więc dobrze, panno Döring. Będę pamiętała.

—Bardzo proszę jaśnie panienkę.

Na te słowa Maria zarumieniła się, ale odważnie brnęła dalej:

—W każdym razie, proszę przyjąć od nas serdeczne podziękowanie za kwiaty, panno Döring.

—Proszę bardzo. Nie ma za co. Jaśnie pan kazał, żeby było miło i przytulnie; zrobiłam, co do mnie należało.

Marię intrygowała stara służąca. Nie przeszkadzało jej, że jest taka mrukliwa. Tymczasem panna Döring przeszła przez pokój i otworzyła drzwi mówiąc:

—Z tej strony jest salon i sypialnia jaśnie panienki.

Maria ujrzała uroczy salonik w stylu empirowym i przestronną, na biało umeblowaną sypialnię. W oknach były muślinowe firanki, związane jasnoniebieskimi wstążkami. Na ślicznym stoliku nocnym stał bukiet pachnących goździków, a na stoliku pod oknem — kwitnąca gałązka jaśminu w kryształowej wazie.

Na twarzy Marii odmalowało się głębokie wzruszenie. Nie spodziewała się znaleźć tu tak miłego gniazdka. Łzy radości napłynęły jej do oczu, uścisnęła gorąco dłoń panny Döring i mówiła drżącym głosem:

—Nie mogę osobiście podziękować stryjowi za jego dobroć. Ale proszę mu powiedzieć, że jesteśmy głęboko wzruszeni. A pani, panno Döring, włożyła w to wiele trudu i dlatego pani również chcę serdecznie podziękować. Ja... ja...

Nie mogła dalej mówić, gdyż łzy rzuciły jej się z oczu; odwróciła się szybko i rozszlochała na dobre. Trzymała się dzielnie, póki bieda zaglądała im w oczy, a teraz gdy znów miała wieść beztroskie życie, nerwy odmówiły jej posłuszeństwa.

Panna Döring stała nieruchomo jak kamienny posąg, lecz twarz jej drgała ze wzruszenia. Ktoś, kto ją znał dobrze, zdumiałby się na ten widok. Słyszała od swego pana, że ojciec i córka byli niegdyś bogaci, lecz stracili wszystko. I oto ta piękna, tak ciężko przez los doświadczona istota jest wstrząśnięta •'flo łez, gdyż po latach nędzy i trosk znalazła się znów w przyjemnie urządzonej mieszkanie. Scena ta obudziła w pannie Döring uczucia całkiem nowe, a właściwie tylko zapomniane, drzemiące pod twardą skorupą szorstkości. Gdyby jej ktoś teraz powiedział, że jest wzruszona, zwymyślałaby go od najgorszych. A jednak była to prawda, miała ochotę płakać razem z Marią. Wreszcie rzekła:

—Teraz pokażę jaśnie panu jego pokoje.

Przeszedłszy przez pokój, otworzyła inne drzwi i pokazała panu Tomauowi jego gabinet i sypialnię. Jerzy Tomau także był poruszony. Maria uspokoiła się tymczasem i ojciec z córką padli sobie w ramiona.

—Obejdę się bez służby, panno Döring. I jeszcze raz serdecznie dziękuję za wszystko!

Panna Döring zapragnęła czym prędzej się wycofać.

—Teraz już idę i przyślę państwu herbatę i przekąskę. Jeśli będzie coś więcej potrzeba, proszę powiedzieć służącemu. Muszą się państwo obyć bez damskiej służby, gdyż jestem w tym domu jedyną kobietą.

Więcej nie przeszło jej przez gardło, więc tylko machnęła ręką z rezygnacją i wybiegła z salonu. Pędziła tak, jakby jej się ziemia paliła pod stopami. Gdy znalazła się w budynku środkowym, przystanąła na chwilę chwytając z trudem powietrze jak ryba wyjęta z wody, po czym poszła do kuchni — na pozór uspokojona — i przygotowała smaczną przekąskę dla gości. Posłała ją przez służącego wraz z herbatą i dzbankiem mleka. Wyraziła przy tym opinię, że panna pilnie potrzebuje kuracji mlecznej.

Wreszcie udała się do pana, który jej przykazał po przybyciu państwa złożyć raport.

—Przyjechali!—powiedziała lakonicznie.

Ku swemu przerażeniu zauważyła, że wzruszenie znów chwyta ją za gardło. Przetykała nerwowo ślinę, nie patrząc na dziedzica. A jego coś uderzyło w tonie jej głosu, gdyż spytał niespokojnie:

—No i co?

—To nie do wytrzymania! —jęknęła panna Döring.

—Co takiego? — spytał Albert Tomau, na dobre zaniepokojony.

—Boże drogi! Nigdy nie widziałam czegoś tak pięknego, kochanego i smutnego jak ta panienka! Ona płakała! — powiedziała takim tonem, jakby to on był

temu winien.

—Płakała? — spytał Albert Tomau speszony.

Panna Döring przełknęła ślinę.

—Jak bóbr!

—Ale dlaczego?

—Toż z wdzięczności, że tak tu pięknie! I dziękuje jaśnie panu i ręki mi mało nie zgniotła z radości, że się już nie będzie tułać. Serce się ściska, gdy na nią patrzeć. Nie mogę dalej mówić, przyjdę później! — rzuciła i ze łzami w oczach uciekła z pokoju.

Albert Tomau patrzył za nią na wpół zdziwiony, na wpół zażenowany. Stara Döring w takim stanie ducha — tego jeszcze nie było. Nigdy dotąd nie widział jej płaczącej.

Jemu samemu zrobiło się dziwnie na duszy. Maria Tomau płakała z radości i wdzięczności, że będzie miała cichy kąt dla siebie i spokojne życie? Boże drogi, ileż kuzyn z córką musieli przecierpieć! A on nic o tym wiedział, nie interesował się nimi. Stara Döring ma rację, czyniąc mu wyrzuty; zamknął się egoistycznie w swoich czterech ścianach, odciął nawet od swych jedynych krewnych. Poprzysiągł więc, że zrobi wszystko, by im niczego nie brakło. Będą opływać we wszystko — ale jego muszą zostawić w spokoju.

A jednak uczuł nagłą tęsknotę, by zobaczyć kuzyna i tę młodą bratanicę — tak, bratanicę także. Ile ona mogła mieć lat? Było to ponad dwadzieścia lat temu, gdy widział ją jedyny raz w życiu. Była wtedy malutkim, ślicznie ubranym człowieczkiem ze złotym puszkim na główce i wielkimi orzechowymi oczami. Teraz to już młoda dama. O tak, chciałby ją kiedyś zobaczyć — ostatnią z rodu Tomauów. Ale jego widok przeraziłby ją. Odwróciłaby się od niego ze wstrętem i uciekła — nie, tego by nie zniósł.

Pod wpływem tej myśli dawno zabliznione rany znów poczęły krwawić i Albert Tomau z rozpaczą rzucił się na fotel.

W dniu przyjazdu Jerzy Tomau znalazł na biurku list następującej treści:

*Drogi Kuzynie Jerzy!*

*Mam nadzieję, że będziecie się dobrze czuć w swoich pokojach. Osobiście dopilnowałem przygotowania ich na Wasz przyjazd, choć w tym względzie mogę się całkowicie zdać na pannę Döring. Myślę, że nie zabraknie Wam tu niczego. Weidenhof będzie odtąd Waszym domem. Witam Was serdecznie!*

*Macie do dyspozycji część ogrodu przylegającą do Waszego skrzydła pałacu. Po lesie możecie spacerować do woli; proszę Was tylko, byście wybierali porę między jedenastą a pierwszą lub po południu między czwartą a siódmą. W tych godzinach jestem zawsze w swym gabinecie. Gdybyśmy się jednak spotkali kiedyś przypadkiem, proszę, byście ominęli mnie z daleka. Ty byś mnie jeszcze pewnie poznał, drogi Jerzy, ale Twoja córka powinna unikać takiego brzydala jak ja. Może któregoś dnia odważę się z Tobą zobaczyć, wtedy powiadomię Cię o tym. Ale córkę trzymaj ode mnie z daleka —to mój warunek.*

*Chcecie pracować? Rozumiem to i wyznaczę wam zadanie. Na razie możesz wraz z córką uporządkować moją bibliotekę; jest bardzo zaniedbana, nigdy nie miałem czasu się nią zająć. Skatalogujecie tomy i ustawicie je w jakimś rozsądnym porządku. Weźcie do pomocy jednego z moich służących. Gdy zabraknie regałów, mój stolarz, Mehnert, sporządzi nowe. Jeśli będę potrzebował książek, wyślę po nie służącego. Sądzę, że praca nad uporządkowaniem biblioteki zajmie Wam kilka miesięcy; potem znajdziemy dla Was coś innego. Jeżeli zdecyduję się znów Cię widywać, poproszę o pomoc w prowadzeniu ksiąg. To zadanie chcę powierzyć tylko komuś, komu mogę bezwzględnie ufać, stąd pomyślałem o Tobie. Ale, jak powiedziałem, na razie nie wiem jeszcze, czy będę miał siłę Cię spotkać.*

*W każdym razie mam szczerą wolę zapewnić Wam trwale i bezpieczne miejsce w Weidenhofie, i to tak, byście nie mieli poczucia, iż jesteście na łaskawym chlebie.*

*Polecam Was Bogu*

*Twój kuzyn Albert Tomau*

Przeczytawszy list, ojciec w milczeniu podał go córce. Maria przebiegła go



oczami i powiedziała z westchnieniem:

—To musi być bardzo dobry i szlachetny człowiek, winni mu jesteśmy dogonną wdzięczność. Jakże szczęśliwe i beztroskie byłoby nasze życie, gdy nie to męczące uczucie, że musimy przed nim zatajać moje małżeństwo i rozwód.

—Nie powinnaś się tym zadrećzać, Mario. Przyjdzie taka chwila, że będziemy mogli wszystko wytłumaczyć Albertowi. Jestem pewien, że on to zrozumie. W końcu to bez znaczenia, skoro znów nazywasz się Tomau.

Rozgościli się w swoich pokojach, odpoczęli, rozpakowali się. O wpół do ósmej podano im smakowitą kolację. Panna Döring kazała spytać, czy państwo życzą sobie herbatę, wino czy piwo. Oboje zdecydowali się na herbatę, jako że do tego przywykli.

W końcu położyli się spać. Głęboka wdzięczność przepelniała ich serca. Przed zaśnięciem Marii z niewiadomego powodu przyszedł na myśl nieznajomy, którego ich stangret uznał za Amerykanina. Nie mogła zapomnieć jego oczu. Czy naprawdę ma zamiar kupić majątek Neurode? Zła na siebie, próbowała odpędzić te myśli. Co ją obchodzi ten obcy mężczyzna?

Ale jego obraz prześladował ją nawet we śnie. Ujrzała go, jak wychodzi dróżką z głębi lasu z tym samym wyrazem twarzy, jaki miał wtedy, gdy go spotkali; lecz wtem zamienił się w straszliwego, brzydkiego potwora i biegł ku niej z okrzykiem: „Ja jestem stryj Albert!” Ale dalej patrzył na nią dobrymi, łagodnymi oczyma Amerykanina i Maria wyciągnęła rękę i pogłaskała go. Wcale się go nie bała.

Przebudziwszy się nazajutrz rano, potrzebowała trochę czasu, by się odnaleźć na nowym miejscu. Ale wnet wyskoczyła z łóżka i podeszła do okna. Przed jej oczyma roztaczał się wspaniały widok; słońce świeciło jasno i wesoło. Maria, przepelniona uczuciem wdzięczności, złożyła ręce jak do modlitwy. Jakaż rozkoszną przystań znaleźli po tylu trudach i wyrzeczeniach! Tu nie dosięgnie ich zmora inflacji; tutaj są bezpieczni.

Ubrała się szybko. W salonie czekał już na nią ojciec. Maria lekko zakłopotana, zadzwoniła na służącego, by podał śniadanie. Natychmiast wniesiono posiłek. Był

tam i dzban mleka, tak jak wczoraj na kolację.

—Panna Döring — meldował służący — kazała powiedzieć, że panienka powinna pić dużo mleka.

Uśmiech wzruszenia przemknął przez twarz Marii. Ta surowa panna Döring zdawała się mieć gołębie serce.

Ojciec i córka z ochotą pałaszowali smakołyki. Po śniadaniu zjawiała się gospodyni. Podając Jerzemu Tomauowi formularz meldunkowy, poprosiła o jego wypełnienie, gdyż muszą się zameldować w gminie Neurode.

Ojciec i córka wymienili znaczące spojrzenia, po czym Jerzy Tomau pewną ręką wpisał do formularza potrzebne dane. Zataił jedynie, że Maria była zamężna i jest rozwiedziona. Po prostu nie wypełnił odnośnej rubryki; wpisał tylko nazwisko oraz datę i miejsce urodzenia córki. Pocieszał się, że popełnia tylko drobny grzech zaniedbania.

Gdy panna Döring chciała odejść, Jerzy Tomau spytał:

—Gdzie znajduje się biblioteka, panno Döring?

Gospodyni, omijając go wzrokiem, patrzyła na Marię, nie mogąc nasycić oczu jej widokiem.

—Pokażę ją państwu dopiero za kilka dni, proszę jaśnie pana, pan kazał państwu najpierw odpocząć. Jeśli państwo zechcą wyjechać powozem, wystarczy powiedzieć służącemu. Pan nie potrzebuje powozu i oddaje go państwu do dyspozycji.

Maria uśmiechnęła się do niej łagodnie.

—Nam też powóz nie jest potrzebny. Nie pasuje do naszej sytuacji materialnej. Nie chcemy być rozpieszczani. Ale proszę powiedzieć stryjowi Albertowi, że jesteśmy mu niewymownie wdzięczni za wszystko. Moglibyśmy już dziś zabrać się do pracy. Ale skoro nam się tego zabrania, wykorzystamy czas, by pospacerować i rozejrzeć się po okolicy. Las musi być piękny!

Panna Döring z dumą skinęła głową, jakby las należał do niej.

—O, tak, nasz las warto zobaczyć.

Gdy stara służąca wyszła, Maria powiedziała do ojca:

—Stryj Albert za bardzo nas rozpieszcza. Jest tak wzruszająco dobry. Czy naprawdę jest aż tak brzydki? Zupełnie mi to do niego nie pasuje.

—No, cóż, nigdy nie grzeszył pięknnością, a nie sądzę, by z wiekiem wyładniał. Ja się zresztą nigdy nad tym nie zastanawiałem, czy jest ładny czy brzydki; to był tak dobry i szlachetny człowiek, że kto by tam myślał, jak wygląda. Nie umiem oczywiście powiedzieć, jakie wrażenie wywierał na kobietach. Ja go zawsze lubiłem. Ale skoro sobie tego życzy, musisz mu schodzić z drogi. Gdybyś go przypadkiem spotkała, nie wolno ci się do niego odezwać.

—Nie mam zwyczaju zaczepiać mężczyzn, z łatwością oprę się więc pokusie — uśmiechnęła się Maria. — W każdym razie będę pamiętała, że mam rozmawiać tylko z pięknymi ludźmi.

Na to i ojciec się uśmiechnął.

—Nie spotkasz tu wielu ludzi, ani pięknych, ani brzydkich, z wyjątkiem robotników rolnych i wieśniaków.

Gdy w jakiś czas potem ojciec z córką wybrali się na pierwszy spacer do lasu, panna Döring śledziła ich z ukrycia. Napawała się widokiem wiotkiej postaci Marii, która wyglądała czarująco w swej prostej białej sukience.

—Przynajmniej jest na co popatrzeć, nie to co stare chłopcy — mruknęła.

Minęły dwa tygodnie. Ojciec z córką pracowali pilnie w bibliotece, gdzie bałagan panował rzeczywiście okropny. Praca sprawiała im przyjemność. W przerwach spacerowali po ogrodzie, czego, za pośrednictwem panny Döring, zdecydowanie domagał się od nich Albert Tomau. Jaśnie pan nie życzy sobie, by się przepracowywali.

Panna Döring pomagała im, jak tylko mogła, głównie po to, by dogodzić Marii,

do której od razu przyłgnęła całym sercem. Nie przyjmowała podziękowań, szorstka i speszona, twierdząc, że wszystko to robi na polecenie jaśnie pana. Nie przyznawała się do tego, że wiele rzeczy robiła z własnej inicjatywy. Nie nawykła do wyświadczenia uprzejmości, nie mówiąc o ich przyjmowaniu, toteż była bardzo zakłopotana, gdy ktoś podejrzewał ją o dobre uczynki.

Pewnego dnia Maria powiedziała do ojca:

—Chciałabym sprawić przyjemność stryjowi Albertowi w dowód naszej wdzięczności i mam już pomysł.

—Co takiego, córeczko?

—Namaluję dla niego obraz. Pamiętasz tę piękną polanę w lesie, którą ostatnio widzieliśmy? Tam, gdzie bije źródło i strumyk obmywa omszałe kamienie? Są tam przepiękne stare buki. Chcę namalować taką scenę: Na omszałym kamieniu siedzi rusałka, a z lasu, pomiędzy buków wynurza się jeździec. Spogląda na nią na wpół zgryźliwie, na wpół z pełną humoru wyższością, jakby chciał powiedzieć: „A cóż mi się tak przypatrujesz ciekawie?” Może ten obraz spodoba się stryjowi Albertowi?

—To bardzo sympatyczny pomysł, Mario. Ale skąd weźmiesz modeli do tego obrazu? Rusałka i jeździec! Zwłaszcza rusałka! To nie będzie łatwe. W Weidenhofie nie ma innych kobiet prócz ciebie i panny Döring. A panna Döring nie bardzo nadaje się na rusałkę.

Maria roześmiała się cicho. Ostatnio ku radości ojca coraz częściej się śmiała.

—Nie śmieć się, ojczy, jeszcze i panna Döring będzie mi pozowała. Z tą swoją puciołowatą twarzą jest świetnym modelem do portretu holenderskiej rybaczki. Ale najpierw muszę namalować tę scenkę leśną. Zabrałam z Berlina farby i wszystkie potrzebne materiały i przybory. Mam też szkic rusałki—pozowała mi Małgosia, córka naszego berlińskiego dozorca. Przy okazji pokażę ci ten szkic. Albo lepiej nie, zobaczysz dopiero gotowy obraz. Zacznę zaraz dzisiaj. Codziennie dwie godziny przed obiadem będę malowała na polance; przekonałam się, że wtedy jest najlepsze światło. Największy kłopot mam z jeźdźcem. W ostateczności ty bę-

dziesz mi pozował.

Starszy pan roześmiał się wesoło.

—Ja, Mario?

—Tylko w ostateczności. Już ja cię odpowiednio wystroję. Ale może znajdę modela we wsi.

I tak codziennie około jedenastej Maria zjawiała się na polanie i malowała. Praca sprawiała jej radość i posuwała się szybko do przodu. Namalowała już cały sztafaż; rusalka siedziała na kamieniu, zerkając ciekawskimi oczkami córki dozorca, aż radość brała patrzeć. Naszkicowała też konia i jeźdźca, ale tu utknęła. Nie miała niczego odpowiedniego pośród swych szkiców, a i we wsi, dokąd wybrała się z ojcem, nie znalazła odpowiedniego modela.

Pewnego dnia, gdy jak zwykle malowała na polance, poczuła na sobie czyjś wzrok. Odwróciła się i na skraju lasu ujrzała Amerykanina. Wzdrygnęła się na jego widok i zarumieniła, gdyż często o nim myślała, a nawet śniła o nim po nocach.

Norman West zawahał się. Od dawna pragnął poznać tę młodą damę. Ale obawiał się, że wyda jej się natrętem; onieśmielała go swoją rezerwą. Toteż uchylivszy kapelusza, poszedł dalej.

Maria skłoniła lekko głowę i pilnie malowała dalej, pozornie nie zwracając na niego uwagi. Kusilo ją, by rzucić pędzel i wstać. Ale zmusiła się do pracy i malowała dopóty, dopóki, jak sądziła, nieznajomy nie zniknął w lesie. Wtedy nie wytrzymała. Wmawiała sobie, że nie może dalej malować, póki nie znajdzie odpowiedniego modela.

Wstała od sztalug i umywszy ręce w źródelku, potrząsała nimi energicznie, by strząsnąć krople wody. Nie zauważyła, że z mokrego zimnego palca zsunął jej się pierścionek i upadł w trawę obok omszałego kamienia. Dziewczyna zostawiła obraz i przybory malarskie na polanie i zagłębiła się w las. Była tak pogrążona w myślach, że nie zastanawiała się, dokąd idzie. Spotkanie z Normanem Western wytrąciło ją z równowagi. Widziała wciąż jego oczy — dobre, łagodne, zupełnie inne niż oczy jej byłego męża. Wzdrygnęła się, przypomniawszy sobie lodowate

spojrzenie Herberta Lassberga. Znow odżyło w niej wszystko, co wycierpiała w tym małżeństwie. W ciągu ostatnich miesięcy, a właściwie od rozwodu, nie miała czasu, by się głębiej nad tym zastanowić. Teraz nagle opadły ją smutne wspomnienia. Maria była z natury wesoła, ale nieszczęśliwe małżeństwo z Lassbergiem zabiło w niej radość życia. Nędza dokonała reszty. Lecz w tej chwili zapragnęła znow być wesoła i cieszyć się życiem.

Westchnąwszy głęboko, rozejrzała się po zielono-złotym gąszczu leśnym. Promienie słoneczne tańczyły wesoło na listkach. Ach, jak pięknie było iść bez troski przez ten cudowny las! I znow przyszedł jej na myśl „Amerykanin”. Ciekawe, czy kupił majątek Neurode? Pewnie tak, bo inaczej skąd by się tu wziął? Ten las należał wprawdzie do majątku jej stryja, ale spacerować po nim każdemu było wolno. Ciekawe, czy ma żonę i dzieci?

Westchnęła. Jej własne życie było złamane, nigdy już nie będzie szczęśliwa.

W zamyśleniu nie zważała na drogę. Szła coraz głębiej w las, jakby chcąc wyładować obudzoną nagle młodzieńczą energię. Lecz w pewnej chwili zatrzymała się przerażona. Dokąd to zaszła? Dlaczego biega po lesie, jakby nie miała nic lepszego do roboty? Powinna w tej chwili pracować w bibliotece. Nie miała wyrzutów sumienia, że maluje ten obraz, gdyż robiła to dla stryja. Ale w takim razie nie powinna leniuchować.

I czyniąc sobie gorzkie wyrzuty, postanowiła zawrócić. Rozejrzała się bezradnie wokoło. Nie wiedziała, gdzie jest. Zrobiła kilka niepewnych kroków, nie mając pewności, czy idzie we właściwym kierunku. Uświadomiła sobie, że porzuciła na polance obraz i przybory malarskie. Wprawdzie las zdawał się być nieuczęszczany, dotychczas spotkała tu jedynie Amerykanina, ale jakieś zwierzę mogło podejść do sztalug i uszkodzić obraz. Musi jak najszybciej wrócić na polanę. Spojrzawszy na zegarek, stwierdziła z przerażeniem, że już dłużej niż pół godziny chodzi po lesie.

Po półgodzinie wciąż jeszcze nie doszła do celu. Wyszła na szeroką drogę, na którą — była tego pewna — nie natknęła się idąc w tę stronę. Zatrzymała się zdezorientowana. Wtem usłyszała gdzieś niedaleko parskanie konia. Obejrzała się



przestraszona i spostrzegła brodatego mężczyznę. Był wysoki i silny i siedział na rośłym rumaku; wspaniała głowa okolona była gęstą brodą i zmierzwionymi włosami.

Maria szybko zapomniała o strachu i o mało nie krzyknęła z radości, nie tylko dlatego, że spotkała człowieka, który może wskazać jej drogę, ale także dlatego, że nareszcie znalazła idealnego modela do swojego jeźdźca. Człowiek ten wyglądał jak olbrzym z zamierzchłych czasów.

Uderzyły ją oczy nieznanego, oczy „Amerykanina”, piękne i łagodne. Tyle tylko, że jeździec był dużo starszy i spoglądał na nią z ponurą rezerwą. Ale Maria wcale się go nie lękała; mimo srogiej miny olbrzym wyglądał dobrodusznie i budził zaufanie. Podeszła więc śmiało do niego i powiedziała:

—Przepraszam pana bardzo, zabłądziłam w lesie. Czy mógłby mi pan powiedzieć, któredy idzie się do Weidenhofu?

Albert Tomau — bo to był on — ani drgnął, miotając się rozpaczliwie między chęcią panicznej ucieczki i pragnieniem spoglądania w te ufne orzechowe oczy, których czarowi nie mógł się oprzeć. Wreszcie porzucił myśl o ucieczce. Ta czarująca istotka patrzyła wszak na niego bez cienia wstrętu czy niechęci, przeciwnie — przyglądała mu się z wyraźną sympatią. Był pewien, że ma przed sobą bratanicę, Marię Tomau. Ona zaś najwyraźniej nie wiedziała, kim on jest, gdyż w przeciwnym wypadku, zgodnie z jego wolą, uciekłaby na jego widok. Będąc pewnym swego incognito, Albert Tomau uspokoił się.

— Chce pani dojść do Weidenhofu? — spytał przewyciężając opory.

— Właściwie do polanki przy źródelku pod wielkimi bukami. To jakieś kilka minut drogi od Weidenhofu. Malowałam tam obraz, poszłam przejść się po lesie i zabłądziłam. Ale Weidenhof musi by niedaleko stąd.

—Będzie ze trzy kwadranse — odparł Albert Tomau, wierząc się niespokojnie na siodle, speszony spojrzeniem błyszczących kobiecych oczu.

—Trzy kwadranse? — przeraziła się Maria. — W takim razie musiałam pójść w złym kierunku. Może mi pan wskazać drogę? A pan jest z Weidenhofu czy z

Neurode? Wygląda pan na rolnika.

—Z Weidenhofu!

—Ach, to już wiem, kim pan jest! — ucieszyła się.

Albertowi Tomauowi poczerwieniało czoło i powiedział prawie z gniewem:

—Ach, tak? Wie pani, kim jestem?

—Oczywiście, to przecież nietrudno zgadnąć, skoro pochodzi pan z Weidenhofu. Pan jest na pewno rządcą mojego stryja.

Nie przyszło jej do głowy, że ten olbrzym o pięknych oczach i cudownej, malarskiej głowie mógłby być jej stryjem, który sam siebie uważał za pokrakę. Nie wydał jej się wcale brzydki.

—A któż jest pani stryjem? — spytał Albert Tomau zrzędlawie, ale odczekał z ulgą.

—Pan Albert Tomau z Weidenhofu.

—Ach tak! A więc to pani jest panną Tomau?

Maria zarumieniła się, słysząc słowo „panna”, ale skinęła głową z uśmiechem.

—Tak, nazywam się Maria Tomau. A więc zna pan moje nazwisko? Na pewno dowiedział się pan o mnie od stryja, u którego teraz mieszkam.

—Tak — odparł lakonicznie.

—W takim razie moje przypuszczenie jest słuszne. Pan jest na pewno rządcą w Weidenhofie. Bo nikt inny z ludzi stryja nie mógłby się poruszać konno, ale dla rządcy to konieczność. Zgadłam?

—Hm, to prawda, zarządzam Weidenhofem — odparł Albert Tomau trochę cieplejszym tonem, czując się pewniej w roli rządcy.

—O, jakże się cieszę, że pana spotkałam, panie rządcu! Na pewno wraca pan do domu; proszę, niech mi pan pozwoli pójść z panem. Tu i tak może pan jechać tylko stępa, bo drzewa przeszkadzają.

—Jak pani chce! Mogę jechać wolno.

—To bardzo uprzejmie z pana strony.

—Nie, wcale nie jestem uprzejmy.

Maria roześmiało się z cicha. Przyszło jej do głowy, że ten starszy pan ma wiele wspólnego z panną Döring. Oboje starali się wyglądać na bardziej nieuprzejmych, niż byli w rzeczywistości. Widocznie położenie Weidenhofu na odludziu, a także dziwactwa jego właściciela wywierały negatywny wpływ na jego pracowników.

—Wcale mnie to nie martwi, panie rządcu, że stara się pan być bardzo surowy. Pańskie oczy mówią co innego niż pańskie usta.

Tamtemu twarz drgnęła.

—Zna się pani na ludziach, co? — zadrwił, broniąc się przed ogarniającym go wzruszeniem.

Maria znów roześmiała się cicho, jakby do siebie.

—Za bardzo się nie znam na ludziach, ale mam niezawodną intuicję. Wyczuwam doskonale, że pan wcale nie jest taki szorstki, za jakiego chce pan uchodzić. I dlatego chcę pana o coś gorąco poprosić.

Albert Tomau ruszył tymczasem wolno do przodu, Maria szła obok.

—Czego pani chce? — mruknął.

Maria spojrzała na niego prosząco.

—Nie, niech pan na mnie nie burczy, proszę! Bo mi zabraknie odwagi. I tak boję się, że pan odmówi.

—No, przecież nie będę zaraz gryzł — zażartował, by jej dodać otuchy.

Maria spojrzała na niego filuternie, podbijając całkowicie jego serce, i powiedziała z wahaniem:

—Nie, wolę najpierw panu wyjaśnić, skąd się bierze moja prośba. No więc tak. Pan jest rządcą we dworze, więc z pewnością wie pan o tym, że mój stryj uratował

nas od nędzy — mojego ojca i mnie. Zbiednieliśmy w wyniku inflacji — to nie hańba, wielu uczciwych ludzi podzieliło nasz los. Stryj Albert musi być bardzo dobrym człowiekiem, choć nieszczęście, jakie go spotkało, uczyniło zeń dziwaka. Przyjął nas tu po królewsku, choć na pewno wolałby być sam, i to dowodzi, że ma dobre serce. Chciałabym mu za to wszystko podziękować, ale on na to nie pozwala.

— Bo chce oszczędzić krewnym widoku swej brzydkiej twarzy — wykrztusił Albert Tomau.

TLR

Maria podniosła ku niemu przerażone spojrzenie.

—Och, biedaczysko! Czy naprawdę jest taki brzydki?

—Naprawdę, można nim straszyć małe dzieci; kobiety się nim brzydzą.

—To muszą być kobiety głupie i bez serca! — oburzyła się Maria. — Cóż człowiek może poradzić na to, jak wygląda? A pan nie powinien tak mówić o swoim chlebodawcy. To nieładnie z pana strony.

Albert Tomau zaśmiał się ochrypłym głosem.

—To, że jest moim chlebodawcą, nie czyni go piękniejszym. My dwaj nigdy nie prawimy sobie komplementów. Codziennie mówię mu prosto w oczy o jego brzydocie.

—Och, tego się po panu nie spodziewałam! Teraz widzę, że miał pan rację mówiąc, że nie jest pan uprzejmy. Czy pan nie rozumie, jakie to okrutne mówić stryjowi takie rzeczy? Jak on musi być przybity! Nic dziwnego, że nie chce nikogo widywać.

Albert Tomau miał ochotę pogłaskać kasztanowate loki swej towarzyszki. Było mu dziwnie na duszy, gdy go tak strofowała. Bojąc się że ucieknie nieczułemu rządcy, powiedział szybko:

—Jesteśmy dobrymi przyjaciółmi, nie potrzebujemy sobie kadzić.

—Musicie być naprawdę dobrymi przyjaciółmi, skoro znosi od pana takie uwagi.

—Tak, jestem pewnie jego jedynym przyjacielem.

Maria westchnęła ciężko.

—Biedaczysko! Jakże bym go chciała pocieszyć! Nie mieści mi się w głowie, by tak dobry człowiek mógł być taki brzydki. Mój ojciec też mówi, że wcale nie jest tak źle; stryj Albert zawsze mu się podobał, lubił go bardzo.

Przez chwilę Albert Tomau nie odzywał się, patrząc przed siebie w zadumie.

Znów chciał uciekać, gdzie pieprz rośnie, ale postać młodej kobiety przykuła go do siebie. Rzuciła na niego czar, wobec którego był bezsilny.

—Cóż, możliwe, mężczyźni mają mocne nerwy i nie zwracają uwagi na powierzchowność. Ale kobiety przed nim uciekały i dlatego zagrzebał się w tej samotni i otoczył samymi mężczyznami.

—Ja bym przed nim na pewno nie uciekła. To jest dobry człowiek, a dobrzy ludzie nie mogą być brzydki.

Albert Tomau patrzył na nią dziwnym wzrokiem.

—Ale on jest naprawdę brzydki — powiedział ochrypłym głosem. — Tak samo brzydki jak ja.

Maria parsknęła śmiechem i spojrzała na niego filuternie.

—Ach, teraz już rozumiem. Pan się po prostu nabija ze mnie! I jeszcze pan chce by mu prawić komplementy. Pan chyba sam nie wierzy w to, co mówi. Mężczyzna z taką cudownie malarską głową i takimi dobrymi oczami nie może być brzydki. Wcale nie musi się ukrywać, nawet przed kobietami.

Albert Tomau patrzył na Marię w taki sposób, jakby nagle zaczęła mówić do niego w obcym języku. Wtem oczy mu zabłyśły gniewem.

—Pani sobie ze mnie żartuje! — wybuchnął.

—Jak pan może posądzać mnie o takie rzeczy! Nie zasłużyłam sobie na tak złą opinię.

—Przepraszam, ja... ja jestem takim grubianinem. Nie umiem obcować z młodymi damami. A pani powiedziała taką dziwną rzecz. Nie mogę w to uwierzyć.

Maria udobruchała się i uśmiechnęła do niego promiennie.

—Więc przykro panu, że pan tak o mnie myślał?

—Nie myślę o pani źle, choć może wyraziłem się niezręcznie.

—W takim razie przebaczam panu. Jakże pan się miał nauczyć oglady, gdy



przestaje pan tylko z mężczyznami? Ale zupełnie zapomniałam o swojej prośbie! No więc, chodzi o to, że chcę sprawić przyjemność stryjowi Albertowi w podziękowanie za jego dobroć. Ale to nie jest łatwe dla takiej biedaczki jak ja. Długo się zastanawiałam, jak by się tu odwdziaczyć stryjowi. I w końcu wymyśliłam. Otóż trzeba panu wiedzieć, że mam trochę zdolności malarskich; maluję niezłe, nawet sprzedałam już kilka prac. Postanowiłam więc namalować obraz dla stryja. Bardzo się staram, by obraz wypadł jak najlepiej. Gdy będzie skończony, prześlę mu go przez pannę Döring. Maluję codziennie dwie godziny i jestem już blisko celu. Ale nie mogę skończyć, bo zabrakło mi modelu. I dlatego dzisiaj porzuciłam pracę i poszłam się przejść. Wie pan, maluję to źródło pod wielkimi bukami, pan na pewno zna to miejsce. Na wielkim omszałym głazie siedzi rusałka i przygląda się zaciekawiona mężczyźnie, który właśnie wyjechał konno z lasu. Wyobrażam go sobie jako rycerza z zamierzchłych czasów. Rusałka siedzi w pełnym słońcu, jeździec jest ukryty w cieniu i spogląda na rusałkę surowo, a zarazem z wyrozumiałym humorem; mniej więcej tak, jak pan przed chwilą patrzył na mnie, panie rządcu. I właśnie brakuje mi modelu do mojego rycerza. Byłam już nawet we wsi, ale nie znalazłam odpowiedniego człowieka. Aż tu nagle spotykam pana! Nie wyobraża pan sobie, jak się ucieszyłam! Toż to właśnie mój model! — pomyślałam. Postawny mężczyzna z rozwianą brodą i rozwianymi włosami — nawet koń jest dokładnie taki, jak chciałam! I dlatego chcę pana prosić, by mi pan pozował. Wystarczy mi pół godzinki, zrobię kilka szkiców. W końcu chcę sprawić przyjemność pańskiemu chlebodawcy!

Albert Tomau czuł się nieswojo. Twarz mu drgała pod wpływem miotających nim uczuć. Robiło mu się ciepło na sercu, gdy patrzył w oczy swej młodej bratanicy, w których malowała się naiwna prośba. We wszystkim, co do niego mówiła tym cichym, łagodnym głosem, brzmiała ukryta prośba: otwórz przede mną swoje serce! A gdy powiedziała, że chce go malować, na jego ustach wykwitł żartobliwy uśmiezek.

—Mnie pani chce malować?

—Tak, tak, i właśnie dokładnie tak, jak pan teraz na mnie patrzy! To będzie wspaniały obraz!

Czoło Alberta Tomaua znów pokryło się szkarłatem, gdy mówił z kpiącym uśmiechem:

—To by się dopiero Albert Tomau ucieszył, widząc moją twarz na obrazie!

—Och, myśli pan, że się nie ucieszy z obrazu? — spytała speszona.

Z gardła olbrzyma wydobył się dźwięk — ni to śmiech, ni to ciężkie westchnienie. Twarz mu spoważniała.

—Owszem, myślę, że się ucieszy, ponieważ pani wkłada w to tyle serca. Wątpię tylko, czy mu się moja twarz spodoba.

—Właśnie pańska twarz jest tu jak najbardziej na miejscu! Cała pańska postać pasuje jak ulał do mojego obrazu. Tak się cieszę, że pana spotkałam! Teraz obraz na pewno się uda. Prawda, że będzie mi pan pozował? Najlepiej zaraz, tak, jak pan stoi. Pójdziemy na polankę, gdzie mam przybory malarskie, a pan posiedzi chwilę na koniu w cieniu buków.

Nie mógł jej odmówić; prosiła tak żywo, była tak pełna zapału. I choć w duchu kpił z siebie, że pozwala sobą kierować niewieście, nie opierał się.

I tak dotarli na polankę. Maria zastała wszystko tak, jak zostawiła. Powiedziała „rządcy”, gdzie ma się zatrzymać z koniem, i wzięła do ręki szkicownik. Albert Tomau chciał zobaczyć obraz, ale Maria pokręciła głową.

—Nie, dopiero jak skończę.

Malarka usiadła na omszałym kamieniu —jak rusalka na jej obrazie — i szkicowała z zapałem.

Mało ze sobą mówili. Maria co chwila podnosiła poważne spojrzenie i z uwagą przyglądała się jego twarzy. Jej spojrzenia paliły go jak ogniem. Ale wytrzymał. Maria nie domyślała się, ile go kosztowało takie wystawianie się na kobiecą obserwację. W duchu dziwił się sobie, że Maria potrafiła go ujarzmić. Ta komiczna sytuacja wywołała na jego ustach kpiący uśmiech. Dzięki temu był dla Marii wymarzonym modelem.

Maria nie wiedziała, że olbrzym napawa się jej widokiem — on, który odwykł od widoku kobiecej urody. Albert Tomau siedział jak przyrośnięty do swojego rumaka, oddając się fantastycznym wizjom i przyglądając się rusałce na omaszonym głazie. Tak, ta istota, będąca jego bratanicą, zaczarowała go jak jaka boginka leśna, i to tak, iż zapomniał zupełnie o swojej mizantropii i przestało go peszyć spojrzenie pięknych kobiecych oczu. Nic dziwnego, była to pierwsza kobieta, która na jego widok nie odwróciła się ze wstrętem, lecz swą dobrocią kołała mu duszę. Zupełnie nie mógł zrozumieć, że się nim nie brzydzi uważając, że ma „cudownie malarską głowę i piękne oczy”. Zdawało mu się to wszystko tak dziwne i nierzeczywiste, iż bliski był uwierzenia, że naprawdę został zaczarowany.

Maria rysowała pilnie; Albert Tomau widział, z jaką powagą traktuje swoje zadanie. I wszystko to po to, by sprawić radość stryjowi! Ta myśl zalała go falą gorącą. I oto nagle w tej jednej dziwnej chwili pojął, jak bardzo był samotny do tej pory, jak łaknął miłości, jak bardzo pragnął, by ktoś okazał mu odrobinę współczucia i zrozumienia. Czy to możliwe, by ta młoda istota po polubiła? Czy naprawdę może się wyzwolić z pęt tyloletniego samoudręczenia?

Wzdrygnął się przestraszony, gdy Maria nagle wstała i powiedziała wesoło:

—W porządku, panie rządcu, jest pan wolny. Ciężko panu było pozować?

—To wcale nie trwało długo. Czy mogę zobaczyć swój portret?

Maria podeszła i podała mu rozłożony szkicownik. Albert Tomau obejrzał dwa szkice. Na jednym była sama głowa, na drugim cała postać na koniu. Z sekretnym podziwem skonstatował, że jego bratanica ma talent. Wreszcie rzekł, kręcąc głową:

—Tak, to jestem ja, ale jakby i nie ja. Pani mnie bardzo upiększyła.

—Wcale nie! Dokładnie tak samo pan wyglądał, gdy pana rysowała! Nie chcę się chwalić, ale pański portret udał mi się jak rzadko. Ale to nic dziwnego, ma pan tak charakterystyczne rysy! Kiedy obraz będzie skończony i pošlę go stryjowi, musi mi pan powiedzieć, czy pana poznał i czy mu się ta praca podobała. Obiecuję pan?

Albert Tomau skinął tylko głową, gdyż wzruszenie odebrało mu mowę. Dopiero po chwili rzekł:

—A... czy mogę powiedzieć pani stryjowi, że nie wydałem się pani odstrasza-  
jąco brzydki? Wtedy będzie miał nadzieję, że pani przed nim nie ucieknie, gdy go  
pani zobaczy.

—Może mu pan to spokojnie powiedzieć. Na pewno nie ucieknę przed dobrym  
człowiekiem, nawet gdyby to była prawda, że jest brzydki. Ale nie wierzę w to. Bo  
i pan, panie rządcu, wcale nie jest brzydki, zapewniam pana. I dlatego zabraniam  
panu kokietować mnie swoją brzydotą, bo będzie kwita z naszą przyjaźnią.

—Przyjaźnią? Naprawdę chce pani, żebyśmy się zaprzyjaźnili, moja panienko?  
Jego głos brzmiał tak ciepło, że Maria bez wahania podała mu dłoń.

—Bardzo tego chcę! Mam nadzieję, że będziemy się częściej spotykać. Pan  
zapewne mieszka w starym dworku tam, gdzie są pomieszczenia gospodarcze?

Albert Tomau zawahał się, po czym powiedział szybko:

—Tak, mieszkanie rządcy mieści się w starym dworku.

—My z ojcem tam nie chodzimy, bo musielibyśmy przejść obok budynku  
środkowego, gdzie mieszka stryj Albert. Ale jakoś się spotkamy. Może mógłby nas  
pan odwiedzić? Proszę spytać stryja, czy pozwoli. I będzie pan mi opowiadał o  
stryju Albercie — czy zdrowy, czy smutny, czy wesoły. Nie mogę sobie wyobra-  
zić, by właściciel takiego wspaniałego pałacu mógł być smutny.

— A jednak jest częściej smutny niż wesoły. W ogóle nie potrafi się już ra-  
dować z całego serca.

Maria załamała dłonie, oczy jej zwilgotniały.

—Ach, gdyby można mu było jakoś pomóc!

—Naprawdę chciałaby mu pani pomóc?

—Jeszcze jak! Gdybym tylko mogła.

—Kto wie, może właśnie pani się to uda. Ja myślę, że w pani obecności każdy musi być wesoły. Widzę to sam po sobie. Ma pani dar rozweselania ludzi.

—Ojciec dawniej też mi to powtarzał zanim popadliśmy w nędzę. A teraz, gdy znów dobrze nam się powodzi, chciałabym się cieszyć i pocieszać innych. Coraz lepiej mi się to udaje, od kiedy zamieszkaliśmy u stryja.

—A więc podoba się tu pani i ojcu?

—Tu jest cudownie! Jak mogłoby nam się nie podobać?

—Ale taka młoda osoba jak pani musi się tu czuć bardzo samotna?

—Na razie przyjmuję tę samotność jako coś błogosławionego.

—A później?

—Jakoś to będzie. Nie sędzę, żeby mi się miało znudzić w Weidenhofie. Czy nie wydaje się panu dziwne, że panu to wszystko mówię? Zwykle nie jestem taka wylewna. Ale mam wrażenie, że panu można wszystko powiedzieć. Może to dlatego, że jest pan przyjacielem stryja Alberta. Wydaje mi się, jakbyśmy byli od dawna przyjaciółmi.

Albert Tomau patrzył na nią zakochanym spojrzeniem. Wreszcie otrząsnął się.

—No, ale muszę już iść, bo inaczej Döring będzie się złościła, że się spóźniłem na obiad.

—O Boże, pan jest głodny, a ja tu pana trzymam i trzymam! A jeśli chodzi o pannę Döring, to nie musi pan się bać jej humorów. Ona wcale nie jest zła. To naprawdę dobra dusza, tylko za nic w świecie nie chce się do tego przyznać.

Albert Tornau zdumiał się.

—Naprawdę tak pani sądzi?

—Oczywiście, ona tylko udaje taką zrzędę, ale ma dobre serce, do czego nie chce się przyznać.

Starszy pan popatrzył na nią dziwnie.

—Jak pani trafnie ocenia ludzi, moja panienko!

—Jeśli chodzi o pannę Döring to wcale nie jest trudne. Pana też od razu przejrzałam. Wam obojgu dobrze patrzy z oczu. Pan też stara się być szorstki, ale to się panu wcale nie udaje, gdyż zdradzają pana oczy. Ale nie chcę pana dłużej zatrzymywać, bo pan umrze z głodu. Ja też muszę już wracać. Ale zobaczymy się jeszcze, dobrze?

—Tak bardzo pani na tym zależy? — spytał nieśmiało.

Maria pogroziła mu żartobliwie palcem.

—Panie rządcu, znowu domaga się pan komplementów! Jeśli pan nie czuje, że chcę być pańskim przyjacielem, gdyż pan mi się podoba, to nie przekonam pana słowami. Takie rzeczy się po prostu czuje. Ja na przykład wiem doskonale, że pan mnie polubił. Chciałabym przedstawić pana mojemu ojcu; jestem pewna, że się będziecie świetnie rozumieli.

—Zobaczę, czy pan Tomau nie będzie miał nic przeciwko temu.

—Proszę go o to serdecznie poprosić. A teraz już mówię panu: do , widzenia. Bardzo panu dziękuję, że zechciał mi pan pozować i że mnie pan wyprowadził z lasu.

—Do widzenia! — okrzyknął Albert Tomau i znikł między drzewami.

Maria spakowała przybory i ruszyła do Weidenhofu. Ojciec czekał na nią w salonie.

—Długo czekasz na mnie, ojczy? Przepraszam cię, ale wyobraź sobie, spotkałam w lesie cudownego modela na mojego jeźdźca i od razu uwieczniłam go w swoim szkicowniku. Teraz już szybko skończę obraz.

—Jakiego modela?

—Rządcę stryja Alberta. Od razu się zaprzyjaźniliśmy. To wspaniały starszy pan z cudownie malarską głową. Ale nie pokażę ci szkiców, zobaczysz dopiero gotowy obraz. Mam nadzieję, że wkrótce poznasz rządcę; to oryginał.



Odniosła przybory i obraz do swego pokoju, uczesała się i doprowadziła do porządku. Musiała się spieszyć, bo ojciec czekał na nią z obiadem. Wciąż jeszcze nie zauważyła, że zgubiła pierścionek.

Podczas obiadu Maria opowiedziała ojcu o spotkaniu z „rządcą” i o tym że widziała „Amerykanina”.

—Chyba rzeczywiście kupił Neurode — powiedziała.

—Tak, Mario, służący, który mi pomagał przenosić te opasłe tomiska z górnej półki, powiedział, że Neurode to jedyny większy majątek w okolicy. Że jest bardzo zaniedbany, bo dotychczasowy właściciel nie miał pieniędzy. I że teraz kupił te dobra niejaki pan West, Amerykanin niemieckiego pochodzenia, i na pewno doprowadzi je do porządku, bo to bardzo energiczny człowiek.

—Rzeczywiście wygląda na człowieka energicznego — odparła Maria. — Ale pozdrowił mnie bardzo uprzejmie, gdy mnie przypadkiem zobaczył przy źródelku.

—Ma sympatyczną twarz. Ale teraz opowiedz mi, co ten rządcą mówił o stryju Albercie.

—Ach wiesz, z początku był bardzo mrukliwy i mówił mi przykre rzeczy o stryju. Ale zaraz się połapałam, że on wcale tak nie myśli. Wiesz, on jest kubek w 'kubek taki sam jak panna Döring. Tylko że rządcą jest człowiekiem wykształconym i wyraża się w sposób bardzo wyszukany. Zdaje się, że są ze stryjem w bardzo dobrej komitywie.

## X

Norman West kupił Neurode, nie namyślając się długo. Wiedział, że majątek jest bardzo zaniedbany. Rezydencja była w stosunkowo dobrym stanie i nie wymagała dużego wkładu pracy. Trzeba było wprawdzie wyremontować większość pomieszczeń, ale to mu było na rękę — urządzi je według własnego gustu. Gorzej było z pomieszczeniami gospodarczymi — tam potrzebne były poważniejsze

zmiany. We dworze było też zbyt mało personelu, by utrzymać budynek w odpowiednim stanie. Ale poza tym była to piękna, duża posiadłość i Norman West cieszył się, że znajdzie tu ujście dla swej woli czynu. Miał zamiar zrobić z Neurode wzorowe gospodarstwo rolne. Natychmiast też rozpoczęto prace remontowe. Norman zatrudnił zdolnego rządcę, którego mu polecono, i powiększył personel. Robotników chętnych do pracy znalazł we wsi; gotowi byli pracować dla niego za dobre pieniądze, a widać było, że Amerykanin je ma.

Kupił samochód, bydło. W całym Neurode trwały gorączkowe prace. W ciągu paru tygodni Norman West dokonał nieledwie cudów.

Tego dnia, gdy spotkał Marię na polanie, był w pobliskim mieście, gdzie kupił dwa wierzchowce. Ze stacji wrócił pieszo i przypadkiem natknął się na Marię.

Poprzedni właściciel majątku miał szczęście, że Norman West zapłacił mu dolarami. Natychmiast po dokonaniu transakcji wyjechał ze swą cierpiącą żoną do Berlina, gdzie miała być pod kontrolą lekarza. Tak więc nowy gospodarz mógł się zaraz wprowadzić i nie omieszkał tego uczynić, choć we dworze trwały prace remontowe. Urządziwszy najpierw prowizorycznie dwa pokoje dla siebie, doglądał na bieżąco robót budowlanych.

Nowy Jork opuszczał bez żalu; niezręczna sytuacja, jaka wytworzyła się między nim a Gladys, nie zachęcała do odwlekania wyjazdu. Był szczęśliwy, że wreszcie wraca do ojczyzny.

Nie mógł zapomnieć spotkania z Marią Tomau i jej ojcem na stacji Neurode. Wciąż stała mu przed oczami wiotka kobieca postać, patrząca poważnie swymi pięknymi oczami, na dnie których czaiła się tęsknota za wesołym i beztróskim życiem. Rozpytując się dyplomatycznie o mieszkańców Weidenhofu, dowiedział się, że właścicielem jest stary dziwak, nie utrzymujący z nikim stosunków.

Norman spytał, czy ma rodzinę, był bowiem świadkiem, jak powóz z Weidenhofu zabierał ze stacji starszego pana i młodą damę. A tak — brzmiała odpowiedź — gospodarz przyjął do domu krewnych, obecnie ubogich, ale niegdyś bardzo bogatych.

Ubodzy krewni? Prawdopodobnie kolejne ofiary inflacji — myślał Norðian — gdyż oboje sprawiali wrażenie ludzi z wyższych sfer. Wiedział, że w Niemczech gwałtownie ubożeje dobre towarzystwo starej daty.

Dawno już odwiedziłby sąsiada, gdyby nie wiedział, że jest niedostępnym dziwakiem. Nie chciał się narażać na chłodne przyjęcie. Kręcił się za to od dawna wokół majątku Weidenhof, mając nadzieję spotkać młodą damę, która mu się tak spodobała. Wreszcie zobaczył ją w lesie przy sztalugach. Nie miał odwagi nawiązać z nią rozmowy, gdyż swoim zachowaniem nie dała mu do tego powodu.

Przypadek sprawił, że meldując się w urzędzie gminnym, ujrzał w księdze meldunkowej nazwiska pana Jerzego Tomaua i panny Marii Tomau, zameldowanych w Weidenhofie. Teraz znał przynajmniej nazwisko interesującej go damy.

Nazajutrz nie mógł się oprzeć pokusie pójścia znów na polanę. Może i dziś panna przyjdzie malować? Zjawił się wcześniej niż poprzedniego dnia, ale młodej damy nie było. Usiadł więc na kamieniu i postanowił zaczekać, może jeszcze się zjawi. Oparłszy brodę na rękach, patrzył w zamyśleniu w ziemię. Nagle coś dostrzegł w trawie. Schylił się i podniósł brylantowy pierścionek z perłą. Przyjrzał mu się zdumiony. Był to piękny, drogocenny damski pierścionek. Oczy mu zabłyśły, na pewno zgubiła go ta młoda dama! Nareszcie znalazł powód, by ją zagadnąć, musi jej przecież zwrócić zgubę!

Bojąc się przepłoszyć ją swym widokiem, usiadł opodal w trawie i patrząc w korony drzew, rozmyślał o uroczej Marii Tomau. Wrócił do kraju z mocnym postanowieniem ożenienia się z rodaczką — a ta urocza dziewczyna oczarowała go od pierwszej chwili.

Wreszcie zobaczył ją — zdawała się czegoś szukać.

Maria dopiero nazajutrz zauważyła brak pierścionka. Nie miała pojęcia, gdzie mogła go zgubić, szukała więc w różnych miejscach. Wszystko na darmo. Ojciec pocieszał ją, jak mógł, gdyż Maria popadła w rozpacz z powodu utraty talizmanu, nie mówiąc już o wartości pierścionka. W końcu poddał jej myśl, że może zgubiła

go w lesie podczas malowania. Wziąwszy przybory malarskie, Maria udała się więc na polankę, nie mając wielkiej nadziei na odnalezienie klejnotu.

Złożywszy swój bagaż pod bukami, zaczęła szukać w trawie. Przypomniała sobie, że myła ręce w źródelku i potrząsała nimi mocno, by szybciej wyschły. Szukała więc w pobliżu.

Norman West był teraz pewien, że znaleziony klejnot należy do młodej kobiety. Wstał i podszedł do niej. Maria przestraszona, zerkała na niego zarumieniona.

—Przepraszam, że się narzucam, ale zdaje mi się, że pani szuka zguby. Siedziałem tu przed chwilą na kamieniu i znalazłem klejnot.

—Zgubiłam pierścionek — Maria patrzyła na niego w napięciu. — To była pamiątka po zmarłej, dlatego tak bardzo mi go szkoda.

—To dla mnie podwójna radość, że mogę pani zwrócić zgubę — powiedział Norman, podając jej pierścionek. — Tak myślałem, że to pani go zgubiła, gdyż widziałem tu panią wczoraj przy sztalugach.

Maria chwyciła pierścień, oczy jej błyszczały.

—O, jakże jestem panu wdzięczna! Tak, to mój pierścionek; jestem taka szczęśliwa, że go odzyskałam. To mój talizman — matka mi go przed śmiercią dała wraz z błogosławieństwem. Nie ma pan pojęcia, jak wielką przysługę mi pan wyświadczył.

—Bardzo mnie to cieszy. Pozwoli pani, że się przedstawię. Jestem sąsiadem państwa. Wiem, że mieszka pani wraz z ojcem w Weidenhofie. A ja nazywam się West i jestem nowym właścicielem majątku Neurode. Już dawno złożyłbym państwu sąsiedzką wizytę, ale ku mojemu ubolewaniu słyszałem, że pani stryj nie przyjmuje nikogo. Bardzo żałuję, gdyż Weidenhof to jedyny majątek w pobliżu.

—To prawda, stryj jest samotnikiem. To nieszczęśliwy człowiek, kiedyś został ciężko skrzywdzony. I dlatego odsunął się od ludzi. Nawet mojego ojca i mnie nie dopuszcza przed swoje oblicze.

—Własnej rodziny? — zdumiał się West.

—Tak. Ale z drugiej strony przygarnął nas wielkodusznie, gdy inflacja uczyniła z nas nędzarzy.

—Przykro mi widzieć w państwie kolejne ofiary inflacji. Ale żal mi też pani stryja, że odmawia sobie przyjemności obcowania z panią.

Uśmiech przemknął po twarzy Marii.

—Skąd pan może wiedzieć, czy obcowanie ze mną może komuś sprawić przyjemność?

—Mogę! Na tyle znam się na ludziach. Widziałem panią wczoraj przy pracy. Czy mogę zobaczyć, co pani maluje?

—O nie, bardzo proszę, niech się pan nie zbliża do sztalug! Jestem dyletantką i wstydę się pokazywać nawet gotowe prace, a co dopiero nie skończone! Maluję ten obrazek po to, by okazać wdzięczność stryjowi.

—A, w takim razie nie narzucam się, choć mnie to strasznie korci. Proszę mi przynajmniej pozwolić dotrzymać sobie towarzystwa. Jesteśmy w końcu sąsiadami. Czy może żądam zbyt wiele?

—Nie mam serca pana wypędzać, zwłaszcza że tak rzadko widuje się tu ludzi. Rozmawiam tylko z ojcem i służbą, a wczoraj spotkałam przypadkiem w lesie rządzącą stryja.

Norman West rozpromienił się i powiedział wesoło:

—To znaczy, że zrobię dobry uczynek, rozmawiając z panią. Chyba pani nudno bez towarzystwa?

Tymczasem Maria usiadła przy sztalugach i kończyła postać jeźdźca. West umieścił się na kamieniu tak jak poprzednio.

—Na razie nie miałam czasu się nudzić — powiedziała Maria.

—Czy nie psuję pani scenerii, siedząc na tym kamieniu?

—Na moim obrazie w tym miejscu siedzi rusałka — roześmiała się Maria.

—A to pech! Muszę chyba przenieść się gdzie indziej.

—Nie, nie, ruszałka jest już gotowa. Maluję teraz inną postać. A więc to pan kupił majątek Neurode?

—Tak, ja. Od tego czasu nie zaznałem chwili odpoczynku. Dom roi się od majstrów. Ale wkrótce wszystko będzie gotowe.

—To rzeczywiście średnia przyjemność. Sam pan tu będzie gospodarował?

—Tak, chciałbym to gospodarstwo postawić na nogi. Majątek zszedł na psy, ale to mi właśnie odpowiada — chcę się wykazać! Moim celem jest uczynić z Neurode wzorowe gospodarstwo. Chcę współzawodniczyć z pani stryjem. Szkoda, że nie można z nim rozmawiać, bardzo potrzebuję jego rady.

—Przecież pan sam jest rolnikiem.

—O nie, rolnictwo to była dotąd moja nieziszczona miłość. Teraz mam nadzieję zaznać wreszcie szczęścia.

—Słyszałam, że pan przyjechał z Ameryki.

—Tak, na początku czerwca. Trochę jeździłem po Niemczech, szukając odpowiedniego majątku. Przypadkiem znalazłem ogłoszenie w berlińskiej gazecie o wystawieniu na sprzedaż majątku Neurode. Przybyłem, zobaczyłem — kupiłem.

—Pan się szybko decyduje.

—Tak, zawsze byłem szybki w decyzjach. Do tej pory nigdy tego nie żałowałem. Mając dwadzieścia jeden lat, zdecydowałem się wyemigrować za ocean. Byłem biedny jak mysz kościelna. Ale poszczęściło mi się — o ile szczęście można wyrazić w liczbach. W końcu jednak zatęskniłem za ojczyzną.

Maria pilnie malowała. Wreszcie podniosła wzrok, napotykając jego spojrzenie, którym ją bez przerwy świdrował. Serce podskoczyło jej w piersi, ale spytała odważnie:

—A pańska rodzina? Kiedy pan ją sprowadzi?



—Ma pani na myśli żonę i dzieci? — uśmiechnął się. — Muszę panią rozczarować. Jestem kawalerem, nie mam nikogo bliskiego. Nie żałuje mnie pani?

Maria pokręciła głową, zabierając się do malowania.

—Ani trochę! Dlaczegoż nie wziął pan sobie żony?

—Ba! Teoretycznie mogłem się ożenić. Ale Amerykanki mi się nie podobają. Są dla mnie zbyt praktyczne, zbyt trzeźwe, jednym słowem — nie niemieckie. A ja chcę pojąć za żonę rodaczkę. Dlatego zwlekałem tak długo z założeniem rodziny.

Zapanowało milczenie. Maria poczuła się nieswojo wiedząc, że on bierze ją za pannę. Miała ochotę wyznać, że jest rozwódką. Ale nie przeszłoby jej to przez gardło, nawet gdyby nie musiała milczeć ze względu na stryja.

Norman West patrzył na nią zachwyconym spojrzeniem. Ta młoda dama podobała mu się coraz bardziej. Była nie tylko czarująca, ale zdawała się też rozumna i uczuciowa. Zachwycił się złotawym odcieniem jej włosów wyczarowanym przez promień słońca, delikatnym profilem pochylonej głowy, cieniem powiek na owalnym policzku. Cerę miała świeżą i czystą; pod tą delikatną powłoką pulsowało gorące życie. Nie mógł się nadziwić widząc, jak po jej policzku co chwila przepływa delikatny rumieniec. A te oczy — cóż za wspaniałe, jak dobre oczy miała ta dziewczyna! Te oczy zdradzały ukryte skarby duszy, a czasem rozbłyskiwały filuternie, sypiąc skry. A jaka była prosta i naturalna, bez śladu pruderii, pełna rezerwy i zarazem serdeczna. Doprawdy, była to kobieta jego marzeń. Czyżby los się do niego uśmiechnął, stawiając ją na drodze jego życia?

Ale musi być cierpliwy. Takie dumne, czyste kobiety nie zawierzają bez wahania pierwszemu lepszemu mężczyźnie zanim nie poznają go dokładnie. A ona nic przecież o nim nie wie. Zresztą, on też musi się najpierw przekonać, czy naprawdę do siebie pasują. Jedno było pewne: bardzo mu się podobała.

Zaczęli znów gwarzyć. On opowiadał jej o Ameryce, o swoim życiu i pracy. Maria słuchała z zainteresowaniem i ani się obejrzała, jak minęło południe. Wreszcie Maria ocknęła się i spojrzała na zegarek.

—Boże drogi, zaraz będzie pierwsza, muszę iść do domu!

—Jak ten czas szybko leci! — zawołał Norman, zrywając się na równe nogi. — Zdawało mi się, że rozmawiamy zaledwie kilka minut.

Pomógł jej spakować przybory i zaproponował, że poniesie jej sztalugi i składowane krzeselko.

—W żadnym wypadku, proszę pana — protestowała Maria. — Nie mogę pozwolić, by pan mi towarzyszył. Mówiłam panu, że jesteśmy gośćmi stryja i musimy liczyć się z jego wolą. Nie mogę zjawić się we dworze w towarzystwie mężczyzny, nie usłoby to uwagi służby.

—W takim razie rezygnuję, ale przykro mi, że musi pani to wszystko dźwigać sama.

—Och, to niewiele waży, a ja, dzięki Bogu, jestem zdrowa i silna.

—Mówiła pani, że mieszka z ojcem osobno w bocznym skrzydle. Czy mogę choć złożyć wizytę pani ojcu?

Maria znów pokręciła głową.

—Czy pan nie rozumie, że nie możemy przyjmować gości, skoro nasz gospodarz nikogo nie przyjmuje?

—A więc nie ma żadnej możliwości, bym poznał pani ojca?

Pod wpływem jego nalegań Maria zarumieniła się po same uszy. Nie uszło to uwagi Normana.

—Nie mogę panu dać odpowiedzi zanim nie porozmawiam z ojcem.

—Ale porozmawia pani?

—Tak, oczywiście, opowiem ojcu o naszym spotkaniu i przedstawię mu pańskie życzenie.

—A... jak się dowiem o wyniku tej rozmowy?

—Zostawmy to przypadkowi — odparła Maria rumieniąc się.

—Ale musi pani bardzo gorąco prosić ojca w moim imieniu. Proszę pamiętać,

że bez państwa towarzystwa będę tu żył jak pustelnik — nalegał Norman West.

—Wcale mnie to nie wzrusza — roześmiała się Maria. — Do miasta jest niedaleko, a pan ma samochód. Z łatwością znajdzie pan tam towarzystwo, i to o wiele bardziej interesujące od steranego życiem mężczyzny i jego zwyczajnej córki — dokończyła poważnie.

—Proszę mnie zostawić ocenę, czy pani jest zwykła czy niezwykła. Jak dotąd, nie mogę się skarżyć. A towarzystwo miejskie wcale mnie nie nęci. I dlatego bardzo na to liczę, że państwo nie zaniedbacie swego sąsiada w sposób karygodny.

Maria roześmiała się mimo woli, Norman jej wtórował.

—Zobaczymy — powiedziała wreszcie. — A teraz żegnam pana!

—Nie, na miłość boską, tylko nie „żegnam”! — przeraził się Norman West. — Proszę raczej powiedzieć: do widzenia! — mówił, patrząc na nią błagalnie.

— A więc dobrze: do widzenia! — powiedziała Maria, czując jak serce jej wali.

—To już brzmi o wiele lepiej. Przyjdzie pani jutro malować?

—Jeszcze nie wiem — powiedziała Maria wymijająco.

—O jej, ale pani jest na mnie zła! — zawołał, udając strapionego. — Proszę tego więcej nie robić. Niechże pani nie pamięta o tym, że dopiero dziś poznaliśmy się, ale raczej, że jesteśmy dobrymi sąsiadami, dobrze?

—Postaram się.

—To bardzo miło z pani strony, panno sąsiadko.

Skinąwszy mu głowę, Maria odeszła. On zaś stał chwilę w miejscu, odprowadzając ją wzrokiem. Napawał się widokiem jej wiotkiej sylwetki, poruszającej się elastycznie, oraz wdzięcznym nachyleniem głowy. Ruszył przed siebie dopiero wtedy, gdy Maria zniknęła mu z oczu.

Maria wracała do domu w stanie nieopisanego wzburzenia. Spokój jej i duszy prysł i z lękiem zadawała sobie pytanie, czy to możliwe, by ten obcy mężczyzna,

którego dopiero co poznała, wzbudził w niej uczucia, których I dawno się wyrzekła? Cóż on ją obchodzi — on, który uważa ją za niewinną dziewczynę? Przecież tylko dlatego się nią zainteresował. Gdyby wiedział, że jest kobietą rozwiedzioną, przestałby sobie nią zawracać głowę. Dlatego musi być rozsądna, oszczędzić sobie nowych cierpień. Nie wolno jej dopuścić do tego, by zakiełkowało w niej uczucie, mogące jej przynieść tylko rozczarowania i smutki.

Postanowiła traktować pana Westa jak dobrego sąsiada, z którym spotyka się czasem na stopie towarzyskiej — i to wszystko. Wystarczy jej jedno wielkie rozczarowanie życiowe. Pan West to człowiek wartościowy, w przeciwieństwie do Herberta Lassberga — na tyle nauczyła się już oceniać ludzi — ale to oznacza dla niej tym większe cierpienia. Gdy tylko się dowie, że była mężatką, odwróci się od niej. A więc, bądź rozsądna, Mario, i trzymaj serce na wodzy!

Ale to postanowienie przyszło za późno. Tylko dziewczyna nie chciała się do tego przyznać.

Nie przyszła na polanę ani nazajutrz, ani w ciągu kilku najbliższych dni. Padało i Maria kończyła obraz w domu; brakowało jeszcze paru pociągnięć pędzlem. Postać jeźdźca udała jej się znakomicie. Z obrazu spoglądał na widza Albert Tomau jak żywy. Rusałka podnosiła na niego filuterne oczy, jakby chciała spytać: i cóż, czy potrafisz mi się oprzeć, siwowłosy olbrzymie? A w twarzy jeźdźca czytało się odpowiedź: głupia rusałeczko, ty i tobie podobne nie macie już nade mną władzy, ale bawisz mnie.

Maria była z siebie zadowolona. Opowiedziała też ojcu o spotkaniu z panem Western.

—Chętnie bym go poznał — odparł Jerzy Tomau, wzruszając aj ramionami — już choćby dlatego, że winni mu jesteśmy wdzięczność za odnalezienie pierścionka. A i tobie przydałoby się towarzystwo. Ale nie wiem, jak to zrobić. Musiałbym napisać do kuzyna, czy się na to zgadza. I Proponuję jeszcze trochę poczekać. Może nadarzy się okazja spotkania z panem Westem na neutralnym terenie.

Na tym na razie stanęło. Maria nie nalegała, czując w sercu niepokój. Naj-

chętniej unikałaby Normana Westa, choć serce ciągnęło ją do niego. Czuła instynktownie, że jego myśli krążą tęsknie wokół jej osoby. Może mimo deszczu zapuszcza się w okolice Weidenhofu? I niepokój jej rósł.

Nie wiedziała, że i stryj Albert w ostatnich dniach wciąż myśli o niej. Tamtego dnia, gdy spotkał ją w lesie, wrócił do domu wzburzony. Zjadł obiad, nie zwracając uwagi na to, co je. Po posiłku przemierzał niespokojnie pokój olbrzymimi krokami. Przeżywał w myślach na nowo spotkanie z Marią, przypominał sobie każde jej słowo, miał przed oczami jej wdzięczną postać.

Taką córkę mógłby mieć, gdyby... ach, gdyby wtedy inaczej się wszystko potoczyło. Cóż to musiałyby być za pociecha mieć przy sobie taką przemiłą istotę, która człowieka choć troszkę lubi, rozmawia z nim swobodnie i z ufnością — myślał.

Zdawało mu się to nie do wiary, że nie pierzchła na jego widok wystraszona, że nie widziała w nim brzydala, że nie rozpoznała w nim starego dziwaka, stryja Alberta, którego miała się wystrzegać na jego własne polecenie.

I zrobił coś, co mu się nie zdarzało od lat. Podeszedł do lustra i przyjrzawszy się sobie uważnie, parsknął krótkim, cierpkim śmiechem.

Cudownie malarska głowa! A więc to tak się mówi o takich jak ja, gdy chce się być uprzejmym — myślał z humorem. — Zaiste, że mną jest chyba odwrotnie niż z normalnymi ludźmi, musiałem wypięknąć na starość!

Podjmując wędrówkę po pokoju, snuł dalej rozważania.

Skoro już raz spotkałem Marię, rozmawiałem z nią i wszystko się dobrze skończyło, to chyba mogę sobie pozwolić na widywanie jej częściej. Dlaczegoż mam sobie odmawiać tej pociechy? Dość się namęczyłem w samotności. Mogę czasem spędzić kilka chwil w towarzystwie mojej bratanicy. Może dwa razy w tygodniu? A dlaczego nie częściej? Codziennie... zawsze... bez przerwy... skoro potrafi znieść mój widok? Rozmawiała ze mną chętnie jako z rzekomym rządcą, rysowała mnie i spoglądała bez wstępu swymi pięknymi, łagodnymi oczami. Jako swego stryja — powinna tym łatwiej mnie znieść.

A ja mógłbym ją traktować jak własną córkę. W końcu to moja krewna. Krew z mojej krwi. Nie mam spadkobierców, dlaczego więc nie uczynić jej dziedzicem majątku? Przyniosła mi ulgę w cierpieniu, sprawiła, że odtajałoH w mojej piersi serce. Jak to patrzyła na mnie karcąco, z wyrzutem, gdym ” powiedział, że jej stryjem dzieci można straszyć! I chce mi sprawić radość, malując dla mnie obraz. O tak, może mi sprawić radość — o wiele większą!

Znów długo patrzył w lustro. I tak zastała go panna Döring, która na ten widok o mało nie umarła z wrażenia. Jej pan i władca, kontemplujący swe odbicie w lustrze, tego jeszcze nie było! Stała za jego plecami, w milczeniu kręcąc głową.

—Czego pani chce, Döring? — spytał Albert Tomau, nie odwracając głowy od lustra.

—Po cóż pan bez przerwy patrzy w lustro, jaśnie panie? To jakiś nowy kaprys — odparła gospodyni.

—Próbuję się przyzwyczaić do swojego widoku, może mi się uda.

W końcu przyzwyczailem się do widoku pani, a chyba nie jest pani piękniejsza ode mnie?

—Tego nigdy nie twierdziłam. Ale przegłądać się w lustrze jak mała, nie, dziękuję!

Albert Tomau roześmiał się na całe gardło. Panna Döring była wstrząśnięta. Widząc jej przerażenie, olbrzym sam się przestraszył swego zachowania.

—Jaśnie pan się śmieje! Boże drogi, myślałam, że pan się nie umie śmiać! — nie mogła wyjść ze zdumienia gospodyni.

—Ja też tak myślałem. Ale widzi pani, jakie to proste. No, niechże pani spojrzy na tego starego osła w lustrze, jakie to miny stroi! Widziała mnie pani kiedy z taką zadowoloną miną?

—Nie, nigdy — wyjąkała speszona.

—Śmiech człowiekowi bardzo dobrze robi. Proszę spróbować, może i pani to



potrafi!

I dwoje dziwaków przyglądało się sobie w lustrze. Albert Tomau roześmiał się jeszcze serdeczniej niż za pierwszym razem. Panna Döring zawtórowała mu — najpierw ostrożnie, z wahaniem, jakby jej gardło zardzewiało, ale szło jej coraz lepiej. Po chwili dwoje starych ludzi śmiało się do rozpuku, do łez, zarażając się nawzajem tym niepohamowanym, śmiechem. Było tak, jak gdy wiosną lody puszcza i śnieg zaczyna topnieć. j

Po jakimś czasie umilkli nagle i spojrzeli po sobie, jak wyrwani ze snu. Ocierając łzy z oczu, Albert Tomau rzekł:

—Nie wie pani przypadkiem, z czego się tak śmialiśmy?

—Nie mam pojęcia, proszę jaśnie pana — odparła panna Döring, ocierając oczy ręką śnieżnobiałego, wy krochmalonego fartuszka.—Ale muszę przyznać, że od pewnego czasu nie poznaję siebie. Jest mi teraz czegoś ciągle wesoło. Budzę się z takim uczuciem, jakby miało mnie spotkać coś przyjemnego. I to wszystko od kiedy dziecko jest w domu.

Tak nazywała w duchu Marię Tomau.

—Ot, i cała zagadka!

Zobaczywszy w Marii „dziecko”, stara panna nie potrafiła się oprzeć wybuchowi przez całe życie tłumionego instynktu macierzyńskiego. Teraz była nareszcie szczęśliwa. Wylała na „dziecko” całe bogactwo uczuć drzemiących dotychczas w jej duszy w zamrożeniu, które stopiły się pod wpływem ciepłego uśmiechu Marii.

Albert Tomau zauważył zmianę w zachowaniu swej gospodyni.

—Ach, więc to moja bratanica jest przyczyną pani dobrego humoru?

—Tak, proszę pana, to dobre, kochane dziecko, które ma zawsze dobre słowo dla kogoś takiego jak ja.

—Hm. Widzi pani, moje zadowolenie bierze się z tego samego źródła. Jak pani

widzi, odważyłem się nawet spojrzeć lustro.

—Przecież pan jeszcze nie widział dziecka.

—Owszem — widziałem.

—Jak to? Kiedy? — spytała z niedowierzaniem.

Pan Tomau opowiedział jej o spotkaniu z Marią. Gospodyni słuchała zdumiona.

—Mówi pan, że wzięła pana za rządcę?

—Tak, i wcale się mnie nie bała, tak jakbym nie był potworem, tylko zwyyczajnym człowiekiem. I w dodatku mnie malowała. Podaruje mi ten obraz, będę sobie na niego codziennie patrzył. Dlatego przeglądałem się w lustrze, by przywyknąć do widoku swej twarzy.

I znów się roześmieli, a panna Döring miała wilgotne oczy.

—Bo też ona jest naprawdę kochanym dzieckiem, serce w człowieku topnieje, gdy na nią patrzy. Powinien pan ją częściej widywać, po co odmawiać sobie tej przyjemności. Czemuż pan trzyma z dala od siebie swych krewnych. Kuzyn jaśnie pana to bardzo miły i uprzejmy pan.

—Chwileczkę, nie tak szybko, Döring! Muszę się najpierw oswoić z tą myślą. Ale taki śmiech to dobra rzecz, musimy się częściej śmiać. Jacy byliśmy głupi, że sobie tego odmawialiśmy przez tyle lat.

—Tak, śmiech to zdrowie. Człowiek zapomina o złości i zmartwieniach. Nigdy mi to dawniej nie przyszło do głowy. To wszystko dzięki temu dziecku. Ale, ale, przyszłam powiedzieć, że pański kuzyn potrzebuje jeszcze trzech regałów. Książki się już nie mieszczą na tych starych, a pan Tomau z dzieckiem nie ustają w robocie.

Albert Tomau skinął głową; dobrze wiedział, dlaczego tych dwoje tak pilnie pracuje.

—Dobrze, niech mu pani pośle Mehnerta. Coś jeszcze?

—To już wszystko.

—W takim razie odmaszerować, Döring! Aha, co to chciałem powiedzieć? Nie musi pani odwracać oczu, gdy pani ze mną rozmawia. Jeśli moja piękna bratanica zniosła mój widok, to i pani się przyzwyczai.

—Kiedy ja nie lubię mężczyzn, proszę jaśnie pana, ani brzydkich, ani pięknych. Zresztą nie mam panu nic do zarzucenia, jestem jeszcze brzydsza od pana. Mnie nikt nigdy nie malował.

—Niech pani nie będzie taka zazdrosna! — roześmiał się Albert Tomau. — I radzę pani uważać. Może pani też ma malarską głowę. Nigdy nic nie wiadomo. A teraz odmaszerować! Mam robotę, nie będę tracił czasu na głupie gadanie!

Przez kilka dni Albert Tomau roztrząsał kwestię, czy powinien się zobaczyć z krewnymi. Po tylu latach samotności z wyboru nie było mu łatwo zdecydować się na ten krok. To myślał tak, to znów inaczej.

Tymczasem nadeszła połowa sierpnia. Albert Tomau nie przyznawał się przed sobą, że bardzo tęskni za Marią. Nie widział jej od tamtego pierwszego razu.

Pewnego dnia miał robotę nad rzeką. Most wymagał naprawy. Właśnie skończyły się dni słotne i wyszło słońce. Wydawszy polecenia robotnikom, chciał już zawrócić do domu, gdy na moście ujrzał Marię. Po deszczowych dniach wybierała się właśnie na dłuższy spacer.

Dziewczyna z roześmianą twarzą podeszła do Alberta Tomau, wyciągając rękę na powitanie.

—Dzień dobry, panie rządco! Co u pana słycać?

Albert Tomau miał ochotę czmychnąć, ale w końcu przemógł się i ostrożnie ujął jej delikatną dłoń w swoją potężną łapę. Zalała go fala ciepła.

—Dzień dobry, panno Tomau. U mnie wszystko w porządku. A u pani?

—Dziękuję, nie narzekam. Dawno pana nie widziałam, chyba z tydzień upłynął od naszego spotkania.

—Tak, wczoraj minął tydzień, padało przez cały czas. Całe szczęście, że zdążyliśmy sprzątnąć zboże z pola.

—To musi być miłe uczucie dla rolnika.

—No pewnie, przez niepogodę wiele ludzkiej pracy i wysiłków może się obrócić wniwecz.

—Co słycać u mojego stryja?

—Och, czuje się doskonale. Panna Döring nie mówiła panience, jaki to dziwak?

Maria spojrzała na niego z wyrzutem.

—Nie lubię, gdy pan tak mówi o moim biednym stryju. Nie, panna Döring nic mi o nim nie mówiła, chociaż teraz jest już o wiele przystępniejsza niż dawniej. Cieszę się, że u stryja wszystko w porządku. Mówił mu pan, że się spotkaliśmy w lesie?

—Hm. Zna kaździutkie słowo, jakie ze sobą zamieniliśmy.

—Ale nie zdradził mnie pan z tym obrazem?

Przez jego twarz przemknął cień uśmiechu.

—Ja? Ależ skąd! Jak daleko pani jest z pracą?

—Już prawie skończyłam. Ale nie mogę jej poświęcać zbyt wiele czasu. Mamy z ojcem dużo pracy w bibliotece. No, i musimy przecież kiedyś chodzić na spacer. Dzisiaj ojciec został w domu, gdyż nie lubi chodzić po rozmiękłych drogach. Za to

ja stęskniłam się za długim spacerem. Do niedzieli mam nadzieję skończyć obraz i wtedy pošlę go stryjowi. Pana portret wyszedł mi bardzo dobrze, bardzo się cieszę, że znalazłam takiego dobrego modela. Tylko musi mi pan szczerze później powiedzieć, czy stryj ucieszył się z mojego obrazka i co powiedział.

—O, jestem pewien, że się ucieszy. On bardzo lubi obrazy. W ogóle jest miłośnikiem piękna, może dlatego, że sam jest brzydki.

—Odkrywa pan przede mną coraz więcej pozytywnych cech charakteru mojego stryja. Ja też lubię wszystko co piękne.

—A jednak namalowała pani takiego starego brzydala jak ja.

—Znów pan chce mnie kokietować swoją rzekomą brzydota, panie rządco! To bardzo brzydkie przyzwyczajenie. Ale nie, ja dobrze wiem, dlaczego pan wciąż mówi o sobie, że jest pan brzydki.

—Naprawdę? Dlaczego?

—Bo chce pan, by stryj Albert nie odczuwał tak dotkliwie własnej brzydoty. Chodzi panu o to, by stryj nie myślał, że tylko on jest brzydki. I żeby się wydać jeszcze bardziej odpychającym, przestał pan dbać o włosy i brodę. Nie, nie, proszę nie kręcić głową, znam pana lepiej niż pan zna siebie. Chociaż wciąż pan tak źle mówi o stryju, że mam ochotę gniewać się na pana, to ja i tak wiem, że pan tak naprawdę nie myśli. W rzeczywistości jest pan jego dobrym przyjacielem. I dlatego pana lubię.

Albert Tomau kręcił głową speszony. Chciał protestować, ale zdołał tylko wykrztusić:

—Więc sądzi pani, że moje włosy i broda są zaniedbane?

—No wie pan! — roześmiała się serdecznie Maria. — Dziewicza puszcza to bajka w porównaniu z tym gąszczem! Ale właściwie to jestem z tego zadowolona, bo dzięki temu był pan wspaniałym modelem. A może wyobraża pan sobie prawdziwego rycerza gładko ogolonego i z przedziałkiem na głowie?

—Nie, co to to nie! — nie mógł się powstrzymać od śmiechu Albert Tomau. —

Ale ja tylko dlatego zapuściłem włosy i brodę, by jak najmniej było widać z mojej twarzy.

—Pańska twarz jest w porządku. Ponieważ nie jest pan już młodzieniaszkiem, więc mogę panu powiedzieć, że mi się pańska twarz podoba. Musiałam to panu powiedzieć, żeby pan przestał kokietować ludzi swoją brzydotą, której nikt prócz pana nie zauważa. A teraz niech mi pan powie, panie rządcu, czy nasza obecność nie ciąży stryjowi.

—Nie, z całą pewnością nie — odparł łagodnie Albert Tomau, unikając jej wzroku. — Zwierzył mi się ze swej wielkiej radości, że pani wraz z ojcem jesteście tutaj i że to właśnie on może was uchronić od nędzy. I bardzo by chciał spotykać się z panią na co dzień, gdyby nie był takim okropnym tchórzem.

Maria skarciła go wzrokiem.

—Ach, jakże pan mnie zasmuca, wyrażając się tak brzydko o stryju! Jak pan może tego biedaka nazywać tchórzem? Nie wszyscy są tacy gruboskórni jak pan. Proszę już nigdy nie mówić w ten sposób o stryju w mojej obecności!

Maria przeraziła się własnych słów, widząc łzy w oczach starszego pana. Ten zaś odparł ochrypłym głosem:

—Proszę się na mnie nie gniewać, panienko. Tak się już przyzby czailiśmy, że mówimy sobie z pani stryjem same przykre rzeczy. Ale to tylko pozory. A naprawdę jeden dla drugiego skoczyłby w ogień.

Maria, udobruchana, podała mu dłoń mówiąc:

—Domyśliłam się, że pan nie miał nic złego na myśli. Ale mimo to przykro mi, gdy pan tak o nim mówi. Jest mi go bardzo żal, gdyż ojciec o wszystkim mi opowiedział. A poza tym — to nasz dobroczyńca. Ale pan i on musicie być ze sobą w dziwnych stosunkach. Mój stryj to oryginał, ale pan w niczym mu nie ustępuje. Wygląda na to, że w Weidenhofie są same oryginały. Panna Döring też się do nich zalicza. Nawet stolarz Mehnert to oryginał.

—Czy pani to sprawia przykrość?



—Przeciwnie! Ludzi tuzinkowych jest pełno na świecie, a oryginalnych mało. A tu — same oryginały, i wszyscy tacy sympatyczni. Panna Döring to też wspa-  
niały człowiek, ale robi wszystko, by tego nikt nie zauważył. Kokietuje otoczenie  
opryskliwością, tak jak pan swoją brzydota. A to dusza człowiek. Ostatnio stała się  
przystępniejsza. Chciałabym jeszcze poznać stryja Alberta. Bardzo mnie zainte-  
resował po tym wszystkim, co o nim słyszałam. Dałabym wiele za to, by go  
trochę rozweselić. Ale tego niech mu pan nie mówi, to tajemnica. No, ale nie chcę  
już panu przeszkadzać, ma pan na pewno dużo pracy. Mam nadzieję, że wkrótce  
się zobaczymy. Do widzenia!

Wyciągnęła do niego rękę na pożegnanie.

—Nie boi się pani, że zgniotę pani rączkę w swojej łapie? — zażartował.

—Nie jestem taka strachliwa. A pan trzyma moją dłoń, jakby była z porcelany.

Spróbowała ścisnąć jego dłoń w swojej, ale nie było to takie proste. Albertowi  
Tomauowi zrobiło się błogo na duszy. Niechętnie uwolnił tę delikatną, kobiecą  
rękę...

Maria, uskrzydłona, zagłębiła się w las. Strzelała oczami dokoła. Od tygodnia  
nie była na powietrzu, poza sporadycznymi wypadami do ogrodu między jedną a  
drugą ulewą. Przez cały ten czas nic nie słyszała o Normanie Weście. Ale gdyby jej  
ktoś powiedział, że rozgląda się za nim tęsknie, bardzo by się rozgniewała.

Była ta sama godzina, w jakiej spotkała go wtedy u źródła. Zawsze wycho-  
dziła na spacer o tej porze.

Przez wszystkie te dni Norman West na próżno szukał Marii. Mówił sobie, że  
nie wyjdzie na spacer z powodu deszczu, a mimo to wciąż miał nadzieję ją spotkać.  
Ale dziś znów nastąpiła piękna pogoda. Norman bardzo się z tego cieszył. Jego  
rządca był zdania, że już najwyższy czas, by przestało padać. Wprawdzie zboże  
było zwiezione do stodół, ale Norman West znał się już na tyle na rolnictwie, by  
wiedzieć, że teraz trzeba nawozić koniczynę i siać rzepak. Trzeba też zebrać i

przerobić spady nim zupełnie zgniją na ziemi.

Norman bardzo się tym wszystkim interesował; stał się naprawdę zamiłowanym rolnikiem i bardzo poważnie traktował swoje nowe obowiązki. Mimo ciężkiej pracy nie przestawał myśleć o Marii Tomau i pragnął znów ją spotkać. Skoro tylko zaświeciło słońce, pobiegł do źródła, mając nadzieję, że znów przyjdzie malować.

Zobaczył Marię nim jeszcze doszedł na polanę. Przyspieszył kroku i po chwili stał już przed nią i patrzył jej w oczy tak gorąco, że Maria się zarumieniła.

—Dzień dobry pani! Nareszcie znów panią spotykam!

—Dzień dobry panu — powiedziała, siląc się na spokój i podając mu rękę.

—Nie będzie pani dzisiaj malować?

—Nie, obraz jest gotów. Dzisiaj postanowiłam pójść na długi spacer.

—Ja miałem ten sam zamiar. Czy mogę pani towarzyszyć?

—Bardzo proszę, najlepiej spaceruje się w towarzystwie. Mam nadzieję, że nie zabłądzimy, tak jak mnie się to zdarzyło ostatnio.

—Wykluczone. Zawsze mam ze sobą kompas — powiedział Norman uszczęśliwiony.

Szli razem przez las. Był cudowny letni dzień. Rozmawiali ze sobą jak starzy znajomi. Maria była wesoła i swobodna, idąc u jego boku. Tylko czasem ból przeszywał jej duszę, gdy sobie przypominała, że go oszukuje. Nie miała odwagi wyznać prawdy. Skoro nie powiedziała mu tego od razu, mógłby to źle zrozumieć, gdyby mu teraz powiedziała, że jest rozwiedziona. Była niewinna, ale kobiecie zawsze ciężko przyznać się do rozwodu.

Tymczasem Norman West z zapałem opowiadał o swej pracy, o tym jak mu wszystko świetnie idzie. Dom był wyremontowany, przytulny.

—Ale czuję się trochę samotny — wyznał.

Maria nic nie odpowiedziała, więc po chwili milczenia Norman ciągnął:

—Chciałbym zaprosić gości! Czy nie dałoby się tego tak urządzić, sąsiadko, by pani i jej ojciec odwiedzili mnie, skoro ja nie mogę odwiedzić państwa? — spytał, spoglądając na nią prosząco.

—Porozmawiam z ojcem — odparła Maria po chwili wahania. — Myślę, że się zgodzi, zwłaszcza że ma wobec pana dług wdzięczności.

—Dług wdzięczności? Za co?

—Za to, że oddał mi pan pierścionek. Ojciec wie, jak bardzo mi na nim zależy. Byłam niepoczyszona, gdy zauważyłam stratę. Jesteśmy oboje z ojcem bardzo wdzięczni znalazcy, zwłaszcza że nie żąda znaleźnego.

—Oho, kto wie, może jeszcze poproszę o znaleźne — powiedział, patrząc jej z uśmiechem w oczy. — Do tej pory nie przyszło mi to do głowy. Dopiero pani mi poddała tę myśl.

—Widzę, że obudziła się w panu chciwość — żartowała.

—Bo jestem chciwy. Ale jeszcze nie wymyśliłem, jakiego znaleźnego zażądać. Pierścionek jest bardzo wartościowy, ale poza tym to talizman, o ile pamiętam.

—Tak, dała mi go matka życząc, by przynosił mi szczęście, i kazała mi nigdy się z nim nie rozstawać. Może pan sobie wyobrazić moje przerażenie, gdy zauważyłam, że nie mam go na palcu.

—W takim razie cieszę się podwójnie, że to właśnie ja go pani przyniosłem. Teraz szczęściu pani nic już nie zagraża.

Cień przemknął po twarzy Marii.

—Nawet błogosławieństwo matki nie chroni przed wszystkimi nieszczęściami.

—Zabrzmiało to tak, jakby pani przydarzyło się w życiu wielkie nieszczęście — powiedział, patrząc na nią badawczo.

Maria zmieszała się.

—No, bądź co bądź straciliśmy majątek, a to wielkie nieszczęście — bąknęła.

—Ma pani rację. Nie pomyślałem o tym.

Maria otrząsnęła się z przygnębienia i powiedziała z uśmiechem:

—Jakie to dziwne. Tego dnia, gdy miałam właśnie sprzedać ten pierścionek, gdyż byliśmy w zupełnej nędzy, a nic innego nie mieliśmy już do sprzedania, nadeszła wiadomość od stryja, że nas przyjmie do siebie. Więc jednak pierścionek okazał się skuteczny jako talizman.

—Miejmy nadzieję, że nie stracił tej mocy.

Mówili teraz o innych rzeczach. Wreszcie Maria spojrzała na zegarek i powiedziała:

—Muszę już wracać, bo inaczej spóźnię się na obiad.

—Rzeczywiście, minęła godzina. Nigdy bym nie pomyślał! To dlatego, że z panią się tak ciekawie rozmawia.

—Trudno mi sobie wyobrazić, by pana, który obracał się w szerokim świecie, interesowała rozmowa z kimś takim jak ja. Pan ma pewnie pod tym względem wysokie wymagania.

—Myślę, że pani potrafi sprostać nawet najwyższym.

—Pan prawi mi komplementy, między sąsiadami to nie uchodzi.

—A pani zawsze i bez względu na okoliczności mówi prawdę? — droczył się z nią Norman.

Maria zarumieniła się, myśląc o tym, że nie wyznała mu prawdy o sobie, i powiedziała cicho:

—Czasem nie można być całkiem otwartym, ale ja bardzo źle znoszę takie sytuacje. Gdy tylko mogę, unikam kłamstwa.

Norman popatrzył na nią ciepło.

—Wierzę pani. Ma pani takie szczere spojrzenie.

Dziewczyna znów się spieszyła i zmieniła temat rozmowy. Wracali. W pewnej chwili Norman West rzekł:

—Strasznie mi żal, że nie mogę odwiedzić pani stryja. Dałby mi wiele dobrych rad, bo jest świetnym rolnikiem i zna tutejszą glebę.

—A może rządcą stryja mógłby panu pomóc? Wydaje się, że od dawna tu pracuje i sukcesy gospodarcze stryja to w dużej mierze jego zasługa.

—Tak pani myśli? A może on jest tak samo nieprzystępny jak jego pan?

—Nie sędzę. Ze mną rozmawiał bardzo uprzejmie. On też jest takim oryginałem, jak mój stryj. Z tą swoją rozwianą czupryną i brodą wygląda jak ktoś z zamierzchłych czasów. To olbrzym i jak wszyscy olbrzymi jest. bardzo dobroduszny.

—Pozna mnie pani z nim?

—Chętnie. Przedstawię mu pańską prośbę, gdy tylko go spotkam. Proszę się go nie bać. On udaje srogiego, ale tak naprawdę jest dobry.

—Nie jestem obraźliwy — roześmiał się Norman West. —Jeśli taka wrażliwa młoda dama z nim wytrzymuje, to ja tym bardziej.

Teraz Maria opowiedziała mu, jak poznała „rządcę” i jak, acz niechętnie, pozował jej do obrazu. Tymczasem doszli do mostku i Norman West pożegnał się. Wiedział już, że nie może dalej towarzyszyć Marii.

Proszę nie zapominać — powiedział na odchodnym — że bez pani towarzystwa skazany jestem na okrutną samotność. Moja gospodyni, która od lat rządzi w Neurode, to bardzo dzielna kobieta, ale trochę przyciężka. Mój rządcą to milczek. Więc niechże się pani nade mną ulituje i wstawi się za mną u ojca!

—Chyba rzeczywiście muszę się nad panem ulitować — roześmiała się Maria.  
— Spróbuję namówić ojca, by pana odwiedził w Neurode.

—A pani? Czy pani też przyjedzie?

—Chyba nie wypada, by młoda dama odwiedzała nieżonatego mężczyznę.

—Ale w towarzystwie ojca? I skoro jesteśmy sąsiadami?

Serce podskoczyło jej do gardła.

—Porozmawiam z ojcem — powiedziała po prostu.

Norman West przycisnął jej dłoń do ust, patrząc na dziewczynę z wdzięcznością.

—Pani ojciec nie będzie tak niehumaniczny!

—Na pewno nie, to uosobienie dobroci. Jest moim jedynym, najlepszym przyjacielem.

—O nie, proszę i mnie zaliczyć do przyjaciół!

—Tak łatwo się nie zaprzyjaźniam, proszę pana; ale wydaje mi się, że pewnego dnia zostanie pan moim przyjacielem. A teraz do widzenia. Muszę już iść.

—Do widzenia — krzyknął Norman West za oddalającą się Marią.

## XI

Zjadłszy obiad, Albert Tomau siedział w fotelu paląc cygaro, a panna Döring jak co dnia przygotowywała dla niego kawę w małym ekspresie.

—Niech pani zgadnie, Döring, co moja bratanica o pani powiedziała? — roześmiał się zgryźliwie dziedzic.

—Nie muszę zgadywać, bo pan mi to zaraz powie — odparła spokojnie gospodyni, nie przerywając krzątania, ale wyraz jej twarzy zdradzał zdenerwowanie.

Albert Tomau uśmiechał się pod wąsem. Miał ochotę roześmiać się na całe gardło tak jak poprzednio, ale nie zdobył się na to.

—Powiedziała, że z pani jest oryginał.



—Naprawdę? A czy to grzech być oryginałem?

—Nie, ona tak nie myślała. Przeciwnie, zdaje się, że ma o pani dobre zdanie. Dzisiaj rano mówiła mi jeszcze coś o pani.

Tym razem gospodyni nie wytrzymała. Odwróciła się gwałtownie, rozlewając kawę.

—Znów pan z nią rozmawiał?

—Tak, spotkałem ją na moście.

—Aha, i co jeszcze o mnie mówiła, jeśli wolno spytać?

—Powiedziała, że pani jest wspaniałym człowiekiem, ale za nic w świecie nie chce się pani do tego przyznać. I że kokietuje pani opryskliwością, tak jak ja brzydota.

Panna Döring stłumiła wzruszenie. Nalała kawę do filiżanki pana Tornaua.

—Czy coś jeszcze mówiła? — spytała po chwili.

—Różne rzeczy. Mnie na przykład objechała z góry na dół.

—Objechała? Za co?

—Za to, że nazwałem jej stryja tchórzem. Była strasznie zła. Musiałem się usprawiedliwiać, ponieważ mówiłem o sobie różne brzydkie rzeczy. Miałem z nią ciężką przeprawę.

Panna Döring roześmiała się, dziedząc jej zawtórował.

—Tak, tak, to kochane, dobre dziecko — powiedziała gospodyni poważniejąc.

— Nie może znieść, gdy komuś dzieje się krzywda. Sama to zauważyłam.

—To prawda, Döring. To mi dodaje odwagi. Wygląda na to, że ona rzeczywiście nie czuje do mnie wstrętu — rozmawiała ze mną tak poufale! Nie podobało jej się tylko, że moje włosy i broda są zaniedbane.

Gospodyni zebrała się na odwagę i rzuciła swemu panu krytyczne spojrzenie.

—Fryzjer mógłby się przy panu pożywić — powiedziała lakonicznie.

—Niech pani zostawi w spokoju moją brodę! — warknął Albert Tomau, głaszcząc bujny zarost—przynajmniej ukrywa moją piękną twarz.

—Ale ja nie mogę zapuścić brody i jakoś musiałam się z tym pogodzić, że nie mogę ukryć przed ludźmi twarzy. Jestem trochę odważniejsza od pana.

Albert Tomau popatrzył na nią ze zdziwieniem.

—Ciekaw jestem, co by pani powiedziała, gdybym zgolił brodę  
powiedział ochryłym głosem.

Gospodyni wzruszyła obojętnie ramionami.

—Jakoś bym to przeżyła — powiedziała z przekąsem.

Albert Tomau nie mógł się powstrzymać od śmiechu. Przez chwilę oboje rechotali wesoło. Wreszcie dziedzic spoważniał i podjąwszy heroiczną decyzję, zawołał:

—Döring, pójdzie pani zaraz do mojego kuzyna i powie mu, że czekam na niego w gabinecie dziś o czwartej po południu.

Panna Döring o mały włos nie upuściła z wrażenia pełnej filiżanki kawy, którą właśnie niosła panu. Ale nie dała nic poznać po sobie.

—Zaraz mu to przekażę, proszę jaśnie pana. Czy ma pan jeszcze jakieś polecenia? — spytała jak gdyby nigdy nic, stawiając kawę na stole.

Pan spojrzał na nią groźnie.

—Tak, pojutrze, w niedzielę zjem obiad w towarzystwie kuzyna i bratanicy, zrozumiano? — krzyknął.

Panna Döring aż podskoczyła z radości, oczy jej zwilgotniały.

—No, dzięki Bogu! —wykrztusiła.

—Odmaszerować, Döring! — ryknął Albert Tomau tracąc cierpliwość.

Gospodyni wyszła wolno z pokoju, nie oglądając się za siebie.

Albert Tomau został sam i chodził po gabinecie wielkimi krokami. Zaczynał żałować pochopnej decyzji, ale przejrząwszy się w lustrze, powiedział sobie:

—Tchórz!

Po czym przeszedł się po pokojach sprawdzając, czy wszystko jest w należytym porządku. Tu i ówdzie przesunął jakąś figurkę, poprawił krzywo wiszący obraz. I nagle ogarnęła go radość, że dom jest tak pięknie urządzone.

—Przynajmniej z tego się ucieszy — mruknął.

I począł oglądać wszystko oczami Marii. Brązy, obrazy, dywany, wspaniała porcelana miśnieńska, stara porcelana chińska, gablotki z pięknymi eksponatami—to wszystko będzie odtąd cieszyć nie tylko jego oczy, ale także oczy Marii. Jego własna radość była do tej pory martwa, ale teraz odżyje, gdy dzielić ją z nim będzie istota, którą obdarzył uczuciem.

O tak, obdarzył gorącym uczuciem tę małą Marię Tomau. Jakie to będzie cudowne, gdy usiądzie choćby w tym wspaniałym fotelu i oprze złociste loki o purpurowe brokaty! Albo w tej wnęce okiennej —jakże czarująco będzie się odcinać jej wiotka postać od żółtawych koronkowych firanek!

Widział to wszystko oczyma duszy estety, który dotąd nie miał okazji napawać się kobiecym pięknem. W tym potężnym ciele, o głowie ginącej w nieporządnej chmurze włosów i surowych rysach, drzemała dusza obdarzona nienasyconym pragnieniem i wysublimowanym zmysłem piękna. Jego własna postać ciążyła gospodarzowi, psując harmonię tych doskonałych wnętrz. Po raz pierwszy w życiu przyszło mu do głowy, że mógłby złagodzić ten dysonans, miast go podkreślać. Powinien zadbać o swą powierzchowność, gdyż nawet brzydota daje się jakoś upiększyć. Po cóż się tak zaniedbywał przez te wszystkie lata?

Tak rozmyślając, to czuł ukojenie, to znów śmiał się z siebie drwiąco. Ale słodkie myśli nie dały się odpędzić, wracały i rozgrzewały jego wyobraźnię. Szamotał się między pragnieniem widywania codziennie Marii i jej ojca a lękiem przed tak radykalną zmianą w swym życiu. Chęć widywania Marii stopniowo brała

górze nad obawami.

Tymczasem panna Döring udała się do bocznego skrzydła, by zawiadomić Jerzego Tomaua o czekającej go wizycie. Mogła wprawdzie przekazać życzenie gospodarza przez służącego, ale nie chciała przepuścić okazji zobaczenia się z Marią.

Wchodząc na górę, spotkała służącego, który zabrał właśnie brudne nakrycia po skończonym obiedzie.

—Państwo są w salonie — odparł służący na pytanie gospodyni.

Panna Döring zapukała do drzwi.

—Ach, panna Döring! Nareszcie pani przyszła! — wykrzyknęła na powitanie Maria.

Panna Döring spojrzała na nią niepewnie.

—Tak panienka mówi, jakby to była dla pani przyjemność, gdy do państwa przychodzę — mruknęła.

—Oczywiście, że to dla mnie przyjemność, kochana panno Döring! I dzisiaj nie musi mi pani mówić, jak się czuje mój stryj. Spotkałam rządcę i dowiedziałam się od niego, że stryj Albert ma się dobrze.

—No chyba! Już dawno tak się dobrze nie miał. Znowu się śmiał dzisiaj, był bardzo zadowolony.

—Pewnie rzadko się śmieje?

—A jakże, przez te wszystkie lata w ogóle nie wiedziałam, że jaśnie pan potrafi się śmiać. A ja... mnie też nie było do śmiechu. Ale ostatnio, panienko, oboje z jaśnie panem śmiejemy się czasem do rozpuku — i to pani sprawka!

—Jak to? — zdumiała się Maria, siłą sadzając pannę Döring w fotelu.

—A tak! Bo przy paniencie człowiekowi robi się lekko na duszy — mówiła stara gospodyni, porzucając zwykły mrukliwy ton.

—Jak to możliwe, kochana panno Döring? Choćbym nawet była tak nie-skromna, by uwierzyć że przyniosłam pani odrobinę radości, bardzo bym tego zresztą chciała, to stryja przecież na oczy nie widziałam ani on mnie.

Panna Döring już miała na końcu języka radosne: oczywiście, że panią widział, ale powstrzymała się w porę.

—Nie szkodzi... wystarczy, że panienka tu jest. Ja... ja mu też o pani opowiadam, a rządcą? Ten to już o niczym innym nie mówi tylko o panience!

—Ach, pan rządcą! — rozpromieniła się Maria. — O tak, to mój przyjaciel, chociaż z początku się strasznie srożył. Ale ja się zaraz połapałam, że to człowiek o gołębiim sercu i teraz świetnie się rozumiemy. Jest trochę dziwny, pewnie się tym zaraził od stryja. Uparł się, żeby wmawiać wszystkim, że jest brzydki, podobno tak samo, jak mój biedny stryj. A tymczasem ma przepiękną głowę, którą się z przyjemnością ogląda. Powiedziałam mu to, ale więcej tego nie zrobię, bo jeszcze mu woda sodowa uderzy do głowy, szkoda by było, prawda? — roześmiała się serdecznie.

Pannie Döring twarz mieniła się ze wzruszenia. Opowiem mu każdutkie słowo! — myślała. Ale oczywiście nie powiedziała tego głośno, tylko zauważyła sucho:

—Już mu woda sodowa do głowy uderzyła, gdy mu panienka powiedziała, że ma malarską głowę. Ostatnio chyba z piętnaście minut przeglądał się w lustrze, co mu się dawniej nigdy nie zdarzało.

—Więc może nareszcie uwierzy, że nie jest wcale brzydki — roześmiała się Maria z zadowoleniem.

—Życzę mu tego. Wiem z własnego doświadczenia, jak się człowiek czuje myślący, że inni się nim brzydzą.

Maria poufale położyła dłoń na ramieniu starej służącej.

—A ja z przyjemnością oglądam pani twarz, panno Döring. I wkrótce poproszę panią, by mi pozowała. Chcę panią namalować jako holenderską rybaczkę.

Panna Döring przez chwilę patrzyła z przerażeniem na Marię, wreszcie rzekła z wyrzutem:

—Nie powinna się panienka śmiać ze mnie!

—Ależ ja się nie śmieję! Mówię najzupełniej poważnie!

—Na miłość boską, tego to już nie rozumiem! Nie dość, że są takie maskary na świecie, to jeszcze chce je pani malować?

—Właśnie tak — i zobaczy pani, co to będzie za śliczny obraz! Mam nadzieję, że pani portret uda mi się równie dobrze, jak portret pana rządcy. Podaruję go pani, gdy będzie gotowy, za to że pani tak dba o nas. Powiesi go sobie pani w pokoju i będzie pani patrzeć na niego tak długo, aż się pani przekona, że pani twarz też ma swój urok, jak każda twarz, którą Pan Bóg stworzył.

Maria powiedziała to tak ciepło, że pannie Döring łzy stanęły w oczach. I tak siedziała skonsternowana, popatrując na Marię, czy ta się z niej jednak nie nabija. Ale nie, młoda dama patrzyła na nią przyjaźnie i ze zrozumieniem. I nagle w udręczonej duszy starej panny obudziła się duma. Małe ciemne oczka skrzyły się radością. Nie mogła się wprost doczekać tej chwili, gdy panienka Maria będzie ją malować.

—Naprawdę chce mnie pani namalować? Taki prawdziwy kolorowy obrazek, co się wiesz na ścianie?

—Najprawdziwszy, panno Döring, jak tylko skończę ten obraz dla stryja. W przyszłym tygodniu zaraz zabieram się za pracę. Wymyśliłam już całą kompozycję. Namaluję panią w ogródku warzywnym. Założy pani biały czepek, został mi taki z balu kostiumowego. Już ja panią wystroję po holendersku!

—Oby to była prawda! — westchnęła stara panna i nagle aż podskoczyła z przerażenia. Ach, Boże święty, byłabym na śmierć zapomniała, po co przyszłam! Mam wiadomość dla jaśnie pana.

—Jaką wiadomość, panno Döring? — spytał Jerzy Tomau, prostując się.

—Jaśnie pan chce pana widzieć. Dziś o czwartej ma pan przyjść do niego do



gabinetu.

Jerzy Tornau zerwał się z fotela jak młodzieniaszek. Maria zadrżała z radości.

—Chce mnie widzieć? — powtórzył ojciec wzruszony. — Jakże się cieszę! Mój Boże, toż to nasz jedyny krewniak!

Panna Döring miała wielką ochotę wypaplać, że jaśnie pan oczekuje ich obojga na obiedzie w niedzielę, ale powstrzymała się, mówiąc sobie, że będzie lepiej, gdy jaśnie pan sam to powie kuzynowi. Przypomniawszy raz jeszcze, że Jerzy Tomau ma być w gabinecie pana punktualnie o czwartej, a służący go zaprowadzi, pożegnała się i popędziła do swego chlebobawcy.

—Jeśli się panu wydaje, że tylko pana malują, to się pan myli. Mnie też będą malować! — wypaliła od progu.

—Panią też? — zdumiał się Albert Tomau.

—Tak jest, jako holenderską rybaczkę! — odparła z dumą.

—Döring, Döring, niech się pani tylko ma na baczności — roześmiał się Albert Tomau — by pani woda sodowa nie uderzyła do głowy; jak kogoś malują, to już po nim!

—No pewnie, panu się to może zdarzyć, ale nie mnie. Ja nie wystaję godzinami przed lustrem, chociaż panienka Maria powiedziała, że każda twarz ma swój urok.

—Tak powiedziała? — ożywił się Albert Tomau.

—Tak. A chce pan wiedzieć, co dziecko mówiło o panu, niby o rządcy?

—No, niechże pani gada! — rzucił niespokojnie. — Pewnie nic dobrego!

—Tak, jakby dziecko mogło o kimś powiedzieć coś złego!

I opowiedziała swemu panu słowo w słowo to, co Maria mówiła o „rządcy”. Albert Tomau słuchał w milczeniu, ukrywając twarz w dłoniach. Nie poruszył się, gdy skończyła mówić. Wtedy bez słowa wyszła cicho z gabinetu. Burcząca na wszystkich stara panna miała wrażliwą duszę.

Albert Tomau siedział długo nieporuszony. Gdy się wreszcie wyprostował, miał łzy w oczach.

Punktualnie o czwartej lokaj otworzył drzwi do gabinetu, wpuszczając Jerzego Tomaua. Kuzyni patrzyli na siebie badawczo, jakby szukaj w rysach twarzy przyjaciela śladów przeszłości. Długo tak na siebie spoglądali, uświadamiając sobie, że między ich ostatnim spotkaniem a dniem dzisiejszym upłynęły wieki. Wreszcie Albert Tomau wstał i powiedział ochryplym głosem:

—Chodź, Jerzy, niech uścisknę twoją dłoń! Boże mój, co to czas" z nami porobił! Ty też posiwiiałeś.

Jerzy podszedł do niego i włożył wąską, wypiełgnowaną dłoń w potężną dłoń tamtego.

—Tak, Albercie, czas nie oszczędza nikogo.

Trzymali się za ręce i patrzyli długo na siebie. Wreszcie Albert rzekł z westchnieniem:

—Nie rozumiem, jak mogłem cię przez tyle lat odpychać od siebie. Chyba mi się rozum pomieszał. To jedyne wytłumaczenie. Doświadczyłem od ciebie tylko dobra.

—Ja też z początku nie mogłem tego pojąć, Albercie. Dopiero wiele lat później zrozumiałem twoje zachowanie. W życiu każdego człowieka przychodzi kiedyś taka chwila, że najchętniej schowałby się w mysia dziurę. Inna rzecz, że Weidenhof w niczym nie przypomina mysiej dziury. To cudowna posiadłość, a wewnątrz dwora wspaniale upiększyłeś. Czy może mi się tylko tak wydaje, gdyż nie byłem tu tyle lat?

—Nie, nie, słusznie zauważyłeś. Widzisz, to była moja jedyna pasja, chciałem choć wokół siebie widzieć piękno! Ale usiądź! Zapalmy cygaro, to uspokaja. Rozumiesz, kochany Jerzy, że to dla mnie wcale nie drobnostka odbudowywać spalone mosty. Schłopiałem, zdziwaczałem, sam siebie nie mogłem znieść.

Podsunał kuzynowi pudełko z cygarami, sam zapalił, nalał wina do kieliszków.

—Wypijmy, Jerzy, za znośną resztę życia dla nas obu — i za zdrowie i pomysłność ostatniej z rodu Tomauów — twojej córki Marii!

—Wypijmy! — zawołał Jerzy, chwytając kielich. — Twoje zdrowie, Albercie!

Przez kilka chwil panowie palili w milczeniu. Wreszcie Albert Tomau rzekł wciągając głęboko powietrze:

—Tak, Jerzy, najgorsze mam już za sobą. Siedzisz tu przede mną i już się nie lękam. A mój lęk przed twoją córką, ona sama rozproszyła.

—Maria? — zdumiał się Jerzy.

—Tak, tak, Maria Tomau i ja jesteśmy starymi przyjaciółmi.

—Przecież się jeszcze nie spotkaliście!

—Nie opowiadała ci, że poznała mojego rządcę? — roześmiał się Albert:

—Owszem, mówiła mi o nim tyle dobrego, że załuję, że go do tej pory nie poznałem.

—Więc przyjrzyj mu się uważnie, siedzi przed tobą.

—Jak mam to rozumieć?

—To zabawna historia. Maria spotkała mnie w lesie; zabłądziła. Ja oczywiście od razu się zorientowałem, kim ona jest, bo po moim lesie młode panienki raczej nie hasają. Byłem bardzo surowy, chcąc ją przepłoszyć, i oczekiwałem, że ucieknie przede mną, gdzie pieprz rośnie, zgodnie z moim poleceniem. A ona nie. Widocznie nie wydałem jej się dość brzydki. Podeszła do mnie i patrzy na mnie miłosiernie jak zbłąkane zwierzątko. Zaczęła ze mną rozmawiać poufale, nie bała się, nie czuła do mnie wstrętu. Doszła do wniosku, że muszę być rządcą z majątku, a ja nie wyprowadzałem jej z błędu, gdyż czułem się bezpieczniej w tej roli.

Uśmiech przemknął po twarzy Jerzego Tomaua.

—A więc to byłeś ty, Albercie? Nie domyśliłem się wcale, gdy opowiadała mi z zapalem o modelu do swojego obrazu. Ona też się nie domyśla i w kółko opowiada

o swoim przyjacielu, rządcy.

—Nie wyprowadzaj jej z błędu — prosił Albert rozpromieniony. — Całe szczęście, że nie spotkała prawdziwego rządcy. Zresztą on jest niewiele piękniejszy ode mnie. W niedzielę proszę was oboje do mnie na obiad — chcę jej sam o tym powiedzieć. Dajesz słowo, że mnie nie zdradzisz?

—Słowo! To będzie frajda! Maria się przerazi, gdy się dowie, że nas prosisz na obiad. Szanowny rządcza nie powiedział jej wiele dobrego o stryju.

—Ja sam czułem do siebie wstręt. Byłem zdumiony, że Maria nie uciekła przede mną z krzykiem.

—Miałeś chorobliwe urojenia na temat własnej osoby, Albercie. Tylko dlatego, że wmówiła ci to jakaś dziewczucha bez serca. Przepraszam, że o tym mówię.

—Nie szkodzi — teraz to już nie ma znaczenia. W moim wieku to już nie boli, choć te okrutne słowa skazały mnie na samotność. Ale gorycz pozostała. Pierwszym ciosem było dla mnie to, że matka opuściła mnie i ojca. A ja ją bardzo kochałem. To, że się rozwiodła z ojcem, by gdzie indziej szukać szczęścia, podłamało mnie. A potem niewierność mej narzeczonej dokonała reszty. Był to dla mnie dowód, że wszystkie kobiety są niewierne. Zagalopowałem się pod wpływem doznanej goryczy; na szczęście są też inne kobiety, inaczej świat byłby piekłem. Ale to zrozumiałem dopiero po latach. Zbyt późno, by naprawić zmarnowane życie. Tak więc wybrałem samotność, wystrzegając się widoku kobiecych twarzy. Jakieś pięć lat temu dowiedziałem się o śmierci mojej matki. I znów odczułem ogromną gorycz. Byłem zdruzgotany, że nie potrafię jej oplakiwać, że jej podłość zabiła we mnie miłość do niej. Jedyne co czułem, to gniew i nienawiść do wszystkich rozwiedzionych kobiet. Nienawidzę ich, gardzę nimi. Niech je piekło pochłonie!

W ostatnich słowach Alberta brzmiał tak dziki, opętańczy ból, że Jerzy Tomau poczuł się nieswojo.

—Istnieją też kobiety rozwiedzione nie z własnej winy, Albercie — powiedział cicho.

—Milcz! — rzucił się Albert. — Ani słowa więcej o rozwódkach! Małżeństwo to święta instytucja, kto zrywa małżeństwo, jest niewierny, jest krzywoprzysięcą, gardzę nim! Może nie jestem całkiem obiektywny, ale mówmy lepiej o czym innym. Mówmy o twojej córce! Jak ciepło i niewinnie na mnie patrzyła! Jej spojrzenie odjęło ode mnie całą brzydotę.

Jerzy Tomau nie mógł w takiej chwili zdradzić kuzynowi, że Maria jest rozwódką. Choć była niewinna, z Albertem nie dałoby się mówić na ten temat. Przechodził zapewne głęboki kryzys i nie należało go teraz drażnić. Gdyby się dowiedział, że Maria jest rozwódką, przestałaby mieć na niego zbawienny wpływ. Nie, nie, nie można zakłócać ozdrowieńczego nastroju biednego kuzyna. Kiedyś w przyszłości przyjdzie pora, by mu powiedzieć prawdę o Marii.

—Masz rację, Albercie, mówmy o czym innym. Nie trzeba rozdrapywać za-  
bliźnionych ran.

Kuzyni spędzili ze sobą kilka godzin. Jerzy Tomau dziękował Albertowi za to, że się nimi zaopiekował, ale tamten zaprotestował gwałtownie:

—Nie mów mi o wdzięczności! Zrobiłem tylko to, co do mnie należało. Ty postąpiłbyś tak samo na moim miejscu.

—Oczywiście, Albercie!

—No, widzisz! Przyznam ci się otwarcie, że byłem zdecydowany nie dopuszczać twej córki przed swoje oblicze. Brałem pod uwagę to, że kiedyś może odważyć się zobaczyć z tobą, ale nie z Marią. A ona wszystkie moje plany wywróciła. Przejęła niejako inicjatywę i owinęła mnie sobie wokół małego palca. W dodatku z tym wszystkim czuję się bardzo dobrze. Jakiś ty szczęśliwy, mój Jerzy, że masz taką córkę! Ale musisz mi odstąpić odrobinę jej dziecięcej miłości, o ile ona mnie choć trochę polubi!

—No, rządę pokochała z całego serca. Pomyśl, jak będzie go kochała, gdy się dowie, że to sam stryj Albert, nad którym się tak użalała. Znam swoją córlęcę! Z całego serca życzę ci jej miłości. Ty mi wielkodusznie odstąpiłeś część swych dóbr, więc i ja nie poskapię ci z tego jedyne go skarbu, jaki posiadam. Maria ma

wielkie serce — starczy dla nas obu.

—To dobra córka, prawda?

—Niech Bóg ma ją w swojej opiece, to naprawdę dobre dziecko! Nigdy nie przysporzyła mi cierpienia, chyba że sama cierpiała, a ja dzieliłem jej ból. Bez szemrania znosiła wraz ze mną trudy i niewygody, chcąc mi ulżyć, okazać mi swą miłość.

—To musi być wspaniale mieć dziecko z ukochaną kobietą! — powiedział w zadumie Albert.

—Tak, Albercie, to najpiękniejsza i najszlachetniejsza rzecz w życiu.

O ósmej Jerzy Tomau począł się żegnać. Wtedy Albert powiedział wzruszony:

—Teraz muszę to wszystko przetrwać. Jutro będzie ostatni dzień mej samotności; zamknę tę kartę w mym życiu. A w niedzielę odwiedzicie mnie oboje i odtąd będziemy się codziennie widywać, obym miał dość siły! Tylko pamiętaj, nie zdradzaj mnie przed Marią!

—Masz na to moje słowo, Albercie!

I kuzyni pożegnali się mocnym uściskiem dłoni.

## XII

Podczas gdy ojciec był u kuzyna, Maria malowała. Miała kilka godzin czasu. Odetchnęła głęboko, gdy wreszcie skończyła obraz dla stryja. Ale zaraz opadły ją wątpliwości, czy to malowidło jest naprawdę dobre i czy się stryjowi spodoba. Ustawiła obraz w salonie, chcąc go pokazać ojcu. Od jego sądu uzależniała decyzję, czy obraz posłać.

Dopiero teraz uświadomiła sobie, że ojciec bardzo długo nie wraca i zaniepo-



koła się. Godzina za godziną mijała, a jego nie było. Wszedł służący, by nakryć do kolacji; Maria odwróciła obraz do ściany, by służący go nie zobaczył. Była coraz bardziej niespokojna, ale nie pozostawało jej nic innego, jak czekać.

Wreszcie usłyszała kroki na schodach. Gdy tylko wszedł, rzuciła mu się w ramiona.

—Ojczy, drogi ojczy, tak długo cię nie było! Czy wszystko dobrze poszło?

—Uspokój się, Mario! Skoro mnie tak długo nie było, powinnaś była się domyślić, że wszystko jest w porządku.

—I jak wygląda stryj Albert?

—Postarzał się bardzo od czasu, gdy widziałem go po raz ostatni — odparł ojciec z uśmiechem — i trochę zdziwaczał. Ale pozostał dawnym dobrym, szlachetnym człowiekiem. Był dla mnie bardzo miły i serdeczny. Ściska cię!

—Jakże się cieszę! — rozpromieniła się Maria. — Przede wszystkim ze względu na ciebie, ojczy! Pomyśl, jak ciężko by ci było na duszy, gdyby ci dał do zrozumienia, że jesteśmy dla niego ciężarem.

—Ależ mowy o tym nie ma, moje dziecko! Mam wrażenie, że nasza obecność, a przede wszystkim twoja osoba sprawiła, że trochę poweselał.

—Czy zechce mnie kiedyś zobaczyć?

—Oczywiście, pojutrze, w niedzielę zaprasza nas na obiad. Bardzo się cieszy, że cię zobaczy.

Maria przycisnęła dłonie do serca.

—Boże! Boję się, ojczy!

—Przecież jesteś moją dzielną córką! Wcale nie musisz się lękać.

—Czy... on jest bardzo dziwny?

—Ależ skąd! Nie wyobrażaj sobie niestworzonych rzeczy! Ma swoje drobne śmieszności, ale poza tym to zwyczajny, rozsądny człowiek. Na pewno ci się

spodoba.

—Powiedziałaś mu, że jestem rozwiedziona?

—Nie, Mario, uznałem, że jeszcze nie pora na to. Pamiętaj, że stryj w jakimś sensie wraca do życia i musimy mu w tym pomóc. Jak mówiłem, jest spokojny i rozsądny. Ale gdy rozmowa zeszała na jego matkę i jego niewierną narzeczoną, zdenerwował się okropnie, pomstując na niewierność kobiet. Ty nie należysz do takich kobiet, ale stryj Albert wszystkie rozwódki uważa za takie. Nie chciał mnie wcale słuchać, gdy wtrąciłem, że są też kobiety rozwiedzione nie z własnej winy. Wtedy zrozumiałem, że nie mogę mu powiedzieć, że moja córka jest rozwiedziona. Nie mogłem mu powiedzieć prawdy w sytuacji, gdy niejako za twoją przyczyną zaczyna zmieniać swe zdanie o kobietach. Dajmy mu czas, by cię dobrze poznał, a wtedy może nadarzy się okazja, by mu ostrożnie wyznać prawdę. Powiedzieć mu o tym teraz, gdy przyłgnał do ciebie całym sercem, to by było okrutne, skoro jest tak drażliwy na tym punkcie. Rozumiesz to?

—Rozumiem tylko tyle, ojczu — westchnęła Maria — że muszę dalej żyć z tym ciężarem. Lepiej było wyznać od razu prawdę.

—Wtedy by nas w ogóle nie przyjął do siebie, moje dziecko.

—Tak myślisz? — spytała Maria, patrząc z lękiem na ojca.

—Tak, dziecko, mówię ci, że musimy na razie milczeć.

—Czy wiesz, jak mi ciężko na duszy, że odpłacam kłamstwem za dobro, które mnie tu spotyka? — spytała Maria, myśląc raczej o Normanie Weście niż o stryju.

—Niestety, kochanie, niewinni często cierpią za winy innych. Najważniejsze, by czuć się niewinnym.

—Czy to grzech, że podaję się za pannę?

—Nie, Mario, to nie grzech, to konieczność. Raczej popełnilibyśmy grzech, rzucając stryjowi tę prawdę w twarz teraz, gdy wraca do normalnego życia. Musimy go oszczędzać, choćby z wdzięczności za to, co dla nas zrobił. Jestem pewien, że będziesz miała na niego dobry wpływ. Na pewno uda ci się go w końcu prze-

konać, że nie ma żadnej twojej winy w tym, że jesteś rozwiedziona. Obiecuję ci, że we właściwym czasie załatwię z nim tę sprawę. Powiem mu, że milczałaś na moje usilne żądanie. To, że się ma przed innymi tajemnice, to jeszcze nie kłamstwo. Przecież nikomu nie powiedziałaś, że nie byłaś mężatką.

—Tak czy owak pływam pod fałszywą banderą. Wstydzę się z tego powodu przed panną Döring, rządcą — i panem Western.

—Rozumiem cię, Mario. Ale proszę jeszcze raz: bądź rozsądna. Pomijając już to, że nie ma na świecie drugiej tak niewinnej i wiernej kobiety jak ty, nie możemy teraz wyznać prawdy, gdyż po prostu stracilibyśmy dach nad głową. Kiedyś wszystko Albertowi wyjaśnię; powiem mu, że zatailiśmy prawdę ze względu na stan jego ducha.

—Chyba masz rację, ojciec. Pomijając wszystko inne, nie mogłabym pozbawić cię tego azylu. Dlatego musi mi wystarczyć świadomość, że jestem niewinna, że moją jedyną winą jest to, iż przemilczałam, że zostałam zdradzona i porzucona.

—Tak jest dobrze, moje dziecko — powiedział ojciec, przyciągając ją siebie. — A teraz zjemy kolację.

Usiedli przy stole. Marii było ciężko na duszy, gdy sobie uświadomiła, że i panu Westowi nie może wyznać prawdy. Ale starała się ukryć smutek, nie chcąc martwić ojca.

Gdy służący posprzątał po kolacji, Maria powiedziała:

—Cieszę się, że skończyłam obraz. Osobiście wręcę go stryjowi w niedzielę. Teraz ci go pokażę, drogi ojciec; chcę usłyszeć twoje zdanie. W czasie pracy byłam z siebie zadowolona i wydawało mi się, że obraz się udał. Ale teraz opadły mnie wątpliwości.

Wstała i zapaliwszy wszystkie światła, odwróciła obraz. Jerzy Tomau spojrział na płótno i z jego ust wydobył się okrzyk zdumienia. Oto z obrazu spoglądał na niego jak żywy Albert Tomau. O mały włos się nie zdradził, tak bardzo chciał pochwalić córkę za ten udany portret. W samą porę przypomniał sobie o obietnicy danej kuzynowi. Chcąc wybrnąć z sytuacji, powiedział szybko:

—Bo wiesz, poznałem tego rządcę u stryja Alberta i muszę ci powiedzieć, córeczko, że bardzo prawdziwie oddałaś go na płótnie. Naprawdę będzie z ciebie wspaniała malarka. A jak świetnie namalowałaś Małgosię jako rusałkę, jak to strzela ciekawym, roześmianym oczkiem! I polana ze źródelkiem, te promienie słońca przedzierające się przez korony drzew, bardzo dobre! Promyk słońca tańczy na twarzy rządcy, pogłębiając wyraz dobrotliwej kpiny. Ale to już dodałaś od siebie, bo ja nie widziałem u rządcy takiego wyrazu twarzy.

—Ależ nie, ojcze. Mówię ci, że gdym go malowała, miał w wyrazie! twarzy coś takiego, jakby chciał powiedzieć: ach, ty mały głuptasku, nawet! się nie domyślasz, jak mnie to śmieszy, że ci pozuję! Właśnie o czymś' takim marzyłam. No, może trochę przerysowałam jego charakter.

—Miejmy nadzieję, że... pan rządcza nauczy się patrzeć na świat z humorem, tak jak to robi na twoim obrazie.

—Na pewno go tego nauczę — zawołała Maria, ucieszona pochwałą ojca. — No powiedz, czy to nie wspaniały starszy pan?

—O tak, z tym się zgadzam! — uśmiechnął się ojciec.

—I myślisz, że stryj Albert ucieszy się tym obrazem?

—Jestem pewien, możesz być zupełnie spokojna.

—Chyba nie będzie miał nic przeciwko temu, że uwieczniłam na obrazie jego rządcę?

—Na pewno nie.

—Czy oni dbaj naprawdę są ze sobą tak — no, powiedzmy, szczerzy?

—Są tak szczerzy, że znają nawet swoje myśli — roześmiał się cicho Jerzy Tomau.

—Właściwie to jest bardzo miłe. Dla stryja Alberta to pewnie duża pociecha, że ma tak dobrego przyjaciela?

—Może sama go spytasz. Ja nie potrafię odpowiedzieć na to pytanie.

—W każdym razie cieszę się, że obraz mi się tak udał, choć jestem tylko amatorką.

—Wiesz dobrze, że zawsze byłem wobec ciebie szczerym i surowym krytykiem. Ale tym razem muszę powiedzieć, że stworzyłaś prawdziwe arcydziełko, które się stryjowi na pewno spodoba.

—Jeśli tak, to osiągnę cel. Jakże inaczej mogłabym mu podziękować?

—Myślę, że jeszcze nieraz będziesz miała ku temu okazję. Najbardziej by się ucieszył, gdybyś go choć trochę polubiła, przez całe życie nie zaznał miłości.

—Biedaczysko! Mam nadzieję, że go polubię. Do tego nie można się zmusić; serce nie sługa. Ale zawsze będę mu wdzięczna.

—Na pewno go polubisz, jestem o to spokojny. I pamiętaj, że to nasz jedyny krewny.

—I nasz wybawca, ojczy, o tym przede wszystkim muszę pamiętać!

Znalazłszy się w sypialni, Maria przez chwilę wyglądała przez okno w stronę, gdzie, jak myślała, leżał majątek Neurode. Serce biło jej niespokojnie i znów się zasmuciła, że nie może zdradzić panu Westowi, że jest rozwiedziona. Ciekawe, co by na to powiedział?

Gdy zamknęła oczy, widziała go całkiem wyraźnie. Te dobre, szare oczy, błyszczące w opalonej twarzy, twarzy o ostrych, energicznych rysach, a tak pełnej łagodności. To musiał być dobry i szlachetny człowiek.

Skarciła się za te myśli. Co jej do tego? Nie powinna tyle o nim myśleć. To tylko sąsiad, nic więcej. Jeśli dopuści do tego, by stał się dla niej kimś więcej —będzie cierpiała.

Gdy się położyła, przypomniawszy sobie, że obiecała poznać go z rządcą i poprosić ojca, by go odwiedził. Nie chciała myśleć o tym, że mogłaby towarzyszyć ojcu —nawet mu o tym nie powie. Ale prośbę pana Westa przekaże mu zaraz jutro przy śniadaniu.

Zrobiła to nazajutrz rano przy kawie.

—Mówiłam ci, że wczoraj przed południem spotkałam pana Westa i poszliśmy razem na spacer. Ale zapomniałam ci o czymś powiedzieć. Pan West kazał cię poprosić, byś go odwiedził w jego majątku, gdyż on nie ma odwagi się tu pokazać. Skarżył się, że nie styka się tu z kulturalnymi ludźmi. Może cię zainteresuje ta znajomość, ojcze. Opowiada bardzo ciekawe rzeczy o Ameryce i w ogóle dużo podróżował i jest mądrym i sympatycznym człowiekiem.

Maria starała się mówić spokojnie, ale w słowach jej było tyle tajonej pasji, że ojciec przyjrzał jej się badawczo. Przyszło mu do głowy, że jego córka jest tu pozbawiona wszelkich rozrywek. Ze względu na nią pragnął towarzystwa.

—Jeśli pan West sobie tego życzy, odwiedzę go przy najbliższej okazji — powiedział ochoczo. — Przeciwno temu stryj Albert nic nie może mieć. Zresztą, kto wie, może stryj Albert będzie teraz nieco przystępniejszy i sam przyjmie pana Westa?

—Na pewno by się z tego ucieszył. Wspominał mi, że zależałoby mu na poradach rolniczych stryja. Podpowiedziałam mu, by zasięgnął rady u rządcy, który na pewno jest równie dobrym rolnikiem jak jego pan.

—Cóż, przy okazji możesz wspomnieć rządcy o rozmowie z panem Western — odparł ojciec, powściągając uśmiezek. — Powiem stryjowi Albertowi, że mam zamiar odwiedzić sąsiada w Neurode, jeśli nie ma nic przeciwko temu.

—Pan West bardzo się ucieszy.

—A teraz bierzmy się do pracy, Mario. Chciałbym dzisiaj skończyć dział naukowy. W przyszłym tygodniu zabierzemy się za książki obcojęzyczne. Jest tam obfita literatura francuska i angielska.

—To wspaniała biblioteka.

—Tak, już ojciec stryja Alberta, który po tragedii z żoną żył również jak pustelnik, kupował wiele książek. To był jego konik. Ale stryj Albert też wiele kupował. Tylko nikt tych zbiorów nigdy nie uporządkował i właśnie ta praca sprawia



mi przyjemność. Myślę, że ta biblioteka liczy ze dwadzieścia tysięcy książek.

—A ja myślę, że więcej, ojciec. Ale bierzmy się do pracy.

Jak co dnia ojciec z córką udali się do biblioteki i zabrali się do pracy. Biblioteka dotykała bezpośrednio do części środkowej pałacu, oddzielona od niej dużymi, zasuwanymi drzwiami. Drzwi te pozostawały zamknięte od początku pobytu Niani i ojca w Weidenhofie. Nietrudno było zauważyć, do którego miejsca biblioteka została już uporządkowana. Regały w tej części były umyte, książki poukładane równo i przejrzyste, podczas gdy na pozostałych półkach panował nieopisany chaos. Nie była to łatwa praca, ale właśnie takiej pragnęli.

Pracowali wytrwale, lecz gdy wybiła godzina dwunasta, ojciec rzekł:

—Teraz możesz iść na spacer, Mario. Ja tymczasem skataloguję to, co dziś uporządkowaliśmy. Musisz się trochę przejść, inaczej znów będziesz blada, a ja się już tak cieszyłem, że tutejsze powietrze dobrze ci robi.

—A ty, ojciec? Nie pójdziesz ze mną? Ty też potrzebujesz ruchu na świeżym powietrzu.

—Może po południu na godzinę, kiedy będzie chłodniej. Przed obiadem wyjdę trochę do ogrodu.

Maria nie dała się długo prosić. Wychowana w mieście, bardzo sobie chwaliła spacerować po lesie. Pożegnawszy ojca i wyszedłszy z domu, rozglądała się, czy nie zobaczy gdzieś rządcy, by mu przedstawić prośbę pana Westa.

Nie przeszła dziś przez mostek, lecz szła tą stroną rzeki. Zmusiła się, by nie pójść drogą, gdzie zawsze spotykała Normana Westa. Ale nie minął kwadrans, jak ujrzała jeźdźca pod lasem. Z początku myślała, że to rządcą, ale zaraz poznała, że to właściciel Neurode, i zarumieniła się. Zobaczywszy ją, Norman West wydał okrzyk radości i zeskoczył z konia.

—Panna Tomau! Właściwie los był mi winien to spotkanie z panią. Pojechałem na pole w sprawach gospodarczych i odmówiłem sobie przyjemności udania się na polankę u źródła, gdzie zawsze panią spotykałem. I oto niebiosy nagradzają

moje wyrzeczenie.

Maria pozbierała się jakoś i zaczęła oglądać zwierzę.

—Jakiego pan ma pięknego konia! — powiedziała, nie zwracając uwagi na jego słowa.

—Podoba się pani?

—Bardzo. To musi być wspaniałe uczucie jechać na jego grzbiecie przez las.

Norman West ogarniał ją gorącym spojrzeniem.

—Zwłaszcza, gdy się spotyka boginkę leśną.

—Chyba nie ma pan mnie na myśli? — uśmiechnęła się filuternie.

—Owszem; boginki leśne są strażniczkami skarbów, podobnie jak pani.

—Nie wiem nic o żadnych skarbach — powiedziała rumieniąc się.

Norman West roześmiał się swawolnie.

—A mnie się jednak wydaje, że pani ukrywa wiele skarbów przed oczami ciekawskich. Ten pierścionek, który pani zgubiła przy rusałkowym źródelku, pochodzi pewnie z wielkiego skarbcza, do którego tylko wtajemniczeni mają dostęp.

—Dziwię się, że pan jest taki romantyczny, spędziwszy tyle lat w praktycznej i trzeźwej Ameryce — zakpiła Maria, chcąc ukryć zmieszanie.

—Ja też się dziwię — powiedział wesoło. — Za oceanem byłem inny, ale tu, w ojczystych lasach zmieniłem się. To pani wina. Przy pani człowiek przypomina sobie różne romantyczne powiastki.

Maria cofnęła się o krok, przestając głaskać konia po grzywie, i szybko zmieniła temat.

—Dobrze, że pana spotykam. Rozmawiałam z ojcem. Powiedział, że odwiedzi pana w Neurode.

—Bardzo się cieszę. Pani też przyjedzie?

Maria okazała rezerwę, choć serce biło jej mocno.

—Może kiedyś przy okazji — powiedziała sucho.

—Sprawiła mi pani przykrość — powiedział cicho West.

—Nie chciałam tego — przeraziła się Maria. — Ale ja nie powiedziałam ojcu, że pan mnie również zaprasza. Lepiej będzie, jak mu pan sam to powie.

Norman West podniósł jej dłoń do ust.

—Ach, więc o to chodzi? A ja już myślałem, że pani chciała mi sprawić przykrość.

—Nie miałam żadnych powodów, by sprawiać panu przykrość. By pana przekonać, że nie miałam nic złego na myśli, powiem panu, że mam nadzieję przekonać stryja, by zechciał pana przyjąć w Weidenhofie i udzielić panu rad. Jesteśmy do niego zaproszeni na jutro na obiad. Zobaczę go po raz pierwszy w życiu. Ojciec był u niego wczoraj i opowiadał mi, że stryj zamierza porzucić pustelniczy żywot.

—Cieszę się ze względu na panią. Przypuszczam, że było pani przykro mieszkać w domu kogoś, kto nie chce pani widzieć. Czy on chociaż wie, jaki był głupi, że odmawiał sobie przyjemności spotkania pani?

Maria uciekła się do oficjalnego tonu:

—Chyba lepiej będzie, gdy sobie pójdę.

—Nie, bardzo proszę! Pójdę z panią jeszcze kawałek.

—Zgoda, jeśli pan obieca, że nie będzie mi pan prawił komplementów, nawet aluzyjnych.

—Jest pani bardzo surowa.

—Wcale nie, ale jeśli mamy zostać przyjaciółmi, musi pan się z tym pogodzić.

—Och, strasznie chcę się z panią zaprzyjaźnić. Co ze mną będzie, jeśli pani odmówi mi swojej przyjaźni?

Maria roześmiała się, ubawiona jego przerażoną miną.

—A więc proszę się starać, bym jej panu nie odmówiła.

Norman West uklonił się.

—Będę się zachowywał wzorowo i przemilczę wszystko, co mam pani miłego do powiedzenia.

—Bardzo dobrze.

—Uważa pani, że to będzie dobrze, jeśli nie będę pani mówił miłych rzeczy?

—Och, czasem na to pozwolę — roześmiała się — przy ludziach, ale... — spoważniała — nie wtedy, gdy jesteśmy sami.

—Jest pani naprawdę bardzo surowa — powiedział, patrząc na nią dziwnym wzrokiem.

—Jak się nazywa pański koń? — Maria próbowała odwrócić jego uwagę.

—Złocisty.

—Bardzo ładnie. I zasługuje na to imię ze względu na złocistobrą- zową maść.

—Kupiłem go ze względu na maść — powiedział, zerkając na jej włosy. — Złoty brąz to mój ulubiony kolor.

Maria zignorowała tę uwagę i pytała o różne szczegóły związane z końmi. Norman West odpowiadał uprzejmie, wreszcie wykrzyknął:

—Zdaje się, że pani bardziej interesuje się koniem niż jego panem. Mnie pani jeszcze nie zapytała o imię.

Maria poczuła, że się rumieni.

—Wiem, że pan się nazywa West — odparła chłodno.

—Tak, ale mojego imienia pani nie zna, a ja wiem od dawna, że pani ma na imię Maria.

—A skąd pan to wie?

—Z gminy. Widziałem pani nazwisko w księdze meldunkowej, gdy ; się ta meldowałem.

—A więc to nie żaden wyczyn, że pan zna moje imię.

—No nie. Ale i tak bym się dowiedział. W najgorszym razie spytał- ' bym panią wprost. To, że pani się nazywa Tomau, jest mało ważne, tak , samo nazywa się pani ojciec i pani stryj. Ale Maria — to bardzo do pani pasuje.

Wypowiedział jej imię tak czule, że dziewczyna z trudem zachowała spokój.

—Tak pan myśli? — spytała, siląc się na obojętność.

—Tak! Moje imię pani oczywiście nie interesuje, ale i tak je pani zdradzę. Mam na imię Norman.

Skłamałaby, gdyby powiedziała, że od dawna pragnęła je poznać. Więc powiedziała tylko:

—Norman? To rzadkie imię.

—Proszę powiedzieć, czy się pani podoba? — nalegał.

—Bardzo dobrze do pana pasuje.

—To nie jest odpowiedź na moje pytanie.

—Przepraszam. A więc podoba mi się. Czy teraz jest pan zadowolony?

—O tak! — skinął głową. — Jadę dziś po południu samochodem do miasta. Nie ma pani tam czegoś do załatwienia?

—Nie, dziękuję.

—Pani nie lubi jeździć samochodem?

—Owszem, ale teraz to niemożliwe. W Weidenhofie nie ma samochodu. Stryj Albert od lat nie wyściubił nosa poza swoją posiadłość. Nawet powozu nie używa. Najczęściej jeździ konno, jak mi powiedziała panna Döring.

—Służę w każdej chwili swoim samochodem.

—Dziękuję panu, ale nie skorzystamy z oferty.

—I znów dostałem kosza — westchnął.

—Nie miałam nic złego na myśli. Ale nie chcemy być rozpieszczani. Dawniej też mieliśmy samochód. Człowiek może być przyzwyczajony do luksusów, ale szybko odwyka, gdy nie może sobie na nie pozwolić. Dlatego podziękowaliśmy stryjowi za ekwipaż, który chciał nam oddać do dyspozycji.

—A ja miałbym ochotę porozpieszczać panią — powiedział proszącym tonem.

Maria znów przybrała pełną rezerwy minę, choć serce dyktowało jej inne zachowanie. Wiedziała, że nie może poddawać się swym uczuciom.

—Pragnę zauważyć, proszę pana, że jeszcze się wcale nie znamy i na pewno nie pozwolę się rozpieszczać obcemu człowiekowi.

—Nie mam dzisiaj szczęścia u pani — westchnął strwożony. — Cokolwiek powiem, pani jest niezadowolona. A mnie się wydaje, jakbyśmy się znali od bardzo dawna. Jakbyśmy byli dobrymi przyjaciółmi, którzy nie obrażają się o byle co. W każdym razie ja nigdy nie będę miał pani nic za złe.

—Proszę mnie dobrze zrozumieć. Znamy się od niedawna i spotykamy się tylko we dwoje. Wiem, że wyświadczył mi pan wielką przysługę, oddając mi pierścionek, i dlatego byłam wobec pana mniej powściągliwa niż powinnam. I choć czuję, że jest pan człowiekiem, przed którym nie trzeba się trwożliwie ukrywać za pustymi formami, to jednak jako kobieta muszę się trzymać określonych form.

Norman West spojrzał na nią szczerze i poważnie.

—Rozumiem panią doskonale i nie chciałbym, by to co mówię, przeszkadzało pani w trzymaniu się zasad, które uznaje pani za słuszne. Ale proszę się na mnie nie gniewać, gdy czasem poniesie mnie temperament. Proszę zważyć, że mam trzydzieści osiem lat, z czego siedemnaście spędziłem w Ameryce na ciężkiej pracy. Mało miałem styczności z damami, a te, które znałem, przeważnie mi się nie podobały. I oto spotkałem kobietę, która od pierwszej chwili zyskała moją sym-



patię i szacunek. Czy mam się zachowywać jak milczek, zważać na każde żywsze słowo i trzymać się kurczowo ram wyznaczonych kobiecie i mężczyźnie przez formy towarzyskie? Respektuję te formy, gdyż szanuję kobiety, prawdziwe kobiety, a już szczególnie panią. Czasem jestem trochę swawolny, sam nie wiem, skąd się to u mnie bierze, gdy tylko panią zobaczę. Czyni mnie to może trochę bardziej otwartym niż by wypadało. Ale proszę się o to na mnie nie gniewać! Gdy panią spotykam, jestem taki radosny. To chyba nie błąd? A czy to grzech, jeśli czasem nieopatrzonym słowem zdradzę, jak bardzo jestem rad w pani 1 obecności? Prawda że teraz będzie mnie pani lepiej rozumiała?

Przemawiał do niej tak ciepło, otwarcie i uczciwie, że Maria zawstydziała się prawie swej małoduszności. Impulsywnie wyciągnęła do niego rękę.

—Tak, rozumiem pana i dziękuję, że pan mi to wszystko powiedział. Teraz naprawdę możemy zostać dobrymi przyjaciółmi. Nie ukrywam, że pana polubiłam; na moim ojcu też pan zrobił dobre wrażenie. Cieszę się, że poznałam tak wartościowego człowieka. Czy teraz jest pan zadowolony?

Norman West pochylił się i pocałował jej dłoń z nabożną czcią. Jednocześnie zatopił spojrzenie w jej oczach tak, iż Marię zalała fala ciepła.

—Zadowolony? To zbyt słabe określenie na to, co czuję. Jestem 1 wdzięczny i szczęśliwy, że pani mnie zrozumiała i tak miło mi odpowiedziała.

Szli w milczeniu obok siebie, jakby chcąc się wyciszyć po emocjach, jakie zgotował im ten wspólny spacer. Maria uspokajała się myśląc, że znalazła w panu Weście bardzo dobrego przyjaciela — tylko przyjaciela. Musi na tym poprzestać. Nie przyznawała się, że jej uczucia do tego mężczyzny już dawno przekroczyły granicę przyjaźni.

Norman West był pod tym względem śmielszy; przyznawał się otwarcie przed sobą, że kocha Marię. Ale wiedział, że musi być cierpliwy. Chciał, ; by uczucia, jakie się w nim obudziły, dojrzały i okrzepły. Chciał uczciwie starać się o zdobycie miłości Marii.

## XIII

W niedzielę w południe ojciec z córką weszli do salonu urządzonego w stylu Ludwika XIV, przylegającego do wielkiej jadalni. Maria oczyma malarki podziwiała stylowe meble. Na trzech oknach tej wielkiej, wysokiej sali wisiały drogocenne brokatowe story, ściągnięte w połowie złotymi sznurami. Ściany obite były materiałem i podzielone na kwadraty pozłacanymi listwami pokrytymi ornamentami. Na suficie zachował się w dobrym stanie fresk. Przy jednej z węższych ścian usytuowany był marmurowy kolumny: minnek z kunsztownym okapem, na którego obrzeżu stały dwie drogocenne wazy i rokokowy zegar wahadłowy, który właśnie wybijał dwunastą. Środek podłogi, o pięknym parkiecie, pokrywał wspaniały dywan, na którym stał okrągły stolik z marmurowym blatem.

—Jak tu pięknie, ojcze! — szepnęła Maria ze ściśniętym gardłem.

Jerzy Tomau oparł obraz Marii o ścianę i odwrócił się do córki.

—Prawda, że tu wszystko nasycone jest pięknem i harmonią? Trudno sobie wyobrazić, by człowiek mógł być nieszczęśliwy w takim otoczeniu.

—Nieszczęście wszędzie człowieka dosięgnie, w wytwornym pałacu i w nędznej chacie — westchnęła Maria. — Nie masz pojęcia, jak się boję!

Ojciec spojrział z uśmiechem na córkę. Wyglądała uroczo w prostej białej sukience.

—Ależ, Mario, naprawdę nie masz się czego bać.

W tej chwili otworzyły się zielone drzwi i wszedł Albert Tomau. Olbrzymi, z głową okoloną bujnym, zaniedbanym zarostem i włosami, nie pasował do tego salonu. Ale Maria odetchnęła z ulgą i podszedłszy do niego szybko, chwyciła go za rękę, jakby szukając u niego ratunku

—Jak to dobrze, że pan tu jest, panie rządco! Teraz już się tak bardzo nie boję.

—A bała się pani? — spytał, walcząc z ogarniającym go wzruszeniem.

—Bardzo. Proszę pamiętać, że zobaczę dziś stryja po raz pierwszy. Na pewno uważa mnie za natręta, choć zgodził się mnie przyjąć. Czy pan zostanie na obiedzie, panie rządco?

Twarz mu drgnęła, jakby hamował śmiech, ale zachowując powagę i trzymając jej dłoń w swojej, odrzekł:

—Tak, zostanę.

—Dzięki Bogu! — wyrwało się Marii.

—Czy to dla pani taka wielka ulga?

—Oczywiście. Wyobrażam sobie stryja Alberta jako jakiegoś niesamowitego oryginała. Byłabym niepokieszona, gdybym go nie potrafiła polubić lub gdybym nie przypadła mu do gustu.

—Tego ostatniego nie musi się pani obawiać. Wiem, że mu pani przypadła do gustu, bardzo panią polubił.

Maria podniosła na niego zdumiony wzrok.

—Ach, skąd pan to może wiedzieć? Przecież mnie jeszcze nie widział.

—Owszem, widział panią nie tylko dawno temu w dzieciństwie, ale także teraz, gdy pani jest gościem w Weidenhofie.

—Ależ to niemożliwe! Kiedy mógł mnie widzieć?

—Najpierw zobaczył panią w lesie tego samego dnia, gdy się poznaliśmy.

—Nie powinien był pan tego ukrywać przede mną! — powiedziała Maria z wyrzutem.

—On sobie tego życzył. Chciał pani sprawić niespodziankę.

—I naprawdę myśli pan, że mnie polubił?

—Inaczej na pewno by pani nie zechciał widzieć. To pani sprawiła, że posta-

nowił wrócić do świata i ludzi. I bardzo się cieszy, że zje dziś z panią, obiad. Chce odtąd częściej panią widywać i rozmawiać z panią.

Maria dostała wypieków z wrażenia; ścisnęła gwałtownie ręce starszego pana.

—Dodaje mi pan otuchy, kochany panie rządcu.

—A co będzie, jeśli pani go nie polubi?

—O to się nie boję. Ojciec mi powiedział, że to dobry, szlachetna człowiek. Na pewno go polubię, bo wiem, jaki był nieszczęśliwy i pewnie nadal jest. Ale proszę pana, panie rządcu, niech pan rzuci okiem na obraz i nim stryj przyjdzie. Ojciec mówi, że obraz się udał, ale w takich sprawach ojcowie nie są bezstronnymi sędziami. Na pewno zna się pan na tyle na malarstwie, by móc ocenić tę pracę.

I podniosła obraz z podłogi, by pokazać go gospodarzowi. Jerzy i Albert Tomauowie zdążyli wymienić rozbawione spojrzenia. Gospodarz rozpromienił się. Z płótna patrzyła na niego jego własna twarz, jakby się przeglądał w lustrze. Było to małe arcydzieło. Tu i ówdzie brakowało jeszcze fachowej ręki, niektóre partie zdradzały amatorstwo, zwłaszcza sztafaż. Ale jego własny portret był bardzo udany, jasnowłosa rusałka siedząca na kamieniu też nie pozostawiała niczego do życzenia. Obrał oglądało się z przyjemnością.

Milczenie się przedłużało. Wreszcie Maria, zniechęcona opuściła obraz.

—Wiedziałam, że się panu nie spodoba! —powiedziała rozczarowana

Albert Tomau szybko wziął od niej obraz i oparł go o fotel, po czym ujął dłonie Marii i patrzył na nią wzruszony.

—To śliczny obrazek, Mario, bardzo ładny. I chcesz mi go podarować?

Maria patrzyła na niego zdumiona, nie rozumiejąc, dlaczego nagle zaczął jej mówić po imieniu.

—Ależ nie, przepraszam pana, panie rządcu, to nieporozumienie. Obraz jest dla stryja Alberta.

—Jest więc we właściwych rękach, Mario, jestem twoim stryjem Albertem.

Maria stała nieruchomo i patrzyła na niego oczami szeroko otwartymi ze zdumienia, nie rozumiejąc jego słów.

—Stryj Albert — pan — ty — ty jesteś stryjem Albertem? Czy to prawda, oj-cze?

—Tak, Mario, możesz mu wierzyć. Stryj chciał sobie z ciebie trochę pożarto-wać.

Maria znów spojrzała na stryja i zebrawszy się na odwagę, wspięła się na palce, zarzuciła mu ramiona na szyję i przyciągnawszy jego głowę, pocałowała go mocno, po czym roześmiała się swobodnie.

—Ach, jak ja się ciebie bałam! Teraz rozumiem, dlaczego nie zostawiłeś suchej nitki na moim biednym stryju.

Albert Tomau miał łzy w oczach.

—Sama przyznasz, Mario, że nie mogłem się zbyt wiele wychwalać i musiałem trzymać się prawdy.

Maria pogroziła mu palcem.

—Nie, prawdy się nie trzymałeś! Ileż to złych rzeczy sobie przypisałeś! Że je-steś brzydki, tchórzliwy i tak dalej. A ty tymczasem jesteś takim miłym, dobrym człowiekiem.

—Byłem tchórzem, ukryłem się pod postacią rządcy jak dziecko za spódnicą matki.

—Zupełnie niepotrzebnie!

—A więc uważasz, że twój stary, brzydki stryj nie jest wcale najgorszy?

Maria znów go pocałowała, a fala szczęścia zalała mu serce. Trzymał ją mocno w objęciach, zagładając w jej błyszczące oczy.

—Mój stryj Albert ma takie same dziwactwa jak pan rządca — mówiła Maria, patrząc na niego filuternie. — On też kokietował mnie swoją rzekomą brzydotą.

Popatrz na obraz — czy on jest brzydki, ten wspaniały olbrzym z piękną malarską głową?

Albert Tomau zaśmiał się niepewnie.

—O gustach nie można dyskutować, Mario, ale — mówił poważnie — to, że ci się podobam, sprawia mi wielką radość. I to że mniej odpychającego starucha, tak po prostu pocałowałaś — to dla mnie wielka łaska. Czy ty to rozumiesz?

Maria kręciła głową, nie mogąc się pozbierać.

—Nie, nie rozumiem tego. Wiem tylko, że polubiłam cię od chwili, gdy cię ujrzałam, choć starałeś się być szorstki i odpychający. Twoje oczy mówiły jednak co innego i dlatego serce powiedziało mi, że jesteśmy krewnymi. A więc mogę ci podarować obraz?

—Już jest mój i nie oddałbym go nawet za wszystkie moje zbiory! a jest tam niejedno arcydzieło.

—Och, zawstydzasz mnie, stryju Albercie!

—Nie miałem takiego zamiaru. Nie mówię, że twój obraz dorównują arcydziełom wielkich mistrzów. Ale tego olbrzyma z siwą brodą namalowałaś z taką miłością, a wszystko po to, by mi sprawić radość. I dlatego ten obrazek ma dla mnie większą wartość niż jakikolwiek inny w mojej galerii. Dziękuję ci, Mario, i pocałuj mnie jeszcze raz, jeśli ci to nie sprawia przykrości.

Maria roześmiała się, objęła go ramionami i przycisnęła swe świeże wargi do jego policzka, nie zważając na kolącą brodę. Widząc łzy wzruszenia w jego oczach, pocałowała go jeszcze raz.

—Czy mnie choć trochę polubisz, Maryniu? — spytał Albert Tomau łamiącym się głosem. — Chciałbym zrobić konkurencję twojemu ojcu.

Maria spojrzała z uśmiechem na ojca, który przyglądał im się wzruszony. Potem znów podniosła oczy na stryja.

—Tego, co należy do ojca, nie możesz mu odebrać. Ale i dla ciebie pozostanie



dość mojej miłości i szacunku. Jestem ci taka wdzięczna!

Nie mogła dalej mówić. Albert Tomau przyciągnął ją do siebie niezręcznie.

—Dość! dość! O wdzięczności lepiej nie mówmy, gdyż to ja jestem przede wszystkim wdzięczny. To mnie wyświadczono dobrodziejstwo. I dlatego mówię — dość! A teraz siadajmy do stołu; w jadalni czeka Dörinfl z obiadem. Wprawdzie masz u niej fory, Mario, ale jeśli zupa wystygnie! będzie awantura.

Przeszli więc do jadalni. Albert Tomau zabrał ze sobą obraz.

Panna Döring stała obok kredensu. Oczy jej zabłysły wzruszeniem, gdy ujrzała troje wchodzących. Albert Tomau pokazał jej obraz.

—No, niech pani patrzy, Döring, to namalowała moja bratanica.

Panna Döring przyjrzała się obrazowi, następnie swemu panu i rzekła kiwając głową:

—Wypisz wymaluj jaśnie pan; nawet brodawka na skroni. Ale że też pan ma na sobie tylko tę skórę, a na nogach jakieś szmaty. Nie, nie, jaśnie pan stroić się nie lubi, ale to już przesada.

Wszyscy się śmiali i panna Döring w końcu też się roześmiała.

—Niech pani uważa, Döring — kpił Albert Tomau — żeby pani założyła porządne ubranie, gdy moja bratanica będzie panią malowała.

Panna Döring spojrzała na Marię z przerażeniem.

—Nie, tego mi panienka nie zrobi!

—Proszę się nie obawiać, kochana panno Döring. Namaluję panią jako rybaczkę holenderską, więc będzie pani miała na sobie aż za dużo ubrania.

—No, to dobrze. Ale muszę już nalewać zupę, bo całkiem wystygnie.

Obaj kuzyni i Maria zajęli miejsce przy odświętnie nakrytym stole.

Podano wino w kryształowych kielichach, stół był przystrojony kwiatami.

—Jak tu pięknie u ciebie, stryju Albercie — powiedziała Maria uszczęśliwiona.

—Więc wypijmy za to, byś się zawsze dobrze czuła w tych wnętrzach.

Zadźwięczały kielichy.

—Za to, żebyś nigdy nie żałował, stryju, że nas przyjąłeś do siebie — powiedziała Maria, patrząc mu serdecznie w oczy.

I potoczyła się ożywiona rozmowa, której panna Döring przysłuchiwała się, milcząc skromnie. Czasem Albert Tomau milkł nagle i zamyślał się, ale po chwili znów się budził.

—Nie dziwcie się, gdy chwilami milczę. Pamiętajcie, że przez tyle lat jadałem samotnie przy tym stole, nie zamieniając z nikim słowa. Czasem tylko na deser kłóciłem się z moją Döring — powiedział po jednej z takich pauz.

Maria i ojciec wykazywali pełne zrozumienie dla jego słabości i przerywali tę kłopotliwą ciszę. Gdy skończono obiad i panna Döring podała kawę, Albert Tomau znów zaczął oglądać obraz.

—Powieszę go w mojej pracowni, naprzeciwko biurka. Ilekroć nań spojrzę, przypomni mi się, że nie jestem już sam — powiedział, gładząc niezdarnie dłoń Marii.

—Przynajmniej na coś się przyda, stryju Albercie — uśmiechnęła się dziewczyna.

Po kawie gospodarz oprowadził ich po domu. Maria była zachwycona i nie szczędziła stryjowi pochwał. Pokazując jakąś nową rzecz, pan domu spoglądał jej w oczy czekając, co powie, i cieszył się, że jego bratanica ma tak wyrobione poglądy na sztukę.

Wreszcie zaprowadził ich do trzech uroczych pokoików na piętrze, \* z których od dawna nikt nie korzystał i które panna Döring doprowadziła teraz do stanu używalności.

—Tu będziesz teraz mieszkać, Mario.

—Ja? W tych pięknych pokojach? — broniła się Maria.

—Tak, bo tak sobie życzę. Chyba nie myślisz, że teraz pozwolę wam nadal mieszkać w bocznym skrzydle, gdzie jesteście tak daleko ode mnie. Dla twego ojca przeznaczyłem pokoje leżące między moimi i twoimi j komnatami.

—Ależ i tak nam jest bardzo dobrze, kochany stryju!

—Nie tak powinni mieszkać moi krewni! Ty się do tego nie wtrącaj, Maryniu.

—Rozpieszczasz nas — westchnęła Maria.

—Sprawia mi przyjemność rozpieszczanie ciebie.

Maria pomyślała o Normanie Weście, który jej też powiedział, że chciałby ją rozpieszczać. Jemu mogła tego zabronić, ale stryjowi nie. Przyszło jej na myśl, że Norman West ma takie same oczy jak stryj, szare i pełne dobroci. Tyle tylko, że oczy Normana Westa patrzyły weselej na świat niż oczy jej biednego stryja.

Odruchowo wzięła jego dłoń i przytuliła ją do swego rozpalonego policzka. Ta dziecięca pieśczoła wynagrodziła starszemu panu z nawiązki wszystko, co dla niej zrobił. Położywszy dłoń na ramieniu Marii, oprowadził ją po jej pokojach. Cieszył się jej radością i tonem nie znoszącym sprzeciwu oznajmił, że zamierza wyznaczyć jej małą rentę, by nie musiała mieć poczucia ubóstwa, nosząc ich nazwisko rodowe. Powiedział tak tylko dlatego, by nie stawiać jej w kłopotliwej sytuacji. Przedstawił więc jej tę sprawę jako swego rodzaju obowiązek względem nazwiska.

Maria spojrzała pytająco na ojca, ten zaś rzekł:

—Możesz spokojnie przyjąć to, co stryj ofiarowuje ci w tak miły i taktowny sposób. Nie rób mu przykrości.

—Tak, Mario, nie możesz sprawić mi przykrości. Pozwól mi troszczyć się o moich jedynych krewnych tak, jak mi serce dyktuje. Nawet nie wiesz, co to dla mnie oznacza, móc troszczyć się o istoty, które kocham. Do tej pory los odmówił mi tego najwyższego dla mężczyzny szczęścia.

—Masz taki sposób obdarowywania ludzi, że człowiek nie czuje się przy tym upokorzony — powiedziała cicho, całując impulsywnie jego dłoń.

—Zrób mi więc przyjemność i przyjmij ode mnie te dary tak, bym czuł, iż sprawiam ci radość, a nie upokorzenie.

—Mogę cię tylko kochać — musisz się zadowolić tą formą wdzięczności.

I znów objęła go za szyję i pocałowała serdecznie. A on, trzymając ją w objęciach, głaskał delikatnie jej włosy.

—Moje ty dziecko, moje dary nie mogą się równać z twoimi, choćbym cię obsypał bogactwem — powiedział miękko.

Poszli dalej oglądając pokoje przeznaczone dla Jerzego Tomaua.

Stryj Albert zarządził przeprowadzkę zaraz na następny dzień.

—Tylko proszę was, byście mi nie brali za złe, jeśli czasem będę wolał być sam. Nie jest łatwo odzwyczaić się od długoletniego dziwactwa. Nie chciałbym spotykać się z wami, gdy nie będę miał humoru, co mi się od czasu do czasu zdarza. Jeszcze byś mi wymówiła przyjaźń, Maryniu! — zakończył.

—Nigdy tego nie zrobię, stryju Albercie. Ale potrafię zrozumieć, że chcesz być czasem sam.

—Tak, Mario. I dlatego będę was zapraszał, gdy zechcę was widzieć. Jeśli nie będę miał na nastroju, zjedzcie posiłek u siebie. Na co dzień będziemy jadać razem.

Nazajutrz Maria z ojcem przenieśli się do głównego budynku. Gospodarz polecił im dokończyć pracę w bibliotece; poza tym Jerzy Tomau miał mu pomagać w prowadzeniu ksiąg.

Od tej pory jadali prawie zawsze wspólnie. Ale pan domu przed każdym posiłkiem wysyłał im specjalne zaproszenie. Czasem zjawiał się w bibliotece, bo wielkie zasuwane drzwi stały teraz otworem. Cieszył go widok pięknie i w porządku poustawianych ksiąg.

—Od dawna mnie to męczyło, że tu taki bałagan, ale nie miałem głowy się tym zająć. A nie uśmiechało mi się wpuszczać tu kogoś obcego — mówił.

Wieczory najczęściej spędzali wspólnie. Panowie grali w szachy lub rozmawiali z Marią. Maria znów mogła grać i śpiewać — na brak słuchaczy nigdy nie narzekała.

Zasługą dziewczyny było zapewne i to, że Albert Tomau przystrzygł włosy i brodę i ubierał się staranniej. Zmiany zachodziły w nim wolno, ale były wyraźne. Maria miała na niego przemożny wpływ. Gdy przytulając policzek do jego policzka, prosiła go o coś, nie potrafił jej odmówić. A i on czuł, że dziewczyna go zawojowała, ale się tego nie wstydził i był szczęśliwy jak jeszcze nigdy w życiu — wyjąwszy krótki okres narzeczeństwa. Ale Maria nie była płocha i używała swych wpływów tylko dla jego dobra. I powoli Albert Tomau przestał być odludkiem.

Maria namalowała portret panny Döring, która w swym uwielbieniu dla „dziecka” szła w zawody z jaśnie panem. Stara służąca była dumna z portretu. Czasem ku uciesze Marii kłócili się zabawnie w dawnym stylu, który obraz piękniejszy. Tych dwoje dziwaków wciąż jeszcze burczało na siebie wzajemnie, ale rozumieli się znakomicie. A gdy byli sami, chwalili „dziecko” na wyścigi.

## XIV

Pewnego dnia Jerzy Tomau rzeczywiście złożył wizytę w Neurode. Norman West przyjął go z wielką radością. Żałował tylko, że od dawna nie widział Marii. Jerzy Tomau opowiedział mu o wielkich zmianach, jakie zaszły w Weidenhofie.

Mimo dużej różnicy wieku między ojcem Marii a Normanem Western zawiązała się nić sympatii. Spotykali się często, czasem w towarzystwie Marii.

Któregoś dnia Norman West poprosił Jerzego Tomaua, by przywiózł ze sobą

córkę. Chciałby zasięgnąć jej opinii, jak twierdził, co do urządzenia swego domu.

—Kobiety patrzą inaczej niż mężczyźni, proszę pana, a pańska szanowna córka jest na dodatek malarką. Wystrój domu musiałem pozostawić architektom i nie mam pewności, czy wszystko dobrze wypadło. Bardzo bym się cieszył, gdyby pańska córka wypowiedziała się w tej kwestii.

Jerzy Tomau przekazał Marii prośbę Westa w obecności stryja.

—Ten West to nowy właściciel majątku Neurode? — zainteresował się stryj.  
— Amerykanin niemieckiego pochodzenia?

—Tak, i przemiły człowiek.

—Ty też go znasz, Mario?

Maria zarumieniła się, ale odparła spokojnie:

—Tak, stryju.

—A skąd się w ogóle znacie?

Jerzy Tomau opowiedział o spotkaniu na stacji, a Maria o tym, jak to później widziała pana Westa na polance i jak znalazł zgubiony pierścionek.

—To musi być uczciwy człowiek — powiedział Albert Tomau, oglądając pierścionek. — Taki drogocenny klejnot! A jak sobie radzi z gospodarstwem?

—Chce koniecznie dorównać nam.

—To nie będzie łatwe. Neurode jest bardzo zaniedbane.

—Myślę, że sobie poradzi, jest energiczny i rozkochany w rolnictwie  
—powiedział z uznaniem Jerzy Tomau.

—Mógłbyś mu trochę pomóc, stryju Albercie — wtrąciła Maria. — Mówił mi, że chciałby ci złożyć wizytę, by cię spytać o radę w wielu sprawach. Ale ponieważ dowiedział się, że nikogo nie przyjmujesz, więc musiał z tego zrezygnować.

Albert Tomau zastanawiał się przez chwilę, wreszcie rzekł, patrząc w piękne, orzechowe oczy Marii:



—Jeśli mogę mu być w czymś pomocny, niech przyjeżdża. Jak będziecie z ojcem w Neurode, powiedz panu Westowi, że go zapraszam.

—Spodoba ci się, stryju Albercie — rozpromieniła się Maria. — Nie będziesz żałował, że go zaprosiłeś.

—Zobaczymy, Maryniu. W końcu ty się z nami starymi musisz nudzić. Jeśli się przyzwyczaję do tego pana Westa... Ale nie uprzedzajmy faktów.

Tak więc pewnego popołudnia Maria pojechała z ojcem do sąsiada. Wzięli powóz na wyraźne życzenie Alberta Tomaua.

Norman West wyglądał przez okno gabinetu, gdy zajechał ekwipaż z Weidenhofu. Oczy mu się zaśmiały, gdy obok starego Tomaua ujrzał Marię. Od tamtej pamiętnej rozmowy dwa razy spacerowali sami po lesie, poza tym widywał ją tylko w towarzystwie ojca. Traktowali się po koleżeńsku. Czasem Norman West nie wytrzymywał i pozwalał sobie na cieplejszy ton. Ale na ogół trzymał się uczciwie wyznaczonych ram.

Znali się już kilka miesięcy i tymczasem nastał październik, ale pogoda była wciąż jeszcze letnia, a las w kolorowym listowiu wyglądał nawet piękniej, niż gdy był pokryty zielenią. Park w Neurode również przybrał jesienną szatę.

Norman West wybiegł spieszenie powitać gości, zarządziwszy wcześniej, by przygotowano herbatę.

Przyjął ich w wielkim, urządzonym pięknie holu z taką serdecznością i szczerą przyjaźnią, że goście od razu poczuli się miło. Pomógł Marii zdjąć kapelusz i płaszcz, podczas gdy służący zajął się starszym panem. Marii miała na sobie elegancką wizytową sukienkę. Na wyraźne życzenie stryja sprawiła sobie bowiem nową garderobę, gdyż stryj chciał ją widzieć zawsze w pięknych strojach. Norman West przyglądał się Marii z wyraźnym upodobaniem. Wprawdzie i przedtem bardzo mu się podobała, ale stanowczo wolał ją ubraną z większym smakiem.

Podał ramię Marii i poprowadził ją przez przedpokój w stylu angielskim do wytwornie urządzonego salonu. W tej chwili wszedł do pokoju służący, pchając przed sobą wózek z herbatą. Ustawił go obok nakrytego stolika, gdzie goście zajęli

miejsca.

—U pańskim domu wszystko funkcjonuje jak w zegarku — uśmiechnęła się Maria.

Norman West spojrzał na nią rozradowanymi oczyma.

—Chodzi pani o to, że tak szybko podano herbatę? To dlatego, że przywiozłem zza oceanu służącego, który zna moje upodobania i stara mi się dogodzić. Zawsze o tej porze piję herbatę. Wystarczyło więc dodać dwa nakrycia. Służący przyzwyczaili też moją gospodynię do amerykańskiego tempa. Z początku była zbyt powolna, ale teraz wszystko idzie sprawnie.

Maria podziwiała piękny i praktyczny stolik na kółkach.

—Nabyłem go w Ameryce — wyjaśnił Norman West śmiejąc się. — Zresztą zabrałem do Europy większość moich amerykańskich mebli. Amerykanie są bardzo praktyczni i przy całej dbałości o elegancję nie zapominają o funkcjonalności.

—I jakże się panu podobają Niemcy po tak długim pobycie za oceanem? — spytał Jerzy Tomau.

Norman West zerknął na Marię.

—Bardzo mi się podobają. Tylko czuję się tu trochę samotny. Moim starganym w Ameryce nerwom ta samotność dobrze zrobiła, ale raczej jestem człowiekiem wesołym i towarzyskim. Chciałbym często przyjmować u siebie gości. Nie pragnę szumnych przyjęć, ale paru miłych ludzi, z którymi się człowiek dobrze rozumie, zawsze chciałbym mieć przy sobie.

—Może pan mieć gości, ile pan zechce — wtrąciła Maria.

—To wcale nie jest takie proste. Oczywiście, mógłbym zaprosić gości, ale jestem pod tym względem bardzo wybredny. W mieście nie znajduję odpowiednich ludzi. Nie mam przyjaciół w Niemczech, a moi amerykańscy przyjaciele są za daleko. Zresztą rozmawiało się z nimi przeważnie o interesach. Już mi się znudziły takie rozmowy. Pańska szanowna córka, proszę pana, nie chce mi wierzyć, gdy mówię, że czuję się tutaj samotny. Państwo tak rzadko użyczają mi swej tak bardzo

przeze mnie pożądaney obecności. Okropnie zazdrozczę panu Albertowi Tomauowi, że widuje państwa na co dzień.

—Biedny stryj! —wykrzyknęła Maria.

—No widzi pani, jego pani żałuje, a mnie nie — powiedział Norman West, patrząc na nią z wyrzutem.

—Nie wydaje mi się, by były powody do litowania się nad panem — odpowiedziała żartobliwie Maria.

—Jaką pan ma okrutną, nieczułą córkę, proszę pana! — zwrócił się Norman West do Jerzego Tomaua.

Ten zaś odparł swym łagodnym, serdecznym głosem:

—Ona wcale tak nie myśli. A na dowód, że się nad panem lituje, powiem panu, że poprosiła mojego kuzyna, by panu pozwolił przyjechać do Weidenhofu. To duża rzecz. Kuzyn kazał panu powiedzieć, że będzie pan mile widziany we dworze i że chętnie posłuży panu radą.

Norman West spojrział z wdzięcznością na Marię. Widząc, że się zarumieniła, ucieszył się jeszcze bardziej.

—Jest pani aniołem! — zawołał.

—Tak łatwo u pana awansować z okrutnej, nieczulej córki na anioła? —drwiła Maria.

—Cofam to, co powiedziałem, z wyjątkiem anioła, którym pani pozostanie na zawsze!

—Nie wiadomo! Pan bardzo łatwo zmienia zdanie.

—Zwykle mi się to nie zdarza, ale pani mnie zmusza do tego. Czasem jest pani dla mnie wielce łaskawa, a czasem znów nieczuła i okrutna. Mam nadzieję, że na przyszłość będzie pani już tylko aniołem. To słowo zobowiązuje.

I tak młodzi droczyli się bez końca. Jerzy Tomau słuchał z uśmiechem, czasem

wtrącał słówko i cieszył się, że jego córka jest taka wesoła i w dobrej komitywie z ich sąsiadem.

West podobał mu się coraz bardziej. Westchnął skrycie, myśląc z goryczą, dlaczego los odmówił jego córce takiego męża. Ileż cierpień by jej to oszczędziło!

Gdy skończyli pić herbatę, gospodarz pokazał im dom. Zbudowano go kilkadziesiąt lat temu, gdyż stary dwór spłonął. W nowej rezydencji pokoje były obszerniejsze i piękniejsze. Pomieszczenia na parterze wychodziły na taras; na pierwszym piętrze wokół całego budynku ciągnęły się werandy.

Dwór weidenhofski był większy, bowiem rezydencja w Neurode składała się z jednego budynku bez skrzydeł bocznych. Mimo to dom nie był wcale mały. Prócz parteru miał dwa piętra i poddasze, gdzie mieściły się mieszkania służących, bielizniarki i magazyny. Wyposażenie pokoi było znacznie nowocześniejsze niż w Weidenhofie i o wiele bardziej praktyczne.

Maria musiała wszystko obejrzeć, wszystko pochwalić. Norman West cieszył się każdą pochwałą i chętnie przyjmował porady i uwagi. Maria starała się być rzetelna w swych sądach.

Na pierwszym piętrze, obok pokoi pana domu znajdowało się kilki przepięknych, ale nie urządzonych pomieszczeń.

—Wyposażenie tych pokoi zostawiam sobie na później —powiedział Norman West.

—To najładniejsze pokoje w całym domu, jeśli nie liczyć salonu dla gości —zauważyła Maria.

—Tak — odparł Norman West, patrząc jej w oczy — o to mi właśnie! chodziło. To są pomieszczenia przeznaczone dla mojej przyszłej żony i zostaną wyposażone według jej gustu.

Maria pobladła. „Szczęśliwa kobieta, która zamieszka w tych pokojach!” —myślała. Norman zauważył zmieszanie Marii i ucieszył się w duchu. Nie była obojętna na fakt, że tu ma zamieszkać jego wybranka a więc i on nie był jej obo-

jętny.

—Czy pan jest zaręczony? — spytał niewinnie Jerzy Tomau.

Norman West pokręcił głową, nie spuszczać oczu z Marii.

—Nie, jeszcze nie, ale to tylko kwestia czasu. Wróciłem do kraju z mocnym postanowieniem poślubienia rodaczki.

Maria wyprostowała się nagle, jakby broniąc się przed wzruszeniem. Jej twarz przybrała dumny, nieprzystępny wyraz, który przyprawił Normana Westa o rozpacz.

—Jakże pan znajdzie żonę na tym pustkowiu, proszę pana — powiedziała na pozór obojętnie.

Norman West spojrział na nią miękkim, proszącym spojrzeniem, przed którym nie umiała się obronić.

—Myśli pani, że nie znajdę tu żony? — spytał cicho, gdy Jerzy Tomau poszedł dalej i nie mógł słyszeć ich rozmowy.

—Nie wyobrażam sobie tego — odparła niepewnie.

—Naprawdę nie? — nalegał.

—Naprawdę.

Odwróciła wzrok widząc, że zbladł, a jego oczy straciły blask.

W milczeniu poszli za starszym panem.

Gdy zwiedzili dom, Norman poprowadził gości do parku, pokazując im po drodze nowe stajnie. Opowiadał o wszystkich zmianach, jakie wprowadził w majątku.

—To wszystko musiało kosztować ładny grosz — rzekł Jerzy Tomau.

—Cena za majątek nie była wygórowana — sto tysięcy dolarów. Połowę tego włożyłem w renowację. Może zwróci mi się to dopiero za wiele lat. Ale ja mam czas. Nie chcę się tu wzbogacić, chcę mieć sensowne zajęcie. Pieniądze wciąż

zarabiam w Ameryce, i to o wiele więcej niż potrzebuję, jako akcjonariusz spółki, która funkcjonuje w oparciu o mój wynalazek. Ten majątek to moje hobby, chcę go doprowadzić do rozkwitu, nawet gdybym miał włożyć w to jeszcze drugie tyle.

—Pan może sobie na to pozwolić, wartość dolara nie spada.

—To prawda. A słyszał pan już o tym, że w Niemczech ma być zahamowana inflacja i wdrożony program stabilizacji marki?

—Za późno! — westchnął Jerzy Tomau.

Maria spojrzała na niego czule.

—Ojczy, drogi ojczy! — uspokajała, przyciskając jego ramię.

Norman West dałby wiele za to, by Maria spojrzała na niego tak czule, jak przed chwilą na ojca.

Przeszli do parku. Dwór w Neurode miał tę wyższość nad Weidenhofem, że otoczony był wspaniałym starym parkiem. Podczas spaceru Jerzy Tomau poczuł się nagle bardzo zmęczony. Ostatnio często mu się to zdarzało. Słabość przychodziła tak nagle, że nie mógł zrobić kroku. Usiadł na ławce.

—Proszę idźcie dalej, ja sobie tu odpocznę — poprosił.

—Znów to zmęczenie, ojczy? — spytała Maria zmartwiona.

—Tak, dziecko. Ale to szybko minie. Ja znam ten park z moich poprzednich wizyt w Neurode. Jest bardzo piękny. Pan West pokaże ci go, a ja tymczasem odpocznę.

—Nie zmarzniesz?

—Nie, jestem w marynarce, a pogoda jest prawie letnia.

Maria pogłaskała go pieszczotliwie po policzku.

—Naprawdę mogę cię tu zostawić bez obawy, że coś ci się stanie?

—Naprawdę. Czuję się dobrze, tylko jestem trochę zmęczony.



—Zaraz wrócimy — dorzucił Norman West.

Starszy pan uśmiechnął się uspokajająco do córki.

—Idź, moje dziecko, mnie jest tu dobrze.

Maria ociągając się, poszła za Normanem Westernem.

—Martwi mnie stan zdrowia ojca — westchnęła, gdy odeszli kawałek dalej. — Nie ma apetytu, łatwo się męczy.

—Myślę, że nie ma powodów do obaw. Pani ojciec jest po sześćdziesiątce, w tym wieku zaczynają się pojawiać oznaki starości. Ale nie zawadzi wezwać lekarza.

—Nawet nie ma co proponować — wzruszyła bezradnie ramionami Maria. — Wyśmieje mnie i odeśle z kwitkiem. Nie potrzeba mi lekarza, mówi, bo na starość nie ma lekarstwa.

—Gdyby się bardzo źle czuł, na pewno zgodziłby się skorzystać z pomocy.

—Ja też się tym pocieszam.

—Pani ojciec musi być szczęśliwy, że córka tak go kocha.

—Jak można nie kochać takiego ojca?

—Ma pani rację, ojciec jest miłym i szlachetnym człowiekiem.

Przez chwilę szli w milczeniu obok siebie. Norman bez przerwy zerkał na nią. Wydawała mu się piękniejsza od wszystkich kobiet, jakie spotkał w życiu. Dziś znów zauważył w jej twarzy jakieś bolesne skrzywienie ust i wzruszył się. Ciekaw był źródła tego utajonego bólu. Może to chodziło o utratę majątku, a może o co innego.

Przypomniawszy sobie słowa, które powiedziała przed chwilą: „Jakże pan znajdzie żonę na tym pustkowiu?” Czyżby siebie nie brała pod uwagę? W takim razie sprawa byłaby beznadziejna.

Po raz pierwszy się przestraszył, że Maria może już nie być wolna, że mogła

kochać już innego mężczyznę. Ten nagły lęk zdradził mu, jak stała mu się droga panna Tomau. Do tej pory nie przyszło mu do głowy, że coś może mu się nie powieść, miał optymistyczne poczucie, że zdobędzie tę kobietę.

I oto nagle przestraszył się, że może ją stracić nim ją zdobył. Ta myśl sprawiła mu nieledwie fizyczny ból, poczuł się bardzo nieszczęśliwy. Nie mógł wytrzymać z tymi wątpliwościami. Musi mieć pewność, jeszcze dziś, zaraz, natychmiast!

Spojrzał na Marię niepewnym wzrokiem, z twarzą boleśnie ściągniętą, i spytał stłumionym głosem:

—Czy mogę pani zadać osobiste pytanie?

Dziewczyna wzdrygnęła się lekko. Ona też walczyła z uczuciem smutku, odkąd wspomniał przy niej o swej przyszłej żonie. W owej chwili zdała sobie sprawę, że Norman West stał się dla niej już kimś o wiele bliższym niż tylko przyjacielem. Świadomość ta ciążyła jej, gdyż nie mogła z nim rozmawiać otwarcie o tym, co ją gnębiło, jeśli — tak, jeśli i on czuł wobec niej coś więcej niż przyjaźń. I nie byłaby kobietą, gdyby nie wyczuła, że on ją kocha tak jak ona jego.

—Co chce pan wiedzieć? — spytała, siląc się na spokój.

Norman West spojrzał na nią z prośbą w oczach.

—Ale proszę mi obiecać, że się pani nie rozgniewa, jeśli moje pytanie wyda się pani zbyt śmiałe.

—Po tym wstępie spodziewam się krępującego pytania! — powiedziała, udając swobodę.

—Nie, proszę nie żartować! — prosił podniecony. — To poważna sprawa. A więc mogę pytać?

Maria spojrzała na niego niepewnie, ale opanowawszy się rzekła:

—Proszę pytać.

—Chcę panią zapytać, czy w pani życiu jest jakiś mężczyzna.

Maria śmiertelnie zbladła. Norman West zadał to pytanie takim tonem, że od razu rozpoznała stan jego uczuć. Bolesny skurcz jej twarzy pogłębił się, wydała się nagle Normanowi dużo starsza i dojrzała, ale tak niewypowiedzianie czarująca i słodka, że miał ochotę porwać ją w ramiona. Z nerwowym napięciem czekał na odpowiedź. A ona musiała zebrać wszystkie siły nim odpowiedziała mu drżącym głosem:

—Kiedyś był w moim życiu mężczyzna, ale odegrał bardzo brzydką rolę. Zawiódł mnie, oszukał, zdradził i opuścił, gdy oboje z ojcem zbiednieliśmy.

Norman West zbladł również.

—Czy, czy pani go kochała? — spytał ochrypłym głosem.

—Wzięłam za miłość to, że mnie do niego ciągnęło — odparła z głębokim westchnieniem. — Byłam wtedy prawie jeszcze dzieckiem i nic nie wiedziałam o życiu.

—A czy... kocha go pani wciąż?

—Nie! — powiedziała twardo, jakby tym ostrym słowem raz na zawsze chciała się odciąć od tamtego mężczyzny.

Norman West odetchnął z ulgą, twarz mu się rozpogodziła.

—Dziękuję, że pani powiedziała mi to otwarcie. Przepraszam, jeśli tym pytaniem sprawiłem pani ból.

—Nie ma pan za co przepraszać — powiedziała żywo. — Zawsze mnie to męczyło, że nie jestem z panem szczerą tak, jak bym chciała. Nie mogę też panu nic więcej powiedzieć ze względu na stryja. Proszę w jego obecności nigdy o tym nie mówić.

—Nie musi pani prosić. To oczywiste, że nie zdradzę nikomu pani tajemnicy. Czy pani ojciec wie o wszystkim?

Maria popatrzyła na niego otwarcie i poważnie, choć w jej wzroku malował się ból.

—Tak, mój ojciec wie o wszystkim. Nie muszę się wstydzić tego, co przeżyłam i przecierpiałam. Przed stryjem należy to ukrywać z pewnego specjalnego powodu. Dlatego nikt inny nie może o tym wiedzieć. Tylko wobec pana byłam szczera, gdyż pan mnie zapytał. Nie chcę pana okłamywać, jest pan przecież moim przyjacielem. Był pan również szczery ze mną, więc chciałam panu odpłacić tym samym. Spadł mi wielki ciężar z serca. Mam nadzieję, że któregoś dnia będę mogła stryjowi o wszystkim powiedzieć, a wtedy i pan dowie się prawdy.

—Proszę mi powiedzieć jeszcze jedno: czy ten mężczyzna ma jeszcze do pani jakieś prawa?

Maria wzdrygnęła się i podniosła obie ręce obronnym gestem.

—Nie — dzięki Bogu nie ma już do mnie żadnych praw! Jestem wolna i uwolniona od niego na całe życie.

Wtedy Norman West przycisnął jej dłoń do ust i powiedział:

—Dziękuję pani!

I więcej już o tym nie rozmawiali. Maria odczuła boleśnie, że Norman West był odtąd cichy i poważny. Stracił młodzięczy wigor. Ona nieświadomie również ochłodła, co z kolei tamtemu sprawiało ból.

Norman West był wstrząśnięty dowiedziawszy się, że Maria kiedyś już kogoś kochała. Miał jednak pewność a zarazem pociechę, że ten mężczyzna nie odgrywa już żadnej roli w jej życiu. Ale nie mógł znieść myśli, że był taki czas, gdy ktoś inny dotykał jej warg, mówił jej o miłości. Myślał, że Maria jest jeszcze niewinną panienką i musiał się najpierw oswoić z prawdą. Nie kochał jej przez to mniej; przeciwnie, jego miłość utrwaliła się, odkąd się przestraszył, że może ją stracić. Prócz miłości czuł teraz dla niej także litość, wiedząc, że cierpiała. A jednocześnie był zazdrosny o tego mężczyznę, przez którego cierpiała.

On sam nigdy jeszcze nie kochał żadnej kobiety. Owszem, flirtował, przeżywał krótkotrwałe namiętności, ale nic poza tym. Teraz nareszcie pokochał całym sercem, całą mocą swej silnej osobowości. I oto dowiaduje się, że kobieta, którą pokochał, kochała kiedyś innego.

Nie zwracali już uwagi na jesienne piękno ogrodu. Szli obok siebie w milczeniu, wracając do Jerzego Tomaua. Maria miała takie uczucie, jakby jej wyznanie zabiło w Normanie Weście wszelkie uczucia do niej. Widziała, że cierpi i to sprawiało jej niewysłowiony ból.

Jerzy Tomau z uśmiechem wyszedł im naprzeciw.

—Odpoczynek dobrze mi zrobił. Czuję się znów silny.

Maria uczepliła się jego ramienia i nagliła do odjazdu, chcąc oszczędzić sobie i Normanowi Westowi rozmowy na tematy obojętne.

Przy pożegnaniu Jerzy Tomau spytał:

—A więc kiedy możemy się pana spodziewać w Weidenhofie?

Marii serce podeszło do gardła. Była pewna, że za chwilę usłyszy twarde: nigdy! Zadrżała, patrząc w jego oczy i słysząc, jak mówi:

—Jutro niestety nie mam czasu. Czy mogę się zapowiedzieć na pojutrze przed południem, między jedenastą i dwunastą?

—Oczywiście, przekażę kuzynowi pańskie życzenie, by czekał na pana. A więc do widzenia panu!

—Do widzenia szanownym państwu. I dziękuję za odwiedziny!

Maria odetchnęła z ulgą. Podała mu dłoń czując, że jej ręce drżą.

Norman West uśmiechnął się do niej dobrym, uspokajającym uśmiechem.

—Raz jeszcze dziękuję pani — powiedział z naciskiem, chcąc podkreślić, że dziękuje jej za szczerość.

Wiedziała, że jej wyznanie sprawiło mu ból, ale czuła ulgę. Była uszczęśliwiona, że on cierpiał z tego powodu, bo to znaczyło, że ją kocha.

Wracała u boku ojca do domu, miotana sprzecznymi uczuciami.

Tej nocy Norman West źle spał i jeszcze nazajutrz nie mógł przeboleć zawodu. Ale wzięwszy kąpiel, wsiadł na swego „Złocistego” i galopując kilka godzin po

polach i lasach w rześkim jesiennym powietrzu uspokoił się. Cóż to szkodzi, że Maria dawno temu oddała serce jakiemuś mężczyźnie? Nie kochała go już przecież. Zresztą może nigdy nie kochała go naprawdę, skoro mogła się od niego uwolnić? A że tak było, świadczyło owo ostre „nie!” w odpowiedzi na pytanie, czy go jeszcze kocha. A więc wykreśliła go ze swego życia, gdy ją oszukał i zdradził. Musiał to być bezwartościowy mężczyzna i Maria zdała sobie sprawę, że nie jest on wart jej miłości.

Po co się zadrećzać? Postanowił o tym zapomnieć. Dla niego była to czysta, kochana, piękna kobieta, której oddał serce i którą chciał pojąć za żonę — jeśli się zgodzi. A w to już nie wątpił. Zdradziło mu to jej wczorajsze zachowanie. Ta pewność przepłoszyła złe myśli.

Przyszło mu do głowy, że musi jej dać trochę więcej czasu nim zacznie starać się o jej rękę. Ona musi się najpierw uporać ze złymi wspomnieniami. Skoro miała tak przykre doświadczenia, teraz jest bardzo ostrożna.

I dlatego odrzuca jego hołdy. Tak, musi jej dać czas — jej i sobie.

Czuł, że jego miłość, miast osłabnąć, umocniła się i oczyściła. A litość dla Marii odebrała ich stosunkom egoistyczne cechy. I poczuł jeszcze większą chęć rozpieszczania jej, pragnął zyskać prawo opiekowania się nią. A im więcej się nad tym zastanawiał, tym większą czuł tęsknotę. Próbował pilną pracą skrócić sobie czas oczekiwania.

Z popołudniową pocztą przyszedł list od Gładys Boverley. Norman West otworzył go z uśmiechem ulgi. Jak to dobrze, że wyrwał się z zastawionych przez nią sidła! Oto co pisała Gładys:

*Kochany Stary Przyjacielu!*

*Nie daje Pan znaku życia. Gdyby nie Pańskie raporty przysyłane spółce, pomyślałabym, że Pan przestał istnieć. A tak wiem przynajmniej, że Pan żyje i jest zdrowy. Nie pozostaje mi nic innego, jak przejąć inicjatywę i opowiedzieć Panu o wszystkim, co przeżyłam, od kiedy Pan wyjechał z Ameryki. A więc po pierwsze: zaręczałam się z Johnem Sweeftem, którego Pan dobrze zna i który od paru lat jest*



wdowcem. Pasujemy do siebie bardzo dobrze. On jest zdrowym, krzepkim mężczyzną po czterdziestce i ma dobrze poukładane w głowie. Dogadaliśmy się, wyznałam mu wszystkie grzeszki, nawet to że byłam kiedyś w Panu śmiertelnie zakochana i robiłam Panu awanse, ale Pan mnie oblał kubłem zimnej wody. John śmiał się i mówił: „Niemcy są sentymentalni, Gladys, oni muszą mieć zaraz wielką miłość. My będziemy rozsądniejsi ”.

Pewnie Pan pomyśli, że zmieniam mężczyzn jak rękawiczki. Ale co ja na to poradzę, że do tej pory zawsze trafiałam nie najlepiej. Tym razem mi się powiodło. John Sweeft to człowiek odpowiedni dla mnie, a ponieważ wie o mnie wszystko, znajdę w nim prawdziwą podporę. Potrzebuję jej bardziej niż kiedykolwiek. Proszę sobie wyobrazić, że ten bezwstydnny łobuz, mój były sekretarz Herbert Lassberg, kilka dni temu próbował mnie szantażować. Zdążył już wydać te dziesięć tysięcy dolarów, które mu dałam, na hazard i inne głupstwa. Praca go mierzi. Gdy już nie miał grosza przy duszy, przysłał mi list z pogróżkami i żądaniem kolejnych dziesięciu tysięcy dolarów. Jak to dobrze, że wyznałam wszystko Sweeftowi! Gdy tylko dostałam list, pokazałam mu go i John się tym panem zajął. Zapłacił za miejsce na statku płynącym do Europy, dał mu w łapę pięćset dolarów i poradził, by wrócił do Niemiec, gdzie za pięćset dolarów może więcej zdziałać niż w Ameryce. Zagroził mu, że jeśli natychmiast nie wyjedzie, pozna amerykańskie więzienia. Krótko mówiąc — Lassberg wyjechał.

A więc nareszcie John Sweeft uwolnił mnie od niego. Myślę, że będą szczęśliwa w tym małżeństwie. Gdy Pan otrzyma ten list, będziemy już po ślubie.

Ale o Panu będę zawsze pamiętała jako o mężczyźnie moich marzeń. John śmieje się ze mnie, gdy mu o tym mówię, i pozwala mi marzyć. Tak więc jestem zadowolona, że wkrótce zostanę panią Sweeft.

Niech Pan nam przyśle telegram gratulacyjny i przy okazji napisze o sobie. Kiedy Pan przyjedzie do Nowego Jorku? Ma Pan tu interesy. John i ja będziemy Panu bardzo radzi. Good Bye!

Pańska Gladys Boverley

Norman West z uśmiechem odłożył list. Gladys Boverley nie zmieni się niestety, gdy zostanie Gladys Sweeft. Tak, to naprawdę nie była kobieta dla niego. To nie typ Marii Tomau!

Pomyślał z niechęcią o Herbercie Lassbergu. Notoryczny szantażysta, nierób, człowiek bez honoru, a przy tym zarozumiały i bezczelny — to jeden z tych błękitnych ptaków, którzy psują Niemcom opinię za oceanem. Skąd mógł wiedzieć, że Herbert Lassberg był właśnie tym mężczyzną, który odegrał tak podłą rolę w życiu Marii.

Norman nadał natychmiast telegram gratulacyjny, a potem usiadł i napisał list.

*Droga i Szanowna Pani Sweeft!*

*A więc tak będzie się Pani teraz nazywać. Jeszcze raz z całego serca życzę Pani szczęścia w nowym związku małżeńskim. Podobnie jak Pani mam nadzieję, że John Sweeft okaże się dla Niej właściwym partnerem. Znam go dobrze i gratuluję wyboru. To dobry charakter, wie, czego chce, i bierze wszystkie rzeczy takimi, jakimi są. Ponieważ jest jednym z naszych akcjonariuszy, więc małżeństwo to i pod względem majątkowym winno być udane. W każdym razie cieszę się, że znajdzie Pani cichą przystań w nowym związku małżeńskim. Mam nadzieję, że wkrótce będę mógł donieść Pani to samo o sobie.*

*Wiodę tu spokojne, ciche życie, poświęcam się wyłącznie gospodarstwu i stałem się prawdziwym niemieckim rolnikiem. Ameryka z jej szaloną pogonią za biznesem jest dla mnie odległym wspomnieniem. Musiałem się najpierw przyzwyczaić do spokojnego życia, ale teraz je sobie chwalebę. Zresztą pracy mam dosyć. Teraz nie mogę przyjechać do Nowego Jorku, myślę, że będę przyjeżdżał średnio raz w roku. Ale już za pierwszym razem mam nadzieję przedstawić Pani młodą żonę, gdyż bez niej nie wyjadę, jeśli się ożenię. John Sweeft ma rację, my Niemcy szukamy wielkiej miłości.*

*A więc jeszcze raz życzę szczęścia w małżeństwie! Proszę pozdrowić znajomych. Wyrazy szacunku dla Małżonka. Całuję Pani dłoń*

*Szczerze oddany Norman West*

Natychmiast wysłał list. Ucieszył się, że Gladys znajdzie oparcie w kimś takim jak John Sweeft, człowieku, który potrafi ją uchronić przed popełnieniem zbyt wielu głupstw.

## XV

Nazajutrz Norman West nie mógł się doczekać, kiedy pojedzie do Weidenhofu. O umówionej godzinie zajechał samochodem przed dom i kazał się zameldować panu Albertowi Tomauowi.

Gospodarz był z kuzynem w gabinecie, podczas gdy Maria grała na fortepianie w salonie. Była dobrą pianistką i miała miękki, przyjemny głos. Stryj Tomau szybko się o tym przekonał i Maria musiała mu często grać i śpiewać. Była to dla niego duża przyjemność. Od lat nie słyszał dobrej muzyki.

Na jego prośbę Maria sprowadziła nuty i teraz właśnie siedziała przy fortepianie i ćwiczyła. Panna Döring, która zawsze z zachwytem słuchała, jak Maria gra i śpiewa, znalazła sobie zajęcie w sąsiednim pokoju.

Pan domu, siedzący właśnie z kuzynem nad księgami handlowymi, kazał poprosić sąsiada do gościnnego salonu. Czekał na gospodarza, Norman West słyszał wyraźnie dźwięki muzyki, a po chwili Maria zaczęła też śpiewać swym pięknym, miękkim mezzosopranem pieśń Solveigi z *Peer Gynta*. Norman West z rozkoszą przysłuchiwał się miłemu głosowi Marii. Nim nastąpił akord końcowy, dziewczyna urwała nagle grę i śpiewanie, widocznie oznajmiono jej przybycie gościa.

Norman West miał dość czasu, by rozejrzeć się po pięknym wnętrzu. Po niedługiej chwili weszli obaj kuzyni i wzrok gościa przyciągnął olbrzymi Albert Tomau. Ta wspaniała, niezwykła postać wzbudziła w nim szacunek. Oczy gospodarza wpiły się badawczo w twarz Normana Westa, który spokojnie zniósł to przenikliwe spojrzenie.

Jerzy Tomau wystąpił w roli pośrednika, poznając obu panów ze sobą. Sam pozdrowił serdecznie Normana Westa, a Albert Tomau podał mu rękę mówiąc, że cieszy się z jego odwiedzin.

Początkowo rozmowa się nie kleiła. Panowie próbowali wyczuć się nawzajem.

Albert Tomau nie miał dla swobodnej konwersacji. Ale Norman West nauczył się w Ameryce obcować z ludźmi nieobytymi i jako światowiec, umiał zręcznie prowadzić rozmowę, nie dając rozmówcy odczuć, że w tym wypadku idzie to trudno. Albert Tomau stwierdził ze zdumieniem, że życie towarzyskie przychodzi mu z większą łatwością niż mógłby się spodziewać. Był oczytany, doskonale zorientowany w życiu politycznym i kulturalnym. Poza tym Norman West ze swą energiczną osobowością zrobił na nim dobre wrażenie.

Gospodarz wypytał gościa, w jakich okolicznościach przed laty opuścił ojczyznę, więc Norman West opowiedział krótko o swym odkryciu, o walce o uznanie swego wynalazku i o decyzji, by za oceanem szukać zrozumienia, którego nie znalazł w ojczyźnie. Szare oczy Alberta Tomaua błyszczały nie mniejszą emocją niż podobnie szare oczy gościa.

Gdy Norman West poprosił gospodarza, by służył mu radą w jego próbach postawienia majątku Neurode na odpowiednim poziomie, Albert Tomau rzekł z uśmiechem:

—Jestem pewien, że się to panu uda. Ze swej strony chętnie służę radą i pomocą. W ostatnich latach w Neurode panowała okropna sytuacja. Dawny właściciel już przed inflacją cierpiał na brak gotówki. Zawsze żył ponad stan. Potem, gdy rządząli jego synowie, gospodarstwo prowadzone było skandalicznie. Obaj panicze wiedli żywot nad wyraz lekkomyślny, ale zrehabilitowali się, bo oddali życie za ojczyznę. Nietety ojciec załamał się, zwłaszcza że i żona od dawna niedomagała. Najlepsze, co mógł uczynić, to sprzedać Neurode, gdyż nie był w stanie podźwignąć gospodarstwa, nie mając większej gotówki w zapasie. Ale panu się to na pewno uda, gdyż ma pan nie tylko energię, młodość i wolę działania, ale także pieniądze. Z początku Neurode nie przyniesie panu zysków, ale za kilka lat gospodarstwo stanie się rentowne. Zrobił pan dobry zakup. A dawny właściciel może mówić o szczęściu, że pan mu zapłacił w dolarach. Obie strony powinny być zadowolone z transakcji. Może pan tu przyjeżdżać tak często, jak pan chce, zawsze służę radą. Najlepiej w niedzielę lub w zwykły dzień wieczorem. O innej porze jestem raczej nieosiągalny — zakończył stryj Albert swą dłuższą opowieść.

—To bardzo miło z pana strony, że mi pan daje prawo bywania w Weidenhofie,

zwłaszcza że w sprawach towarzyskich również jestem zdany na państwa.

—Jeśli o to chodzi, to przekona się pan, że moje talenty towarzyskie pozostawiają wiele do życzenia. Liczę na pańską wyrozumiałość w tym względzie. Ale znajdzie pan tu przecież mojego kuzyna i moją bratanicę, dla nich dwojga opłaci się panu przyjeżdżać tu z Neurode.

—Wiem o tym, ale będę tu przyjeżdżał także dla pana.

Albert Tomau rzucił gościowi ostre, przenikliwe spojrzenie, po czym podał mu rękę ze słowami:

—Zobaczymy, może się jakoś dogadamy.

Rozmowa zeszła na tematy rolnicze, więc ojciec Marii mógł ograniczyć się tylko do słuchania. W jego oczach znać było wyraźne zmęczenie i Normanowi Westowi przyszło na myśl, że w wyrazie jego twarzy widać chorobę. Uznał jednak, iż nie ma prawa wtrącać się w nie swoje sprawy i namawiać starszego pana na wizytę u lekarza.

Na tle szczupłej, arystokratycznej sylwetki Jerzego Tomaua postać gospodarza sprawiała wrażenie tryskającego zdrowiem, bajecznego olbrzyma. Sprawiał jednak wrażenie nadciśnieniowca. Świadczyła o tym zarówno jego przekrwiona spalona wiatrem i słońcem twarz, jak i byczy kark.

Rozmawiając żywo o problemach rolniczych, Norman West co chwila zerkał na drzwi. Czekał z utęsknieniem na Marię. Ale ona nie zjawiała się nigdy wcześniej, nim jej stryj nie wezwał. Norman nie wiedział o tym i stąd jego niepokój. Odetchnął z ulgą, gdy Albert Tomau zadzwonił i kazał służącemu poprosić jaśnie panią do salonu.

Po kilku minutach Maria zjawiała się w salonie i na pozór swobodnie poczęła rozmawiać z gościem. Ale policzki miała zarumienione, co nie uszło uwagi żadnego z panów. Każdy z nich inaczej to sobie tłumaczył, jednak wszyscy widzieli, że oczy Marii zabłysły radośnie, gdy Norman West powiedział:

—Pani stryj był tak dobry, że pozwolił mi przyjeżdżać do Weidenhofu, gdy

tylko będę potrzebował jego rady. Myślę, że będzie to miało miejsce nader często, i zastanawiam się, czy nie stanę się państwu ciężarem.

Maria spojrzała z uśmiechem na stryja i biorąc jego dłoń powiedziała:

—Jeśli stryj dał panu takie pozwolenie, to mówił to poważnie. Stryj nie rzuca słów na wiatr. Nie musi pan się kępować, przyjeżdżając tutaj.

—Skoro pani mnie tak zachęca, pozwolę sobie bywać tu często. Zapraszam też państwa do siebie. A ponieważ należę do ludzi, którzy chwytają od razu całą rękę, gdy im się poda palec, proszę panią o pozwolenie przysłuchiwania się jej pięknej grze na fortepianie.

—Ach, pan też muzykuje? — wtrącił Albert Tomau.

—Jestem tylko słuchaczem, ale za to namiętnym.

—Tak, tak — mówił gospodarz, ujmując dłoń bratanicy — te drobne rączki radzą sobie z fortepianem tak, że miło posłuchać. A jej śpiew to przyjemność dla ucha. Moja bratanica na pewno zechce zagrać i zaśpiewać dla pana, prawda, Mario?

—Chętnie, stryju Albercie, o ile pan West zadowolony się moimi skromnymi możliwościami.

—Cieszę się na to z góry — wykrzyknął Norman West, patrząc jej gorąco w oczy, a to co słyszałem, może sprostać nie tylko skromnym wymaganiom.

Maria znów się zarumieniła i chcąc pokryć zmieszanie, zwróciła się do ojca:

—Dobrze się już czujesz, ojcze?

—Dziękuję ci, Maryniu, bardzo dobrze — powiedział, uśmiechając się ze znużeniem.

—Trzeba się już pożegnać — zawołał Norman West, zrywając się z fotela. — Zająłem państwa uwagę dłużej niż wypada. Proszę wybaczyć.

Albert Tomau nie zatrzymywał go. Bądź co bądź ta wizyta sąsiada była czymś



niezwykłym w jego życiorysie i musiał to wszystko przetrwać. Wciąż jeszcze walczył ze swymi dawnymi nawykami. Ale później jednak powiedział z westchnieniem ulgi:

—Ten pan West to przemiły człowiek. Następnym razem, gdy się zjawi, nie będę się już tak bał spotkania z nim.

Maria ucieszyła się z tej pochwały bardziej, niż gdyby dotyczyła jej samej.

Odtąd Norman West był częstym i mile widzianym gościem w Weidenhofie. Pan domu przyzwyczał się do energicznego, naturalnego sposobu bycia sąsiada i któregoś dnia dał się namówić na wizytę w Neurode. Był to olbrzymi postęp na drodze do normalnych kontaktów z ludźmi. Wizyty w Neurode zaczęły się powtarzać. Albert Tomau służył radą młodszemu koledze, doglądał osobiście jego stajni i godzinami rozmawiał z Normanem.

Tych czworo stanowiło odtąd dobrany krąg przyjaciół, w którym wszystko szło utartą koleją. A gdy Maria śpiewała panom pieśni lub grała na fortepianie — przeważnie muzykę klasyczną — byli zupełnie szczęśliwi w tej samotni i nie pragnęli uciech wielkiego świata. Maria podzielała ich uczucia.

Albert Tomau ożywił się, pozbył się stopniowo swych dziwactw i czuł się tak szczęśliwy, jak nie miał nadziei być już nigdy w życiu. Tylko czasem wybuchał w nim z całą mocą gwałtowny żal i cierpienie. Widział wtedy jak na dłoni swe zmarnowane życie, rozpaczał i skarżył się, ale Maria szybko uśmierzała jego ból.

Któregoś wieczora nashedł go taki paroksyzm złości, że Maria była przerażona i nie od razu potrafiła pomóc stryjowi. Wszyscy troje siedzieli właśnie przy okrągłym stole w świeżo uporządkowanej bibliotece. Panowie czytali gazety, dziewczyna zagłębiła się w lekturze jakiejś książki. Na dworze szalała zamieć; zima w tym roku nadeszła wcześniej. W pokoju było miło i przytulnie.

Panowała błoga cisza; cała trójka była pogrążona w lekturze. Nagle Albert Tomau rzucił gazetę na stół i roześmiał się gniewnie ochrypłym głosem, uderzając ogromnymi pięściami w blat.

—Te nędzne baby bez czci i honoru! Powinno się je kamienować! Wszystkie

rozwiedzione kobiety powinno się kamienować! To niesłychane, po prostu niesłychane! Jeśli te, co są na świeczniku, nie dochowują wierności i depczą honor — cóż ma powiedzieć kobieta z ludu?! Kamienować powinno się je, kamienować!

I tak wykrzykiwał w kółko. Krew uderzyła mu do głowy, rękami walił w stół lub wykonywał gwałtowne gesty w powietrzu, jakby obrzucał kogoś kamieniami.

Maria nigdy jeszcze nie widziała tak silnego wybuchu stryja, nigdy też dotąd nie było mowy na ten temat w jej obecności. Skurczyła się na te słowa i patrzyła z przerażeniem. Jerzy Tomau spoglądał z troską na córkę. Dopiero po dłuższej chwili odważył się spytać:

—Co cię tak zdenerwowało, Albercie?

Ten zaś znów zaczął walić pięściami w stół, a jego oczy ciskały błyskawice.

—Te bezbożne, rozwiedzione kobiety! — krzyczał znowu. — Uciekać od męża, dzieci zostawiać na pastwę losu! Masz, czytaj! Księżniczka uciekła od męża, by z innym mężczyzną zaznać szczęścia. Ma dwoje dzieci, dziewczynkę i chłopca, dziesięć i jedenaście lat, i ta baba je porzuca! Cóż dla niej wierność? Co sakrament małżeństwa? Kamienować powinno się je, tę księżniczkę też, wszystkie rozwiedzione kobiety powinno się ukamienować!

Zerwał się z miejsca i biegał dziko po pokoju, wołając bez przerwy: „Ukamienować!”

Maria siedziała z zamkniętymi oczami, blada jak trup. Nie miała odwagi spojrzeć ani na ojca, ani na stryja. Była jak sparaliżowana z przerażenia, i myślała z rozpaczą, co by stryj zrobił, co by powiedział, gdyby mu teraz wyznała, że jest rozwiedziona. Czuła, że w tym chorobliwym stanie nie umiałby odróżnić winy od niewinności.

W tej chwili służący wpuścił do biblioteki Normana Westa, który często wpadał wieczorem na godzinkę i nie trzeba go było meldować. W gorączce spowodowanej wybuchem stryja nie usłyszeli, kiedy zajechał samochód.

Albert Tomau, nie zwracając na niego uwagi, chodził po pokoju wielkimi

krokami, powtarzając wciąż swoje: „ukamienować!”.

Norman West spojrział speszony w pobladłe twarze ojca i córki, po czym podniósł oczy na Alberta Tomaua, którego twarz przybrała purpurowy kolor.

—Przepraszam — chyba przeszkadzam? — powiedział niepewnie.

Albert Tomau zatrzymał się nagle przed nim, dysząc gniewem.

— Czy pan potrafi usprawiedliwić kobietę, która porzuca męża i dzieci dla lekkomyślnych miłostek, tak jak ta księżniczka X? Czy nie powinno się kamienować tych kobiet, które zapomniały o obowiązkach i honorze? Te kobiety nie wiedzą, co to wierność, kierują się tylko swoimi żądzami. Powtarzam, że powinno się je kamienować, wszystkie rozwiedzione kobiety, wszystkie ! Czy zgadza się pan ze mną?

Norman widział, że starszy pan jest zupełnie wytracony z równowagi, ale zauważył też, że Maria siedzi nieruchoma i śmiertelnie blada. Pewnie się przeraziła wybuchu stryja. Jerzy Tomau opowiadał Westowi nieszczęśliwą historię, która wpędziła jego kuzyna w dziwactwo. Dlatego też błyskawicznie zorientował się w sytuacji. Patrząc poważnie na starszego pana, rzekł:

—Nie jestem świętoszkiem, proszę pana, ale jest takie miejsce w Piśmie Świętym: Gdy Żydzi chcieli ukamienować cudzołożnicę, to Jezus powiedział: „Kto z was jest bez winy, niech pierwszy rzuci na nią kamień”.

Alberta Tomau zdumiały te spokojne słowa gościa i wyprostował się, jakby zrzucając z siebie jakiś ciężar. Ale potem rzekł ochrypłym głosem:

—Ja, ja pierwszy rzucę kamień! Nie dlatego, że jestem bez winy, ale dlatego, że unieszczęśliwiła mnie wina cudzołożnicy, kobiety niewiernej! Czy pan to rozumie, młodzieńcze? Całe życie zmarnowane, spędzone w samotności. Człowiek o sercu gorącym, sercu kochającym — uczyniony kaleką na całe życie. Ja pierwszy rzucę kamień. Ja!

Norman spojrział na Marię. Pod wpływem jego spokoju młoda kobieta wyprostowała się wolno i rzekła drżącym głosem:

—Nie wszystkie rozwiedzione kobiety muszą być niewierne, stryju Albercie, podobnie jak nie wszyscy rozwiedzeni mężczyźni są wierni.

Albert Tomau odwrócił się gwałtownie i patrzył na nią nieruchomym wzrokiem. I nagle, jakby go ktoś łagodnie pogłaskał po twarzy, mina mu się rozpuodziła, podszedł szybko do Marii i pogłaskał ją po włosach.

—Przestraszyłem cię, Maryniu? Widzisz, jakim potworem jest twój stary stryj? Jak mogłem się tak zapomnieć w twojej obecności! Przepraszam cię, ale gdy mowa o kobietach rozwiedzionych, krew uderza mi do głowy. Ty nie znasz życia, Maryniu, ale ty byś była wierna aż do śmierci, wiem o tym. Ty to co innego.

Maria, odważnie patrząc mu w oczy, oponowała:

—Ale odpowiedz mi na pytanie, stryju Albercie: czy nie może być kobiet rozwiedzionych nie z własnej winy, podobnie jak bywają mężczyźni rozwiedzeni nie ze swej winy, na przykład twój ojciec?

Albert Tomau opadł zmęczony na fotel.

—Proszę się do nas przysiąc — powiedział do Normana Westa. — Znów obudziło się we mnie dzikie zwierzę i to w obecności mojej bratanicy. Jestem zły na siebie, ale nic już na to nie poradzę. Nie mówmy już o tym. Wiem, Maryniu, że jestem stronnicy, ale wydaje mi się, że mężczyzna nie może być tak niewierny jak kobieta.

—Nie mogę się z tym zgodzić, proszę pana — powiedział Norman siadając. — Przyznaję rację łaskawej panience.

—Zostawmy ten temat! — zawołał Albert Tomau, machając ręką. — W tym punkcie nie znajdzie pan u mnie sprawiedliwości. Po prostu zatruto mi życie, cierpiałem z powodu niewierności mojej własnej matki, mojej... nie, nie, zostawmy to. Nie rób takich przerażonych oczu, Mario. Przykro mi, że cię przestraszyłem. I nawet nie mogę ci obiecać, że to się więcej nie powtórzy. Wciąż jeszcze tkwi w mym sercu ta zadra, choć pogodziłaś mnie z życiem swoją dobrocią. Kaź dać winę, Mario, mówmy o przyjemniejszych, piękniejszych sprawach.

I tak się stało. Wspierana przez Normana Westa, Maria próbowała załagodzić sytuację. Jemu się to lepiej udawało, gdyż nie był osobiście zaangażowany w spór. W wybuchu starszego pana widział jedynie dziwactwo, niekontrolowany wybuch goryczy. Jerzy Tomau czuł, co dzieje się w sercu córki; żał mu jej było, ale nie mógł jej pomóc.

A Maria cierpiała bardzo, mając świadomość przemilczanej prawdy. Drżała na myśl, co by było, gdyby stryj Albert odkrył jej tajemnicę. Dopiero dziś przekonała się, jak słuszna była decyzja ukrycia przed nim prawdy. Czuła, że się dusi, okropna tajemnica, ta jej niezawiniona wina uciskała jej pierś ogromnym ciężarem.

Jedyną pociechą było dla niej to, że Norman West nie przyłączył się do stryjowego „ukamienować!”

Ten zaś spoglądał co chwila z troską w jej pobladłe oblicze i w bladą twarz jej ojca. Dopiero dziś wieczór zdał sobie sprawę, w jak trudnej sytuacji oboje się znajdują, uzależnieni od swego dobroczyńcy. Najchętniej wzięłby ich oboje do siebie do Neurode, ale nie miał do tego prawa. Żał mu też było Alberta Tomaua. Pomyślał, że za którymś takim wybuchem starszy pan dostanie udaru mózgu.

Pomyślał, że najlepiej będzie, gdy się zaraz pożegna i pozwoli mieszkańcom Weidenhofu odzyskać równowagę ducha. Przed wyjściem zwrócił się do Marii:

—W mojej wozowni w Neurode znalazłem śliczne sanie i kazałem je natychmiast przygotować do użytku. Jest piękna sanna. Czy mogę panią zaprosić jutro na przejażdżkę? Obaj panowie też są zaproszeni. Pojedziemy do leśniczówki. Jeśli wyjedziemy o drugiej, będziemy o trzeciej w leśniczówce, a o czwartej wrócimy z powrotem. Specjalnie dziś przyjechałem, by to z państwem omówić. Więc jak? Czy mam przyjechać jutro po państwa?

Maria spojrzała na ojca. Ten nie chciał się przyznać, że nie ma odwagi jechać saniami, i nie chcąc psuć córce przyjemności, na razie się zgodził.

Ale Albert Tomau rzeki, kręcąc swą potężną głową:

—Ja muszę niestety odmówić, drogi panie, gdyż jutro mam do omówienia ważne sprawy z moim rządcą. Ale wam nie bronię jechać. Mojej bratanicy

spodoba się jazda saniami przez ośnieżony las, a i kuzyn pewnie chętnie się zabierze z wami.

Maria zgodziła się bez wahania. Miała poczucie, że powinna mu wynagrodzić jakieś urojone krzywdy, od kiedy wyznała, że dawno temu inny mężczyzna miał do niej prawa. Poza tym naprawdę cieszyła się na tę przejażdżkę.

Norman West wrócił do domu szczęśliwy. Gdyby wiedział, że Jerzy Tomau postanowił w duchu odmówić w ostatniej chwili, cieszyłby się jeszcze bardziej. Już dawno nie był sam na sam z Marią.

Punktualnie o drugiej przed dworem Weidenhof zatrzymały się okazałe sanie zaprzężone w dwa piękne konie. Z sań wyskoczył Norman i wszedł do holu. Jerzy Tomau wyszedł mu naprzeciw.

—Drogi panie — rzekł — ja muszę niestety zastrajkować. Boję się jechać otwartymi saniami w taki mróz. Moja córka chciała też zrezygnować, gdy się o tym dowiedziała, ale obaj z kuzynem wyperswadowaliśmy jej to. Kto wie, jak długo śnieg poleży, a pogoda jest wspaniała. Pojedziecie więc sami.

Norman musiał się bardzo pilnować, by nie okazać zbyt ostentacyjnej radości. Wyraził jednak ubolewanie z powodu rezygnacji starszego pana z przejażdżki.

W chwilę później do holu zeszła Maria. Miała na sobie śliczne futerko, które jej stryj Albert podarował na urodziny, i wyglądała tak pięknie, że Normanowi serce waliło jak młot. Przywitał się z nią serdecznie, Maria zaś powiedziała niepewnie:

—Słyszał pan już? Ojciec rezygnuje z przejażdżki. A ja nie nalegam, bo jest przeziębiony. Musi pan się zadowolić moim towarzystwem.

Norman West miał w saniach ciepłe koce i butelki z gorącą wodą. Opatulił Marię pieczołowicie, żeby nie zmarzła. Przestało padać, wyszło słońce, izuczając purpurowy blask na pokrywę śnieżną. Spoczone ciała końskie parowały, konie niecierpliwily się, potrząsając dzwoneczkami. Na koźle siedział woźnica, zakutany w futro po same uszy i oczy.

Maria pożegnała się czule z ojcem. Stryj Albert był w tym czasie ze swym



rządca w budynkach gospodarczych i w stajniach. Panna Döring ukazała się w portalu, chcąc zobaczyć wyjazd „dziecka”. Na Normana Westa nie zwracała uwagi, był „tylko” mężczyzną.

Sanie sunęły szybko po gładkiej drodze i po chwili wjechały do lasu. Norman, sam ubrany w drogi kozuch, co chwila podciągał Marii ciepły koc pod brodę bojąc się, że zmarznie.

—Tchu nie mogę złapać — roześmiała się w końcu Maria — tak mnie pan opatula. Jest mi ciepło.

—Nie wolno się pani przeziębic. Miałbym okropne wyrzuty sumienia. Co ja bym zrobił, gdyby się pani rozchorowała i nie mógłbym pani widywać nawet co drugi dzień, tak jak teraz? Najchętniej przyjeżdżałbym codziennie do Weidenhofu.

Maria zarumieniła się i spytała z pozornym spokojem:

—A któż panu broni przyjeżdżać codziennie?

—Ja sam. Nie mogę nadużywać dobroci pani stryja. A pani? Czy pani by się na mnie nie gniewała, gdybym przyjeżdżał codziennie?

Maria spojrzała niespokojnie na woźnicę, ale Norman roześmiał się:

—Nic do niego nie dociera, tak jest zakutany w kozuch, że może pani mówić spokojnie. A więc gniewałaby się pani?

Maria siliła się na spokój, co jej zawsze przychodziło z trudem w jego obecności.

—Dlaczego miałabym się gniewać? — spytała. — Nie przyjmujemy innych gości, więc cieszylibyśmy się, gdyby pan przyjeżdżał codziennie.

—Pani stryj także?

—Musiał pan chyba zauważyć, że pana bardzo lubi.

—Wczoraj wieczorem czułem, że byłoby lepiej, gdybym nie przyjechał.

Charakterystyczne bolesne skrzywienie ust pogłębiło się i Maria rzekła

wzdychając:

—Przeciwnie, bardzo dobrze, że pan przyjechał. Gdyby nie pan, atak mojego biednego stryja może nie skończyłby się tak łagodnie.

—Bardzo się pani przeraziła?

—Nigdy jeszcze nie widziałam go w takim stanie. Ale ojciec mówił mi, że zdarzyło mu się to już kilka razy. Biedak przeżył wielki zawód życiowy i stąd to wszystko.

—Ojciec pani opowiadał mi o tym. Dlatego od razu zorientowałem się w sytuacji. Ale wczoraj zauważyłem, że jego nienawiść do rozwiedzionych kobiet jest po prostu chorobliwa. To dobry, trzeźwo myślący człowiek, a na tym jednym punkcie jest zupełnie zaślepiiony. Ale powinien się ze względów zdrowotnych wystrzegać takich ataków.

—Ani mu to w głowie. W takich chwilach traci zupełnie panowanie nad sobą i nie rozumie, jak bardzo jest niesprawiedliwy w swym zapamiętaniu. Jest wiele przypadków, gdy kobieta rozwodzi się bez żadnej winy ze swej strony.

—Oczywiście, że w każdym wypadku jest inaczej. Na pewno są lekkomyślne, niewierne kobiety, i ja wcale nie bronię rozwodów. Jeśli człowiek przysięgał wierność, to powinien wszelkimi siłami starać się jej dochować, zwłaszcza gdy w grę wchodzi dobro dzieci. Pani stryj jest najlepszym przykładem, jak dzieci cierpią w wyniku rozbicia małżeństwa rodziców. Ale nie mówmy o tak smutnych sprawach.

Jakże chętnie Maria wyznałaby mu w tym momencie, że jest rozwiedziona i że nie ma w tym zupełnie jej winy. Niestety, nie mogła sobie na to pozwolić. Dopóki stryj Albert nie wie wszystkiego, nikt inny nie może się dowiedzieć prawdy. A było dla niej oczywiste, że nie może rozmawiać o tym ze stryjem, jeśli nie chce spowodować katastrofy.

Podczas gdy Norman gawędził z nią miło, troszczył się o jej wygodę i zaglądał jej czule w oczy, Maria zastanawiała się, co zrobi, gdy on pewnego dnia poprosi o jej rękę, choć wie, że w jej życiu był inny mężczyzna. Zalała ją fala gorąca. Czy to

możliwe, by kiedyś zaznała jeszcze szczęścia? Wtedy... tak, wtedy wszystko mu powie, ale nie wcześniej. To, co wczoraj mówił o rozwiedzionych kobietach, stanowiło dla niej pociechę i dodawało jej odwagi do zwierzeń. Po tej wczorajszej scenie na pewno zrozumie, dlaczego musiała to przed nim ukrywać ze względu na stryja. I nie będzie już taka surowa, gdy Norman będzie wobec nie śmielszy. Starła się nie dopuszczać do siebie smutnych myśli.

I weselsza niż jej się wydawało, że może kiedykolwiek być, oddała się rozkoszy jazdy saniami u boku ukochanego mężczyzny. Wiedziała, czuła, że dopiero teraz poznaje prawdziwą miłość.

Podróż upłynęła zakochanym zbyt szybko. Ze zdziwieniem rozejrzeli się wokół, gdy sanie zatrzymały się przy leśniczówce. Wypiwszy po szklaneczkę grzanego wina, ruszyli w drogę powrotną.

Zaczęło się ściemniać; dni były teraz krótkie. Jadąc poprzez mroczniejący, ośnieżony las, który zdawał się nierzeczywisty, umilkli i siedzieli tak obok siebie, nie zauważając nawet, że milczą, gdyż to milczenie wypełnione było tysiącem słodkich uczuć i myśli. Oboje zrozumieli w tej godzinie, że należą do siebie i że się kochają. Nie musieli wyrażać tego słowami; przepelniała ich słodka pewność miłości. Nic ich już nie dzieliło, nic nie stanowiło przeszkody, cały świat zdawał się dobry, jasny i piękny. Ciężar, który tak długo przygniatał pierś Marii, ciężar jej nieudanego małżeństwa zniknął nagle, rozplynał się i przepadł, jakby go nigdy nie było.

Milcząc zajechali przed dwór Weidenhof. Wtedy ocknęli się z zadumy.

—To była piękna sanna, Mario — dziękuję pani, nigdy tego nie zapomnę — powiedział Norman West stłumionym głosem, całując Marię w rękę.

Maria wyprostowała się, spojrzała rozmarzona w jego szare oczy i uśmiechnęła się miękkim, szczęśliwym uśmiechem, który go zawsze chwycił za serce.

—To ja dziękuję — powiedziała cicho — sanna była wspaniała.

—Musimy się znowu wybrać na przejażdżkę, póki śnieg leży — nalegał.

—Tak, kiedy tylko pan zechce.

Podniósł ją, pomagając jej wysiąść z sań, i trzymał ją w ramionach dłużej niżby wypadało. Czuła bicie jego serca i nie mogła oderwać wzroku od jego oczu.

Zrozumiał, że już czas zapytać ją, czy zechce zostać jego żoną. Jej oczy mówiły wyraźnie, że kocha go tak, jak on ją kochał. Postanowił zadać to pytanie podczas następnej przejażdżki. Nie wiedział, że do tego nie dojdzie. Norman West musiał zostać w Weidenhofie na herbatce. Albert Tomau nie chciał go puścić. Panna Dö-ring upiekła ulubione herbatniki Marii. Nawet Norman je chwalił. Młodzi co chwila patrzyli na siebie rozpromienionym wzrokiem.

Gdy skończyli herbatę, Maria musiała zaśpiewać kilka pieśni — śpiewała Griega, gdyż wiedziała, że Norman West go bardzo lubi. Panowie słuchali nabożnie, a najbardziej West, dla którego te pieśni były przeznaczone. Czuł, że Maria dziś śpiewa tylko dla niego. Nie mógł oderwać oczu od jej twarzy, z której zniknął bez śladu grymas bólesci.

## XVI

Dzień ten pozostał na długo ostatnim radosnym dniem w życiu Marii. Nazajutrz ojciec nie mógł opuścić łóżka; miał wysoką gorączkę.

Gdy poprzedniego dnia Maria była na przejażdżce z Normanem Western, Albert Tomau wezwał do siebie kuzyna.

—Powiem ci, Jerzy, dlaczego nie pojechałem na tę przejażdżkę — zaczął, gdy Jerzy Tomau zjawił się w gabinecie. — Od kilku dni przeprowadzam z moim rządcą inwentaryzację majątku w pewnym określonym celu. I właśnie o tym chcę ci powiedzieć. Chcę sporządzić testament. Maria będzie moją spadkobierczynią. Tobie mówię o tym, byś pozbył się trosk o dziecko. My obaj nie będziemy żyć wiecznie i nie wiadomo który którego przeżyje. Kiedyś Maria zostanie panią na Weidenhofie, odziedziczy cały mój majątek, z wyjątkiem kilku zapisów dla moich

ludzi. Oczywiście testament zostanie sformułowany tak, że gdybyś mnie przeżył, najpierw ty odziedziczysz majątek, ale po twojej śmierci przejdzie on na Marię. Pokochałem to dziecko jak własne.

Jerzy Tomau, głęboko wzruszony, ujął w milczeniu dłoń kuzyna. Po dłuższej chwili zaczął mówić z trudem:

— Nie znajduję słów podziękii, Albercie. Nawet nie wiesz, jak ciężko mi było na sercu, że straciłem cały swój majątek, który Marynia miała po mnie odziedziczyć. A ty przywracasz mi spokój duszy. Po wszystkich dobrodziejstwach, jakie nam wyświadczyłeś, jeszcze i to! Nie wstydę się łez. Oby Bóg pozwolił ci żyć długo. Wiem, że nigdy nie opuścisz Maryni w potrzebie, cokolwiek się stanie. Będę ci za to póki życia dziękował każdym uderzeniem serca. A czuję, że nie pożyję długo. Te mordercze lata, pełne zgryzot, wyczerpały mnie zupełnie i czuję się gorzej, niż przyznaję się do tego przed Marynią. Wydaje mi się, że dotąd trzymała mnie przy życiu tylko niepewność co do jej losu. Dziś jestem bardzo słaby. Kiedy się poczuje lepiej, musimy o tym jeszcze raz porozmawiać, gdyż mam ci jeszcze coś do powiedzenia. Ale ta rozmowa będzie mnie kosztować dużo nerwów, więc na razie musimy ją odłożyć.

— Zauważyłem, że źle wyglądasz ostatnio, Jerzy. Doszedłem do wniosku, że niszczy cię troska o przyszłość Marii. Chcę cię od tej troski uwolnić. Jesteście mi najbliżsi. Jutro przyjdzie notariusz. Postaraj się, by Maria się o tym nie dowiedziała. Nie chcę, żeby mi dziękowała, i tak wiem, jak bardzo jest mi wdzięczna. Wiem też, że mnie polubiła, a to dla mnie najlepsze podziękowanie. A więc przestań się martwić, Jerzy, i postaraj się wzmocnić trochę. Nie będę cię dłużej męczył; idź wypocząć zanim wróci Maria.

Jerzy Tomau rzeczywiście odpoczął i przy herbacie był całkiem rześki. Ale wieczorem poczuł się gorzej, a rano nie miał siły wstać z łóżka.

Wydawało się, jakby szczęśliwa wiadomość, iż Maria zostanie spadkobierczynią kuzyna, podkopała ostatecznie jego wątłe zdrowie i złamała jego upartą wolę życia. Czuł, że nie przetrzyma ciężkiej grypy, jakiej się nabawił. Wezwano lekarza, który oprócz grypy stwierdził obustronne zapalenie płuc i nakazał surowe

rygory.

Nazajutrz Norman West dowiedział się w Weidenhofie o chorobie Jerzego Tomaua. Maria się nie pokazała, ani na minutę nie chciała zostawić ojca samego. Porozmawiawszy chwilę z Albertem Tomauem, który był bardzo przybity, Norman West odjechał.

Tymczasem Albert Tomau sporządził testament zgodnie z tym, co mówił kuzynowi.

Maria i Norman nie widywali się wcale przez ostatnie dni, choć Norman codziennie zjawiał się w Weidenhofie, by dowiedzieć się o zdrowie chorego. Przyniósł Marii kwiaty i książki, a dla jej ojca wyszukane kalifornijskie owoce, które mu przysłano z Ameryki. Były tak smaczne, że chory, który nie tykał prawie jedzeniem, chętnie po nie sięgał. Maria kazała powiedzieć o tym Normanowi i podziękować mu serdecznie. Napisała też do niego krótki list, dziękując za troskę i współczucie i wyjaśniając, że nie może opuścić ani na chwilę ojca, a poza tym boi się zarazić innych chorobą.

Po przeczytaniu listu Norman tym bardziej martwił się o Marię.

—Panna Tomau nie chce nikogo narażać na niebezpieczeństwo, a sama jest przez cały czas zagrożona — powiedział do Alberta Tomaua.

—To prawda, ale nie można nic na to poradzić. Jest tak ofiarna, że za nic w świecie nie pozwoliłaby nikomu obcemu pielęgnować ojca, choć i on sam prosi ją, by się oszczędzała. Takie kobiety jak moja bratanica to prawdziwe bohaterki. Widzi pan, ona jedna potrafiła mnie pojednać z całym rodem niewieścim. W ogóle nie wpuszcza mnie do pokoju chorego. Gdy tylko lekarz stwierdził chorobę zakaźną, odizolowała się wraz z ojcem od otoczenia. Nawet pannę Döring przepędziła, choć ta się pali do pomocy. Służba zostawia wszystko w przedpokoju. Za nic w świecie nie chce pozostawić ojca pod opieką wynajętej pielęgniarki. Sama go pielęgnuje, spełniając przy nim wszystkie posługi. Podziwu godna energia i ofiarność tkwi w tej kruchej istocie.

Na te słowa Norman rozpromienił się tak, jakby to jego chwalono. Ale nie



złagodziło to jego troski o Marię.

—Żeby sobie tylko nie zaszkodziła! — westchnął.

—Miejmy nadzieję! Powiem panu, drogi panie, że jest mi ogromnie ciężko na duszy. Przywiązałem się całym sercem do tych dwojga ludzi. Jakiż byłem głupi, nie chcąc o nich słyszeć przez te wszystkie lata. A teraz wydaje mi się, że nie zniósłbym ponownej samotności. Stęskniłem się już ogromnie za widokiem tego kochanego dziecka.

—Wiem, co pan czuje, proszę pana, rzadko spotyka się ludzi tak zacnych, jak pański kuzyn i jego córka.

—Bóg świadkiem, że to prawda! Niechże pan mi wyświadczy tę łaskę i dotrzyma mi wieczorem towarzystwa. Ciężko znoszę samotność przy stole i zmuszam się do jedzenia. Stałem się znów nieznośny, humorzasty, kłóczę się bez przerwy z moją gospodynią, która jest zła i mrukliwa, od kiedy nie widuje dziecka. Ta Döring po prostu zadurzyła się w Marii i nic innego nie ma w głowie, tylko dogadzać jej. Zrobi pan dobry uczynek, odwiedzając mnie wieczorami.

Norman zgodził się chętnie, zwłaszcza że był dzięki temu bliżej Marii. Przyjeżdżał co wieczór samochodem i dotrzymywał towarzystwa starszemu panu, póki ten nie udał się na spoczynek.

W czasie tych wspólnie spędzanych wieczorów Albert Tomau opowiedział Normanowi Westowi swoje życie. On, tak zwykle zamknięty, wyspol wiadał się przed tym młodym człowiekiem ze wszystkiego, co przeżył i przecierpiał. Zachęcony szczerością gospodarza Norman West odwzajemnił się podobną szczerością.

Tym sposobem ci dwaj tak różni ludzie zbliżyli się do siebie. Alber Tomau, do niedawna zagorzały mizantrop, nie mógł obecnie znie samotności i szukał towarzystwa Normana Westa, który z każdym dniem bardziej zyskiwał jego zaufanie.

Codziennie Albert Tomau biegł kilka razy na górę i rozmawiał z Marii przez drzwi, które zamknęła w obawie, by ktoś nie wszedł do pokoju chorego. Pytał o zdrowie kuzyna i namawiał Marię, by zgodziła się wziąć pielęgniarkę. Ale Maria

się nie poddawała. Za każdym razem odpowiadała że będzie sama pielęgnować ojca i że sama czuje się dobrze i nie jest przemęczona. I pielęgnowała go z oddaniem, uprzedzając wszystkie jego prośby i okazując mu pogodę ducha i optymizm, choć serce ścisnęło jej się z żalu i niepokoju.

Żadne poświęcenie nie mogło jednak uratować chorego. W dziewiąty dzień choroby Jerzy Tomau zmarł. Osłabiony organizm poradził sobie z gorączką, ale gdy nastąpiło przesilenie, temperatura spadła nagle drastycznie i serce tego nie wytrzymało. O świcie Jerzy Tomau oddał ducha w ramionach swej córki.

Maria przetrzymała te dziewięć dni i nocy, walcząc dzielnie ze zmęczeniem. Czasem zdrzemnęła się godzinę w fotelu przysuniętym do łóżka chorego, gdy ojciec spał lub jej nie potrzebował. Nie wychodziła na świeże powietrze, kiepsko się odżywiała, trawiona troską o ojca.

Póki ojciec jej potrzebował, potrafiła sprostać wszystkiemu. Ale gdy Bóg powołał go do siebie, padła jak podcięta obok jego łóżka.

Straszliwy ból z powodu śmierci ukochanej osoby zbił ją kompletnie z nóg. Kilka godzin przeleżała na podłodze przy zmarłym, a gdy minęła straszna noc, Maria miała już najgorsze za sobą. Podniosła się z podłogi, na pozór opanowana.

Albert Tomau nie był na pogrzebie. Nie mógł się na to zdobyć. Maria rozumiała go. Starszy pan poprosił Normana Westa, by zechciał zaopiekować się bratanicą, co ten uczynił z ochotą.

West ukrył własne pragnienia wiedząc, jak bardzo Maria cierpi po stracie ojca.

Stała się małomówna, jej oczy straciły blask, a twarz się wyraźnie ściągnęła i zbladła.

Albert Tomau i Norman West prześcigali się w staraniach, by złagodzić cierpienie dziewczyny, ale pewnego razu ona sama powiedziała do nich przez ściśnięte gardło:

—Muszę sobie sama z tym poradzić. Proszę, nie mówcie więcej o tym. Straciłam w ojcu najlepszego, najwierniejszego przyjaciela i muszę przeboleć tę stratę.

Postaram się, drogi stryju, nie zadrećzać cię swoim cierpieniem, a i w pańskiej obecności, drogi panie — zwróciła się do Westa — spróbuję być dzielna. Mojemu kochanemu ojcu będę poświęcać wszystkie myśli w samotności. W towarzystwie postaram panować nad sobą, a wy obaj pomóżcie mi w tym, proszę, rozmawiając o innych rzeczach.

Gdy wymawiała ostatnie słowa, głos odmówił jej posłuszeństwa i musiała odwrócić głowę.

Panowie zrozumieli, że najlepsze, co mogą dla niej uczynić, to starać się odwracać jej uwagę od trawiącego ją cierpienia. Robili wszystko, co było w ich mocy, by stanąć na wysokości zadania.

Maria odwiedzała grób ojca, by się wypłakać. I tylko tam pozwalała sobie na słabość. Nikt nie wiedział, jak bardzo brakowało jej ojca. Póki on żył, łatwiej jej było dźwigać brzemień tajemnicy. Teraz bała się panicznie, że stryj mógłby wpaść na trop prawdy, którą musiała przed nim ukrywać. Nie tylko dlatego, że obawiała się utracić schronienie, jakim stał się dla niej Weidenhof. Najbardziej dręczyła ją myśl, że ta prawda wpłynęłaby źle na stan zdrowia stryja. Gdyby się na niej zawiódł, byłby to dla niego zabójczy cios. Wiedziała, że bardzo ją kocha, że traktuje ją jak własne dziecko. Takie rozczarowanie wpędziłoby go w jeszcze gorsze cierpienia i głębszą samotność niż doświadczał tego kiedykolwiek.

Tę troskę musiała odtąd dźwigać sama, z nikim nie mogła o tym porozmawiać, nikt nie mógł dodać jej otuchy. Ojciec wciąż ją pocieszał, że któregoś dnia powie o wszystkim stryjowi. A teraz zostawił ją samą na świecie, ten najlepszy, najbardziej wyrozumiały z ojców.

Nadeszły święta Bożego Narodzenia. Albert Tomau zwykle dawał swemu personelowi pieniądze zamiast podarków. Tym razem Maria mu to wyperswadowała. Podźwignęła się ze swego cierpienia i urządziła prawdziwe święta. Stryj chętnie godził się na to wiedząc, że potrzeba jej zajęcia.

Na Wigilii w Weidenhofie był też Norman West. Cieszył się jak dziecko z tego pierwszego Bożego Narodzenia spędzonego w ojczyźnie. Stryj Albert poprosił go wcześniej, by kupił w mieście prezenty dla Marii.

—Pan lepiej wie, co może sprawić radość młodej damie niż ja lub panna Dö-ring. Polegam na panu.

Tak więc Norman West pojechał do miasta, by kupić Marii prezenty.

Z niezwykłym samozaparciem przetrząsnął wszystkie sklepy i przemycił po-śród prezentów od stryja wisiołek, który kupił dla Marii od siebie. Nie mogła o tym wiedzieć, gdyż nie przyjęłaby od niego tak drogiego prezentu, jako że, niestety, nie miał jeszcze prawa jej obdarowywać. Będzie szczęśliwy, jeśli ona założy ten wi-siołek.

Wrócił do Weidenhofu objuczony licznymi paczkami, które obaj panowie ułożyli dla Marii pod przepiękną, ogromną choinką ściętą w lesie przez Normana. Panna Dö-ring ubrała drzewko i pomogła panom w pakowaniu i układaniu pre-zentów. Cała trójka była wniebowzięta i cieszyła się, że sprawi dziecku niespo-dziankę.

Maria w pokoju obok układała prezenty dla służby, pokpiwając z podniecenia trójki spiskowców uwijających się w salonie.

Albert Tornau nie wiedział, że Norman West kupił wisiołek za własne pie-niądze, i dziwił się nawet, że sąsiad nabył tyle pięknych prezentów za tak ' małą sumę.

Skoro tylko się ściemniło, Norman położył swoim ludziom prezenty pod do-mową choinką i złożył im życzenia świąteczne, po czym udał się spieszenie na Wigilię do Weidenhofu. Maria stała przy drzewku w czarnej sukni, blask świec wyzłacał jej kasztanowate włosy. Normanowi zrobiło się błogo na duszy, ogarnął go świąteczny nastrój, jakiego nie zaznał od czasów dzieciństwa.

Ileż dałby za to, by jej wreszcie powiedzieć, jak bardzo ją kocha! Ale S nie mógł jej przecież mówić o swych miłosnych uczuciach teraz, gdy była w żałobie. Tak więc i dziś starał się zachowywać po prostu jak przyjaciel.

Maria wzruszyła się prezentami. Było tam wszystko, co mogło ucieszyć oko i serce młodej kobiety. Bez słowa objęła stryja, który niezgrabnie gładził ją po włosach.

—Ty mój dobry, kochany olbrzymie, czuję, jak bardzo chciałeś mi sprawić przyjemność!

—Ach, Mario — roześmiał się speszony Albert Tomau — gdyby pan West się nade mną nie ulitował, w życiu nie wyszukałbym właściwych prezentów dla młodej damy. To on wszystko wyszperał i kupił. To jemu powinnaś dziękować.

Maria pocałowała stryja i pogłaskała go po policzku.

—Otaczasz mnie taką miłością, a ja nie umiem ci inaczej podziękować, jak tylko kochając cię.

—Rób to, dziecko, nigdy nie mam dość twojej miłości — odparł Albert Tomau wzruszonym głosem.

Maria podeszła do Normana Westa i podała mu rękę, uśmiechając się ze słodyczą, której sama nie była świadoma.

—Panu też pragnę podziękować, drogi przyjacielu! Utrafił pan dokładnie w mój gust. A najbardziej cieszę się z tego wisiorka. Akwamaryn przynosi szczęście, bardzo lubię ten kamień. Kiedyś miałam podobny klejnot...

Urwała pod wpływem przykrego wspomnienia. Tamten klejnot znajdował się pomiędzy tymi, które wyłudził od niej Lassberg, by spłacić dług karciany. Otrząsnęła się ze wspomnień i ciągnęła:

—Ale to już minęło! Nie będę myśleć o tym więcej! W każdym razie najbardziej się cieszę z tego wisiorka.

Uszczęśliwiło to zarówno Alberta Tomaua, jak i Normana Westa, któremu udało się to małe oszustwo.

Następnie ten ostatni wręczył jej swój oficjalny prezent; była to czarująca kompozycja jodełek i jagód, czerwonych wstążek i świec; całość wyrzeźbiona w formie małej kapliczki, gdzie miast ołtarza umieszczono maleńką kasetkę z kości słoniowej, zdobną złotymi ornamentami. Była to praca pomyślana jako pudełko na klejnoty, ze szkoły Benvenuto Celliniego, być może nawet jego autorstwa.

Wbrew cichym nadziejom Normana Maria nie doceniła na pierwszy rzut oka wartości artystycznej przedmiotu, lecz widząc dobrze, że to rzecz drogocenna, zawołała ze ściśniętym sercem:

—O, nie, proszę pana, to jest zbyt cenne! Nie mogę tego przyjąć!

Norman spojrział na nią z prośbą w oczach, czemu nigdy nie potrafiła się oprzeć.

—Jeśli chce mi pani sprawić wielką przykrość—powiedział cicho — to proszę odrzucić ten drobny upominek. Nie mogłem przyjść z pustymi rękami, a pani się ten drobiazg tak podobał, gdy była pani u mnie z ojcem. Już wtedy chciałem to pani podarować, ale nie śmiałem. To nie jest tak drogocenna rzecz, jak pani myśli — próbowałem umniejszać wartość przedmiotu, by skłonić Marię do przyjęcia go. Kupiłem ją w Nowym Jorku w sklepie z antykami ze względu na piękną formę. To tylko zabawka.

—Ale bardzo cenna, proszę pana. Ale wiem, że pan poczułby się dotknięty, gdybym odmówiła. Tylko że mnie pan wprawia w zakłopotanie. Bo ja mam dla pana tylko taką drobnostkę, że aż wstydzę się panu ją dać.

To mówiąc, wyjęła mały obrazek, oprawiony w skromną ramę portrecik, i podała mu go, uśmiechając się z zakłopotaniem.

—Mój portret! — rozpromienił się Norman. — A jaki wiemy! Ale kiedyż to mnie pani zdażyła sportretować, przecież nie pozowałem? — emocjonował się.

—Robiłam potajemnie szkice, gdy pan rozmawiał z ojcem lub stryjem. Wreszcie udało mi się podstępem złożyć całość — żartowała Maria.

Norman ucałował jej dłonie i był tak rozpromieniony, że trudno było wątpić w jego radość.

—Niechże pani tylko nie myśli — wykrzyknął — że jestem próżny! Cieszę się dlatego, że okazałem się dla pani kimś dostatecznie ważnym, by mnie namalować.

Maria zarumieniła się po same uszy. Nie mogła się oczywiście przyznać, że



namalowała ten portret dla siebie, a dopiero potem zrobiła kopię, by ją ofiarować Westowi na gwiazdkę.

—Stryj Albert też jest zdania, że ten portret mi się udał — powiedziała — i cieszę się, że się panu podoba.

A on znów całował jej dłonie, podczas gdy Albert Tomau rzekł ze śmiechem:

—Niech pan nie myśli, że tylko pan dostał prezent, mój panie. Dla mnie Maria też coś przygotowała. Proszę spojrzeć: zrobiła dla mnie na drutach ciepłą kamizelkę i czapkę, i szal, żebym się nie zaziębił. To prawdziwe dzieło sztuki! Skąd ona bierze na to czas? Dla panny Döring zrobiła na szydełku wspaniałą chustkę. Gospodyni wariuje z radości. Ale dla mnie zadała sobie najwięcej trudu. No, niech pan patrzy, co to za wspaniała robota!

Norman West spojrział na wełniany komplet starszego pana i powiedział z udanym oburzeniem:

—Tak, tak, widzę —jestem strasznie zazdrosny!

—Ależ, drogi przyjacielu—uśmiechnęła się Maria — zapomina pan, że ma pan prawie taki sam komplet, tylko w innym kolorze! Brałam z niego wzór.

—No tak, ale to nie to samo — mój komplet nie wyszedł spod pani ręki, a to zasadnicza różnica!

—Niechże pan nie będzie taki zazdrosny i nienasycony, mój panie — skarcił go żartobliwie Albert Tomau. — Pan ma portret, a ja mam wełniany komplet. Nie można mieć wszystkiego — mówił, zasłaniając sobą prezent.

Wszyscy troje roześmiali się, a Maria śmiała się po raz pierwszy od śmierci ojca. Widząc to, panowie przekomarzali się jeszcze przez chwilę, by podtrzymać jej dobry humor.

Wreszcie zasiedli do wieczerzy wigilijnej. Panna Döring przeszła samą siebie. W kryształowych kielichach połyskiwało wspaniałe, stare wino.

Maria starała się robić wesołą minę, by nie psuć świątecznego nastroju. Wigilia

upłynęła w harmonijnej atmosferze. Ale myśli dziewczyny zwracały się do ojca, którego wszak nie było już pośród żywych, i z trudem powstrzymywała łzy.

Było już bardzo późno, gdy Albert Tomau pozwolił pożegnać się Normanowi. Ten zaś tak usilnie prosił, że w końcu stryj obiecał przyjechać z bratanicą nazajutrz do Neurode na świąteczny obiad.

Nazajutrz Norman wysłał sanie po swych gości. Albert Tomau z Marią byli na obiedzie, na herbacie, a nawet zostali na kolacji. Norman ugościł ich tak wspaniale, że starszy pan czuł się u niego jak u siebie w domu.

—Nie myślałem, że nowoczesnymi meblami można tak przyjemnie urządzić dom — zauważył.

—Gdy się nie jest szczęśliwym posiadaczem starych stylowych mebli, tak jak pan, to trzeba się zadowolić nowoczesnymi. Bardzo lubię piękno, ale postawiłem bardziej na funkcjonalność, wystrzegając się przesady.

—W każdym razie, te fotele klubowe są bardzo wygodne. Chciałbym mieć dwa takie w bibliotece. Niechże pan zechce łaskawie zamówić u swego dostawcy te dwa wspaniałe meble dla mnie, pasują do mnie jak ulał. W domu nie mam żadnego krzesła, na którym mógłbym usiąść bez obawy, że się rozleci.

Norman West obiecał sprowadzić fotele.

Marii przypomniała się pierwsza wizyta w Neurode z ojcem. Starła się ukryć ból, ale Norman czuł dobrze, że Maria cierpi.

## XVII

Minęła zima. Wiosną Albert Tomau i Norman West mieli mnóstwo pracy w polu. Ten ostatni spędzał zaledwie godzinkę wieczorem w Weidenhofie, ale nie

omieszkał przyjeżdżać codziennie, mimo iż bardzo poważnie traktował gospodarskie obowiązki.

W marcu stryj podarował Marii wierzchowca i Norman zgodził się uczyć ją jazdy konnej. Maria była zdolną uczennicą i wkrótce mogła już towarzyszyć stryjowi, gdy jeździł doglądać prac w polu. Stryj zabierał ją sobą, by się wszystkiego nauczyła i — gdy kiedyś odziedziczy po nim majątek — nie była nowicjuszką w tej dziedzinie. Mogła wprawdzie liczyć na umiejętności rządcy i panny Döring, poza tym Albert Tomau był przekonany, że Norman West ożeni się z jego bratanicą, ale na wszelki wypadek chciał, by Maria umiała samodzielnie prowadzić gospodarstwo.

Maria bardzo się starała. Nie podejrzewała, że stryj robi to dlatego, bo uczynił ją swoją spadkobierczynią. Nie umiała wyobrazić sobie teraz życia bez stryja Alberta. Był taki zdrowy i rześki, że nie przychodziło jej do głowy iż mógłby umrzeć przed nią, choć był od niej o ponad trzydzieści lat starszy.

Z wolna ból po stracie ojca przycichał. Maria często jeszcze myślała o nim ze smutkiem i głęboką wdzięcznością, ale rana, jaką zadała jej sercu jego śmierć, z czasem się zablizniała.

Albert Tomau był teraz o wiele bardziej zrównoważony i spokojny toteż nie traciła nadziei, że kiedyś będzie mogła mu wyznać wszystko.

Nie podejrzewała, że stan jego zdrowia nie był tak dobry, jak wskazywał na to wygląd. Norman West miał pod tym względem bystrzejsze oko i często z lękiem patrzył, jak starszy pan raczy się ciężkimi winami ze swej piwnicy i pali jedno cygaro po drugim. Przez wszystkie lata pustelniczego życia nie miał innych przyjemności i teraz trudno mu się było odzwyczaić. Ale to się kiedyś musiało źle skończyć. Norman West pragnął go ostrzec ale nie miał odwagi.

Nadszedł czerwiec. Łąki pokryły się kwieciami, a oczy Marii spoglądały coraz weselej na ten piękny świat.

Norman West gorąco pragnął ożenić się z Marią, a widząc, że ból po stracie ojca nie jest już tak dotkliwy, myślał z drżeniem, że chwila ta jest być może niedaleka.

Ale nim przyszło do rozstrzygającej rozmowy, los wdał się w to po raz wtóry.

Było to pewnego pięknego poranka w końcu czerwca. Maria pomagała stryjowi doglądać prac polowych. Stryj był od rana rozdrażniony i zły, ale Maria miała nadzieję, że mu ten zły humor minie na świeżym powietrzu.

Gdy przyjechali na pole, okazało się, że robotnice rolne nie wykonały polecenia, jakie im wczoraj wydał. Chodziło o jakąś pilną pracę, której zaniedbanie mogło przynieść znaczne szkody.

Albert Tomau, sam będąc niezwykle obowiązkowy, rozgniewał się i robił z tego powodu gwałtowne wymówki. Robotnice zaś, które za jego plecami pokpiwały z „wroga kobiet”, roześmiały mu się w twarz. Albert wpadł w szal, odchodząc wprost od zmysłów, wymyślał robotnicom w najgorszych słowach, miotał się po polu, wywijał pejczem. Oстрыm głosem zaczął wołać, że wszystkie kobiety powinno się kamienować, gdyż są to niewierne bestie bez czci i honoru. Nie mógł się uspokoić.

Maria, siedząc na koniu, ujrzała nagle z przerażeniem, że stryj zachwiał się i runął na ziemię jak zwalone drzewo. Spiesząc stryjowi na pomoc, sama o mały włos nie doznała obrażeń: stopa jej utknęła w strzemieniu, a klacz przerażona nerwowymi krzykami obecnych, rzuciła się gwałtownie w bok. Sytuacja była niebezpieczna. Na szczęście jeden z robotników pochwycił i przytrzymał konia za uzdę. Uwolniwszy stopę ze strzemienia, Maria, blada jak trup, podbiegła do leżącego stryja. Strwożeni robotnicy otoczyli go ciasnym kręgiem. Maria pochyliła się nad stryjem. Jego twarz nabiegła krwią, szeroko otwarte oczy — oczy nieboszczyka — patrzyły nieruchomo.

Nie zdając sobie sprawy z sensu swoich gestów, odruchowo pogładziła jego powieki, by je zamknąć.

—Stryju Albercie! Kochany stryju Albercie! —szeptała przerażona.

Ale jego ciało leżało sztywno i ciężko na ziemi; nie mógł jej już słyszeć.

Maria podniosła głowę; robotnicy wbili w nią przerażony wzrok.

—Rządcę i pana z Neurode! — krzyknęła ochrypłym głosem.

Zrozumiano ją, dwaj ludzie rzucili się spełnić polecenie.

Rządca był w pobliżu. Zeskoczył z konia i pochylił się nad swym panem, którego głowa spoczywała na kolanach Marii. Od jednego spojrzenia wiedział, że ma przed sobą zwłoki!

— Henryku, weź konia. Dzwonź po doktora Bernharda, niech przyjeżdża natychmiast! — rozkazał chłopakowi.

Rządca pomógł Marii się podnieść.

— Proszę się uspokoić, jaśnie panienko, tu już nic nie da się zrobić, nasz pan nie żyje. Jak to się stało?

Maria nie mogła mówić; kilku świadków opowiedziało zdarzenie, a robotnice, czując się winne, zawodziły rozpaczliwie.

Rządca rozkazał związać dwie drabiny, które były pod ręką. Wymoszczono je świeżo skoszoną trawą i ułożono na nich ciężkie ciało Alberta Tomaua.

Rozpacz chwyciła ją za gardło, lecz pomagała układać, jakby pragnąc dopilnować, by jej stryj leżał wygodnie. Nadludzkim wysiłkiem woli nakazała sobie spokój. Gdy robotnicy podnieśli zaimprovizowane nosze ze zwłokami, Maria wskoczyła na konia i pojechała przodem, by przygotować wszystko na przyjęcie zmarłego.

Drżąc jak w febrze, zsunęła się z konia prosto w ramiona panny Döring i nieskładnie zdała relację.

Panna Döring zbladła jak trup, łzy potoczyły się ciurkiem po jej okrągłych policzkach. Stara służąca nie mogła się uspokoić. Wtedy i w duszy Marii pękła tama i z oczu jej trysnęły gorzkie łzy.

Obie kobiety, płacząc, przygotowały śmiertelne łoże dla Alberta Tomaua.

Lekarz przyjechał samochodem Normana Westa, który ten natychmiast wysłał do miasta, gdy tylko zameldowano mu o nieszczęściu. On sam przybył konno

prosto z pola. Był wstrząśnięty, gdyż szczerze polubił starszego pana. Maria wysła mu naprzeciw z twarzą zapłakaną, ściągniętą bólem. Norman próbował ją pocieszać, ale Maria wciąż jeszcze nie mogła uwierzyć w to, co się stało. Czyż to możliwe, by tak silny, zdrowy mężczyzna umarł w przeciągu kilku sekund? Za ledwie przeboleła śmierć ojca, a tu już i wuj opuścił ją na zawsze. Nie mogła przeboleć, że stryj zmarł w wyniku zwykłego napadu złości.

—Na tym polegała jego choroba — pocieszał ją Norman. — Gdyby był tak zdrowy, jak pani myśli, nie miałby tych ataków.

Lekarz stwierdził śmierć od udaru mózgu.

West był rozgoryczony, że znów musi odłożyć ubieganie się o rękę Marii. Wyrzucał sobie, że wcześniej z nią nie porozmawiał. Gdyby był teraz jej oficjalnym narzeczoną, mógłby dla niej zrobić o wiele więcej.

Gdy minęło pierwsze wzburzenie i w całym domu zapanowała uroczysta cisza, Norman i Maria usiedli w salonie, by omówić kilka spraw

—Czy pani nie wie, kto jest spadkobiercą pani stryja? Kto odziedziczy Weidenhof?

—Nie zastanawiałam się jeszcze nad tym.

—Pytam dlatego, że może należy kogoś zawiadomić o śmierci pana Tomaua. Czy miał innych krewnych?

—Nie, ojciec ze stryjem często wspominali, że my troje jesteśmy ostatnimi z rodu Tomauów. Nie mamy też krewnych noszących inne nazwisko.

—W takim razie pani odziedziczy dobra.

—Ja? —podniosła na niego zdumiony wzrok. —To wykluczone.

—Dlaczego?

—Nie wiem. Wydaje mi się to nie do wiary.

—Nie wie pani, czy stryj zostawił testament?



—Nie! Ale zaraz — tak, przypominam sobie, panna Döring wspominała mi, że stryj sporządził testament.

Norman chwycił ją za rękę i pochyliwszy się, patrzył jej gorączkowo w oczy.

—Mario — czy pani nie rozumie, że nie zniósłbym, gdyby pani musiała opuścić Weidenhof, gdybym nie mógł pani widywać codziennie, rozmawiać z panią?

Maria ocknęła się z zamyślenia. Po raz pierwszy zwracał się do niej po imieniu. Patrząc na niego błagalnie, wyszeptała:

—W domu leży zmarły, nie wolno nam o tym zapominać.

—Nie, nie, nie zapominam o tym — powiedział Norman, przyciskając jej dłoń do ust. — Tyle czekałem, aż pani przeboleje stratę ojca, a teraz, nie chcę się zachowywać niestosownie, ale proszę mnie zrozumieć. Nie należę do ludzi cierpliwych, a musiałem czekać tak długo. Proszę powiedzieć choć jedno słowo, Mario, bym przestał się martwić, że panią utracę, nawet gdyby testament stryja wypędził panią z Weidenhofu. Proszę mi obiecać, że nie odejdzie pani stąd, nie dając mi szansy, bym panią zatrzymał.

Usta jej drżały, zbladła jak ściana, gdy wymówiła stłumionym głosem:

—Jeśli pan tego pragnie, pozwolę się zatrzymać. Lecz przedtem trzeba jeszcze tyle wyjaśnić, a teraz nie czas po temu.

Norman znów przycisnął jej dłoń do ust.

—Wiem, że intencją zmarłego, który i mnie był drogi, było, bym się panią opiekował. Ja poczekam, Mario, teraz już mogę czekać. Ach, Mario!

W jego słowach było tyle gwałtownej miłości, że Maria musiała zamknąć oczy. Wolno i z wahaniem wysunęła dłoń z jego dłoni i pogłaskała go po włosach. Norman pod wpływem tej nieśmiałej czułości uspokoił się. Patrząc Marii w oczy, powiedział poważnie:

—Jako pani przyjaciel i przyjaciel zmarłego stryja, pozwolę sobie zająć się pani sprawami jak własnymi. Załatwię wszystko, co potrzeba, proszę się o nic nie

martwić.

—Dziękuję. Nikomu nie ufam tak jak panu.

Norman pożegnał się. Jemu też potrzebny był teraz spokój. A w jej obecności to było niemożliwe.

Maria odprowadziła go wzrokiem. Odetchnęła z ulgą. Choć ten jeden ciężar będzie teraz mogła zrzucić z serca. Skoro nie musi już martwić się o stryja, wyzna Normanowi Westowi, że była zamężna i że jej mąż się z nią rozwiódł. I nagle ogarnął ją lęk. Co wtedy? Czy będzie ją nadal kochał, czy też jego miłość minie pod wpływem tych wyznań? Serce jej biło z niepokojem. Nie będzie jej łatwo o tym mówić, wiedziała bowiem, że nie przeżyłaby, gdyby się od niej odwrócił.

W obecności notariusza otwarto testament zmarłego i Maria dowiedziała się, że jest jedyną spadkobierczynią stryja, jako że ojciec już nie żył. Cały majątek Weidenhof z żywym i martwym inwentarzem, jak również ogromna suma w gotówce, należały teraz do niej. Co się tyczy rządcy i panny Döring, to otrzymali oni znaczne zapisy. Ponadto, zgodnie z ostatnią wolą zmarłego, mogli pozostać w majątku tak długo, jak chcieli.

Wszyscy służący mieli otrzymać jednorazowo wypłaty w wysokości rocznej pensji; prócz tego zmarły wyasygnował odpowiednie środki na budowę szkoły w gminie Neurode.

Maria była bardziej przestraszona niż ucieszona z tego ogromnego spadku. Kręciło jej się w głowie na myśl o prawach i obowiązkach, jakie dla niej stąd wynikały.

—Jeśli pan mi nie pomoże — mówiła do Normana Westa z pobladłą twarzą — oswoić się z moją nową sytuacją życiową, to nie wiem, co zrobię.

—Nie trzeba się bać, to wszystko przyjdzie samo. Jestem oczywiście do dyspozycji pani. Ale niepotrzebnie się pani boi. To wszystko wydaje się pani takie straszne, gdyż przyszło tak nagle. Właściwie mogła się pani spodziewać, że stryj zabezpieczył pani przyszłość.

—Owszem, czasem mówił mi, żebym się nie martwiła. Ale nie zastanawiałam się, co to znaczy. I teraz nagle zostałam właścicielką takiego majątku! To dla mnie bardzo trudna sytuacja.

—Ma pani przecież nie tylko mnie, swego oddanego przyjaciela, ale także dobrego rządcę i równie dobrą gospodynię. Oni oboje tak zrosli się z majątkiem, że na pewno nie opuszczą pani w potrzebie. Niechże się pani nie martwi; wypada się pani raczej cieszyć, że i po śmierci stryja doznaje pani dowodów jego miłości.

Norman West wziął na siebie ciężar najpilniejszych obowiązków, by pomóc Marii, a rządcą i panna Döring nie pozostawali w tyle. Stopniowo wszystko zaczęło iść znów normalnym torem. Maria uspokoiła się, nabrała pewności siebie i nie przestawała w duchu dziękować stryjowi za jego przewidującą dobroć.

Kuzyni pogrzebani byli obok siebie. Maria miała teraz dwa groby, i często tam dumiała w samotności.

Trzeba było wiele spraw załatwić, wyprostować. Musiała pojechać do miasta, by załatwić sprawy spadkowe. Norman West chciał jej towarzyszyć, ale odmówiła.

—Muszę się nauczyć samodzielności, a pan ma tyle pracy. I tak robi pan dla mnie zbyt wiele — wzbraniała się.

—Nie wyobrażam sobie, bym mógł lepiej wykorzystać swój czas niż służąc pani —odparł.

Ale nie nalegał, prosząc tylko, by wzięła jego samochód, aby nie musiała jechać koleją.

Nie wiedział, że Maria nie zgodziła się, by jej towarzyszył, bo w urzędzie musiało przecież wyjść na jaw, że jest rozwiedziona.

Była zadowolona, że znów nosi nazwisko ojca. Dzięki temu w mieście wszystko poszło gładko.

Pewnego dnia, gdy w majątku przebywał akurat Norman, a umiał sprawić, by zawsze mieć tam coś do załatwienia, Maria otrzymała pismo urzędowe.

—Chyba przez pomyłkę list adresowany jest do pani zamiast do panny Tomau

— powiedziała panna Döring, oddając Marii druk.

Maria zarumieniła się po same uszy i bez słowa wzięła od służącej list.

Jakże pragnęła wyznać wreszcie wszystko Normanowi. Ale zarazem paniczny strach chwycił ją za gardło, że może go stracić, i znów milczała.

Z dnia na dzień nasilały się jej obawy. Wmawiała sobie, że będzie dość czasu na wyznania, gdy Norman poprosi ją o rękę. Bała się utracić nadzieję, że miłość Normana wytrzyma gorzką prawdę.

Popadała w rozpacz, myśląc o tym, jak bardzo los doświadcza rozwiedzione kobiety. I wciąż odsuwała spowiedź na później.

## XVIII

Był początek sierpnia. Słońce prażyło mocno. Ze stacji Neurode szedł do wsi mężczyzna w znoszonym ubraniu, noszącym ślady dawnej elegancji. W ręku miał małą walizeczkę. Był to Herbert Lassberg, były mąż Marii.

Przeżył niejedno od chwili, gdy John Sweeft wsadził go na statek płynący do Europy. Otrzymane wówczas pięćset dolarów w mig przeciekło mu przez palce, pożyczął więc, od kogo mógł. Nadal nie miał zamiaru pracować.

Ale gdy wszystkie źródelka dochodów wyschły, postanowił odwiedzić byłą żonę i teścia. Inflacja wygasła i kto wie, może teść uratował jednak część majątku? Z natury próżny, wyobrażał sobie, że Maria może go jeszcze kocha i przyjmie z otwartymi ramionami, jeśli się odpowiednio postara. Miał nadzieję znaleźć u niej azyl przynajmniej na pewien czas, póki nie stanie na nogi.

Pewnego dnia wybrał się do ich dawnego mieszkania, święcie przekonany, że przy okazji odwiedzin u swej byłej żony coś zawsze uzyska.

Od dozorczy dowiedział się, że Maria już przed rokiem wyprowadziła się wraz z

ojcem do majątku krewnego, pana Tomaua. Gdy Herbert zaczął wypytywać dozorcę o szczegóły, zjawiała się jego córka, Małgosia, „Rusałka” z obrazu, i opowiedziała Herbertowi, że pan Tomau pojechał z córką do bogatego krewniaka i że powodzi im się bardzo dobrze. Jaśnie pani pisała zeszłej zimy, że mieszka w przepięknym majątku.

Herbert Lassberg chciwie łowił każde słowo, wreszcie spytał dziewczynę, czy przypadkiem nie ma adresu. Mała pogrzebała w rupieciach i wyjęła list. Na odwrocie był adres nadawcy, który Herbert Lassberg skrzętnie sobie zanotował.

Opuściwszy kamienicę, miał gotowy plan. Tak, to by mu odpowiadało, siedzieć sobie w majątku i o nic się nie martwić! Dziwne, że nigdy nie słyszał o tym bogatym kuzynie. Ale cóż to szkodzi spróbować, a może go tam przyjmą? Maria nie będzie zbyt twarda, a ojciec tańczy, jak ona mu zagra. Jeśli go nie przyjmą, spróbuje wydostać od nich chociaż trochę gotówki. Maria była zawsze poczciwa, a... że ją łatwo w sobie od nowa rozkocha, tego był pewien.

Ostatnie chude miesiące pozbawiły tego człowieka resztek honoru, tak iż był już tylko nędzną kreaturą, biorącą bez skrępowania wszystko, co mu się nawinie pod rękę.

Zebrawszy więc ostatnie grosze, pojechał do Neurode.

Przybył do wsi w ostatnim ubraniu na grzbiecie, nie mając ani grosza w kieszeni, a w kuferku tylko trochę znoszonej bielizny.

Pierwsze kroki skierował do jedynej gospody we wsi i siedząc przy skromnym posiłku, przysłuchiwał się rozmowie chłopów przy sąsiednim stoliku.

—Gadaj zdrów, a mnie się widzi, że z panny Tomau będzie akuratywny gospodarz. Rządca gada, że ona o wszystko pyta i o wszystko się troszczy

mówił jeden.

—Jakże, jak Pan Bóg daje stanowisko, to i daje rozum! A jaki to spadek jej się dostał, oj, nie ma co mówić!

—Niby komu by się miał dostać? Jej ojciec to jedyny krewniak nieboszczyka.

A po jego śmierci została już tylko panna Maria. Nieboszczyk pan na Weidenhofie miłował ją jak własne dziecko.

—Tak czy tak, majątek wspaniały, a konkurentów ino patrzeć. A ładna ci jest, że ech! Sam by człek w konkury uderzył!

Towarzysze roześmieli się.

—Pewnie, na ciebie czeka, ty barania głowo! Ten z Neurode ją capnie. Już ci on tam nikogo nie dopuści. Póki była biedna, to mu się i nie opłacało, ale teraz — to bogaczka, a majątki po sąsiedzku, jest się o co bić.

—Ale się ona może zacząć namyślać. To kapryśna paniusia. A czas jej do ożenku, bo już i dawno po dwudziestce musi. Aby się ino starą panną nie została, jako nieboszczyk stryj kawalerem był! To zaraźliwa choroba.

Tak rozmawiali między sobą chłopci, a Herbert Lassberg pilnie nadstawiał ucha. Najważniejsze dla niego było to, że jego żona podawała się tu pannę i że odziedziczyła bogaty spadek.

Wprawiło go to w stan nerwowego podniecenia. Do diabła, co z niego za głupiec, że się dał skusić Gladys Boverley i opuścił żonę! Żeby się by chociaż nie rozwiódł! Siedziałby sobie teraz w Weidenhofie i byłby paniskiem!

Ale to się jakoś załatwi. Pokaja się, odegra rolę uwiedzionej ofiary okaże głęboką skruchę. Zdarza się przecież, że rozwiedzione małżeństw pobierają się na nowo. Trzeba się tylko zręcznie zabrać do dzieła i na nowo obudzić w niej miłość. Dla takiego faceta jak on to fraszka. Dobrze si stało, że jej ojciec już nie żyje, o jedną przeszkodę mniej! Maria była kiedy śmiertelnie zakochana, choć ostatnio udawała nieprzystępną. Po prostu za bardzo ją zaniedbał. Teraz to nadrobi, owinie ją sobie dookoła palca.

Zamieszkał w gospodzie. Dano mu skromną mansardę, ale przecież to tylko na krótko. Pokój był bardzo tani, a poza tym nie miał wyboru. Nie mógł przecież od razu udać się do majątku; trzeba wpierw rozeznąć sytuację.

Po wyjściu chłopów pociągnął za język właściciela gospody, który był dobrze



zorientowany w stosunkach panujących w Weidenhofie. Służba ze dworu popijała u niego w soboty, gdy we wsi urządzono tańce. Herbert Lassberg z zapartym tchem przysłuchiwał się plotkom właściciela gospody nie zdradzając, że ma szczególne powody, by go wypytywać. A szynkarz był zadowolony, że ma się przed kim wygadać.

—Więc mówi pan, że nowa dziedziczka jest panną? — spytał Lassberg obojętnie.

—Na razie, ale to się wkrótce zmieni. Póki była biedną dziewczyną, pies z kulawą nogą się o nią nie zatroszczył, ale teraz konkurenci zaczną walić drzwiami i oknami.

Herbert Lassberg wiedział już wszystko, co chciał. To jasne, że Maria zataiła, iż była kiedyś mężatką. Musiała mieć powód po temu; pewnie chodziło o jakieś fanaberie stryja. Dla niego była to bardzo ważna okoliczność. Ta wiadomość mogła mu się przydać. Najpierw sprawdzi, pod jakim nazwiskiem Maria jest tu zameldowana. Jeśli zameldowała się jako panna Maria Tomau, popełniła przestępstwo. Będzie ją mógł szantażować, gdyby wzbraniała się przywrócić go do łask jako swego męża.

Gdy nazajutrz gospodarz zażądał wypełnienia formularza meldunkowego, Herbert Lassberg rzekł niespodziewanie:

—Niech się pan nie trudzi, ja sam się zamelduję. Dokąd mam się udać?

Oberżysta wskazał mu drogę i Lassberg udał się do urzędu gminnego. Wciągnąwszy naiwnego urzędnika w rozmowę, spytał mimochodem:

—Ale, ale, czy przypadkiem nie zameldowała się tu w ostatnich latach niejaka pani Lassberg?

—Lassberg? Nie, pan jest pierwszym człowiekiem o tym nazwisku w naszej gminie. W ogóle rzadko tu przyjeżdżają obcy.

—Jest pan pewien? Szukam zaginionej krewnej, która podobno mieszka gdzieś w tych okolicach. Dlatego tu przyjechałem.

—Jestem pewien, ale żeby pana uspokoić, pokażę panu księgę meldunkową.

Lassberg przejrzał księgę i nie znalazł tego, czego szukał.

—A majątek Weidenhof też należy do gminy Neurode? — pytał dalej.

—Pewnie, ale tam od lat mieszka tylko jedna kobieta, panna Zofia Döring. Dopiero rok temu wprowadziła się obecna pani na włościach, ale nazywa się tak samo jak poprzedni właściciel, Tomau. Panna Maria Tomau to jego bratanica.

Herbert Lassberg szybko zmienił temat, jakby tamta sprawa zupełnie go nie interesowała. Zadowolony wrócił do gospody. I tam pozwolił sobie na luksus założenia czystego kołnierzyka. Wyszczotkował też porządnie jedyny garnitur.

Święcie przekonany, że wciąż jeszcze jest zabójczo przystojnym mężczyzną, któremu z łatwością przyjdzie pogodzić się z obrażoną żoną, udał się do Weidenhofu.

Pogrążony w rozmyślaniach, rozważając swoje szanse, szedł przez las, kierując się ku polanie, na której Maria kiedyś malowała obraz dla stryja. Wtem stanął jak wryty. Tam przy źródelku, na omszałym kamieniu siedziała młoda, szczupła dama w eleganckiej sukience z czarnego jedwabiu. Kobieta nie miała kapelusza i nawet nie widząc jej twarzy, Herbert Lassberg natychmiast rozpoznał po złocistym odcieniu włosów swoją byłą żonę. Siedziała pochylona, z rękoma na kolanach, jakby przysłuchując się pluskowi strumienia. Była tak pogrążona w myślach, że nie słyszała kroków Lassberga.

Przez chwilę stał nieruchomo i przyglądając jej się badawczo myślał, że lepiej porozmawiać z nią tu, w lesie, bez świadków. Podkrał się do niej od tyłu i zatrzymał tuż za nią.

—Mario! — powiedział drżącym głosem, jakby wzruszenie ścisnęło go za gardło. Nie udawał; ta młoda, piękna kobieta stała się dla niego znów godna pożądania.

Maria odwróciła się gwałtownie i popatrzyła na niego przerażona. Potrzebowała czasu, by zebrać myśli, gdyż wszystkiego by się spodziewała, tylko nie tego,

że zjawi się tu nagle Herbert Lassberg. Myślała, że od dawna jest już mężem Gladys Boverley i mieszka w Ameryce. Z jej pobladłych warg nie padło ani jedno słowo, toteż Herbert Lassberg dalej grał swoją rolę.

—Mario, kochana, droga Mario, przestraszyłem cię, nie spodziewałaś się mnie tutaj spotkać. Wybacz! Tęsknota za tobą gnała mnie po świecie i wreszcie cię znalazłem. Myślałem, że potrafię się od ciebie uwolnić, Mario, ale szybko przekonałem się, że nasza miłość jest silniejsza od wszystkiego. Tęsknota przygnała mnie tutaj.

Maria zdążyła się pozbierać na tyle, by móc mówić.

—W każdym razie zbyt późno doszedłeś do tego wniosku — powiedziała, prostując się dumnie — mogłeś więc oszczędzić sobie i mnie tego spotkania. Nie mamy sobie nic do powiedzenia.

—Więc tak mówi do mnie moja Maria? Więc potrafisz być taka okrutna? — mówił słodko.

—Przestań, skończ tę scenę! Chcę zostać sama —powiedziała zimno.

W jego oczach pokazały się złe błyski, ale postanowił wytrwać w roli skruszonego kochanka.

—Nie możesz mnie tak surowo karać za chwilowy poryw zmysłów, który nie miał nic wspólnego z uczuciem. Zrozumiałem, że nie mogę żyć bez ciebie. Bądź dobra, Mario, bądź wyrozumiała! Przebacz i zapomnij ból, który ci zadałem. To była okrutna i tragiczna pomyłka. Bądź znów mą ukochaną, uwielbianą żoną. Nigdy więcej nie rozstanę się z tobą. Ta Amerykanka musiała mnie zahipnotyzować; jak mogłem się zapomnieć choćby na chwilę? To było jak choroba, Mario, ale sercem pozostałem ci wiemy. Bądź miłosierna, kocham cię bardziej niż kiedykolwiek i wiem, że tylko z tobą mogę być szczęśliwy.

Na jej twarzy odmalował się wyraz pogardy. Jak mogła dawniej nabierać się na te fałszywe tony?

—Jestem pewna, że zrozumiałeś to wszystko, gdy się dowiedziałeś, że moja

sytuacja materialna się poprawiła. Inaczej na pewno byś nie przyszedł, znam cię dobrze. Ale między nami wszystko skończone. Nie jestem już głupiutkim dzieckiem, które mogłeś wodzić za nos. Skończ tę przykrą scenę, nie mamy sobie nic do powiedzenia. Zostaw mnie i nigdy więcej nie pokazuj mi się na oczy. Mam dla ciebie tylko pogardę.

Herbert Lassberg zrobił skruszoną minę. Jeszcze nie dawał za wygraną.

—Mario, nie możesz być taka okrutna! Czy zapomniałaś już o wszystkim, co było między nami, o tych dobrych godzinach spędzonych razem?

—Milcz! — krzyknęła, nie panując nad sobą. — Nie przypominaj mi o tym, o czym usilnie chcę zapomnieć, o hańbie, jaką na mnie sprowadziłeś. Moja duma jeszcze dziś cierpi z tego powodu, że zostałam żoną człowieka bez czci i honoru. Odejdź, zostaw mnie, nie mogę znieść twojego widoku!

Zraniona duma, wspomnienie poniżenia, jakiego doznała, wzburzyły ją. Lassberg wytłumaczył sobie opacznie jej zdenerwowanie. W swej niesłychanej próżności wyobraził sobie, że na dnie serca ona jeszcze nie przestała go kochać i że gwałtownością reakcji chce pokryć swą słabość. Pomyślał, że wygra, jeśli śmiało ruszy do ataku. Wystarczy wziąć ją w ramiona, a zaprzestanie oporu i podda się zmysłom.

—Mario, zlituj się, usycham z tęsknoty za tobą! — wykrzyknął, rzucając się przed nią na kolana i próbując objąć ją i pocałować.

Niespodziewanie z drugiej strony na polanę wyszedł Norman West i stanął jak wryty. Nagle usłyszał kizyk Marii, zobaczył, że obcy mężczyzna, którego twarzy nie mógł dostrzec, rzuca się przed nią na kolana i próbuje ją objąć. Widział, że Maria broni się przed nim z całych sił, wyrywając się z jego objęć. Przemknęło mu przez głowę, że wspominała mu kiedyś o mężczyźnie, który odegrał w jej życiu brzydką rolę. Słyszał, jak obcy woła ją po imieniu. Kilkoma skokami znalazł się przy nich i odepchnął klęczącego mężczyznę.

—Proszę się nie bać, jest pani pod moją opieką. Nauczę rozumu tego bezczelnego łajdaka — powiedział, odwracając się do Herberta Lassberga.

Tamten zerwał się z ziemi i wlepił wzrok w twarz Normana. Wyraz nienawiści zniekształcił jego piękną twarz, gdy wybuchnął:

—Na co pan sobie pozwala, panie West! Nie jesteśmy w Ameryce i pan tu nie ma absolutnie nic do szukania. Niech się pan nie wtrąca w cudze sprawy, ta dama jest moją żoną!

Norman West zachwiał się, jakby go ktoś zdzielił obuchem po głowie. Cofnął się o krok, patrząc na Marię przerażonym wzrokiem.

—Nie, nie, proszę powiedzieć, że to nieprawda, to nie może być prawda! — zawołał ochryłym głosem.

Maria była jak sparaliżowana, nie mogła znieść jego spojrzenia. Była wstrząśnięta, że Norman w taki sposób dowiedział się o jej tajemnicy. Była tak zdenerwowana, że nie przyszło jej do głowy, iż Norman ze słów Lassberga musiał wywnioskować, że ona jest wciąż zamężna. Myślała tylko o jednym: że Norman West przekonał się, iż go okłamała udając pannę. To, że dowiedział się o tym w takich okolicznościach, że nie wyznała mu tego sama, paraliżowało jej rozum i wolę. W niemej rozpaczycy ukryła twarz w dłoniach.

A Norman West zrozumiał tylko jedno: że Maria milczy, że nie nazwie kłamcą tego człowieka, którego nikczemność znał tak dobrze. A więc to był ten człowiek, o którym mu mówiła, i miał do niej prawa, prawa małżonka!

Herbert Lassberg wykorzystał milczenie dwojga nieszczęśliwych zakochanych.

—Niech pan mi wreszcie pozwoli porozmawiać z moją żoną! Po długiej rozłące mamy sobie wiele do powiedzenia i to bez świadków! — powiedział hardo.

Norman West raz jeszcze spojrzął na Marię, która siedziała drżąca, niepomna na to, co się wokół niej dzieje, ukrywając twarz w dłoniach. Serce mu się skurczyło z bólu. Roześmiał się chrapliwie, bez słowa odwrócił się i odszedł.

Maria nie słyszała, kiedy Norman odszedł. Z całych sił walczyła z ogarniającą ją rozpaczą, aż pokonała ją. Podniosła głowę. Miejsce, gdzie przed chwilą stał

Norman West, było puste. Zerwała się z kamienia i wyciągnęła ręce do niego. Ale Norman West już dawno zniknął między drzewami.

Herbert Lassberg, pewny zwycięstwa, podszedł i znów chciał ją objąć. Duma i rozpacz dodały jej sił; odepchnęła go tak, iż zachwiał się i o mało nie upadł. Patrzyła na niego bez lęku, w oczach jej płonął gniew.

—Jeśli jeszcze raz poważysz się mnie dotknąć, zawołam moich ludzi, którzy są tu niedaleko! — krzyknęła, patrząc na niego z pogardą i wstrętem.

Herbert Lassberg zrozumiał wreszcie, że nie pokona oporu Marii. Przyszło mu na njiśl, że ma to związek z Normanem Western. Dziwne, skąd on się tu wziął, powinien być teraz w Ameryce. A potem przypomniało mu się, że chłopci w gospodarstwie mówili coś o jakimś Amerykaninie, który kupił majątek Neurode, i łączyli go z Marią. Do diabła! Czy ten człowiek musi go wciąż prześladować? Ale jeśli Maria interesuje się nim, to rzeczywiście nie ma u niej czego szukać. Trzeba więc zagrać inną kartą.

—A więc odmawiasz przyjęcia mnie i życia ze mną jak z mężem? — spytał.

Maria podniosła bladą twarz, w której paliły się rozgniewane oczy.

—Mam dla ciebie tylko pogardę i wstręt! — powiedziała twardo.

Lassberg roześmiał drwiąco i przybrał bezczelną minę.

—Aha, ten sprytny Amerykanin zawrócił ci w głowie?

—To nie twoja rzecz! Mówię po raz ostatni, oddal się albo wezwę na pomoc ludzi. Wystarczy zagwizdać.

To mówiąc wskazała srebrny gwizdek, wiszący na łańcuszku na szyi. Był to ten sam gwizdek, którym posługiwał się Albert Tomau. Maria dobrze wiedziała, że żaden z jej ludzi nie usłyszałby gwizdka, ale postanowiła użyć podstęp.

Co do Lassberga, to ten był przekonany, że Marii zależy na tym, by go z nią nie widziano. Ale myśl, że w pobliżu mogą być jej robotnicy hamowała jego zapędy. Mimo to rzekł tonem pańskim i bezczelnym:



—Nie tędy droga, moja słodka. Nie boję się twoich ludzi. I nie mam zamiaru odejść, choć bardzo ci na tym zależy, prawdopodobnie z powodu tego Amerykanina, który udaje ubrońcę kobiet, nie mając do tego żadnego prawa. Z nim też się jeszcze policzę. Ale teraz załatwmy nasze sprawy. Pytam po raz ostatni, czy przyjmiesz mnie z powrotem jako swego męża?

Maria przetarła czoło gestem znużenia. Myślała i martwiła się tylko o Normana Westa. Wiedziała, jak głęboko go zraniła. Teraz dopiero uświadomiła sobie, jak Norman musiał zrozumieć słowa Lassberga. Była zła na siebie, że nie wyjaśniła mu, że nie ma już nic wspólnego z Lassbergiem, że jest wolna. Usłyszawszy pytanie, powiedziała zdławionym głosem:

—Wolę umrzeć!

Powiedziała to zupełnie bez wyrazu i właśnie dlatego słowa jej zabrzmiały bardzo przekonywająco.

—Nie umiera się tak łatwo! — roześmiał się Lassberg ochryłym głosem. —Wysłuchaj mnie. Znalazłem się w sytuacji, gdy jest mi zupełnie wszystko jedno, nie mam już nic do stracenia. Nie mam już nic, prócz masy długów, jestem w sytuacji bez wyjścia. I właśnie ty pomożesz mi znaleźć wyjście. Jesteś bogata, odziedziczyłaś ogromny spadek, a nie mówiłaś mi nigdy o tym bogatym stryжку. Żądam od ciebie znacznej sumy, bym mógł stanąć na nogi. Jeśli nie dasz mi pieniędzy, doniosę władzom, że jesteś zameldowana pod fałszywym nazwiskiem. Rozumiesz, że możesz mieć nieprzyjemności? To cię może kosztować spadek. O ile wiem twój stryj zapisał majątek pannie Marii Tomau, a ty jesteś panią Marią Lassberg.

Na szczęście mylił się, gdyż Maria, przejmując spadek, sprostowała swoje dane w urzędzie. Poza tym w testamencie była mowa, że spadkobiercą ma być kuzyn zmarłego, Jerzy Tomau, a po jego śmierci jego córka. Było więc najzupełniej obojętne, czy ta córka nazywa się Tomau czy Lassberg.

Maria nie zdradziła się z tym jednak, lecz myślała gorączkowo, jak się pozbyć Lassberga, obawiając się, że znów się na nią rzuci lub wymyśli nowe łotrństwo.

Przerażona jego nikczemnością, wpatrywała się w niego nieruchomym wzrokiem. Lassberg uznał, że Maria przestraszyła się jego pogroźek. Pewny zwycięstwa, odezwał się władcym tonem:

—A więc zdecyduj się! Zadowolę się stu tysiącami marek; to bardzo skromne żądanie przy twoim bogactwie. Nie zbiedniejesz od tego.

Maria była tak przybita i roztrzęsiona, że miała tylko jedno pragnienie: jak najszybciej uwolnić się od niego i znaleźć się w bezpiecznym miejscu. Wiedziała, że jest zdolny do każdego łotrostwa. Dał jej tego wystarczające dowody. Przemógłszy więc wstręt i pozwalając mu wierzyć, że przestraszyła się jego gróźb rzekła, siląc się na spokój:

—Trudno mi się teraz zdecydować, muszę się najpierw uspokoić. Przyślę ci wiadomość jutro o tej samej porze. Gdzie mam wysłać list?

W jego oczach pojawił się błysk triumfu. Teraz żałował, że nie zażądał więcej. Ale to się jeszcze da naprawić.

—Mieszkam w gospodzie we wsi Neurode.

—Dobrze. Dam ci znać. A teraz pozwól mi odejść. Jestem u kresu sił.

—A więc idź! Nie będę cię zatrzymywał. Ale pamiętaj: jeśli jutro do dwunastej w południe nie otrzymam pozytywnej odpowiedzi, spełnię swoją groźbę.

—Na pewno otrzymasz odpowiedź! — skinęła pospiesznie głową.

I odeszła, nie zaszczyciwszy go już ani jednym spojrzeniem. Idąc chwiała się, jakby była pijana, lecz stopniowo jej kroki nabierały pewności. Szła coraz szybciej, jakby uciekając przed czymś przerażającym.

## XIX

Norman West biegł, jakby ścigały go demony. Nie mieściło mu się w głowie, że kobieta, którą kochał z całego serca, była żoną innego — łotra spod ciemnej gwiazdy, tego samego, który w Nowym Jorku próbował wymusić na Gladys Boverley zgodę na małżeństwo. Oświadczenie Lassberga wstrząsnęło nim do tego stopnia, że ten roztropny mężczyzna nie mógł się pozbierać. Jedna myśl tłukła mu się po głowie: był zabawką w ręku Marii. Okłamywała go przez cały czas. Pozwoliła mu wierzyć w swą miłość do niego — tak, właśnie tak było. Uważał ją za niewinną dziewczynę, a ona tymczasem była żoną — żoną tego nędznika! Jak to możliwe?

Przypomniało mu się, że niegdyś u niego powiedziała, iż w jej życiu inny mężczyzna odegrał brzydką rolę, że ją oszukał, zdradził i porzucił, gdy zbiedniała. Po wpływie tego wspomnienia stanął jak wryty. Nagle zobaczył wszystko w innym świetle. A więc prawda była taka: mąż porzucił ją, gdy zbiedniała, a teraz powrócił, dowiedziawszy się zapewne, że znów jest bogata. To było podobne do tego łotra spod ciemnej gwiazdy, tego notorycznego szantażysty! Na pewno nic już dla niej nie znaczy, przecież krzyczała przerażona, gdy usiłował ją objąć. A on, Norman, uciekł, myślał tylko o sobie, zostawił ją samą z tym łobuzem, zdolnym do każdej podłości!

Przeraził się. Zawrócił i popędził z powrotem, gnany okropnym strachem o Marię. Czuł, że powinien jej bronić przed tym mężczyzną, choćby nawet był jej mężem.

Po tym, co słyszał, niepodobna było wątpić, że Maria wciąż jest żoną Herberta Lassberga, choć z drugiej strony, mówiła mu przecież, że ten mężczyzna nie ma już do niej żadnych praw.

Coraz bardziej niespokojny, dotarł wreszcie na polanę — nikogo nie było. Płonącym wzrokiem patrzył na puste miejsce, gdzie jeszcze przed chwilą siedziała Maria. Czyżby wróciła z mężem do Weidenhofu? Może się pogodzili? Jedno było pewne: nie potrzebowała go już, mógł wrócić do domu.

Wrócił wolno do Neurode, próbując rozwiązać dręczącą zagadkę i walcząc ze straszliwym bólem. Dopiero dziś zrozumiał naprawdę, jak bardzo kocha Marię —

tego dnia, gdy ją stracił. Czy to możliwe, by ona mogła w przyszłości wieść wspólne życie z tym mężczyzną? Jak to możliwe, że taki łobuz mógł mieć władzę nad kobietą, którą porzucił?

Skołowany, udręczony, wrócił do domu, poszedł do swego gabinetu i rzucił się z jękiem na otomanę. Stan ten nie licował z jego zwykłą energią i zaradnością, ale zupełnie opadł z sił. Rano, gnany tęsknotą, wyruszył do Weidenhofu. Czuł, że jego gorące pragnienie musi ją wywabić z domu i sprowadzić do źródelka, gdzie się spotkają. Obiecywał sobie, że rozmówi się z nią ostatecznie; dziś miał zamiar prosić ją, by nie kazała mu zbyt długo czekać, tylko zaraz została jego żoną. Był pewien, że Maria go kocha i chce do niego należeć. Z takimi myślami dotarł na polanę i zobaczył Marię... w ramionach obcego mężczyzny. Prawda, broniła się, była przerażona. Ale to był jednak jej mąż! Wszystkiego się spodziewał, tylko nie tego, że spotka Herberta Lassberga i że okaże się on mężem Marii.

Jaka była zmieszana, jak unikała jego wzroku, kryjąc twarz w dłoniach, gdy spytał czy to prawda! Nie odważyła się zaprzeczyć. Czuł, jak strasznie cierpiała, iż nie może zaprzeczyć.

Zaczął myśleć jaśniej i nie wierzył już, że bawiła się nim lekkomyślnie. Przecież czytał w jej oczach, że go kocha. Wtedy, w dniu śmierci Alberta Tomaua, gdy poniósł go temperament, Maria przypomniała mu tylko nieśmiało o tym, że jest to dom zmarłego i że trzeba jeszcze dużo wyjaśnić, ale pozwolił się zatrzymać, jeśli on tego zechce. Same zagadki! I pogłaskała go czule po głowie. Przecież mu się to nie śniło, to była prawda! Jakże szczęśliwy poczuł się pod wpływem tej trwożliwej pieśczoły! A teraz... teraz?

Jego myśli krążyły wokół tej zagadki, wracały wciąż do punktu wyjścia, pogłębiając ból. Co miał robić, co mógł zrobić? A jeśli było jeszcze coś do uratowania, jak miał to ratować? Zadawał sobie w kółko to pytanie. Myśl, że Maria pogodzi się z mężem, że będą żyli wspólnie w Weidenhofie, nie dawała mu spokoju, kazała chodzić niespokojnie po całym domu. Wydawało mu się, że powinien pojechać do Weidenhofu i zbić Lassberga jak wściekłego psa, i wyrzucić mu jego ofiarę.

Tak, ofiarę! Im dłużej się nad tym zastanawiał, tym większej nabierał pewności, że Maria musiała być ofiarą Lassberga. I on ma na to pozwolić, on, który ją tak kocha? Czy nie może przeszkodzić temu nędznikowi w dochodzeniu jego praw? Lecz jakim to sposobem? Prawo dawało mężczyźnie władzę nad żoną, zwłaszcza w Niemczech. On sam zaś nie miał do niej żadnych praw, choćby nie wiem jak ją kochał.

Ale patrzeć spokojnie na to, jak ktoś inny przywłaszcza sobie prawa do Marii, jakie on tylko pragnął mieć do niej, od pierwszej chwili, gdy ją poznał — nie, tego nie zniesie! Lepiej sprzedać Neurode i przenieść się w inne okolice.

Albo może lepiej wrócić do Ameryki, rzucić się w wir pracy, nie myśleć o niczym? To by była prawdziwa rozkosz — nie musieć myśleć o tym wszystkim.

Machnął niecierpliwie ręką. Czy mógłby kiedykolwiek zapomnieć o Marii! Był jak w gorączce, cierpiał niewysłowione męki.

Wreszcie podjął decyzję. Tak, wróci do Ameryki, gdy tylko się dowie, że Maria pogodziła się z mężem. A Neurode niech diabli biorą! Nigdy już tu nie wróci. Nigdy więcej nie zobaczy Marii.

I tak spędził wiele godzin w smutku i udręczeniu. Służba wezwała go na obiad — kazał wszystko wynieść, nie mógł jeść. Wychylił tylko kieliszek wina, gdyż czuł się fatalnie.

Jedno było pewne: jego życie jest złamane, gdyż — jak sądził — stracił Marię.

Maria również wróciła do domu w straszliwym podnieceniu. Ona też zamknęła się w swoim pokoju i rzuciła na otomanę. Ukryła twarz w dłoniach, jakby wciąż się jeszcze wstydziła. Co sobie o niej pomyślał Norman West? To, że odszedł tak cicho, świadczyło o tym, że ją osądził i odciął się od niej. Bała się mu wyznać, że była mężatką, a teraz jest rozwódką. Wciąż miała nadzieję, że będzie mu to mogła powiedzieć oględnie, błagając o przebaczenie. Tyle razy układała w myślach, co mu powie, wytłumaczy, że musiała milczeć ze względu na stryja. Gdy tak sobie to planowała, budziła się w niej nadzieja, że Norman przebaczy, że jego miłość będzie silniejsza i że wreszcie zazna szczęścia i spokoju u jego boku.

A teraz jej nadzieje legły w gruzach. Herbert Lassberg po raz drugi zniszczył jej życie. Teraz gdy dowiedział się o tym od Lassberga, Norman West nie przebaczy jej już. Prawdopodobnie — nie, na pewno odszedł z pogardą w sercu. Ale najgorsze było to, że zadała mu ból.

W podnieceniu nie zwróciła uwagi na to, że ci dwaj mężczyźni się znali, że już się kiedyś spotkali, bo od chwili gdy Norman zjawił się na polanie, straciła w ogóle zdolność logicznego myślenia. Wiedziała tylko jedno: że uważa ją teraz za kłamczynię i oszustkę.

Po jakimś czasie zaczęła się zastanawiać, co zrobić, by pozbyć się na zawsze swego byłego męża. Żądał pieniędzy, stu tysięcy marek. Dałaby mu je chętnie, by się od niego uwolnić. Ale wiedziała dobrze, że jeśli da mu te pieniądze, straci je i przyjdzie po następne — dopóki nie przepuści całego jej majątku. Znała go dobrze. To się nigdy nie skończy. Więc co robić?

Dumała i dumwała i jej myśli wciąż krążyły wokół sceny przy źródélku. I nagle zadrżała. A może Norman West wierzy, że ona jest wciąż żoną Lassberga? Tak, Boże drogi, oczywiście, że musi być o tym przeświadczony, przecież Lassberg wyraźnie mu to powiedział!

Zerwała się z otomany i patrzyła w przestrzeń jak w gorączce. Stała na środku pokoju i przyciskając dłonie do skroni, myślała:

Ach, my biedne, my biedne! Czy zawsze musimy milczeć, choć serce nam krwawi? Co kobieta może zrobić w takim wypadku? Czy ma cierpieć bez słowa skargi? Czy ma dopuścić, by ten mężczyzna, którego kocha ponad wszystko, źle i niesłusznie myślał o niej? Czy nie wolno jej nawet wyjąć ciernia, który sama wbiła w jego serce?

Wyprostowała się. W jej twarzy pojawił się wyraz zdecydowania. Wiedziała już, co jej wypada czynić.

W tej chwili rozległo się pukanie do drzwi i służący zameldował, że podano do stołu.

—Proszę wszystko zabrać, źle się czuję i nie będę jadła. Niech osiodłają konia,



posłaniec pojedzie zaraz do Neurode z listem do pana Westa.

Służący wyszedł. To polecenie bynajmniej go nie zdziwiło, wiedział, że jego pani i pan West mają zawsze jakieś sprawy gospodarcze do omówienia.

Tymczasem Maria usiadła przy biurku, by skreślić kilka słów do Normana. Ale nie wiedziała, jak zacząć: „Drogi Przyjacielu” czy „Drogi Panie”? Obie możliwości wydały jej się złe. Podarła kilka kartek w nerwowym pośpiechu. Zwykle zwracała się do niego w listach „Drogi Przyjacielu”. Ale dziś nie mogła tak napisać. Napisała więc po prostu: „Szanowny Panie”. Był to chłodny i oficjalny początek, ale nie odważyła się zacząć listu cieplejszymi słowami. I tak pisała dalej:

*Powiedział mi Pan kiedyś, że jeśli będę potrzebowała wiernego przyjaciela, mam Pana wezwać. Musiałam Panu obiecać, że to zrobię.*

*I otóż stało się —potrzebuję pilnie wiernego przyjaciela. Czy dotrzyma Pan słowa po tym, co się stało przy źródelku? Proszę nie pozwolić mi czekać na darmo. Jestem bardziej nieszczęśliwa niż winna. Proszę mi dać znać przez posłańca, kiedy mogę Pana oczekiwać. Proszę mi wierzyć, że oczekuję Pana z wielkim niepokojem.*

*Maria Tomau*

Napisawszy list, szybko wyprawiła gońca. Odczuła ulgę, ale niepokój jej jeszcze się zwiększył. Ach, gdyby posłaniec miał skrzydła! Po raz pierwszy żałowała, że we dworze nie ma samochodu. Myślała nerwowo: już jest na mostku — teraz wjechał na polanę — skręca do Neurode — zaraz tam będzie. Ale czy zastanie Normana Westa w domu? I czy ten spełni jej prośbę?

Ależ tak, dotrzyma słowa, nigdy jeszcze nie złamał danego słowa. Skoro go wezwała, na pewno przybędzie, choćby nie wiem jak było mu ciężko. Wiedziała też, że jej doradzi, co zrobić z Lassbergiem, gdy mu wszystko wyzna. Och, jak wspaniale się poczuje, gdy wreszcie zrzuci ten ciężar z serca! Każdym słowem umniejszący swą winę. I może jemu też ulży, może nie będzie tak cierpiał, gdy się dowie, że już od dawna nie jest żoną Lassberga. Może...

Nie, nie, lepiej nie wzbudzać w sobie nadziei! Mężczyźni są inni niż kobiety, zawsze chcą być pierwsi. A kobiety nie mogą pytać, czy były pierwszymi.

Ale z drugiej strony — iluż to mężczyzn poślubia wdowy! Muszą więc je kochać. Ale skąd może wiedzieć, czy Norman West należy do mężczyzn, którzy mogą pokochać kobietę już raz będącą mężatką? Nie, nie — żadnych nadziei, które nie mogą się spełnić. Ach, gdybyż można to małżeństwo wymazać z jej życia! Było ono zawsze dla niej piętnem hańby, ale teraz stało się torturą. Cóż takiego uczyniła, że ma cierpieć na wieki? Czy nie ma już dla niej szczęścia na ziemi tylko dlatego, że raz naiwnie uwierzyła? Wypiła w tym małżeństwie kielich goryczy. Czyż to nie wystarczy, czy nigdy się od niego nie uwolni?

A Norman West będzie cierpiał wraz z nią. Ta myśl była najgorsza. Herbert Lassberg zniszczył również jego życie .

Czuła niewymowny wstręt do tego mężczyzny. Jakimże nędznikiem okazał się po raz kolejny! Czyż w jego duszy nie było już ani krztyny dobroci? Najpierw udawał przed nią wzruszenie i miłość, a gdy nie dała się nabrać, począł jej grozić i szantażować ją. Skąd się dowiedział o stryju Albercie? A przecież musiał mieć o nich dokładne informacje, inaczej tutaj by się nie zjawił. Póki była biedna, unikał jej, lecz gdy znów jest bogata, znalazł do niej drogę. Jakże mało ją znał, jeśli sądził, że go przyjmie na powrót! Nie przesadziła mówiąc, że wolałaby umrzeć niż mieć cokolwiek do czynienia z Herbertem Lassbergiem. Jakie to szczęście, że mu się wtedy tak spieszyło, by ją porzucić! Chciał poślubić bogatą Amerykankę. Widocznie mu się to nie udało. Dopiero teraz uświadomiła sobie, że miał na sobie znoszone ubranie.

Nie, nie chce więcej myśleć o tym człowieku! Co ją obchodzi Herbert Lassberg? Teraz liczy się tylko Norman West i to, że musiał cierpieć przez nią.

Czy posłaniec dotarł już do Neurode? Może Norman West właśnie trzyma w ręce jej list? Czy zjawi się na wezwanie?

Zaczęła się lękać, że nie spełni jej prośby i nie przybędzie. Jakże się przed nim usprawiedliwi, jeśli on nie przyjdzie?

I znów krążyła po pokoju zastanawiając się, kiedy wróci posłaniec z odpowiedzią.

Wyrwało ją z tych dręczących rozmyślań przybycie panny Döring.

—Jaśnie panienka wcale nie jadła obiadu — powiedziała zmartwiona służąca.  
— Na miłość boską, czy pani nie jest chora?

Maria wzruszyła się troską starej gospodyni.

—Ależ nie, kochana panno Döring, po prostu boli mnie bardzo głowa nie mam apetytu. To przejdzie.

—Czy mogę coś dla pani zrobić? Może jednak ma panienka gorączkę? Może zmierzyć puls?

Maria miała ochotę wypłakać się w ramionach poczciwej służącej. Ale cóż jej powiedzieć? Uśmiechnęła się więc blado i odrzekła:

—Proszę mnie zostawić, na pewno nie mam gorączki. Na dworze był upał i stąd ból głowy.

—Może chociaż przyniosę pani filiżankę herbaty?

—Nie, nie, nie teraz. Czekam na pana Westa, mamy się naradzić w sprawach gospodarczych, o ile posłaniec go zastał i o ile pan West będzie miał czas.

Panna Döring wycofała się niechętnie. „Dziecko” wcale jej się dziś nie podobało, było blade, miało mętne spojrzenie. Żeby tylko nie przyplątało się jakieś choróbsko!

Tymczasem goniec był już w Neurode i stał przed obliczem pana Westa.

—Jakie wieści? — spytał Norman, drżąc z podniecenia.

—List od jaśnie panienki i mam czekać na odpowiedź.

Norman wyrwał mu list z ręki i odwrócił się, chcąc ukryć drżenie rąk.

—Czekaj na dole, każ sobie podać coś do picia, zaraz odpowiem — wykrztusił.

Gdy goniec opuścił pokój, Norman gorączkowo rozerwał kopertę i przeczytał list. Westchnienie ulgi wyrwało mu się z piersi. Dzięki Bogu, ona go potrzebuje! Serce zabiło mu radośnie. Zadzwoił.

—Natychmiast samochód! Goniec niech wraca do Weidenhofu, będę tam przed nim.

Ogarnął się i zbiegł na dół. Samochód już stał przed wejściem. Ruszyli jak wichur do Weidenhofu.

Maria, stojąc za firanką, wypatrywała powrotu posłańca. Nagle zobaczyła za jeżdżący pod dom samochód. Z samochodu wyskoczył Norman West. Nogi się pod nią ugięły, cofnęła się i opadła na fotel.

W chwilę później stanął przed nią Norman, blady jak ona, pożerający ją rozgorączkowanym spojrzeniem.

—Wezwała mnie pani, oto jestem, —zawołał podniecony.

Maria miała w oczach lęk.

—Tak, wezwałam pana, gdyż potrzebuję przyjaciela, a także, ponieważ muszę panu coś powiedzieć. Pan źle o mnie myśli, prawda?

Norman przejechał ręką po włosach.

—To, czego dowiedziałem się przy źródleku, tak nagle, bez przygotowania, to mnie bardzo zabolalo, nie taję tego.

Maria uniosła dłonie w niemej prośbie.

—Tak, Boże mój, wiem. Ale ja nie mogłam słowa wykrztusić, gdy pan ujrzał moje poniżenie. Dopiero dużo później uświadomiłam sobie, że pan musiał opacznie zrozumieć moje milczenie. Teraz już pan zna moją tajemnicę. Tajemnicę, która mi bardzo ciążyła, lecz nie mogłam wyznać prawdy, najpierw ze względu na ojca, by mu nie odbierać ostatniej deski ratunku, a potem ze względu na stryja. Kiedy stryj umarł, nie miałam odwagi się panu przyznać — ze strachu, z tchórzostwa, że stracę jedyne przyjaciela. Wiedziałam, że pan się ode mnie odwróci,

gdy się pan wszystkiego dowie. I tak odkładałam wciąż tę spowiedź, cierpiąc niewymowne męki. By nie przekreślać szansy znalezienia schronienia u stryja, przemilczeliśmy z ojcem, że nie jestem już panną Marią Tomau. Ojciec był tak udręczony, u kresu sił, iż prosił mnie, byśmy nie mówili stryjowi, że byłam mężatką. Mieliśmy mu to wyznać później. A potem... stryj miał te ataki, wie pan, pomstował na rozwiedzione kobiety, jakże mogłam mu wyznać, że ja też jestem rozwiedziona?

Norman zadrżał i podszedł do niej.

—Rozwiedziona? Pani jest rozwiedziona, wolna? Ten drań nie ma prawa nazywać pani żoną? — pytał drżącym głosem.

—Nie, Boże, nie — mówiła Maria, kręcąc gwałtownie głową. — Nie ma już do mnie żadnego prawa. Po prostu nie miałam siły zaprzeczyć, gdy pan tak nagle pojawił się na polanie i w tak okropny sposób dowiedział się prawdy, którą dawno chciałam panu wyznać, ale nie miałam odwagi. Czy może pan sobie wyobrazić, jak cierpiałam, gdy stryj pomstował na rozwódki? Ale Bóg mi świadkiem, że nie jestem winna. Nigdy nie złamałabym przysięgi małżeńskiej, to nie leży w mojej naturze. Cierpiałam bardzo, gdyż dawno już zrozumiałam, jak nędznym człowiekiem jest ten, którego byłam żoną. Jakąż ulgę odczułam, gdy Lassberg sam zażądał rozwodu, gdyż zbiednieliśmy i ojciec nie mógł już obsypywać go pieniędzmi jak dawniej. Odszedł z jakąś bogatą Amerykanką, która go podobno zaangażowała jako swego sekretarza. Wyjechał do Nowego Jorku. Byłam wolna, wolna po tylu cierpieniach i upokorzeniach. Ale to małżeństwo już od dawna było tylko pustą formą, gdyż pogardzałam mężem i nie żyliśmy ze sobą. Byłam jeszcze prawie dzieckiem, gdy skłonił mnie do małżeństwa, nie wiedziałam, co mnie czeka.

Pod ciężarem tych wspomnień załamała się, zakryła oczy dłońmi i rozplakała się serdecznie.

Norman patrzył na nią z głębokim współczuciem. Było mu lekko na sercu. Widział, że jego ukochana była bez winy, czuł, że nie bawiła się nim wcale, że go kocha i więcej wycierpiała niż on. Przysunął sobie fotel i usiadł obok niej. Przy-ciskając jej dłoń do ust, rzekł wzruszony:

—Mario, wiesz, jak bardzo cię kocham. Bogu niech będą dzięki, że jesteś wolna, że mogę cię obronić i zatrzymać przy sobie! Znam Lassberga

wiem, że jest zdolny do każdej podłości. W Nowym Jorku zetknąłem się z nim w sytuacji dla niego bardzo niepoehlebnej. Ale o tym potem. Teraz musisz mi powiedzieć, Mario, czy mnie kochasz i czy chcesz zostać moją żoną.

Maria spojrzała na niego wstrząśnięta.

—Kocham cię, kocham cię — mówiła — i jeśli uważasz mnie nadal za godną, by być twoją żoną? Ach, Normanie, myślałam, że moje szczęście legło w gruzach. Drżałam na myśl o tym, że przestaniesz mnie kochać, gdy się dowiesz, że należałam już do innego.

Normanowi twarz drgnęła, lecz objął ją czule i rzekł:

—Wiem tylko, że cię kocham, i wierzę, że jesteś niewinna. Cierpiałem strasznie na myśl o tym, że należysz do innego.

Wycisnął na jej ustach gorący pocałunek, a ona, drżąc, przytuliła się do niego łagodnie.

—Najpierw musisz się o wszystkim dowiedzieć, Normanie. Muszę ci wyznać wszystko, co mi leży na sercu.

I opowiedziała mu o tym, jak poznała Lassberga, jak to litość i dziewczęce mrzonki skłoniły ją do wyjścia za niego za męża, że kochała wymyślony ideał i z przerażeniem poznała prawdziwy charakter tego człowieka. Nie ukrywała przed nim niczego. Wszystkie cierpienia raz jeszcze odżyły w jej duszy, ale teraz Norman siedział obok niej, trzymając ją w ramionach i gładząc po włosach, gdy wzdrygała się na wspomnienie doznanych krzywd i nie mogła mówić ze wzruszenia. Opowiedziała mu też dokładnie wszystko, co zaszło po rozwodzie i jak oboje z ojcem przyjechali do Weidenhofu. Gdy skończyła, podniosła na niego wilgotne oczy i cicho spytała:

—Czy naprawdę możesz mnie kochać po tym wszystkim, co ci powiedziałam?

—Kocham cię jeszcze bardziej, Mario — odrzekł, patrząc jej w oczy. Miałbym



cię mniej kochać dlatego, że jakiś drań cię oszukał? Kocham cię od chwili, gdy cię ujrzałem, i cierpiałem bardzo, że nie mogłem ci tego wyznać. A teraz jestem szczęśliwy, że jesteś wolna i chcesz być moja. Ty, tylko ty możesz mi być taką towarzyszką życia, za jaką tęskniłem. A teraz opowiedz mi, co się działo na polanie po moim odejściu? Nie mogę sobie darować, że zostawiłem cię samą z tym człowiekiem, którego nikczemność dobrze znałem. Ale słowa tego łotra, że wciąż jesteś jego żoną, tak mnie wyprowadziły z równowagi, że nie mogłem znieść twojego widoku.

—Mówisz, że znasz jego nikczemność. Gdzie i kiedy się z nim zetknąłeś?

Norman opowiedział jej o żalösnej roli, jaką Herbert Lassberg odegrał w Nowym Jorku i zakończył słowami:

—Sama widzisz, że to zwykły szantażysta, a nawet gorzej, bo to utrzymanek kobiet. To niski charakter bez czci i honoru.

—To szczerą prawdą, przekonasz się o tym, gdy ci opowiem, co zaszło u źródła po twoim odejściu.

Opowiedziała Normanowi, jak to Lassberg próbował przywiązać ją na powrót do siebie, a gdy mu się nie udało, zażądał pieniędzy, grożąc jej denuncjacją.

—Myślał, że mnie zastraszy tym, jakobym bezprawnie zameldowała się pod nazwiskiem Tomau i pod tym samym nazwiskiem objęła spadek. Przypuszczam, iż nie wie, że wróciłam prawnie do nazwiska panińskiego.

—Ale podałaś się za osobę niezamężną, Mario, gdy obejmowałaś spadek — powiedział z troską Norman.

—Wcale nie. Ojciec po prostu nie wypełnił w moim formularzu meldunkowym rubryki dotyczącej stanu cywilnego. Zaraz po śmierci stryja skorygowałam wszystko w urzędzie; dlatego nie chciałam, byś mi towarzyszył. Na szczęście Lassberg nic mi nie może zrobić. Nie powiedziałam mu tego, bo na pewno by mnie wtedy nie puścił, wymyśliłby jakieś nowe szalbierstwo, by wyłudzić ode mnie pieniądze. Chciałam się od niego jak najszybciej uwolnić, toteż udałam, że muszę się namyślić. Chce mieć odpowiedź do jutra w południe — oczywiście pozytywną.

Dlatego pozwolił mi odejść. Byłam szczęśliwa, że się wyrwałam z jego łap, gdyż wiem, że jest zdolny do wszystkiego. Miałam nadzieję, że mi poradzisz i pomożesz, nawet jeśli straciłam twoją miłość. I dlatego cię wezwałam.

—Tylko dlatego, Mario?

Maria rzuciła się w jego ramiona.

—Ach, Normanie, chyba bym umarła z żalu, gdybyś mnie opuścił!

—Tak bardzo mnie kochasz? — spytał łagodnie.

Popatrzyła na niego swymi uczciwymi oczami tak, iż nie mógł wątpić w jej słowa.

—Tak, Normanie, dopiero teraz wiem, co to jest miłość. Jesteś moim ideałem.

—Musisz się obyć bez ideału, najdroższa — roześmiał się Norman dobrodusznie. — Ideały to tylko twory naszej wyobraźni. Ja też jestem tylko człowiekiem i mam swoje wady i słabostki.

—Ale za to jesteś kochanym, wielkodusznym i dobrym człowiekiem, Normanie. Pokocham twoje wady i słabości, jeśli mi obiecasz, że ty pokochasz moje.

—Obiecuję. A ty za to musisz się zadowolić mną takim, jaki jestem.

—Nie potrzebuję się zadowalać — powiedziała, patrząc mu czule w oczy — gdyż jesteś dokładnie taki, jak sobie wymarzyłam. Nie chcę, żebyś był inny; nawet twoich słabostek potrzebuję. Kochasz mnie, kochasz mnie naprawdę, i to jest cudowne!

Norman pocałował ją i przez chwilę milczeli, gdyż ich usta nie mogły się od siebie oderwać.

Wreszcie Maria uwolniła się z jego objęć.

—A co z Lassbergiem, Normanie?

—Zaraz pomyślimy.

—Nie chciałabym, by stoczył się jeszcze niżej, bo będę się musiała jeszcze

bardziej wstydzic, że bylam jego żoną. Chętnie oddalabym mu część majątku, ale boję się, że będzie nienasycony, tak jak to miało miejsce w stosunkach z moim ojcem.

—Rozumiem twoje obawy. Ale zważ, że on nie lubi pracować i bez przerwy trwoni pieniądze. Żadna suma nie uchroni cię przed jego natręctwem. Mam inną propozycję. Spróbujemy zmusić go do bardziej uregulowanego trybu życia. Jeśli dasz mu do ręki dużą sumę, to i tak na nic. Najlepiej będzie, gdy mu wyznaczysz niewielką miesięczną rentę, która zabezpieczy go przed nędzą, ale nie pozwoli na rozrzutność. Gladys Boverley dała mu dziesięć tysięcy dolarów, a jej mąż jeszcze pięćset i opłacił mu podróż statkiem do Europy. Po roku nic mu już nie zostało. Daj mi wolną rękę, a już ja sobie z nim poradzę.

—Dziękuję ci i proszę, byś zrobił wszystko według własnego uznania. Tylko postaraj się, bym się nie musiała z nim spotkać.

—Bądź spokojna. Wszystko załatwię jak należy. Jako twój narzeczony mam prawo występować w twoim imieniu i potrafię cię obronić. Porozmawiam z nim jutro rano, dziś trudno mi się jeszcze z tobą rozstać. Tak długo czekałem, by wreszcie móc wziąć cię w ramiona! Ile ja przez ciebie wycierpiałem!

—Biedny najdroższy! — powiedziała Maria, tuląc się do niego. — Wiem wszystko, cierpiałam wraz z tobą.

Norman pozostał w towarzystwie Marii do wieczora. Wypili razem herbatę i zjedli ze smakiem wspaniałe kanapki przygotowane przez pannę Döring — oboje przecież nie jedli obiadu.

Potem poszli na spacer. Byli szczęśliwi. Mieli sobie jeszcze tyle do powiedzenia. Ich szczęście było tym mocniejsze, im więcej przeżyli cierpień, jakich im życie nie szczędziło. Wrócili po dwóch godzinach w błogich nastrojach. W holu spotkali pannę Döring. Stara służąca rozpromieniła się na widok szczęśliwej miny Marii. Norman włożył ramię Marii pod swoje i tak stanęli przed panną Döring.

—Pani pierwsza dowiaduje się, że zaręczyliśmy się dziś wieczór.

Panna Döring bynajmniej nie była tak zdumiona, jak narzeczeni tego oczeki-

wali.

—Spodziewałam się tego — mruknęła takim tonem, jakby chciała powiedzieć: nieszczęścia chodzą po ludziach!

Norman i Maria roześmiali się.

—Mam nadzieję, że nie ma pani nic przeciwko temu? — powiedział Norman z humorem.

—To by i tak nic nie pomogło — westchnęła gospodyni. — Oby to się tylko dobrze skończyło! Nie dałabym złamanego grosza za mężczyznę. Ale pan jest wyjątkiem, proszę pana. A nasza jaśnie panienka zasługuje na dobrego męża. Niech pan ją szanuje, inaczej będzie miał pan ze mną do czynienia!

Maria uściskała starą gospodynię.

—Mam nadzieję, że będzie dla mnie zawsze miły — powiedziała.

—Pewnie, tak myślą wszystkie przed ślubem. A kiedyż to wesele?

—Jak najszybciej! — wykrzyknął swawolnie Norman.

—Jesteśmy w żałobie — skarciła go panna Döring.

—Skróćimy okres żałoby — powiedziała Maria, patrząc błagalnie na starą służącą. — Sama pani widzi, że w majątku potrzebna jest jak najszybciej męska ręka.

—No, postarała się panienka o to. Nie trzeba wmawiać mężczyznom, że bez nich świat by się zawalił, i tak się pysznią!

—Nie, nie, panno Döring, beze mnie świat się na pewno zawali — roześmiał się Norman, biorąc Marię w ramiona.

Wtedy stara panna roześmiała się, po czym powiedziała łagodnie:

—Żeby tylko dziecko było szczęśliwe. Nieboszczyk jaśnie pan też widział, na co się zanosz. Razu pewnego mówi do mnie: „Döring, z nich byłaby piękna para!”

—Naprawdę stryj tak powiedział? — wzruszyła się Maria.

—No pewnie. Tylko się baliśmy, że panienka odejdzie ze dworu. Niech mi tylko jaśnie panienka tego nie zrobi!

—Nie, nie, zostaniemy tutaj! — zapewniła ją Maria, całując w policzek.

—Ale tylko wtedy, gdy pani będzie miła, panno Döring, inaczej wyprowadzimy się do Neurode — droczył się z nią Norman.

Maria pogłaskała starą pannę po ramieniu.

—Niech się pani nie daje zastraszyć! Zostaniemy na pewno w Weidenhofie. Tylko środek lata będziemy spędzać w Neurode, bo w tamtejszym parku jest bardzo wiele cienia, no i musimy przecież i tam doglądać gospodarstwa. Wszystko już omówiliśmy. A w październiku — wesele. Stryj Albert na pewno by nie chciał, byśmy dłużej zwlekali ze ślubem.

—No dobrze już, dobrze.

I panna Döring już teraz starała się być miła, by nie spłoszyć Normana Westa, bo wtedy zabrałby ze sobą „dziecko”.

Gdy Norman się pożegnał, panna Döring zjawiała się u swej młodej pani. Nie mogła się doczekać, kiedy zaczną się przygotowania do ślubu i wesela.

—Jak to dobrze, że przyjęła już panienka dwie służące — powiedziała.

—Coś pani powiem — powiedziała nagle Maria, biorąc starą gospodynię za rękę. — Nie jestem panną, tylko panią.

—Boże drogi, wzięła pani potajemnie ślub z panem Western?

—Nie, panno Döring, to nie tak.

I Maria opowiedziała służącej pokrótce historię swego małżeństwa i rozwodu i wyjaśniła jej, dlaczego musiała do tej pory zatajać prawdę.

—Bożeż ty mój — załamała rękę stara panna — i po takich doświadczeniach chce pani jeszcze raz wyjść za mąż?

—Teraz nie jestem już naiwnym dzieckiem — mówiła Maria rozmarzona — i

tym razem jestem pewna, że dostanę szlachetnego człowieka za męża. Kocha mnie on dla mnie samej, bo dał mi to do zrozumienia jeszcze kiedy byłam biedna. Wiem, że będę z nim szczęśliwa.

—Na początku wszystkie tak myślą. Ale mnie też się widzi, że ten pan West to wyjątek, tak samo jak nasz nieboszczyk jaśnie pan. Zauważyłam, że można na nim polegać. Nie radzę mu unieszczęśliwiać pani. Mój Boże, cóż to pani przeżyła w tym swoim młodym życiu! Gdyby to nieboszczyk jaśnie pan wiedział — może przestałby pomstować na kobiety, a zaczął pomstować na mężczyzn.

—Nie wiem, może. Ale bałam się, że jeśli wyznam prawdę, zdenerwuje go to. Zależało mi, żeby się trochę oswoił z ludźmi.

— Tak, tak, lepiej, że się nie dowiedział. Miał zawsze przed oczyma złe przykłady i to było jego nieszczęście. Ale tak w ogóle mężczyźni są mniej warci od kobiet!

Wykrzyknikiem tym panna Döring dała wyraz swym najgłębszym przekonaniom. Ale pogodziła się z małżeństwem Marii i odtąd o niczym innym już nie myślała.

## XX

Nazajutrz przed południem Herbert Lassberg czekał w jadalni na wiadomość od Marii.

Było już prawie południe, a on wciąż nie miał wieści. Wreszcie pod gospodę zajechał samochód, szofer wszedł do gospody i spytał oberżystę o pana Lassberga.

Gospodarz wskazał na Herberta. Ten nadał się i zrobił wojowniczą minę. Szofer podał mu list. Herbert Lassberg nerwowo rozerwał kopertę, przekonany, że list jest od Marii; na kopercie nie było nadawcy.

List brzmiał:



*Z polecenia Marii Tomau mam z Panem prowadzić pertraktacje.*

*Mój szofer przywiezie Pana do mnie.*

*Norman West*

Herbert Lassberg patrzył ogłupiały na te kilka słów. Co to miało znaczyć? Jeśli Maria zleciła temu panu załatwienie sprawy, to nie może się spodziewać niczego dobrego. Nie miał najmniejszej ochoty ponownie spotkać się z Normanem Westem. Wczoraj na polanie odniósł nad nim jakby zwycięstwo, ale to był tylko pozór. W głębi duszy czuł, że Norman West przewyższa go pod każdym względem, ale nie chciał się do tego przyznać.

Nie miał jednak wyboru, jeśli nie chciał odejść z kwitkiem. A wreszcie, niech tylko West sobie nie wyobraża, że go nastraszy! Ma atuty w ręku.

—Proszę mnie zawieźć do swego pana! — rozkazał.

Dumnie przeszedł obok oberżysty, który nie mógł wyjść z podziwu, że ten pan pojedzie samochodem dziedzica do majątku.

W kwadrans później Herbert Lassberg znalazł się w gabinecie Normana Westa. Gospodarz przyjął go spokojnie.

Lassberg zaczął beczelnie:

—Nie lubię, jak ktoś się wtrąca do moich spraw, gdy mam coś do załatwienia z moją żoną.

Norman West wzdrygnął się z oburzenia, ale powiedział chłodno i spokojnie: —To, co pan lubi, a czego pan nie lubi, nie ma żadnego znaczenia. A poza tym zabraniam panu mówić o pani Marii Tomau jako o swojej żonie. Od dawna już nie jest pańską żoną.

—Ach! A jakimże to prawem chce się pan mieszać w nasze sprawy?

—Prawem pełnomocnika Marii Tomau.

—A jeśli odrzucę pańskie pośrednictwo i powiem, że będę rozmawiał tylko z moją byłą żoną?

—Wtedy powiem panu, że z tej rozmowy nic nie wyjdzie i opuści pan Neurode, niczego nie załatwiwszy.

—Zobaczymy, mam sposoby, by taką rozmowę wymusić!

—Oby się pan nie pomylił. Nawiasem mówiąc, Maria Tomau jest od wczoraj moją narzeczoną i znajduje się pod moją opieką.

—Ach, więc to dlatego była taka nieprzystępna — roześmiał się szyderczo Lassberg. — Zdążyła już komu innemu podarować serce. Cóż, niewiasta zmienną jest. A pan zawsze się zjawia, gdy chcę porozmawiać z kobietą. Gladys Boverley też uciekła się pod pańskie opiekuńcze skrzydła.

—Gdyż czuła się ze mną bezpieczniej niż z panem.

—Piękną Gladys pan splawił, ale moja była żona ma u pana zdaje się więcej szczęścia — powiedział cynicznie Lassberg.

—Jeśli powie pan jeszcze jedno słowo w tym tonie o mojej narzeczonej, dostanie pan pejczem po twarzy i każe pana wyrzucić — zawołał 'Norman West, prostując się, i uderzając pejczem o blat biurka.

Herbert Lassberg doszedł do wniosku, że jeśli nie zmieni tonu, niczego tu nie wskóra. Starając się zachować twarz, powiedział arogancko:

—Więc co mi pan ma do powiedzenia?

—Pani Maria Tomau upoważniła mnie...

—Za pozwoleniem — ma pan na myśli panią Marię Lassberg, jak przypuszczam? — wpadł mu w słowo tamten z uprzejmą ironią.

—Pani Maria Tomau — powtórzył spokojnie Norman — upoważniła mnie do przekazania panu, że absolutnie wzbrania się wypłacić panu sumy stu tysięcy marek. A ja dodam od siebie, że znów popełnił pan wykroczenie, polegające na usiłowaniu szantażu.

Po twarzy Herberta Lassberga przemknął jadowity uśmiezek.

—Po co zaraz takie wielkie słowa, panie West? Jeśli ja jestem szantażystą, kim w takim razie jest pani Maria Lassberg, pańska narzeczona, która zameldowała się pod fałszywym nazwiskiem i pod fałszywym nazwiskiem objęła spadek? O ile wiem, spadek ten miała objąć niejaka Maria Tomau — mówił z bezczelną miną.

—Ma pan słabe karty, panie Lassberg — powiedział Norman pogardliwie. — Nie istnieje żadna Maria Lassberg. Pani Maria Tomau po rozwodzie nosi prawnie swe nazwisko panińskie. Trafił pan jak kulą w płot. A ponadto testament Alberta Tomaua jest tej treści, że majątek dziedziczy kuzyn Jerzy, a po jego śmierci, jego córka Maria. Sam pan widzi, że nie ma pan żadnych podstaw do szantażu.

Herbertowi Lassbergowi ścisnęło się serce. Z trudem zachował spokój.

—A dlaczego wczoraj mi tego nie powiedziała? — spytał.

—Zna pana dobrze i wiedziała, że próbowałby pan innych sztuczek, gdyby nie udał się panu szantaż. Chciała zyskać na czasie. Ale nie zamierza wypłacić panu żądanej sumy.

Herbert Lassberg zaniemówił z wściekłości, przesywając Normana Westa nienawistnym spojrzeniem.

—I wydaje się panu, że tak po prostu odjadę, pozostawiając panu bez walki tak wspaniały łup? — wykrztusił wreszcie.

—Perspektywa walki z panem nie przeraża mnie. Na pewno nie pobrudzę sobie rąk.

Herbert Lassberg chciał się rzucić na tamtego, lecz Norman West znów ujął pejcz i wyprostował się. Lassberg zrozumiał, że nie może się z nim mierzyć. Zaciśnął pięści w bezsilnej złości i wybuchnął:

—A więc moja bogata żona nic mi nie użyczy ze swego bogactwa?

—Nie jest już pańską żoną. Wydaje się to panu nie do pojęcia, że jeszcze raz nie odda panu do dyspozycji całego majątku, by go pan przepuścił, tak jak przepuścił

pan majątek jej ojca? Wyłudził pan nawet od niej klejnoty. Czy pan w ogóle rozumie, jakie to haniebnie dla mężczyzny pozwalać się utrzymywać kobiecie, a samemu nie pracować? Maria Tomau nie ma żadnego obowiązku robienia czegoś dla pana, zwłaszcza że rozwód nastąpił z pańskiej winy. A jednak w swej szlachetności chce zrobić coś, co pana uchroni przed stoczeniem się na dno. Wyznacza panu rentę miesięczną w wysokości trzystu marek. Rentę tę będzie pan mógł podjąć pierwszego każdego miesiąca.

Propozycja ta powinna była ucieszyć Lassberga, ale ten przeciwnie, stał się od razu bezczelny.

—Chce mnie spławić przy pomocy tak żalosnej sumy? Ona, która sama żyje w dostatku?

—Milcz pan! Niech pan lepiej posłucha, jakie warunki musi pan spełnić, by móc pobierać rentę. Po pierwsze, renta zostanie cofnięta, jeśli pan jej natychmiast nie przyjmie i spróbuje pan żądać więcej. Po drugie, renta zostanie panu zabrana także wtedy, gdy kiedykolwiek zechce pan stanąć na drodze życia Marii Tomau. Jakakolwiek pańska prośba o darowiznę również pociągnie za sobą cofnięcie renty. Renta przepada także w wypadku, gdy pan dopuści się czynu niegodnego. Wyznacza się panu tę rentę tylko po to, by pan całkiem nie zszedł na psy. Mając trzysta marek miesięcznie, można żyć oszczędnie. Niektóre rodziny muszą zadowalać się niższym budżetem. A poza tym może pan pracować, by poprawić swoją sytuację materialną. Bardzo to panu doradzam: uczciwą pracą ludzie się bogacą. A teraz nie mam panu już nic więcej do powiedzenia. Ostatni warunek jest taki, że musi pan opuścić Neurode najbliższym pociągiem, który odchodzi za dwie godziny, i nigdy więcej się tu nie pokazywać. Ma pan tu tymczasowo czek na pięćset marek, aby pan mógł coś sobie kupić na grzbiet i przeżyć do pierwszego.

To mówiąc Norman West wypisał czek i położył go przed Lassbergiem. Ten zaś zagryzł wargi i przyglądał się przeciwnikowi z nienawiścią. Ach, jak chętnie dałby nauczkę temu Westowi, miast wysłuchiwać jego nauk moralnych. Do szalu doprowadzał go spokój tamtego, ale wyglądało na to, że nie ma z nim żartów.

—A więc odjedzie pan pociągiem za dwie godziny. Osobiście tego dopilnuję. A

teraz nie mam panu nic więcej do powiedzenia — zakończył Norman West.

Herbert Lassberg zmusił się do cynicznego uśmiešku, który jednak wypadł dość mizernie.

—Tym razem pan jest górą. Ale któregoś dnia może być odwrotnie — rzucił drwiąco, chcąc mieć ostatnie słowo.

Norman West nie raczył mu odpowiedzieć. Zadzwoił. Gdy wszedł służący, polecił:

—Proszę odprowadzić tego pana, szofer zawiezie go do gospody.

Herbert Lassberg opuścił pokój i zgrzytając zębami poszedł za służącym. Znalazłszy się na dole, wsiadł z wielkopańską miną do samochodu i z taką samą miną wysiadł przed gospodą.

Szybko zapomniał o doznanym upokorzeniu. Wprawdzie nie osiągnął tego, co zamierzał, ale wycieczka do Neurode nie pozostała całkiem bezowocna. Trzysta marek miesięcznie to pestka w porównaniu z tym, jak mu się żyło dawniej. Ale może uda mu się powiększyć te dochody, jest na to wiele sposobów. Przebiegł w myśli różne możliwości — z wyjątkiem jednej: uczciwej pracy.

Wrzucił bieliznę do walizeczki i zapłacił rachunek. Na pytanie zaciekawionego oberżysty, co robił we dworze, odparł, że załatwiał z panem Western interesy, i dumnym krokiem opuścił gospodę.

Norman West czekał w samochodzie na stacji i gdy Herbert Lassberg wsiadł do pociągu, odetchnął z ulgą i rozkazał szoferowi:

—Do Weidenhofu.

Maria z niepokojem czekała na Normana. Bała się, że Lassberg może zrobić krzywdę jej narzeczonemu. Odetchnęła z ulgą, gdy samochód wjechał na podwórko. Gdy Norman wziął ją w ramiona, szepnęła uszczęśliwiona:

—Dzięki Bogu, nic ci się nie stało.

Norman pocałował ją czule i roześmiał się: —Bałaś się o mnie?

—Tak, Normanie, wiedziałam, że jesteś w towarzystwie Lassberga, a po nim wszystkiego można się spodziewać.

—Nie martw się, Mario. Wszystko w porządku. Lassberg już nie będzie cię niepokoił. Postarałem się o to.

—Jak to cudownie, że mam ciebie — szepnęła, przytulając policzek do jego ramienia.

Szli wolno przez pokoje, a Norman opowiadał jej o pertraktacjach z Lassbergiem. Gdy skończył, Maria powiedziała:

—Mogłeś mu wyznaczyć wyższą rentę. Ja jestem bogata, a on lubi żyć w zbytku.

—Gdybym mu wyznaczył wyższą kwotę, roztrwoniłby ją i tak. Za trzysta marek jakoś przeżyje. Może wreszcie nauczy się pracować.

—Wątpię. Ale ty wiesz lepiej, co jest słuszne. Jak to dobrze, że mogę wszystko złożyć w twoje ręce.

Norman wziął ją w ramiona.

—Możesz złożyć w moje ręce wszystko, co jest ci zbyt ciężko dźwigać. Postaram się, byś nigdy nie zaznała smutków i trosk. Czy teraz jest ci lżej na sercu, droga Mario?

W połowie października odbyło się wesele Marii i Normana. Miało to być skromne przyjęcie, ale przyszła cała wieś. Cała gmina interesowała się połączeniem dwóch wielkich majątków.

Zbliżała się zima, toteż państwo młodzi mogli spokojnie wyjechać w podróż poślubną do Ameryki. Norman postanowił przy okazji załatwić swoje interesy.

Oczywiście przedstawił swoją młodą żonę pani Gladys Boverley, czy raczej Sweeft, jak się teraz nazywała.



Gladys była szczęśliwa w nowym stadle małżeńskim, toteż nie była zazdrosna o młodą żonę Westa. Nigdy się jednak nie dowiedziała, że to Maria West była tą kobietą, której niegdyś dla kaprysu zabrała męża.

A Maria była jej z całego serca wdzięczna, że mimo woli zwróciła jej upragnioną wolność.

Amerykanka przytyła i spoglądała z zazdrością na szczupłą sylwetkę Marii. Na cześć młodej pary Gladys wydała wspaniałe przyjęcie, na które zostali zaproszeni wszyscy przyjaciele Normana. Jego młoda żona zrobiła furorę, a wszyscy obecni nie mogli się nadziwić szczęściu nowożeńców.

Gdy po przyjęciu wracali do hotelu, Norman objął Marię i pocałował.

—I jakże ci się podobał ten amerykański styl, moja słodka? — spytał.

—Jak wspaniałe przedstawienie teatralne z mnóstwem dekoracji — odparła, przytulając się do niego. — Ale zatęskniłam do naszego cichego życia.

—Ja też, moja słodka żono — powiedział, całując ją czule. — Teraz już rozumiesz, dlaczego nie mogłem tu jakoś zapuścić korzeni. Jestem szczęśliwy, że wracam do domu, do cichego domu, do mojej ukochanej żony, która dała mi szczęście.

—Naprawdę dałam ci szczęście? — spytała cicho.

A on całował jej dłonie, włosy i oczy.

—Wiesz dobrze, że tak.

I trzymali się za ręce, patrząc sobie w oczy, pijani szczęściem.

KONIEC